
ANDRZEJ TADEUSZ KIJOWSKI

OPIŚ

OBYCZAJÓW W XV-LECIU MIĘDZYSOJUSZNICZYM

TOM I

ODSŁANIANIE DRAMATU



WYDAWNICTWO
ANTRAKT

ANDRZEJ TADEUSZ KIJOWSKI

OPIS OBYCZAJÓW W 15-LECIU
MIĘDZYSOJUSZNICZYM
1989-2004

Część I - *Odślanianie dramatu*
(społeczeństwo)

Część II - *A Teraz Konkretnie*
(media)

Część III - *Teatr to miejsce spotkania*
(sztuka)

tom pierwszy - Paradoks

o Ogródkach

tom drugi - Thea to znaczy widzenie

Piętnaście lat Konkursu Teatrów Ogródkowych
to kanwa opowieści o obyczajach III RP

Teoria estetyczna, praktyka polityczna, obyczaje
kulturalne

Sztuka, media, pieniądze

Opisy spektakli, relacje zdarzeń, portrety ludzi

OPIS
OBYCZAJÓW
W XV-LECIU
MIĘDZYSOJUSZNICZYM

Opowieść winna być dla stylu, nie styl dla opowieści

Andrzej Kijowski, Dziennik, 5.VIII.77

ANDRZEJ TADEUSZ KIJOWSKI

O P I S
O B Y C Z A J Ó W
W X V - L E C I U
M I Ę D Z Y S O J U S Z N I C Z Y M

TOM I

ODSŁANIANIE DRAMATU

Historia XV lat Konkursu Teatrów Ogródkowych
(1992-2006)

to kanwa Opisu Obyczajów
w XV leciu międzysojusznicznym
lat 1989 -2004

WYDAWNICTWO
ANTRAKT

ODSEANIANIE DRAMATU Andrzej Tadeusz Kijowski

Redakcja: ALICJA GÓRNY

Korekta: GRZEGORZ BOGDAŁ, MACIEJ SZKLARCZYK

Projekt okładki i opracowanie techniczne: HANNA KARPIŃSKA

Na okładce: *Pochód Bacchusa*, Maerten van Heemskerck, 1537-38
ze zbiorów Kunsthistorisches Museum, Wiedeń

© Copyright by Andrzej Tadeusz Kijowski
Wydawnictwo „AnTraKt”
ul. Jaworzyńska 5 m. 4, 00-634 Warszawa
tel./fax +48 22 825 49 67, antrakt@kijowski.pl,
www.opis-obyczajow.pl

ISBN 978-83-923292-6-8

Printed in Poland
Wydawnictwo: „AnTraKt”
Warszawa 2010

Wyd. I. Nakład 1000 egz.
Papier druk: Speed-E 80g
Karton na okładkę jednostr. powlekany Arktika 250g
Oddano do składu 22 października 2010
Podpisano do druku w listopadzie 2010
Druk ukończono w listopadzie 2010

Druk:
Team-Serwis Poligraficzny Spółka Jawna
Warszawa, ul. Jana Pawła II nr 20

SPIS TREŚCI

WSTĘP – <i>Paweł Śpiewak</i>	7
I ODSŁONA PIERWSZA – PROLOG czyli korzenie	
Grymas Seniora (Andrzej Kijowski)	11
Wielkie Państwo	17
Figura Mityczna (Małgorzata Bocheńska)	21
Genius loci	25
II ODSŁONA DRUGA – ZAWIĄZANIE DRAMATU albo odszczepieńczy rodowód inteligenckiej gminy	
Pisarz Gminny	29
Wybrańcy	31
Dzieci Rabina	35
Sahibek (Andrzej Axer)	39
Saszka (Aleksander Gurjanow)	41
Maruderzy	47
Szczęście ludzi ponad wszystko	51
Adaś (Adam Michnik)	53
Człowiek na rubrykę	55
Stygmat obcości	59
Inteligenckie getto	63
Uchodźcy z pogromu	67
Góral z góry Synaj albo z Wildsteinem na Charenton	71
Obyś nie miał wnuków	75
Instytucja Gminy	77
III ODSŁONA TRZECIA – PERYPETIE z urzędnikami	
Szpital Św. Ducha.....	81

Andrzej Urbański, czyli kolega	85
Człowiek polityczny – Andrzej Urbański	91
Polityka gramatyczna – adepci Teresy Hołównki	97
Układ czyli Sfera	103
Tracenie złudzeń	109
Sny o potędze, czyli Kraj Rad i Państwo Stanów	117
Olechowski, piskorczyca, przekręty i dźwigi	119
IV ODSŁONA CZWARTA – KULMINACJĄ było pielgrzymowanie	
Jerzy Buzek, czyli opakowanie	127
Csatówna, czyli casus Hermiony	133
Palant na Palatynacie	137
Pysk w pysk z Oleksym, czyli brukselskie Waterloo	145
Waldemar Dąbrowski, czyli jak gonić króliczka	153
Alert Europejski, czyli śladami Leszka Millera	161
Bella Center, czyli ryczenie krów	167
Całe to Bizancjum...	173
Murawski co PeKiN pali	179
Zmarnowane szanse – rzecz o Murawskim Krzychu	183
Obce Palikota dzieje	187
Rzeczpospolita Samorządna Michała Kuleszy	191
Alert, czyli sympatyczne miglance	199
(Z Kisielewskim i Paszyńskim po Podlasiu)	
„Na Pomostach” – między Krzyżakami	205
Ani brat, ani swat – przypadek Janusza Kijowskiego	211
Wszyscy ludzie prezydenta Kaczyńskiego	215
Asia Jabłczyńska i dzieci z dobrych domów	223
Wojna o Pietrzaka	227
V ODSŁONA PIĄTA – EPILOG , to znaczy hierarchia wartości	
Czerwiec – czas zwycięstwa	241
Pokolenie „Solidarności”	247
„Solidarność” albo prawo i sprawiedliwość	257
Czas Międzysojusznicy	265
Odsłanianie dramatu	269
INDEX	277

Andrzej Tadeusz Kijowski napisał książkę namiętą o ojcu, o sobie i ludziach, których poznawał, z nimi się przyjaźnił, współpracował, działał i z nimi czasem przegrywał. Napisał rzecz o sobie i o swoich dwóch wielkich pasjach. Jedną jest polityka z właściwym i koniecznym dla niej jasnym czy wręcz bezwzględny widzeniem zdarzeń i ludzi. Polityka domaga się nieufności, czasem stanowczości, ale nieodłączna jest od rozumienia i przyjmowania moralnych i patriotycznych zasad. Drugą jest teatr, któremu towarzyszy, jako krytyk i twórca teatralnych wydarzeń.

Jest to opowieść o politykach, aktorach, pisarzach. Najważniejszym z nich jest Andrzej Kijowski, ojciec, wybitny krytyk literatury, prozaik, autor miesięcznika „Twórczość”, człowiek, który jak mało kto zachował jasność widzenia i nazywania rzeczy. Andrzej Tadeusz jest jego synem i dziedzicem. Nieustannie zadaje sobie pytanie, czy ma w sobie jego zdolność zadawania pytań i jego ostrość widzenia.

Jest to książka, którą czyta się jednym tchem. Napisana wartko ukazuje detale życia, składa się z portretów nam współczesnych osób. Przez nich odślania to, co jest czy było naszą niepodległą III Rzeczpospolitą z jej wielkością, małostkami, kłamstwami, zdradami. Andrzej Tadeusz lubi pikantne szczegóły, czasem plotki. Bywa przyjazny i bywa złośliwy.

Opowiada swoją historię polski inteligent, a warszawski inteligent stoi zawsze obok, jest w mniejszości. Kijowski jest świadom swoich duchowych korzeni, ale zarazem nie chce się dać zamknąć w przesądach i stereotypach swojej warstwy. Szuka, zadaje pytania. Bywa prawicowcem, sympatyzuje z PiS-em, ale zawsze jest po prostu osobą wrażliwą na niesprawiedliwość i nietolerancję.

Jest to książka o naszej współczesności. Stronnicza, więc wywoła z pewnością krytyczne uwagi. Tak być powinno. Nasze ostatnie dziesięciolecia dopiero wymagają opisanego i przemyślenia. Tych opowieści będzie wiele. Pośród nich znaczące miejsce zajmie książka Kijowskiego.

ODSŁONA PIERWSZA

PROLOG czyli korzenie

I

GRYMAS SENIORA

Cokolwiek badacze mogliby powiedzieć o systemie ocen Andrzeja Kijowskiego – zasadniczą wartością w jego twórczości była Sława. I nie mam tu na myśli kariery, uznania środowiskowego czy popularności w mediach. Sława w ujęciu Kijowskiego jest tą z *Pieśni Polaków* Fredry i z *Małej Improwizacji*, z Micińskiego i z *Legandy* Wyspiańskiego. To Sława z dziecinnego marzenia.

To dziecko: dziecinna wiara, dziecinne okrucieństwo i dziecinna omnipotencja – wytyczają oś twórczości pisarza. Miał tego świadomość. W dzienniku z 30 lipca 1974 roku znajdujemy taki zapis: „Byłem dzieckiem. Nikogo nie kochałem poza samym sobą i w nic nie wierzyłem poza własnym istnieniem. Nie kochałem Boga, ale chciałem na nim wymusić miłość dla mnie i okazać się ludziom jako jego wybraniec. [...] Nie interesuje mnie ani literatura jako piękność, ani myśl jako mądrość, ani historia jako dramat, ani społeczeństwo jako istność, która mnie potrzebuje; wszystkie te dziedziny oglądałem dotąd z daleka i dotykałem ich po wierzchu, badając, o ile mogę w nich wybić się i zdobyć uznanie”.

Był Kijowski krytykiem. Krytykiem, czyli osobą, od której wymaga się sądu wyważonego i sprawiedliwego. Wszystko jednak można o autorze *Miniatur krytycznych* powiedzieć, ale przecież nie to, że był sprawiedliwy! Chimeryczny, ironiczny, niecierpliwy – czasem złośliwy. Miłośnik Wyspiańskiego, uczeń Baudelaire’a i Gombrowicza – Kijowski całe literackie życie spędził w podwójnym uzależnieniu między patosem a ironią. W swoistym literackim, obywatelskim, erotycznym, rodzinnym i religijnym – grymasie.

Pamiętam, jak w jakimś 1973 roku w czasopiśmie „Dialog” w ramach „Prób czytanych” opublikował Senior tekst poświęcony transkrypcji *Fausta* – dokonanej przez Jerzego S. Siłę. Jarosław Marek Rymkiewicz (przyjaciel obydwu, tzn. zarówno mego Ojca, jak i Sity) ze szczęścia promieniał.

– Ale mu dowaliłeś! – chichotał w stołówce Klubu Literatów przy Krakowskim Przedmieściu.



od lewej Jarosław Marek Rymkiewicz,
Andrzej Kijowski, Adam Hanuszkiewicz,
Ryszard Matuszewski, Ewa Rymkiewiczowa,
Kazimiera Kijowska
Obory około 1970 roku.

fol. A. T. Kijowski

– Masz rację: to grafoman, grafoman! – wyrażał się tak o przyjacielu i szefie swej żony Ewy w hanuszkiewiczowskim Teatrze Narodowym, którego kierownikiem literackim był właśnie Jerzy S. Sito. Dodajmy, że obydwaj panowie Sito i Rymkiewicz na tyle dobrze funkcjonowali w ówczesnym układzie, że Hanuszkiewicz (niezbyt chętnie, co wyznawał na stronie) zgodził się wystawić w Narodowym *Pasję i potępienie doktora Fausta* Sity, a potem niejako dla równowagi *Kochanków piekła* – imitację dramatu Calderona dokonaną przez Rymkiewicza.

Obserwowałem Ojca. Przyglądał się Jarkowi z niesmakiem. Złośliwe chochliki tańczyły mu w oczach.

– Nie przesadzajmy. Nie napisałem, że grafoman. Raczej chciałem zdefiniować pewną postawę literacką. Niechęć czy nieumiejętność znalezienia własnego stylu, postawę, której przecież i ty w pewnym stopniu jesteś przedstawicielem.

– No, już nie opowiadaj – zaperzył się Jarek. – O mnie byś tak nie napisał! Dwie błyskawice niby stygmat Sławy przeszły tatarskie oczka Seniora. Pohaniec był pogrzebany. W miesiąc później mógł przeczytać w „Dialogu” artykuł zatytułowany *Heca na tematy ostateczne*¹ – miażdżący tekst na własny temat. Ale co było w Seniorze najdziwniejsze, to fakt, że po opublikowaniu tego tekstu zupełnie nie mógł zrozumieć, dlaczego Jarek Marek przestał się do niego odzywać. Dlaczego obraził się jako człowiek, miast np. walczyć z nim w literaturze – jak pisarz?

Katarzyna Wiśniewska w szkicu na temat pisarstwa Seniora² przytacza wspomnienie Stefana Bratkowskiego, który twierdzi, że to kaprys mego Ojca skazał na emigrację Tyrmanda. Po Złym napisał bowiem bardzo złośliwy felieton, kończąc go słowami: „Tak, Leopold Tyrmand jest wielkim pisarzem. Dla gównia-

1 A. Kijowski, *Heca na tematy ostateczne*, „Dialog” nr 1 (201), 1973 s. od 136 do 140.

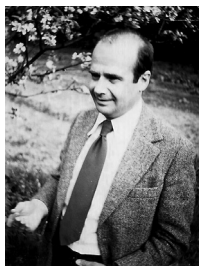
2 K. Wiśniewska, *Tak pięknie, że strach*, „Gazeta Wyborcza” z 9-10.VII.2005

rzy”. Nieco później Tyrmand pokazał Bratkowskiemu ten tekst i oświadczył, że wyjeżdża na stałe. „Czy to był jedyny bodziec do wyjazdu, przesądzić nie można – powiada Bratkowski – ale on niesłuchanie to przeżył. Gdy po latach opowiedziałem o tym Andrzejowi, on z kolei odczuł to boleśnie. Faktem jest, że jego precyzja sądów bywała bardzo okrutna”.

Mam wrażenie, że Senior w istocie nie traktował literackich hierarchii do końca serio. Tak naprawdę dotyczyły go słowa. Był genialny, gdy składał z nich przeszłość. Gdy jak dziecko oderwane od realiów, jak Kasandra szalona, jak Tejrezjasz ślepy spoglądał w przyszłość. I nic go nie krępowało: ani miłość, ani interes własny, ani poządlliwość – wlatywał na skrzydłach Sławy i prorokował.

Jego przemówienie na Kongresie Kultury Polskiej w 1981 roku w Teatrze Dramatycznym w Warszawie przywoływał były polski prezydent w ćwierćwiecze tego wydarzenia: „Kiedy Andrzej Kijowski mówi o tym, że w Polsce rozpoczyna się wielka zmiana, to te słowa są tak wizjonerskie, że wydawałoby się nierealistyczne, ale to przecież Andrzej Kijowski miał rację. Zmienił się ład międzynarodowy, jesteśmy w zupełnie innym miejscu historii, w innej Europie, w innej Polsce. W lepszej Polsce i pełnej nadziei Europie”.

Chciałoby się wierzyć! Prawda? Czytajmy jednak Kijowskiego, który 7 sierpnia roku 1980 przewidywał to, co właśnie teraz czai się za progiem. „Żądanie rzeczy, które są do spełnienia niemożliwe, jest albo dziecinadą, albo prowokacją. Pełne wyzwolenie Polski spod kurateli sowieckiej i zmiana systemu politycznego to na dzisiaj mrzonki. Co więcej – mrzonki niebezpieczne. Co by się stało, gdyby ZSRR spełnił nasze żądania? Kraj zostałby wydany na pastwę sporów i walk wewnętrznych oraz tajnych agentur. Można mówić o wyzwoleniu Polski tylko w ramach nowego systemu bezpieczeństwa europejskiego i pod ochroną nowych międzynarodowych gwarancji, w ramach nowych, partnerskich związków polityczno-gospodarczych. Nie wolno ani domagać się, ani dopuścić do jednostronnego aktu «zrzeczenia się» przez ZSRR roli gwaranta i protektora. ZSRR mógłby to zrobić bez szkody dla siebie, a nawet z zyskiem, gdyż utworzyłby tu sobie głębokie bajoro polityczne, w którym mógłby łowić, co by tylko chciał, a dalsze dzieje Polski przypominałyby dzieje przedwojennej Litwy lub



*Andrzej Kijowski,
Dom Aktora
w Skolimowie,
maj 1973*

Fot. A. T. Kijowski

dawnej Serbii. *Wyzwolenie* takie właśnie mogłoby być wstępem do pełnej aneksji”. Mamy już niby te gwarancje, ale też z ust tego samego, tyle że podchmielonego byłego już prezydenta poznaliśmy inną, a przewidywaną przecież przez Seniora prawdę: „*Pridiot takoj dzień, kagda Rossija... Ja gawarju toczno: Rossija toże budiet w NATO*”. Wszyscy oburzali się formą. Czy ktoś przysłuchał się treści?!

Rosja w NATO! Tak, przyjdzie taki dzień i coraz bardziej obawiam się, że go dożyję – gdy jakiś nowy Ribbentrop z nowym Molotowem przy aplauzie jakiegoś polskiego premiera, którego dwór jak w czasach stanisławowskich finansować będą na Kremlu i w Brukseli, zawiążą nowe „Święte Przymierze” i będą decydowali o tym, którądy ropa ma płynąć przez nasz kraj. Kogo i gdzie mogą leczyć polscy lekarze.

Nie minęły dwa lata, a urzędujący minister spraw zagranicznych całkiem już na trzeźwo powtórzył te słowa. „Rosja jest potrzebna do rozwiązywania europejskich i globalnych problemów. Dlatego za słuszne uważam przyjęcie jej do NATO” – mówił 30 marca 2009 roku szef MSZ Radosław Sikorski w czasie III Debaty Kopernikańskiej na toruńskim uniwersytecie.

Dla mnie to ewidentna zdrada stanu. Wszyscy wiedzą, że tymi słowami Sikorski chciał zwiększyć swoje szanse na szefa NATO. Tzn. akceptując odrzucenie jedynej niekwestionowanej wartości piętnastolecia, jaką było wycofanie wojsk sowieckich z Polski. Czyli przystając na narażanie naszej niepodległości. Taki ton obowiązuje dziś w MSZ. W MSZ nie mówi się dziś o Polsce, lecz o Unii, a Unia pragnie wpuścić lwa do klatki z kurami, z nadzieją (iście francuską), że zamknięty z drobiem drapieźnik pozwoli się kurom ucywilizować!!!

Kto dziś to zamiecie pod dywan, nie da UE wyraźnego przesłania, że Polacy nigdy nie zaakceptują ograniczenia suwerenności ani nowego sojuszu z nieobliczalnym i niekontrolowanym odwiecznym zaborcą – ten za dwadzieścia lat będzie wycinał tundrę na Kołymie.

Głos wołającego na puszczy... A przecież tyle są warte międzynarodowe gwarancje w kraju, w którym przez piętnaście lat ukształtowało się głębokie bajoro polityczne, gdzie każdy może łowić, co mu się podoba.

Czemu tyle w mych rodzinno-literackich uwagach polityki? Bo polityka, może raczej filozofia polityczna, z jej względnością, z jej relatywizmem, z jej odrzuceniem wszelkich wartości sentymentalnych przy koniecznym udziale wartości fundamentalnych – tkwiła w moim przekonaniu u podłoża ocen Andrzeja Kijowskiego.

W dzisiejszej saunie sejmowej, antyszambrach telewizyjnego studia realizowany jest ten standard gry, którego Senior na próżno domagał się od J.M. Rymkiewicza. Wówczas przecież zachowywał się Senior-krytyk, jak na polityka przystało. Swych literackich oponentów Kijowski zabijał z uśmiechem, dodając:

– Tak wyszło, stary, ale w tym nie ma przecież nic osobistego.

I to była podstawowa bodaj lekcja krytyki, jakiej, z powołaniem na autorytet własnego preceptora, czyli Kazimierza Wyki, udzielił mi Ojciec na progu mego własnego debiutu.

– Jeśli chcesz zaistnieć, pisz negatywnie. Pozytywy wypisują Kubaccy i Maciągowie, zarabiają na opracowaniach, ale czytając ich można umrzeć z nudów.

Czy mógł być Kijowski politykiem? Np. gdyby dożył wolności? Dziś już wiem, że nie. Od czasu, gdy poznałem agenturalną przeszłość Andrzeja Szczypiorskiego, Zdzisława Najdera, Leszka Moczulskiego. A przede wszystkim od dnia, gdy enuncjacja Michała Boniego³ dopiero po piętnastu latach kazała mi uwierzyć w prawdziwość Listy Macierewicza. Znałem ją od dnia Nocnej Zmiany, lecz właśnie obecność na tej liście Michała (notabene jednego z pierwszych egzegetów twórczości Seniora, który pomagał mi nieść trumnę Ojca w 1985 roku) była w moim przekonaniu dowodem na jej fałszywość. Wyznanie Boniego uwiarygodniło w moich przynajmniej oczach – późno, lecz na trwale – wysiłek tych wszystkich, którzy naciskają na oczyszczenie życia publicznego z najrozmaiciej szantażowanych agentów. Zatem politykiem w PRL-owskim wydaniu ani nawet w stylu III Rzeczypospolitej, której wydaje się dziś, że powróciła – Andrzej Kijowski z pewnością by nie był.

Widział na to zbyt wiele. Ostatnio dopiero odkryłem, porównując całość spisywanych przeze mnie dzienników Seniora z wersją drukowaną, fragment, który (oczywiście nie informując mnie o tym) autorzy wyboru (w 1999 roku!) usunęli z publikowanej wersji.

Jest rok 1978. „Wilga, 18.6. Wczoraj wieczór u Bartoszewskich. [...] Jaki jest naprawdę N.? Ambitny. To na pewno. Nic by w tym złego nie było, gdyby nie to, że chce mieć wiele rzeczy naraz: nazwisko literackie, nazwisko naukowe i odpowiednie do tego tytuły, renomę zagraniczną (Conrad-man), pieniądze (w walutach), zarazem najwyższy standard życia (Peugeot 504, Bryńsk etc.),

3 W listopadzie 2007 Michał Boni oświadczył publicznie: „Wymuszono na mnie podpisanie deklaracji współpracy z SB, strasząc, że bez tego żadne z nas nie opuści aresztu i nie będzie mogło opiekować się dzieckiem. Deklarację podpisałem pod presją, z intencją niewywiązywania się z obowiązku współpracy”. Por. A. Kublik, *Spowiedź Boniego*, „Gazeta Wyborcza” z 2.XI.2007.

a jednocześnie odgrywać rolę w ruchu dysydenckim i mieć znaczenie na emigracji. Wszystkie te cele realizuje właściwie cudzymi siłami. Za pomocą Haliny, Conrada, Zbyszka H⁴., Jana Józefa Szczepańskiego, mnie. Jest to właściwie bardzo niebezpieczny człowiek, którego trzeba mieć pod baczną kontrolą. Czy może być narzędziem SB? Owszem. To nie jest wykluczone. Miałby za zadanie rozbijać ruch dysydencki w podobny sposób, jak to robi Moczulski. [...]”.

Oczywiście systemat wartości politycznych, który przypisuję Ojcu, opiera się na tym machiavellowskim zdaniu: „Polityk nigdy nie mówi nigdy”. A to znaczy także nie ufa nikomu. Jak się okazuje, Senior nie wierzył przyjacielowi, z którym codziennie wspólnie redagowali teksty do „Twórczości” i materiały opracowywane w ramach Polskiego Porozumienia Niepodległościowego.

Ale polityk prawdziwy, czyli uczciwy, poświęci rodzinę, matkę, pieniądze; wie, że wszystkie chwytaki są dozwolone – jednak w ramach generalnej reguły, jaką być musi zdefiniowana przezeń Sprawa. Przyznam też szczerze, że jeśli dość często robi na mnie wrażenie retoryka Jarosława Kaczyńskiego, to właśnie dlatego, że prezentowana przezeń mieszanka inteligencji, bezwzględności i ideowości dziwnie mi się zdaje... domowa.

W rękach jego błyska miecz – nad głową szumi Sława.

System wartości Andrzeja Kijowskiego był w swej istocie polityczny. Dlatego pewnie najlepiej, najpełniej, najefektywniej zrealizował się jako mówca: 29 lutego 1968 roku, przedstawiając projekt rezolucji przeciw cenzurze na nadzwyczajnym zabranii OW ZLP, i 11 grudnia 1981 roku na Kongresie Kultury Polskiej – wygłaszając zasadnicze polityczne teksty.

Jednak teksty polityczne wymagają publiczności i właściwego czasu. Kijowski nie zdążył na swoje czasy. Myślał nie o jeden – lecz o trzy etapy do przodu. W roku 1974 jego wyobrażenia nie była ani w 1981, ani nawet w 1989 roku. On widział już wolną Polskę, która na naszych oczach zaczyna swą niepodległość tracić.

Senior poświęcił życie publicznemu wątpieniu i publicznemu stawianiu pytań. Tak najkrócej zdefiniować można pozycję krytyka. Krytyk, prawdziwy krytyk, a Senior był być może jedynym krytykiem absolutnym, nie działa w imię układu ani nawet programu, lecz tylko i jedynie w imię czystego sądu. Krytyk władzy sądu musi być samotny. A wina taka idzie w pokolenia.

4 Zbigniew Herbert

II WIELKIE PAŃSTWO

Debiutowałem w dniu, o którym mało kto wówczas pamiętał, że był rocznicą odzyskania Niepodległości i przedwojennym Świętem Narodowym. 11 listopada 1976 roku ogłosiłem w „Literaturze” recenzję z *Leonce’a* i Leny Büchnera w reżyserii Krzysia Zaleskiego. I od tego czasu, poznany na jakiejś sesji teatrologicznej w Katowicach, Jan Kłossowicz pozwalał mi niekiedy coś o teatrze napisać. Do czasu jednak. Do czasu, gdy po wizycie w Teatrze Solskiego wymuskiło mi się, że tarnowscy aktorzy „gardzą publicznością”. Sporo w tym było prawdy, ale zero dyplomacji. A tego też nie wiedziałem, że krytyka teatralna nie polega jedynie na ocenie, lecz w znacznym stopniu na dyplomacji. A to dlatego (dopiero dziś to pojąłem), że krytyk literacki ocenia autora, jedną osobę, i podjętą już decyzję finansową wydawcy. W skrajnej sytuacji krytyk literacki może więc uśmiercić byt artystyczny tylko jednego człowieka. Krytyk teatralny – szczególnie w państwie stotalizowanej polityki kulturalnej, jakim była PRL – może przesądzić o sukcesie lub klęsce całego przedsięwzięcia, w które zaangażowanych jest wiele osób, ich losy, kariery. Ocenia decyzje budżetowe na wiele milionów złotych. Krytyka teatralna jest oceną instytucji, z natury nie może być więc od instytucjonalnych uzależnień wolna. Ja zawsze byłem wolny i... nietaktowny.

*Może mu czasem wyjdzie nietakt
Lecz trudnym każdy jest poeta
A bez poety byłby marazm
A jest dziewczyna i gitara
A bez poety beznadzieja...
I tak by było bez Andrzeja...*

Tymi słowami podsumuje mnie po latach Marek Majewski – i pewnie coś w tym jest. Zawsze mniej interesowali mnie ludzie niż sprawy i skądś mam to bezsensowne pragnienie mówienia ludziom w oczy, co o nich myślę.

Czego o Janie Kłossowiczu powiedzieć się nie da. Recenzent teatralny sportretowany został najlepiej w *Aktorach prowincjonalnych* Agnieszki Holland. Krytyk żądający, by obudzić kierowcę w środku nocy, czuł władzę instytucji, którą reprezentował. Kłossowicz najdłużej, od lat 70. do 90. zeszłego stulecia, nieprzerwanie pracował w „Literaturze” – piśmie powołanym po dojściu do władzy Gierka w miejsce „Współczesności”.

Tytułarnym szefem i nadzorcą był I sekretarz Podstawowej Organizacji Partyjnej Związku Literatów Polskich – Jerzy Putrament. Mimo to stworzenie tygodnika odebrano dość pozytywnie, w znacznej mierze wskutek powierzenia Gustawowi Gottesmanowi stanowiska zastępcy naczelnego redaktora. Miało to być próbą zasypania podziału stworzonego w środowisku literackim w 1963 roku, gdy likwidacja kierowanego przez tegoż Gottesmana „Przeglądu Kulturalnego” i „Nowej Kultury” spowodowała długo trwający w części środowiska literackiego bojkot „Kultury” redagowanej przez Janusza Wilhelmiego.

Mówiąc krótko, w drugiej połowie lat 70. „Literatura” Gottesmana była kosztowna. Debiutować w niej (w odróżnieniu od „Kultury”, w której notabene pisywał o filmie Janusz Kijowski) wypadalo. No więc debiutowałem u Kłossowicza, który w mej osobistej biografii źle się nie zapisał. Zauważył mnie najpierw na sesji teatrologicznej. Obdarzył komplementem, stwierdziwszy, że wymyśliłem coś twórczego, pisząc o napięciach teatralnych. Dał wreszcie szansę debiutu w „Literaturze”. Nawet ostrzegal, czyli uczył. Przypominam sobie, jak podsumował próbę debiutu Magdy Raszewskiej (pod nazwiskiem Łazarkiewicz też próbowała pisać o żywym teatrze). Szepnął mi wtedy do ucha:

– No cóż, napisała nieostrożne zdanie, będę ją musiał odstawić.

Wstrząsnął mną jego cynizm, ale nic nie rozumiałem. To i mnie przegonił. Za brak taktu. No cóż – *mea culpa*. Spotkałem Pana Janka już po upadku „Literatury” w latach 90., jako rektora Wyższej Szkoły Dziennikarstwa. Studentki, jak wieść gminna niosła, miały mu wystawiać najlepsze referencje. Powiadają, że od czasów Valmonta jest to najlepszy sposób na awans.

Bo awans to nie to samo, co kariera. Karierę pewnie jakąś tam zrobiłem, gdyż karierę można zrobić samemu. Awansować musi cię ktoś.

Zatem – odwołany z krytycznej funkcji teatralnego krytyka przez Kłossowicza w roku 1978, przywróciłem się na to stanowisko samowolnie po piętnastu latach na łamach „Tygodnika Solidarność”, a potem dziennika „Nowy Świat”. Gdy kierowałem działami kultury tych pism, recenzje teatralne podpisywałem anonimowo jako KAT (Kijowski Andrzej Tadeusz).

Podobnie, dostawszy się do telewizji Chojeckiego wykorzystałem moment zagapienia, by włamać się na wizję i udowodnić, że chcę i potrafię prowadzić żywe programy. Realizować transmisje telewizyjne, nawet ścigać się z mym mistrzem i promotorem Stefanem Treuguttem (że o Koenigu nie wspomnę), starając się pokazać, iż potrafię stanąwszy przed staromiejskim Lapidarium poprzedzić teatr w telewizji lapidarnym wstępem. Wygłaszałem je przez dwa sezony przed transmisjami Konkursu Teatrów Ogródkowych realizowanymi dla całej Polski przez telewizję Polonia 1.

Wreszcie korzystając z funkcji radnego, samozwańczo ochrzciłem się dyrektorem teatralnego festiwalu.

Po trzykroć jestem samozwańcem!

Z tym wszystkim, po pięciu edycjach organizowanego przeze mnie od 1992 roku Konkursu Teatrów Ogródkowych, w roku 1997 naprawdę wiele wydawało się możliwe. „Gazeta Wyborcza” dawała patronat. Na rozmowy zapraszała i TVP Polonia, i TVP 2, i Polsat, który wydawał swoją poranną audycję. Przed szóstym konkursem zadzwonił też Włodek Bolecki i polecił mi do współpracy Marynę Bersz-Szturo, która właśnie przestawała pracować w impresariacie Teatru Małego. O! – Marynia to była Pani Wielka – po prostu Wielki Świat. I trzeba przyznać, że konkurs z jej pomocą stanął na innym poziomie.

Aż przyszedł ten dzień. Pod sam koniec VI Ogródka, we wrześniu, znów były wybory i ktoś z powstającego AWS-u upatrzył sobie dziedziniec Starej Dziekaniki na rodzaj konwencji wyborczej. Zostałem tam zaproszony jako półgospodarz i przysiadłem się do Piotra Wejcherta, koło którego siedziała elegancka dama: Małgorzata Bocheńska!

Mój Boże – sama Bocheńska! Czegom się ja o niej przez lata nie nasłuchał. W czasach, gdy jeszcze na przełomie ‘90 i ‘91 roku po wygraniu wyborów samorządowych ściągnął mnie Andrzej Urbański do „Tygodnika Solidarność”, nazwisko Bocheńskiej padało na każdym kolegium, głównie z ust ówczesnego bywalca Salonu 101 – Józka Orła, posła I kadencji, socjologa i dziennikarza, teoretyka, rezonera.

Sama Bocheńska najbardziej jest pewnie... no właśnie, kim? Wtedy jej nazwisko brzmiało równie dobrze jak Beaty Chmiel czy Hanny Bakuly, pań, które ustawiają środowiska. Miała, jak nakazuje obyczaj, kilku mężów i pewną ilość mężczyzn, no i oczywiście... dwór. Z tego, co dziś wiem o Małgosi, pierwszym jej mężem był niejaki Cichocki – malarz, świetny kopista, ojciec Majki. Z arystokratycznym Bocheńskim, arabistą i namiętym graczem, spędziła znaczną część stanu wojennego gdzieś w Maghrebie, dając światu dwie piękne córki: Amirę i Matinę oraz syna Michała.

Trzecim jej mężem z początkiem piętnastolecia międzysojuszniczego stał się Jan Parys. Nie, nie ten od pięknej Heleny, lecz ten, co jako minister obrony narodowej w rządzie Jana Olszewskiego wraz z Lechem Wałęsą sprawił, iż Polacy wykonali wielki krok w stronę niepodległości. Wtedy to połączono nasze struktury wojskowe z NATO-wskimi tak dalece, że ich następcy w 1999 roku nie mieli wyboru i musieli przystać do Paktu Północno-Atlantyckiego. Dziś wydaje się to oczywiste. Ja przecież nie zapomniałem, jak jeszcze w 1995 roku poseł Aleksander Kwaśniewski pytany przeze mnie o chęć przystąpienia do NATO wypowiedział się pozytywnie, zaprzeczając wbrew faktom, że (co sprawdziłem) poprzedniego dnia, udzielając wywiadu na rządzonych podówczas przez komunistów Węgrzech, był w tej kwestii o wiele bardziej wstrzemięźliwy. Do czego wszakże w Polsce już się nie przyznawał.

Jeżeli Marynka Szturo kształcąca dzieci w lauderowskim przedszkolu to był „wielki świat”, kim zatem mogła zdawać się Bocheńska, w której domu na ulicy Saskiej, zwanym Salonem 101, wykuwały się zręby niepodległości...?

III

FIGURA MITYCZNA

Kiedy przez pięć lat słyszało się o Bocheńskiej, szedł za nią hyr majątku i możliwości. Układu i kontrwywiadu. A pojawiający się wokół Małgosi mężczyźni świadczyli o niej lepiej niż o sobie.

Zobaczyłem maleńką osobę o małych, drobnych rękach i filigranowych stopach mojej matki. W Bocheńskiej już po kilku minutach rozmowy odnalazłem znajomy system wartości i przywar. Rozmowy nakierowanej na absolut, choć traktującej o konkrecie.

Rozpoznałem kobietę bezgranicznie dobrą, a wykorzystaną i spostonowaną przez osadzonych we wszystkich tajnych służbach pozornych sprzymierzeńców prawicy. Dostrzegłem naiwną kandydatkę na posła z ramienia PSL-u, zatrudnioną w komuszym Polsacie przez skorumpowanych członków Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji, którzy Solorzowi od pięciu paszportów¹, miast mojemu Grauso (od Berlusconiego...) koncesję dali.

Zobaczyłem stracone zachody i płonne nadzieje. Jakaś prawdę o sobie. O sobie mitycznym.

Tym, który od dwudziestu lat, od pierwszego spotkania *Magdaleny z kaganikiem* de La Toura jeszcze w Luwrze, dzień po dniu rozumie, że każda godzina daltonisty zakutego w okowy polskiego języka jest pokutą, jaką ponoszę nie za współczesność, lecz za to, co zdarzyło się w poprzednim wcieleniu: gdy nazywałem się Stefan i byłem synem malarza.

Ten mit poprzedniego wcielenia – w mojej faktycznej roli potomka dysydencyjnego pisarza i figurze mitycznej – sprzeniewierczego syna (Etienne de la Tour) barokowego malarza skazanego na rolę antreprenera w dwudziestym wieku, oraz mit Małgorzaty z rodu wielkiego Wacława Gąsiorowskiego, która jest siostrą komunisty, a była też żoną kopisty – zaciążył nad trwającym dziesięć lat związkiem

1 Por. G. Majchrzak, *Zygmunt Solorz – agent z przypadku*, „Rzeczpospolita” 21.11.06, nr 271



Pokutująca Magdalena,
Georges de La Tour,
1640,
Los Angeles County Museum of Art,
Los Angeles

Fundacji, stanowisk, zadań. Kończył się bowiem czas improwizacji, a nawet prywatnych firm. Nadchodził czas Fundacji.

Małgorzata zakładała właśnie Fundację Salonu 101. Także czułem, że nadszedł czas NGO, czyli organizacji pozarządowych, że jako „osoba fizyczna”, zwyczajna prywatna firma, mógłbym może kaptcie sprzedawać, lecz dłużej nie uciągnę takiej imprezy. W wydaniu Bocheńskiej – współtwórczyni słynnego Studia Irzykowskiego w TVP w latach siedemdziesiątych, zaangażowanej w ruch Solidarności Rolników Indywidualnych w czasie karnawału roku '81, w stanie wojennym tworzącej z Grupą Filmową „Index” reportaże filmowe, nareszcie próbującej wzruszać, w krótkim okresie prezesury Romaszewskiego, zmurzałe struktury publicznej TV – jej związki z PSL-em czy trwalsze z Polsatem znaczyły mało.

Choć oczywiście w kontaktach naszych nigdy nie zapomniałem, że jako pracowniczka TVP w latach siedemdziesiątych należała do grona tych ludzi, którzy za komuny i potem mogli przynajmniej skorzystać z szansy, by się uczyć. Synowi autora rezolucji marcowej z 1968 roku przeciw cenzurze nawet dostęp do kulturowych środków produkcji (tj. ludzi i maszyn, o których w '81 roku mówił Senior na Kongresie Kultury Polskiej, że „razem stanęły dęba”) był wzbroniony.



Małgorzata Bocheńska

Małgosia zaś, będąc eteryczną damą, jednocześnie w wielu momentach twar- do chodzi po ziemi. Lecz ten twardey chód (inaczej niż u innych bliskich mi kobiet) nie kończył się na generowaniu układu czy niepłaceniu rachunku. Małgorzata Bocheńska nie jest ani intrygantką, ani pozerką – jest instytucją. I moż- na jej zarzucić wszystko prócz... Tak jak hierarchom katolickiego Kościoła można wypomnieć liczne grzechy prócz jednego – prócz braku miłości, nadziei i wiary. Tak i Małgorzat Bocheńskich jest trzy. Trzy figury: Safony opuszczającej mężczyzn w lesbijskiej samotni, rozwiązłej i inteligentnej pani de Merteuil i litościwej Soni. Trzy figury kobiet oszukanych, wyrwanych przyrodzonej im zmysłowości.

A każda skierowana jest do mężczyzny, który nie wywiązuje się ze swojego podstawowego wobec kobiety zadania. Nie zespala jej z naturą. Tęgo mężczyznę można poniżyć jak salonowa dama z Laclosa, można go opuścić dla Afrodyte, można się nad nim litować jak bohaterka Dostojewskiego.

A swoją drogą Bocheńska to też figura. Kobieta zagłębiona w ezoterycznych i logicznych dywagacjach platoników. Publicystka i salonowa dama, która kul- turze polskiej przybliżyła dominikanina ojca Józefa Marię Bocheńskiego, tego, co tradycyjnemu podziałowi nauk na dedukcyjne i indukcyjne przeciwstawił metody myślenia redukcyjnego.

Bocheńska mówi po to, by do niej mówiono, maluje, by ją odmalowywać, jest opisywana z woli zatrzymania chwili. Pragnąc, jak gdzieś napisała: „dać się opanować strachowi, malować się, stroić, pogardzać po cichutku i być taka ule- gła, dla dobra rodziny, dzieci, dla wygody, dla godnej starości...”.

Te Trzy Figury Małgorzaty towarzyszyć mi będą przez dekadę (1997–2006) w różnych wcieleniach Ogródka. Podczas pierwszej, bardzo eleganckiej kola- cji w Fukierze u Gesslerowej była chyba pozytywnie zaskoczona jakością spo- tkania i sernika, który z Wiednia poprzez Galicję przedarł się do Warszawy, i jej nagle brutalnie konkretne pytanie: to czego chcesz? Właściwie nie wiedzia- łem. Najbardziej pewnie potrzebowałem partnera. Kogoś, z kim można by się sprzymierzyć, i kogoś, dla kogo mój sukces czy realizacja mojej sprawy byłby także własną autopromocją.

Snuliśmy jakieś plany na huczny, połączony z paradą finał VI Ogródka. Plany, które jednocześnie promować by miały Małgorzatę jako warszawską posłankę PSL-u. Wtedy po raz pierwszy pojawiłem się na Saskiej, pomagając Małgorzacie przygotować się do jakiegoś promocyjnego wywiadu. I jeden z tych wywiadów zapamiętałem na całe życie, gdy opowiadała, jak w Maroku przegrała w karty czy kości przez męża uciekała z trójką dzieci przez pustynię – do Polski. Do kraju stanu wojennego i przydziałowego mieszkania na Saskiej – kwaterekowego posagu, z którego uczyniła Salon.

Z finałowych planów nic nie wyszło. Nasza współpraca rozwinąć się miała za rok.

IV GENIUS LOCI

Gdzieś na początku 1998 roku dowiedziałem się, że Stara Dziekanka, w której przez trzy lata po zamknięciu Lapidarium organizowałem czwartą, piątą i szóstą edycję Konkursu Teatrów Ogródkowych idzie do remontu.

Tym samym układ, w jaki zostałem wprowadzony przez urzędników i agentów traktujących mnie jak tę pianę od piwa, uległ rozbiciu. Nie miałem już sojuszników poza prasą i ciągle jeszcze bardzo nielicznymi wiernymi widzami, którzy czasem potrafili dzwonić do mnie zimą z pytaniem o lato.

Rok 1997 dobiegł końca. Bocheńska oczywiście przegrała wybory parlamentarne. W samorządzie miejskim zawiązał się sojusz Unii Wolności z SLD, reprezentowany w Dzielnicy Śródmieście przez Marka Rasińskiego, Teresę Stankową i kontrasygnowany przez radnego SLD Przemysława Zająca. Ten asystent któregoś z postkomunistycznych posłów, zastąpiwszy mnie w 1994 roku na stanowisku Przewodniczącego Komisji Kultury Dzielnicy Warszawa Śródmieście, trwa na posterunku czwartą już, a w Warszawie (po epizodzie Zarządu Komisarycznego i wyborów 2000 roku) nawet piątą kadencję.

Zatem Dziekanka do remontu. Przypomniałem sobie Jana Pawła Gawlika, twórcę renomy Starego Teatru. Gdzieś na początku 1973 roku byłem u niego z Ojcem po premierze „Dziadów” Mickiewicza w inscenizacji Swinarskiego. Jean Paul był przerażony, gdyż Staremu Teatrowi – jak nam wyznał – groził remont.

I skąd ta prawidłowość znana? Im większy sukces odnosi kształtująca się wokół instytucji wspólnota, tym większy niepokój powstaje wśród urzędników pragnących za wszelką cenę rozpędzić zgromadzenie. Pamiętam, jak Jan Paweł mówił Ojcu, że właściwi jako dyrektor ma tylko to jedno zadanie – chronić genius loci przy placu Szczepańskim. Nie dopuścić do zamknięcia budy. Teatr raz zyskawszy dobrą opinię, tworzy się właściwie sam. Byłe go tylko nie „naprawiać”.

Oczywiście to „sam” w PRL-u znaczyło co innego. W istocie nie dotyczyło braku pieniędzy. W ramach powszechnie akceptowanej biedy sztuka nie miała swoistych problemów finansowych. Nie było zagrożenia instytucji. Panowało poczucie bezpieczeństwa warunkowane jedynie konformizmem wobec ustroju. I ten konformizm lub jego brak, czy też granice kompromisu leżały u podstaw artystycznie płodnego dylematu. Problemu prawdy, swobody artystycznej wypowiedzi, słowem – walki z cenzurą.

Wspólny za to PRL-owski i współczesnym czasom był problem wieczysty i nie tylko pewnie polski. Problem znany Wyspiańskiemu, któremu radni odmówili dyrekcji Teatru Miejskiego, problem, z którym borykał się J.P. Gawlik, doświadczenie, które nie ominie żadnego teatralnego antreprenera – zhora miejskiego urzędnika.

ODSŁONA DRUGA

ZAWIĄZANIE DRAMATU
albo odszczepieńczy charakter inteligenckiej gminy

I

PISARZ GMINNY

Pamiętam ich. Znam. I chciałbym szanować. Jako krakauer i potomek wielu pokoleń galicyjskich zarębkawców, akceptuję urzędnika w sposób naturalny. Z drugiej jednak strony jako syn uciekiniera z banku traktuję urząd lekko.

Przez pięćdziesiąt lat od 1939 do 1989 roku niszczone w Polsce klasę urzędniczą. W 1989 roku przyszedłem do samorządu, aby ją odrodzić. Chcieliśmy, by radni byli intelektualistami, urzędnicy inteligentami. I to się w jakiejś mierze udawało. Szczególnie w I kadencji. Kadencji architektów, urbanistów, lekarzy, nawet pisarzy.

Potem, co naturalne, następowała specjalizacja. Tworzyły się grupy nacisku. Struktury pośrednie. Radnym I kadencji zostałem z ramienia Komitetu Obywatelskiego Starego Miasta. Tworzyli go wtedy Jacek Kiliński, złotnik Zdanowicz, mój kolega ze szkoły teatralnej Jerzy Jackl (twórca nazwy Porozumienia Centrum – pierwszej partii braci Kaczyńskich), państwo Dembińscy. Na kilka posiedzeń wpadali nawet Magda Umer z Przyborą, który w telewizji lansował właśnie swoje „Dobranoc Ojczyzno”. To musiało trwać krótko. Mnie delegowali warszawscy starówkowicze. A moim przesłaniem był ten tekst:

Pisarz gminny

Pytają mnie, dlaczego zająłem się polityką. I pytają mnie o to jako twórcę, jako człowieka związanego z kulturą. To mi pieści uszy. No bo oczywiście – moje ambicje są czy też były głównie artystyczne. Artystą nie zostałem. Jestem może pisarzem, może krytykiem, na pewno nauczycielem akademickim. Ale przecież nie jestem artystą. Bycie artystą jest znakiem jakiegos braku. Wyrównaniem jakiejś niemożności, jest kompensacją. Bo w ogóle sztuka jest kompensacją. Jest wyrównaniem braku. Braku osobistego albo braku narodowego. I stąd rola, jaką sztuka w Polsce pełniła. Była dla nas zastępnikiem. Zastępnikiem wszystkiego: ekonomii, polityki, wojny. Przez dwieście lat, a może dłużej. Na pewno od

czasów Oświecenia, a może już w czasach saskich jedynie kariera artystyczna była godną szacunku. Jedyne ona nie była podejrzana. Jedyne takie ambicje mógł Polak w Polsce realizować. I cieszył się prestiżem. Jakim prestiżem cieszył się Balzac we Francji? No, sporym, ale przecież po cesarzu, po ministrze, po finansście, pewnie i po merze. Może gdzieś na poziomie miejskiego rajcy. A Lelewel, a Prus, a Sienkiewicz, któremu dom w Oblęgorku подарowano, a Orzeszkowa, a Wyspiański, a Przybyszewski? Ci średni europejscy artyści cieszyli się w Polsce większą estymą niż uwikłani w konflikty z zaborcami galicyjscy rajcy, pruscy, poznańscy ministrowie, z Królestwa pochodzący generałowie. I właściwie podobnie było po drugiej wojnie światowej. Mój osobisty los tak zdarzył, że nie przyniosłem ze sobą żadnego osobistego nieszczęścia. A chciałem być artystą. No bo było przecież oczywiste, nawet w tych złotych gierkowskich latach było oczywiste, że młody chłopiec z dobrego domu nie może babrać się w życiu. Może skończyć uczelnię artystyczną, jakąś polonistykę, ale przecież nie prawo. A kto wie, może moje talenty i ambicje do tego mnie predestynowały. Więc pochłonął mnie teatr, a raczej to, co w teatrze najmniej artystyczne. Czytałem i pisałem o teatrze życia. Zachłystywałem się teatrem życia codziennego. Studiowałem socjotechnikę, żywoty świętych i retorów. Retorykę i poetykę uczyniłem swoją sztuką. Ale sztuką nie w znaczeniu twórczości artystycznej, lecz w znaczeniu umiejętności. Tej umiejętności, której udzielano niegdyś szlacheckim synom, którzy mieli zająć się polityką, w ostatnich klasach jezuickich albo pijarskich kolegiów. I dziś ja tej samej wiedzy studentom udzielam. Udzielam jej aktorom i reżyserom, i młodym teatrologom. Udzielam jej w popijarskim budynku Collegium Nobilium, gdzie przychodzi z terenu dawnego komwitu teatynów, gdzie kształcił się Stanisław August, a potem była Komisja Edukacji Narodowej, a gdzie teraz jest budynek, w którym mieszkam. I gdy tak idę ulicą Długą, czuję, jak czają się duchy. Duchy Kollątaja i Dekerta, Bohomolca i Stanisława Augusta, Konarskiego i Staszica. I czuję, jakby się coś odkręciło. Jakby te dwieście lat niewoli – w szponach arcyzmu, który był jedyną wolnością: jakby to się skończyło. I oto znów nadchodzi okres, w którym wchodząc w wiek męski można działać swoją siłą, a nie swoją słabością. Swoją mocą stwórczą, a nie kompensacyjną. No tak, ale brak mi wiele. Nie studiowałem prawa, nie terminowałem w organizacjach młodzieżowych, jeśli nie liczyć harcerstwa. Nie mam też nawyku rządzenia. Ani doświadczeń organizacyjnych. Co więc mam? Mój styl, moją retorykę, znajomość historii, no i jak sądzę – umiejętność odróżniania złego i dobrego. Z tym przychodzę: uczyć się i budować – naprawdę, a nie na niby. Nazywać i argumentować, i – formułować. Jeśli w pisarskim domu wychowano mnie na człowieka pióra – to dzisiaj zgłaszam się: na pisarza – do gminy! - Gromko na koniec zawołałem.

II WYBRĄNCY

To był pierwszy felieton radiowy, z jakim zaprosiła mnie Iwona Smolka do II Programu Polskiego Radia. Skoncentrowałem się i od tamtej chwili datowała się nasza współpraca, która trwała prawie dwa lata. Jakoś zamarła, gdy tworzyłem piracką telewizję Polonia 1, lecz odrodziła się, gdy kierowałem Domem na Smolnej, w którym Iwona (do dziś) prowadzi Biesiady Literackie.

Do radia został także wtedy zaproszony Piotrek Bratkowski jako przedstawiciel środowisk twórczych. W efekcie został nawet radnym Sejmiku, zaszczycając obecnością bodaj jedną sesję...

Piotr jest synem reżysera teatralnego, o którym, gdy mój ojciec wraz z Andrzejem Szczepkowskim opuszczali w 1968 roku Teatr Dramatyczny, śpiewaliśmy na melodię *Somosierry*:

*Skoczył wnet Szczepkowski, zabił kirasjera,
ale Jan Bratkowski zniósł z siodła frajera.*

Bo właśnie Bratkowski ojciec (całe życie związany głównie z Teatrem Telewizji, wykładający też w łódzkiej filmówce) – został wówczas nowym szefem teatru.

Andrzej Szczepkowski podał się do dymisji po tym, jak polecono mu zwolnić mego Ojca z posady kierownika literackiego. Zrezygnował zarówno z funkcji dyrektora Teatru Dramatycznego, jak i przewodniczącego Związku Zawodowego Aktorów przy CRZZ.

Zwolnienie mego Ojca było karą za marcową rezolucję pisarzy, pióra Seniora¹.

1 29 lutego 1968 roku na zebraniu Związku Literatów Polskich przyjęto zredagowaną przez Andrzeja Kijowskiego rezolucję Pisarzy następującej treści:

1. Od dłuższego czasu mnożą się i nasilają ingerencje władz sprawujących zwierzchnictwo nad działalnością kulturalną i twórczością artystyczną, ingerencje dotyczą nie tylko treści utworów literackich, lecz także ich rozpowszechniania i odbioru przez opinię. 2. System cenzury oraz kierowania działalnością artystyczną i kulturalną jest arbitralny i niejawny, nie określone są w nim kompetencje poszczególnych władz oraz sposób

Szczepkowski zdecydował się wykonać osobiście polecenie partyjne, chciał bowiem zapewnić moralny komfort swemu zastępcy i przyjacielowi – Mieczysławowi Marszyckiemu. Świetnemu organizatorowi, który ubezpieczony w ten sposób przetrwał w Dramatycznym dwadzieścia lat.

Mieczysław Marszycki, urodzony we Lwowie w 1923 roku, zmarł w roku 2006. Też dylemat. Organizator, kunktator. Stworzył Warszawskie Spotkania Teatralne lat 70. Potem w stanie wojennym, w szczycie aktorskiego bojkotu, nie zawałał się (wraz ze wspomnianym J.P. Gawlikiem) przyjąć posady dyrektora tzw. Teatru Rzeczypospolitej. Miał to być rodzaj sceny kolaboracyjnej. Marszycki jednak idealnie rozmydlił instytucję, skłaniając partyjnych ideologów do wydania jakichś orgiastycznych pieniędzy na zaproszenie w 1983 roku spektakli z festiwalu Teatr Narodów. Sprowadził do Stodoły Tadeusza Kantora z „Umarłą klasą”. I tyle, zanim się zorientowano, stan wojenny minął, bojkot też, słowem – świeczka zgasła.

Kim zatem był Marszycki? Mało wiadomo. Na czym polegała jego potęga? Jakie miał zaplecze – jakie lobby za nim stało? I czy to jego znajdujemy w składzie polskiego dywizjonu 315 w czasie II wojny światowej? Rocznikowo by pasowało.

Wracając do radnych, nominatów, Bratkowskich... Wszystko wskazywałoby na to, że nie należymy z Piotrem do tego samego środowiska.

Nie wiem nawet, czy pochodzę z tego samego świata, co dużo przyjaźniej ku mnie nastawiony przedwcześnie zmarły Paweł Konic.

To także syn reżysera, znanego głównie ze *Stawki większej niż życie*, którą Andrzej Konic realizował na przemian z Januszem Morgensternem. Paweł miał jakieś niezwykle środowiskowe oparcie. Przemily człowiek, acz chłodny. Jak sam wyznał w jakiejś ze mną szerszej rozmowie, nie miał zwyczaju „zaglądać innym w lewą komorę”. Paweł pełnił cały szereg funkcji: był redaktorem „Teatru”,

odwoływania się od ich decyzji.

3. Ten stan rzeczy zagraża kulturze narodowej, hamuje jej rozwój, odbiera jej autentyczny charakter i skazuje na postępujące wyjałowienie. Zakaz, który dotknął Dziady, jest tego szczególnie jaskrawym przykładem.

4. Postulaty pisarzy, przedstawione w formie uchwał i memoriałów przez władze ZLP oraz czołowych reprezentantów środowiska pisarskiego, nie zostały dotąd uwzględnione.

Powodowani obywatelską troską wzywamy władze PRL do przywrócenia, zgodnie z naszą wiekową tradycją, tolerancji i swobody twórczej. Domagamy się przywrócenia Dziadów Mickiewiczowskich w inscenizacji Dejmka, których usunięcie ze sceny wywołało zrozumiałe rozgoryczenie mieszkańców stolicy. (240 podpisów) . Por. „Kultura”, Paryż 1968, nr 6

potem „Dialogu”, kierownikiem literackim Teatru Dramatycznego w okresie dyrekcji Macieja Prusa. Wtedy zaprosiłem go do jury konkursu, nie wycofując ku jego zdziwieniu zaproszenia nawet wtedy, gdy na czas jakiś stracił wszelkie formalne tytuły. Będzie jeszcze Pawełek współpracował z tymże Marszyckim, kierując z nim wspólnie przerobionym na scenę impresaryjną Teatrem Małym. Wreszcie umrze nieoczekiwanie i młodo – na nowotwór mózgu jako redaktor naczelny Teatru Telewizji, które to stanowisko objął po Jacku Wekslerze.

Przyglądam się dziś z perspektywy pięćdziesięciu pięciu lat przeżytych, trzydziestu trzech poświęconych pisaniu i piętnastu sezonów oddanych mojej ogródkowej rozsądzie, patrzę na moje teksty i produkcje tworzone w tych krótkich momentach, gdy dopuszczano mnie do kulturowych środków produkcji, i pytam: dlaczego mili skądinąd ludzie mogą być ponad potoczne oceny, jak Marszycki, któremu nikt nie miał za złe kolaboracji? Ponad powinność, jak Piotr Bratkowski, który zmarnował środowiskowy mandat radnego, dopuszczając do karygodnej działalności samozwańczego „artysty samorządowego” Jerzego Zassa, i ponad twórczość, jak przemiły Paweł, jeden z grona, jak mi o sobie kiedyś bodaj Roman Zimand powiedział, autorów książek nienapisanych.

Pytam: czemu nikt nie nazywa ich samozwańcami? Kto daje im prawo ustawiania i bycia postawionymi? Kto daje im stanowiska w licznych redakcjach, w których pracował Bratkowski, w najpoważniejszych instytucjach kultury, którymi zawiadywał Paweł?

III DZIECI RABINA

Ten reakcyjny wywód, w którym zabraknie tylko jednego przymiotnika, podjąć można tylko z pozycji przyjaźni. Wychowałem się przecież w Gminie. Najbliżsi przyjaciele moich rodziców to Jula Hartwig i Artur Międzyrzecki, Kazimierz Brandys i Joanna Guze. No, oczywiście także Zbyszek Herbert czy Jarek Rymkiewicz, ale te kontakty już bardziej doraźne, rzekłbym: efemeryczne.

Kiedy więc poprzez polonistykę wkraczałem w świat kultury, już na pierwszym spotkaniu Koła Polonistów rozróżniłem znajome typy: szefowa Sekcji Teatrolologicznej Jula Zakrzewska (dziś Pitera) to oczywiście Joanna Guze, niegdyś markietanka I Armii LWP, która z Rosji umykała na czołgach Berlinga.

Ryś Holzer to naturalnie Arturek Międzyrzecki. Był też Piotr Bratkowski, Jurek Kapuściński (wielu było – był i Michał Boni, i Marek Karpiński, o Oli Jakubowskiej nie zapominając), Andrzej Urbański, no i wspomniany często Paweł Konic. A później nieco, już w Paryżu u Brandysów w 1984 roku poznana Agata Tuszyńska to oczywiście Hartwig – czyli Jula.



*od lewej
Kazimierz Brandys,
Maria Zenowicz-Brandysowa,
Olga Scherer-Virsky,
Agata Tuszyńska,
Paryż 1987*

Tot. A. T. Kijowski

*Wy czy mnie wspominać... Ja ilekroć marzę
O mych przyjaciół śmierciach, wygnaniach, więzieniach...*

Toutes proportions gardées: Jakubowska i Zaleski siedzą (czy siedzieli) za demokracji, Urbański siedział za komuny, Chojecki, Wildstein byli na wygnaniu. Zaczynamy umierać. Paweł Konic nie żyje.

Do każdego z nich się uśmiechałem. Każdemu ofiarowywałem przyjaźń. Nie było we mnie dumy ani nawet nadmiernego poczucia własnej wartości. Jednak ich uśmiechy były jakies... rzadkie.

Ktoś ostatnio powiedział, że do dziś płacę cenę za Ojca wystąpienie marcowe. Pamiętam ten dzień. Rodziców w domu nie było. Radio lampowe właśnie wymieniono na czarny, enerdowski tranzystor.

Tata był w Oborach. Trochę żeby pracować, a trochę chyba by zejść władzy z oczu po pobiciu mieszkającego nieopodal na Szucha Stefana Kisielewskiego. Mama poszła na telewizję do Zelników.

Rodzice Jurka-Faraona, Jan z Haliną, mieszkali na tym samym piętrze. Jan był reżyserem radiowym, Halina pracowała w redakcji marksizmu i leninizmu wydawnictwa Książka i Wiedza. Miesiąc potem w ramach czystki antysemitkiej straciła pracę. Jan (podobnie jak Joanna Guze) przybył tu z I Armią. Z partii wystąpił dopiero w 1981 roku. W czasie solidarnościowego karnawału. Dopiero wtedy pan Janek przyznał się, że był taki czas, gdy w koszarach nad Oką spał na jednej trzypiętrowej pryczy z Wojciechem Jaruzelskim i Florianem Siwickim.

Z partii nie wystąpili, do Izraela (przez Wiedeń) nie wyjechali – zostali tu klepać polską biedę, bo przecież czuli się Polakami bardziej niż niejeden małorolny.

Więc Mama u Zelników, a ja do radia, w którym usłyszałem dochodzący z Latawca głos Władysława Gomułki. Boże, jaki ja byłem dumny, gdy usłyszałem te słowa o wstecznych i wrogich Polsce siłach, by wreszcie usłyszeć: „przemówienie zakończył Kisielewski oświadczeniem, że opowiada się za rezolucją kolegi Kijowskiego, która stawia sprawę całościowo na tle tej skandalicznej (cytuję) dyktatury ciemniaków w polskim życiu kulturalnym”.

Nazwisko Ojca wymienione zostało pomiędzy Międzyrzeczkim, Jasienicą, o którym nie omieszkał Gomułka dodać, że nazywa się naprawdę Beynar, oraz Stefanem Kisielewskim.

Poczucie dowartościowania. Koledzy cenią Ojca, nareszcie będzie znany. To więcej niż jego nazwisko na plakacie Teatru Dramatycznego, gdzie je raz czy drugi miałem okazję zobaczyć – odkąd przyjął Senior w tym teatrze tytuł

kierownika literackiego. (Nigdy w żadnym gabinecie teatralnym mego Ojca nie byłem, ani w Dramatycznym, gdzie szefował literacko bodaj półtora roku, ani w Teatrze Słowackiego, którego dyrektorem będzie niespełna pół sezonu).

Strasznie życzyłem Ojcu (pośrednio sobie?) sławy. Wszystko jedno, co mówią – mawiała babcia z Krakowa – byle głośno i z nazwiskiem. Zatem – ani cienia strachu. Następnego dnia do szkoły (to była siódma klasa) wkraczałem godnie z wyrazem lekkiego męczeństwa na twarzy. „Grażynę” oczywiście znałem doskonale. Lecz na lekcji polskiego, która była moją (notabene jedyną!) mocną domeną – postanowiłem sprawdzić siłę pozyskanego immunitetu. Zgłosiłem nieprzeczytanie lektury Mickiewicza. Nieco zszokowało to panią Płoskoń. Lecz ja odpowiedziałem zgodnie z prawdą – „wczoraj jakoś nie miałem do tego głowy”. Wszyscy patrzyli na mnie z zazdrością, może tylko w oczach jednego przerośniętego zobaczyłem zdziwienie, że nie dostaję dwójki czy choćby minusa. Wszyscy: Ania Tanalska – córka wykładowcy w Wyższej Szkole Partyjnej, Andrzej Wrembiak – syn ściągniętego właśnie z Gdańska na stanowisko zastępcy kierownika wydziału propagandy KC aparatczyka, mały Barac – syn ekspedientki z Galluxu (już po miesiącu wyjechali). Wszyscy byli ze mną. Czy wszyscy byliśmy tu – obcy?

Przecież innych nie było. W czytankach stało, że wszystkich zabili Niemcy. Potwierdzała to pani Płoskoń do momentu, od którego nie zaczęła (już ośmielona wystąpieniem Gomułki) mówić o niezbyt lubianej, a bardzo zdolnej Ani Tanalskiej, że... nie jest nasza. Ona coś plotła, ci zaprzeczali. Koledzy powtarzali. Wróciło polackowate piekło.

W naszym słowniku pojawiło się nowe słowo. Raczej nieprzyzwoite – semantycznie kojarzone nawet z kleksem czy gilem ciekącym z nosa. Słowo, którego obiecywałem nawet nie wymenić. Które boję się wymówić, zapisać. Nie, w tym kontekście nie powiem. Nazwijmy to inaczej... Może dzieci rabina?

IV SAHIBEK

Na przerwie spotkałem Sahibka, mojego przyjaciela i przybocznego w drużynie zuchów, którą dowodziłem. Andrzejek Axer (syn Zosi Mrozowskiej i Erwina Axera) długie opadające powieki miał jakby podkrążone od napięcia czy może nawet łęku albo płaczu. Szliśmy wąskim, burym korytarzem łączącym szkołę podstawową nr 48 przy ulicy Sempołowskiej 2 z ulokowaną w tym samym budynku szkołą nr 43, w której mieściła się stołówka. Tuż przed drzwiami dzielącymi korytarz Sahibek chwycił mnie za rękę:

– Wiesz, mama powiedziała mi wczoraj, że jesteśmy, no... wiesz – powiedział ze ściśniętym gardłem.

Nie rozumiałem. Była to dla mnie informacja absolutnie abstrakcyjna. Jakby mi powiedział, że nie wiem – pani Zosia pochodzi z Francji.

– No i fajnie, czym się tu przejmować – chyba coś takiego powiedziałem.

– Jak to, przecież na nas teraz napadają.

Nie znaliśmy słowa pogrom.

– Mówisz – zamyśliłem się. – Ale to przecież mojego Ojca, a nie twojego wczoraj Gomułka wymieniał.

– No bo pewnie i ty jesteś też – Sahibek na to.

– No pewnie – zgodziłem się chętnie.

Weszliśmy na teren 43. szkoły skautowskiej, jak nazywaliśmy 263. WDHiz działającą za murami. My byliśmy harcerzami drużyny kultywującej tradycję walterowców stworzonych przez Jacka Kuronia, który odsiadywał właśnie od roku wraz z Karolem Modzelewskim wyrok za słynny List do Partii.

Mieliśmy swoje przyrzeczenie i czerwone chusty. Przyrzeczenie brzmiało: „Przyrzekam całym życiem służyć Tobie, Ojczyzno. Stawiać sprawy zastępu ponad sprawy własne. Sprawy drużyny ponad sprawy zastępu. A ideę komunizmu – ponad wszystko!”

– Tak nam dopomóż Bóg – dorzucił scenicznym szeptem, przyjmując ode mnie to przyrzeczenie w 1964 roku w Siecinie, zastępca komendanta szczepu Włodek Frenkiel. Czerwoną chustę przyjąłem klęcząc niemal, harcerskie krzyże z inicjałami ONC (Ojczyzna, Nauka, Cnota) dorzucił Frenkiel w pociągu, kiedyśmy wracali, częstując się nimi z plastikowej torebki. Jak cukierkami.

No cóż. Podobno nie było uczciwego człowieka, który nie doznał ukąszenia heglowskiego i nie był komunistą. Ja zatem komunistą byłem: od 10. do 14. roku życia. Byłem także – odrzuconym.

A właściwie stałem się nim w chwilę po wyznaniu Sahibka, gdy w naszych czerwonych jedwabnych chustach pionierskich (dla kadry przywoził je z Moskwy wraz z najnowszymi nagraniami Okudźawy Saszka Gurjanow – syn inżyniera Edmunda Goldzamta, oberarchitekta Warszawy z czasów stalinowskich) wkroczyliśmy na teren sąsiedniej szkoły. Pamiętam teczki, dużo czarnych skórzanых teczek po prawej stronie korytarza i dzieci odwracające się od nas plecami. Zatykając nosy wołali:

– Uś, uś, uś... idą.

– A to hołota – zawołałem buńczucznie do Andrzejka – chodź, dowlimy gojom!

– Nie, lepiej nie – pociągnął mnie w stronę stołówki. – Lepiej nie zadrażniać.

Przyjaźń z Andrzejem trwała długo. Wielu przyjaciół z harcerstwa wyjechało. Wyjechał nasz szczepowy, uwielbiany geodeta Jurek Sarnecki – jest profesorem socjologii, mieszka w Szwecji. Rodzice Włodka Frenkla wraz z młodszym synem Sergiuszem udali się do Francji, gdzie Serek ma dziś sieć stacji benzynowych. I Andrzej też wyjechał. Dopiero w 1990 roku wybrał Stany. Mieszka (jak mnie pouczył internet) w Portland, gdzie kieruje ośrodkiem rehabilitacji psychiatrycznej dla osób poważnie chorych psychicznie.

Frenkiel został, by stać się w czasach 15-lecia oberszefem większości warszawskich lokali rozrywkowych (Pod Galerią na Chmielnej, potem Labirynt, klub Kon-Tiki nad Wisłą, Tango&Cash, dawne kino Klub) – tylko z Domu na Smolnej 9 (notabene, jak całe blokowisko w Alejach Jerozolimskich naprzeciwko Muzeum Narodowego, zaprojektowanego przez rodziców Saszki Gurjanowa) w 2003 roku go wykurzyłem. Ale wybaczył mi to chyba jakoś – po starej przyjaźni.

V SASZKA

*„Jeszcze Filip – fizyk w Moskwie,
Dziś nagrody różne zbiera,
Jeździ, kiedy chce – do Polski.
Był przyjęty przez Premiera”*

Ile razy słuchałem tego fragmentu *Naszej klasy* Jacka Kaczmarskiego, wspominałem Saszkę Gurjanowa. Mieszkał nieopodal i mnie, i Jacka Kaczmarskiego, który na Polnej, ja na Armii Ludowej, a Saszka na Litewskiej się chował. Jedna wieś, Jazdów w Warszawie... Czy Jacek też znał Saszkę, czy może Filip to postać uniwersalna? Już nigdy się nie dowiem.

Saszka urodził się w Moskwie w 1950 roku jako syn inżyniera Edmunda Goldzamta, Polaka, który uciekł przed faszystami do Moskwy i tam studiował architekturę. Ożenił się z panią Gurjanow, Rosjanką studiującą architekturę i... około '52 roku przyjechali do Polski. Goldzamt miał za zadanie nadzorować Sigalina – naczelnego architekta Warszawy. Pamiętam, jak w 1963 czy '64 roku dziesięcioletnia Ania, urodzona już w Polsce siostra Saszki, pokazuje mi ogromny czerwony album w płótnie, a tam marzenia jej ojca – jak miał wyglądać plac Na Rozdrożu, estakady spadające ku Wiśle. Wszystko monumentalne, klasycystyczne – synkretyczne¹. Działalność Edmunda Goldzamta do chlubnych raczej nie należała. Można go z całą odpowiedzialnością nazwać rusefikatorem. Choć... kiedy popatrzymy dziś na znieawidzony Pałac czy bloki przy placu Konstytucji i porównać je przyjdzie z budowanymi na francuskich wzorach za Gierka mrówkowcami z fabryk domów, np. Za Żelazną Bramą...

Pierwszy raz wspominałem Goldzamta w bretońskim Breście. Mieście zmiecionym przez aliantów podczas inwazji w '45 roku z powierzchni ziemi.

1 Por. Appendix na końcu rozdziału

Brzmi mi w uszach *Barbara Jacques`a Préverta* w wykonaniu Yves Montanda:

Yves Montand – *Barbara*²

*Il pleut sans cesse sur Brest
Comme il pleuvait avant
Mais ce n'est plus pareil et tout est abîmé
C'est une pluie de deuil terrible et désolée
Ce n'est même plus l'orage
De fer d'acier de sang
Tout simplement des nuages
Qui crevent comme des chiens
Des chiens qui disparaissent
Au fil de l'eau sur
Brest Et vont pourrir au loin
Au loin très loin de Brest
Dont il ne reste rien.*

Co się w luźnym przekładzie
tłumaczy:
*Pada ciągle tak samo na Brest
Choć już inaczej jest
Skoro wszystko przepadło.
Pada tak żalobnie, tak strasznie
Tak rozpaczliwie.
To już nie te rozbryzgi broni
Na krwistym żeliwie
To tylko smętne chmury
Które jak psy zdychają
Psy, co z prądem od Brestu,
Płynąc się rozkładają
Daleko, daleko – Za rzeką.
Od Brestu, po którym – Ani gestu !*

Tak jak i po przedwojennej Warszawie. Ewakuowany przed bombardowaniem w trakcie desantu na Normandię, Brest odbudowali następnie Francuzom – Amerykanie. Mnie miasto to w największym stopniu przypomina... Nową Hutę. Tak naprawdę socrealizm był wspólną postcourbusierowską architekturą lat czterdziestych, a problem krajów socjalistycznych polegał nie na tym, jakie stawiano mury, lecz czym potem te mury oddychały, jakie biło w nich serce.

Architektura Goldzamtów, Dworakowskich, Sigalinów była architekturą projektu, a nie wykonania, pomysłu, a nie funkcji. To były dzieła ideologii, nie praktyki. Jednak pokazana mi przez Anię Gurjanową książka na długo widać zapadła w mojej pamięci. Czuło się w tych rysunkach pasję i wizję. I marzenie!

Marzenia przysły w 1968 roku. Koledzy z harcerstwa rozpierzchli się po świecie. O Sergiuszu Frenklu i Jurku Sarneckim wspominałem. Znikł także Włodek Pszenicki. W stanie wojennym zostanie szefem polskiej sekcji BBC, a potem całej londyńskiej radiostacji.

2 <http://www.blog.kijowski.pl/wp-content/uploads/2009/07/Yves-Montand-Barbararecit.mp3>

A Gurjanow? Po maturze, którą zrobił w zacnym liceum Reytana w Warszawie, Saszka oświadczył, że wyjeżdża do Leningradu – studiować fizykę i astronomię. Jeszcze wpadał. Przywoził jedwabne chusty pionierskie i świeże nagrania Okudźawy z pieśnią leningradzkich fizyków na czele.

*„Zagonim wsie narody w katakomby
S' wiercha brasim atomnyje bomby
Kak prosta byt' ab niczom nie znakomym
owsiem prostym uczionym – uczionym”.*

Zniknął Saszka. A gdy zacząłem o nim pisać, postanowiłem sprawdzić, co się stało z tym pół Rosjaninem, pół Polakiem, który (choćby się nie wiem jak się wypierał, nie uwierzę) przed polską ksenofobią i nienawiścią do Rosjan zbiegł po ojcowskich śladach do Matuszki Rosji. W odróżnieniu od polskich pobratymców miał bowiem radziecki paszport, z którym nie można było emigrować na Zachód. Odnalazłem Saszkę w internecie. Po raz pierwszy dostrzeżony został (dziś ma już swoją notkę w polskiej Wikipedii), gdy:

Aleksander Kwaśniewski wręczył w Pałacu Prezydenckim ordery i odznaczenia obywatelom polskim – członkom Federacji Rodzin Katyńskich, oraz obywatelom Rosji i Ukrainy, którzy swoją działalnością przyczynili się do ujawnienia prawdy o Zbrodni Katyńskiej i upamiętnienia jej ofiar.

Odznaczeni zostali m.in.:

*KRZYŻEM KAWALERSKIM ORDERU ZASŁUGI RZECZYPOSPOLITEJ
POLSKIEJ – Pan Aleksander GURIANOW {...}*

Zwracając się do zebranych Stanisław Jankowski powiedział m.in.:

„W imieniu Federacji Rodzin Katyńskich, w imieniu wszystkich, którym jest bardzo drogie słowo Katyń – dziękuję. Piętnaście lat temu z przejęciem większym niż dzisiaj, bo Moskwa, bo kilometr od Kremla, mówiłem o Katyniu, a zdjęcia przygotowane przez Rodziny Katyńskie w Krakowie wisiały na wystawie. Byliśmy bardzo dumni wszyscy z polskiej delegacji, że możemy te zdjęcia prezentować. Te zdjęcia, żeby nas nie narażać na kłopoty, kiedy jechaliśmy jeszcze do Związku Radzieckiego, przewiózł Pan Aleksander Gurianow”. Czytamy na stronach Prezydenta RP.

Ot, historia! Wychowany w Polsce syn rusyfiikatora, który praktycznie musiał uciekać z pierwszej przybranej ojczyzny, gdy zaczyna się wolność narodowa, we własnym kraju staje się „polskim dysydem”!

Jan Strękowski w wydanej w 2003 roku książce *Polska w oczach cudzych* dowiedział się od Saszki tyle: „Moja teza jest taka, że wszyscy o wszystkim wiedzieli. Ja to odnoszę również do siebie, bo też właściwie twierdziłem, że o niczym nie wiedziałem. Ale kiedy sobie przypominam, to widzę, że w gruncie rzeczy o wszystkim wiedziałem. O Katyniu wiedziałem od wczesnego dzieciństwa, bo już wtedy ktoś mi o tym powiedział, ale odrzucałem tę prawdę. I myślę, że ludzie, w latach trzydziestych podczas Wielkiej Czystki, wiedzieli. Lecz nie można było z tym żyć przyznając się przed sobą, że wie się, co się dzieje, i nic z tym się nie robi. To jest mechanizm samookłamywania się”.

Dowiedział się fizyk i zaczął liczyć polskie trupy na sowieckiej ziemi. Jakby z ducha Pana Cogito o potrzebie ścisłości:

*„wchodzi
na najwyższy chwiejny
stopień nieokreśloności
jak trudno ustalić imiona
wszystkich tych co zginęli
w walce z władzą nieludzką
dane oficjalne
pomniejszają ich liczbę
raz jeszcze bezlitośnie
dziesiątkują poległych
a ciała ich znikają
w przepastnych piwnicach
wielkich gmachów policji”.*

Odnalazłem Saszkę przez rosyjskie stowarzyszenie Memoriał i oto co mi odpisał:

„Nigdy nie słyszałem, żeby tata projektował Park Frascati. Co najwyżej mógł wysuwać jakieś pomysły w swojej książce z 1955 (czy 1956?) roku. Zdaje się, że ta książka nie cieszy się w polskim środowisku architektonicznym zbyt dobrą sławą. Przyznaję ze wstydem, że sam jej nie przeczytałem. Ale dom Smolna 9

(i jednocześnie dom Smolna 15) autentycznie zaprojektowali moi rodzice jakieś 45 lat temu”.

A potem w tym domu, z jednej strony ja do niedawna pod numerem dziewięcym kierowałem domem kultury, a z drugiej nasz kolega z harcerstwa Włodek Frenkiel pod piętnastym – Tango&Cash prowadzi...

APPENDIX

Realizm socjalistyczny szczególnie miejsce w systemie sztuk wyznaczał architekturze. Również Bolesław Bierut uznawał architekturę za niezwykle ważny element ideologii. W rozmowie z Edmundem Goldzamttem Bierut miał powiedzieć, że partia interesuje się architekturą dlatego, iż jest ona „szczególnie doniosłą formą ideologii, a ideologia nie może być partii obojętna. Ideologia to postulowanie pożądanych na przyszłość wartości, rysowanie obrazu przyszłości. A architektura z samej swej istoty kształtuje zabudowę przeznaczoną na długie trwanie. Ideologia znajduje w architekturze wspaniałą formę swego ucieleśnienia. Jakże lepiej możemy przedstawić nasze cele, jak nie za pomocą panoram i modeli nowych miast. A obraz przyszłości jest orężem ideologicznym”³. Edmund Goldzamt relacjonujący stanowisko Bieruta stał się w 1949 roku ważnym łącznikiem między środowiskiem polskich architektów, niezbyt zorientowanych w wymaganiach politycznych dysponentów, a sowiecką praktyką realizmu socjalistycznego, którą poznał podczas wieloletniego pobytu w Kraju Rad. Goldzamt uchodząc w 1939 roku przed Niemcami, znalazł schronienie w ZSRR i tam rozpoczął studia architektoniczne. Bardzo duży wpływ wywarł na niego (to historyczny przypadek) znany z publikacji w „Architekturze i Budownictwie” Anatolij Żukow, pod kierunkiem którego się kształcił. Do Polski trafił dzięki inicjatywie Józefa Sigalina – naczelnego architekta Warszawy, który na przełomie lat 1948–1949 przebywał w Moskwie. Oficjalnym celem wizyt było zamówienie schodów ruchomych dla trasy W–Z, nieoficjalnym miało być uzyskanie poparcia architektów radzieckich dla koncepcji odbudowy Zamku Królewskiego w Warszawie. Goldzamt pośredniczył w nawiązaniu kontaktów ze środowiskami radzieckich architektów, którzy na specjalnie zorganizowanym wieczorne dyskusyjnym jednogłośnie poparli ideę odbudowy zamku. Według świadectwa Goldzamtta, Sigalin mówił o krytycznym stosunku do architektury funkcjonalizmu, o „burzeniu się przeciwko ortodoksyjnym funkcjonalistom” i wyczuwalnym w atmosferze politycznej nowym podejściu do zadań architektury. „We mnie – stwierdza Goldzamt – znalazł obkutego rozmówcę. Przedstawiłem mu teorię realizmu socjalistycznego, którą

3 Tekst z katalogu wystawy *Warszawa–Moskwa/Moskwa–Warszawa 1900–2000*, Zachęta, Warszawa 2004

poznałem podczas studiów w Moskwie. Ja to muszę mieć, towarzyszu Mundku – powiedział Sigalin. Pamiętam tę noc, gdy siedziałem i pisałem. Napisałem mu elaborat”.

*Referat Goldzamta po akceptacji na najwyższych szczeblach został ostatecznie przedstawiony jako główny tekst programowy na zwołanej w gmachu KC 20 i 21 czerwca 1949 roku naradzie aktywu partyjnego architektów, na której przyjęto realizm socjalistyczny jako „obowiązującą metodę twórczą” Za: Waldemar Baraniewski, *Między opresją a obojętnością. Architektura w polsko-rosyjskich relacjach w XX wieku.**

VI MARUDERZY

Zostali sami. Mam dwu takich kolegów: Leszka Szarugę i Włodka Frenkla. W '68 roku byli już pełnoletni. Leszek miał dwadzieścia dwa, Włodek zaledwie dziewiętnaście lat. Ten pierwszy to syn poety Witolda Wirpszy i Marii Kureckiej, znakomitych tłumaczy, którzy przyswoili polskiemu językowi m.in. *Doktora Faustusa* Tomasza Manna. Oboje postanowili wyemigrować w '68 do Niemiec.

Aleksander powiedział „nie”. W jakimś opowiadaniu Marka Nowakowskiego znalazłem to zdanie: „Szaruga to dobry pseudonim dla komunisty”.

Przyznał mi się kiedyś, że też to zdanie odczytał i stąd wziął sobie pseudonim. Zmienił także imię. I został. Komunistą jednak już być nie potrafił. Stał się Leszkiem Szarugą i wlaź w opozycję po uszy. Studia polonistyczne musiał kończyć zaocznie. Potem pracował w jakimś pisemku typu „Hotelarz” czy „Pies”. Dziś pisze ciemne wiersze. Jest też profesorem.

Frenkiel podobnie – choć całkiem inaczej. Też odmówił wyjazdu z rodzicami. Ale nazwiska nie zmienił. Jego rodzice byli jakoś w Rosji zakorzenieni, ale już na polskich paszportach, więc dla nich otwarty był Wiedeń. Włodek zaś, z tego co wiem, przejął mieszkanie w alei Wyzwolenia. Stał się beniaminkiem organizacji partyjnej. Skończył rusycystykę, zajął się handlem. Szczególnie w późnych latach 80. i wczesnych 90. handel via Rosja to była złota żyła. Towary płynęły ze wschodu. A jak ktoś dobrze znał rosyjski i duszę moskiewską... Można było w sowieckiej tiurmie życie stracić albo budować kapitalizm.

To był szok, gdy w późnych latach 80. niechciany przez nas w szkole rosyjski, zapamiętany w wierszykach Simonowa, nagle wypłynął na dworce, gdy młodzi komputerowcy wykrzykiwali przez pierwsze komórki:

– *Da, da, pokażaj. Da wsio. I zołoto toże.*

W 1993 czy '94 roku ciężka limuzyna Frenkla dotknęła delikatnie mojego redaktorskiego malucha pod Zieloną Budką na Puławskiej w Warszawie.

Byłem wtedy wicemarszałkiem Sejmiku, znanym publicystą, więc Włodek z atencją pokazywał mi swoje włości. Pokazał, że... no, jakby to delikatnie powiedzieć: rządzi Warszawą i nie tyłko. Chętnie mi pomagał.

Nagrywałem wtedy niemal bez pieniędzy moje spotkania zatytułowane „ATaK Show” w Polsce 1. To był już czas po likwidacji stacji naziemnej. Skończył się live z Nowej Telewizji Warszawa, gdzie wśród stu gości „A Teraz Konkretnie” w latach 1993–1994 niemal wszyscy moi rozmówcy: Balcerowicz, Geremek, Olszewski czy Najder, Kawalec, Niezabitowska, Chrzanowski, Strzembosz i obydwaj Kaczyńscy, Krzaklewski, a nawet Boni, że o prezydencie Wałęsie nie wspomnę – mieli reprezentować stronę solidarnościową. Jak sądziłem, różniący się poglądami, lecz patrioci i przyzwoici ludzie.

Teraz programy musiałem rejestrować. Rządzili komuniści Oleksego. *No-lens volens* zacząłem i z nimi rozmawiać. Na programy umawiałem się z Kwaśniewskim, Blidą, Jakubowską, Liberadzkim, Kołodką, Frasyniukiem (jeszcze go miałem za swego...). W sumie kilkadziesiąt nagrań. Do studia prosiłem sekundanta, mój rozmówca swojego i w gronie zaproszonych przez gościa przyjaciół dyskutowaliśmy godzinę. No, ale takie towarzystwo trzeba było jakoś przyjąć. Ugościć przed i po nagraniu. A Włosi byli skąpi. Więc w zamian za barterową reklamę młody Piotrek Frenkiel ocierał się w towarzystwie i przysposabiał do zawodu, serwując fundowany przez ojca catering.

Włodek miał wtedy restaurację na Chmielnej przy tzw. Towarzystwie Sztuk. Nazywała się Klub Pod Galerią. Tak, to to miejsce, gdzie mieścił się Kabaret pod Egidą. Czas jakiś zresztą Jan Pietrzak u Frenkla występował.

Jak pisała „Rzeczpospolita: „Frenklowie postanowili stworzyć w stolicy imperium rozrywkowe. Ich pierwsza knajpa Pod Galerią przy Chmielnej ruszyła w sylwestra 1992 r. W 1996 r. w podziemiach kamienicy na Nowym Świecie 23/25 otworzyli dyskotekę Studio Stereo – zamknięto ją w 2000 r. Nie osłabiło to pozycji Frenków na rynku, bo w 1998 r. wybudowali Labirynt przy Smolnej 14. Są też właścicielami kilku innych klubów w Warszawie, m.in. Tango & Cash i Kwadro”¹.

To prawda, później pokazywał mi Frenkiel dawne baseny między mostem Berlinga a Poniatowskiego z praskiej strony Wisły, które zajmował na wielki klub Kon-Tiki. O ile wiem, wiele koneksi Frenkla sięga naszych dawnych harcerskich czasów. Stąd np. współpraca (właśnie w tym Kon-Tiki) z byłym harcerzem-wod-

1 I. Kraj, *Ratusz wyszedł z Labiryntu*, „Rzeczpospolita” 05.VIII.2004, Nr 182.

niakiem: Tadeuszem Miętusem, co uściskiem zwykł miażdżyć podane mu dłonie, a który przez dwie kadencje (1994–2002) będzie trząsł z ramienia SLD Zarządem Śródmieścia.

No, ale cokolwiek by mówić, ten Labirynt na Smolnej w lokalu po drukarni „Chłopskiej Drogi” (moja Mama pracowała niegdyś w Gromadzie Rolnik Polski na Smolnej 12 tuż obok) – to było coś! Poszedłem tam raz (z ciekawości i pod nieobecność gospodarza) i nie ma co kryć – nie był to niewinny teatrzyk, lecz miejsce zorganizowane wspólnie. Mówiąc szczerze, mało obchodzi mnie, czy przeróbek dokonano samowolnie, czy nie – skoro miejsce żyło. Dyskoteka mieściła się w starej drukarni na trzech poziomach, które pokonywało się metalowymi, kręconymi schodkami. Na każdym piętrze był oczywiście bar i na każdym inna muzyka. Na dole spokojniejsza dla moich rówieśników: Beatlesi, Boney M czy Presley. A im wyżej, tym więcej czadu... Wstęp do górnego baru kosztował bodaj sto złotych, ale tam już za tę kwotę można było pić bez ograniczenia. Takie *all inclusive* w słowiańskim stylu. Nie wszedłem na takie obroty, acz podejrzewam, że stamtąd odziedziczony po drukarni taśmowy podajnik do gazetowych nakładów zwoził delikwentów wprost w ręce sanitariuszy z izby wytrzeźwień.

Frenkiel ma fantazję. Jeszcze stoi mi przed oczami, jak w Sylwestra w Kościeliskiej tańczył rock and rolla z Iwoną Kamińską. Przypominam sobie urządzone przezeń (w opustoszałym po wyjeździe rodziców i brata mieszkaniu w alei Wyzwolenia 10) śniadania w drugi dzień Świąt Wielkanocy, łączone ze Śmigusem. Mieliśmy po szesnaście, osiemnaście lat. Grała gitara. Nielegalny Wysocki i Okudźawa wtórowali z taśm szpulowych magnetofonów. Innych „dopalaczy” nie trzeba nam było.

Opowiadałam to, co barwne. Może są i inne odcienie w tej tęczy, ale wiem, że ludzi z fantazją szkoda. Szkoda Labiryntu nie mniej niż odebranego mi, po dwu latach frekwencyjnych sukcesów XIV i XV Konkursu Teatrów Ogródkowych, Festiwalu w Ogrodach Frascati. I szkoda, że Lech Kaczyński, ówczesny prezydent Warszawy, późniejszy prezydent kraju, poległy pod Smoleńskiem bohaterki obrońca Gruzji, też był przedziwnie – pstrokaty.

Wykurzono Włodka pod jakimś idiotycznym pretekstem (brak koncesji na alkohol po którejś godzinie) i teraz procesuje się z miastem o miliony. Mądrze to nie jest. Sprawę koncesji na alkohol można było rozstrzygnąć. Pewnie można też było ucywilizować ogródki piwne nad Wisłą. Tętniły życiem coś ze cztery sezony w latach 1998–2002, za rządów prezydenta Pawła Piskorskiego. Ten

pasaż między mostami Śląsko-Dąbrowskim i Gdańskim to była akurat domena Tadeusza Miętusa. Robili tam panowie jakieś interesy, nawet krążyłem wokół z moim teatrykiem – jednak trzymali na dystans... Cóż, czuli, że prędzej czy później wszystkich obsmaruję.

A przecież wcale się do tego nie rwałem. Ani ja, ani Polska, która też wolała być chyba zagospodarowana niż soczyście opisywana. Tak jednak widać musi być. Choć nie ma nic głupszego niż odbieranie ludziom zarobku, a warszawiakom zabawy, i formy, i stylu...

Przedsiębiorca sobie poradzi. Wykurzony z Warszawy Frenkiel prowadzi jakieś kluby na Mazurach i dyskotekę. Syn przeniósł się do Łodzi. Tam, gdzie była w 60. latach restauracja Sofia, we wspomnianym domu Gurjanowów u zbiegu alei Jerozolimskich i Smolnej 9/15, prowadzą Frenklowie inną restaurację: Tango & Cash.

Włodek mieszka teraz gdzieś pod Olsztynem. Z portalu społecznościowego Nasza Klasa dowiadujemy się, że to wieś. Nazwa wypadła mi z głowy. Coś jakby – Korleone?



*Włodek Frenkiel,
lata 60-te*

VII SZCZĘŚCIE LUDZI – PONAD WSZYSTKO

Z komunizmem skończyliśmy gdzieś po roku 1969, gdy komendantem szczepu został Stefan Kawalec (późniejszy wiceminister finansów i główny realizator denominacji złotówki w ramach reformy Balcerowicza).

Byłem „zuchowym” zastępcą Stefana. Spotkaliśmy się u Andrzejkę Axera w domu i zdołaliśmy przekonać całą kadrę, mimo oporu Frenkla i Gurjanowa, do zamiany w przyrzeczeniu szczepowym słowa „komunizm” na „szczęście wszystkich ludzi na świecie” – ponad wszystko. Teraz brzmiało znacznie lepiej. Zamiast „ideę komunizmu” - *A szczęście wszystkich ludzi na świecie – ponad wszystko*. Tak oczyszczeni z pryszczy janczarskiej ideologii, z Sahibkiem jeszcze w trzeciej klasie liceum jeździliśmy razem do mazurskich Krzyży z pierwszymi dziewczynami.

Andrzej po roku socjologii przeszedł na świeżo stworzony przez Czesława Czapówa IPSiR (Instytut Profilaktyki Społecznej i Resocjalizacji). Do śmierci opiekował się swoją matką – wielką aktorką i znakomitym profesorem szkoły teatralnej Zosią Mrozowską. Potem wyjechał.

W połowie lat siedemdziesiątych asystowałem jego ojcu Erwinowi, gdy reżyserował *Kordiana* w Teatrze Współczesnym. *Kordiana* z Wojtkiem Wysockim, Mają Komorowską w roli Laury, niezapomnianą parą: Wołfejka i Czechowiczem – jako Konstantym i Carem.

Andrzeja Axera z Pawłem Konicem łączyła nadzwyczajna więź z matką. Ojciec Andrzeja Erwin nie był z Mrozowską nigdy formalnie związany, gdyż po prostu nigdy nie rozstał się z matką Jurka, dziś wybitnego profesora filologii



*Ania Tanalska,
Stefan Kawalec,
Andrzej Purchała*

klasycznej. Jednak Mrozowska do śmierci pracowała w teatrze Axera. Ojciec był jej szefem, a syn opiekunem. Rodzice Pawła zaś byli „normalnie” rozwiedzeni.

Obydwaj chłopcy w moich oczach zaczęli pełnić rolę mężczyzn i opiekunów. Robili prawo jazdy, dosiadali matczynych maluchów, punktualnie odwożąc lub przywożąc ukochaną do domu czy z pracy.

Zazdroszczę im – moje stosunki z matką z wiekiem stawały się coraz gorsze. Nie umiemy zgodzić się na siebie. Można by powiedzieć, że to inteligencki wzrost ocen nad emocjami. A przecież – Andrzej i Paweł to też inteligenci w każdym calu i w gruncie rzeczy samotnicy. Jednak przez nich przemawiała wspólnota. Wspólnota tym silniej strzeżona, im bardziej zagrożona. Przez wroga, ojca, nawet przyjaciela – w centrum pozostawała matka, pewna jak rodzina. Lecz i ojciec jest też poza osądem. Hierarchia niewzruszona nakazuje szacunek... *Tradition...*

„Ja tego instynktu właściwie nie miałem – mówił mój Ojciec w radiowym *Notatniku ze współczesności* – i w tym młodym człowieku, który czasem przychodzi, którego bardzo lubię i z którym lubię rozmawiać, najbardziej mi pewnie przeszkadza, że jest moim synem”.

Także i ja – po Ojcu czy wręcz po Ojczyźnie? – nie pojmuję wspólnoty. *Je me sens exclu de l'horde*. I nigdy nie znalazłem miejsca w szeregu. Zawsze wybiegałem przed orkiestrę. Choć – starałem się, czy może sam przed sobą udawałem, że się staram. No, ale co to był za pozór, gdy nie brałem serio nawet peror Adama Michnika.

VIII ADAŚ

Michnika poznałem gdzieś około 1971 roku. Wyszedł z więzienia i został sekretarzem Antoniego Słonimskiego.

W niedzielę na obiady chodziło się do SPATiF-u. Bywaliśmy tam z Ojcem czasami i pamiętam ten stolik pod ścianą, przy którym zasiadał Szczupły Przechodzień w otoczeniu Alinki Lorenzówny (dziś profesor Kowalczykowej) i Adasia Michnika w nienagannie przybrudzonym podkoszulku.

- Witaj, Antoni, co dobrego – kłaniał się wytwornie Ojciec.
- Ot, karmię personel – odpowiadał poeta.
- Czym mogę panu służyć – kelner z palcem w zupie prezentował społeczeński szyk.
- Ku-ku-ku... – męczył się warszawski Demostenes.
- Tak, tak, Adasiu, zamówimy kuropatwę – dobrotliwie kończył zamówienie pan Antoni.

Adam poznał mnie z Mirkiem Chojeckim, wiedząc, że po pierwszym ślubie dysponuję na Nowomiejskiej mieszkaniem udostępnionym mi przez osiadających już w Paryżu Marię i Kazimierza Brandysów.

Założyliśmy tam skład i intrologatornię. *Czarną księgę cenzury* składaliśmy z Andrzejem Urbańskim, Markiem Karpińskim i jego ówczesną żoną Kasią Deniszczuk. Moja Ania drżała ze strachu w ciemnej kuchni. My zaś zbijaliśmy bibulę wykradzionymi przez Choja ze Świerku nitami, w takt proletariackich pieśni odnalezionych na jakimś starym longplayu z płytki pana Kazimierza.

A swoją drogą, chciałbym widzieć, jak moi mieszczańscy rodzice, wyjechawszy na rok czy półtora za granicę, zostawiają swoje wypieszczone klepki jakiemuś synowi znajomych z małżonką?

Gmina jest zatem solidarna. A wtedy, a wówczas WSZYSCY BYLIŚMY...

Zresztą, niech to już lepiej Marek Edelman słowami wywiadu udzielonego w 1985 roku Ani Grupińskiej wypowie:

– *Dlaczego pan nie został syjonistą?*

– *Syjonizm to jest w ogóle przegrana sprawa. I wtedy, i teraz. (...) nie można wrócić do tego, co było dwa tysiące lat temu, bo to jest niemożliwe. W morzu stu milionów Arabów nie można robić państwa, które jest przeciwko nim, bo tych Żydów tak samo wyróżną lada dzień, jak wyróżnął ich Hitler. (...)*

Tak samo się mówi, że Ziemia Zachodnie są polskie. Ludzie! Siedemset lat tam mieszkali Niemcy! Czy Kijów jest polski dzisiaj, chociaż Polska tam kiedyś władała?

– *Ale państwo Izrael w końcu powstało i istnieje.*

– *No, Rosjanie zrobili im państwo polityczne. Potem Żydzi wykiwali się od Rosjan i poszli do Amerykanów, ale i tak zginą. Trzymilionowe państwo w morzu stu milionów Arabów nie może istnieć. Nie ma żadnych szans. Będą tak samo wyróżnieni i cofnięci do morza. Ameryka będzie tak długo dawała im samoloty, jak długo będzie tam miała swój lotniskowiec. Niech Amerykanie dogadają się nie z Mubarakiem, tylko z innym fakiem, to wypną się na te trzy miliony ludzi. (...)*

Powiedzieć to dzisiaj w Polsce to straszna rzecz. To przez ten katolicyzm polityczny, który tutaj wyrósł; dziś każdy wierzy w Pana Boga, żeby czerwonemu przypieprzyć. Ludzie chodzą do kościoła i robią te pozory, ale tak między nami mówiąc, to Polska nigdy nie była krajem za bardzo wierzącym. Kościół był zawsze polityczny, był zawsze z państwem. Taka sama była ta żydowska religia: była polityczna. (...)

– *Z czym się powinien według pana identyfikować człowiek, który mówi o sobie „jestem Żydem”? Gdzie powinien szukać swego miejsca?*

– *Jeśli myśli o sobie, że jest Żydem w Europie, to on zawsze będzie przeciwko władzy. Żyd ma zawsze poczucie wspólnoty ze słabszymi.*

– *Czy wobec tego jest jakaś różnica między Żydem, który jest ze słabymi, a słabymi nie-Żydami?*

– *Czy jest różnica? Nie. Żadna. Bujak, Kuroń, Michnik, Jaworski, Lis, Frasyński są ŻYDAMI TEGO USTROJU¹*

1 Rozmowa z Markiem Edelmanem, przeprowadzona przez Ankę Grupińską i Włodzimierza Filipka dla poznańskiego podziemnego kwartalnika „Czas” w 1985 roku (fragmenty).

IX CZŁOWIEK NA RUBRYKĘ

Najdłuższą rozmowę z Michnikiem odbyłem w towarzystwie Boba Kirklanda, który był amerykańskim korespondentem i asystentem Leonarda Bernsteina.

Pomagaliśmy Robertowi z moją już nieco odważniejszą ówczesną żoną przełożyć dla amerykańskiego „Newsweeka” wywiad Grupińskiej z Edelmanem. Wspólnie słuchaliśmy pierwszych cyfrowych nagrań odtwarzanych jeszcze z czarnych analogowych płyt. Odkrywał przed nami tajemnice swego mistrza, Leonarda Bernsteina, lecz także (znał dobrze Niemcy) fascynował się m.in. Lottą Lenya śpiewającą songi Brechta i Kurta Weilla. My jego zadziwiliśmy Polską, a w niej najsilniej – Michnikiem.

Wkrótce po wyjściu Adama z więzienia w 1986 roku spotkałem go przypadkiem – w Szkole Teatralnej. Poszliśmy do mnie na Nowolipki. To musiał być grudzień 1986 lub początek 1987 roku. Adam pił Maxima z meniskiem wypukłym. Puszył się i gadał, gadał, gadał...

W więzieniu czytał wszystko. Przypominam sobie, że wysledził nawet jakąś moją recenzję w „Twórczości” na temat wydanego wówczas *Pożegnania twierdzy* Witolda Zalewskiego. Napisałem tam, że bohaterstwo nie zawsze popłaca, że Miłosz w sumie dobrze wyszedł na tym, że nie zginął jak Baczyński, Trzebiński czy Gajcy, lecz Powstanie przesiedział w Milanówku.

– Takich rzeczy pisać nie wolno! – pogroził mi Rabbi.

– Jak nie wolno, gdy prawda.

– Ani prawda, ani wolno – uciął.

Rozmawialiśmy o książkach, pieniądzach, karierze.

Opowiedziałem mu również o planach Marcina Niziurskiego tworzenia pisma kulturalnego w oparciu o Warszawski Ośrodek Kultury z Elektorальной. Otóż Adama nie oburzyło bynajmniej, że próbuję coś nadziemnie kombinować (takie już wszakże nadchodziły czasy), lecz moje nadmierne ambicje.



*Adam Michnik
i Bob Kirkland
na Nowolipkach*

– Ty nie jesteś człowiek na pismo. Ty jesteś człowiek na rubrykę – zawyrokował. No cóż, zgłosiłem się doń po tę rubrykę w 1990 roku do „Wyborczej”. Jeszcze w żłobku na Iwickiej. Przyjął mnie łaskawie. Wyściskał na oczach załogi. Wszystko odbywało się transparentnie, Adam urzędował bowiem w przeszklonej dawnej kuchni, skąd niegdyś wydawano posiłki, więc cały newsroom widział, co dzieje się w gabinecie szefa. I Michnik zaprotegował telefonicznie kandydata na radnego ze Starówki do ówczesnej minister Cywińskiej w sprawie, rzecz jasna, czysto pu-pu-pu-blicznej.

Jednak ani mój tekst o tejże Starówce pt. *Starówka prosi o zgiełk*, ani recenzja z pierwszego odcinka Dekalogu Kieślowskiego, który właśnie zaczynała emitować telewizja, w „Gazecie Wyborczej” miejsca dla siebie nie znalazły. W Polsce rządzonej przez Adama i jego kolegów dla takich jak ja pozycja radnego i felieton kulturalny w II Programie PR u Iwony Smolki na pociechę – miał to być szczyt kariery. Oczywiście do chwili, gdy więcej nie zapragnęli.

Po epizodach z „Tygodnikiem Solidarność” i „Nowym Światem”, zacząłem przecież pracować w prywatnej Nowej Telewizji Warszawa, finansowanej przez włoskiego potentata medialnego Nicolę Grauso. W moim programie „A Teraz Konkretnie” rozmawiałem niemal ze wszystkimi politykami o solidarnościowym rodowodzie, włącznie z samym prezydentem Wałęsą. I nigdy wcześniej ani później nie czułem się tak wolny! Michnik jednak moje zaproszenie zignorował. Uznał, że jak ja z jakimiś Krzaklewskimi gadam, to dla niego nie ma tam miejsca. Stację Adam odwiedził tylko raz. Zaszczycając odwiedzinami jedynie Michała Komara. Później jednak „Gazeta” zaangażowała cały swój autorytet, by nie dopuścić do przyznania koncesji Włochom. Włochom sprowadzonym wszakże przez

najbliższego współpracownika Michnika w latach 1976-80, jakim był twórca Niezależnej Oficyny Wydawniczej – Mirek Chojecki. Ten ostatni próbował jeszcze rozszcześcić włos na czworo: tu wspierał Włochów zostawiając ich z Komarem, tam się wycofywał lansując własny projekt Niezależnej Telewizji Polskiej. „Gazeta” była jednak nieubłagana. Koncesję dostali Walter, Solorz i Canal Plus. Nasza strona – jak ktoś gdzieś Chojeckiemu, pocierając charakterystycznie kciukiem o palce, powiedział – za małą miała siłę przebicia.

Tak więc gdy Michnik mną wzgardził, a piracka przepaska na oku przestała być w dobrym tonie – z felietonem w publicznym radiu też musiałem się pożegnać. „Znaj proporcją, mocium panie” – zacytowałby w tym momencie Fredrę Senior.

Wtedy, zimą 1985 roku, zbierając się, by odwiedzić Michnika moim maluchem w aleję Przyjaciół, spytałem jeszcze Adama, czemu właściwie nie ma samochodu.

– Widzisz – powiedział – prawdę powiedziawszy, stać mnie dziś na każdy wóz. Sęk w tym, że w Polsce wszystko, co przekracza skalę malucha, budzi emocje. No cóż, nigdy bym nie pomyślał, że będę kiedyś sławny i bogaty. Ale bogaty musi dwakroć uważać. Po co mi zresztą rzeczy, samochody, forsa nawet: czy to ja kolegów nie mam? – wyznał coraz mocniej wstawiony, tłumacząc mi w ten sposób, że najpierw trzeba znać miejsce w szeregu, potem mieć kolegów, nareszcie napisać książkę.

– Bo jak mnie los na białego konia wsadził – powiedział na koniec, gdym wychwalał jego więzienny heroizm – to ja się na nim ku-ku-ku... – zapiął po swojemu – nie zesram!

Tak, Michnik to bon moty. Ledwie kilka spotkań, i to wtedy, gdy naprawdę nie było wiadomo, że to on okaże się Noem formacji. A z każdego: zapamiętane zdanie.

– Uważaj na Kaczory – powiedział mi w 1993 roku, gdym znów go odwoził, tym razem z domu Jacka Bocheńskiego, po ostatnim wręczeniu pierwszej edycji nagrody im. Andrzeja Kijowskiego (której wszakże w 1985 roku był pierwszym laureatem). – To czyste ka-ka-karierowiczostwo.

Z akcentem na słowo czyste. Dla Adama znaczyło to inaczej bezideowość. Karierowiczami wszak jesteśmy wszyscy, chodzi nam o siebie, o to, by być ważnym. Ale nie wolno zapomnieć o sprawie, o Bogu, o Księdze. I o szabasie.

X STYGMAT OBCOŚCI

Między rokiem '76 a '86 dokonywał się wielki powrót. Sporo konwersji. Najbardziej spektakularna Kostki Geberta, który w podziemiu publikował jako Dawid Warszawski. Ale pamiętam też przebudzenie Kasi Hanuszkiewiczowej, córki Adama i Zofii Rysiówny. Wydano *Dzienniki Czerniakowa*. Jarek Rymkiewicz w podziemnym wydawnictwie wydał *Umschlagplatz*, który przeczytawszy zrozumiałem, że przez lata nic nie wiedząc o tym miejscu, tu uczyłem się wręczać pierwsze łapówki i tankowałem kartkową benzynę.

Mieszkalem wtedy najpierw na Chłodnej u zbiegu z Białą, potem na Nowolipkach w jednym z domów wznoszących się na zwałowanych gruzach.

Nagle uświadomiliśmy sobie, jak mało wiemy o tym, co się w tej przestrzeni działo; że nie wiedzieć czemu:

*„Krew piaskiem przysypano, ślady uprzątnięto
I wapnem sinym czysto wybielono ściany
Jak po zarazie jakiejś lub na wielkie święto”*

jak śpiewał Antoni Słonimski w *Elegii*.

Więc wszyscy byliśmy ofiarami tamtego ustroju. Ustroju zacierania pamięci i podszywania się. Ci, co przeżyli, mówili, że wszyscy zginęli. Nawet nie przyznawali się do tego, że sami ocaleli. Zmienili nazwiska, ukrywali pochodzenie. Moi koledzy tak jak Sahibek swoją tradycją domową byli nagle i nieoczekiwanie zaskakiwani. Nagle zdaliśmy sobie sprawę, że tak naprawdę nic nie wiemy o tych, co odeszli. Byli abstraktem skremowanych liczb.

Teraz zaczynało przypominać sobie konkrety. Dostałem do recenzji wewnętrzną z Czytelnika *Chanukowe świece. Pamiętnik Esterki* Antoniego Reńskiego, który pozytywnie przeze mnie zaopiniowany doczekał się publikacji we wczesnych

latach 90. Spacerując Karmelicką w stronę basenów na Inflanckiej, trudno było zapomnieć o ostatniej „wycieczce” dzieci z korczakowskich sierocińców, o samobójstwie Czerniakowa, o śladach po wspominatej przez Miłosza w wierszu *Campo di Fiori* – warszawskiej karuzeli pod murami getta¹. Jakoś to wszystko zbiegło się ze stanem wojennym. Bo stan wojenny okazał się tak naprawdę czasem prawdy. Zaczęto mówić i o AK, i o Katyniu, i o procesie szesnastu, i o odtransportowanych z placu Muranowskiego – o wszystkim, o czym tak długo milczano.

Patrzyłem na zieleń za oknami wewnętrznego podwórka z trzepakami i stolarzami, gdzie swe dywany wywieszali i bieliznę bardzo z wiejska suszyli liczni jeszcze potomkowie budowniczych Muranowa. Zapuszczałem wzrok w głęboki wykop (blisko 20 lat zresztą budowanego) drugiego pawilonu Pałacu Mostowskich, zastanawiając się, czy patrzę na strukturę cel, które jeszcze kiedyś niczym mieszkańcowi zamku d’If przyjdzie mi pazurami rozrywać. Brałem sukę (pudliczkę), szliśmy demonstrować pod ten Pałac, rysując na brudnych szybach samochodów literę „S” z kotwicą, a spod tych zarośli zza węgla stalinowskich kantyn wyglądały ku mnie duchy.

I te duchy zaczynały mówić swoim językiem. Domagały się pamięci. Potępiały zbrodniarzy. Lecz przypominały też, że ci ocaleni mądrzejsi, inteligentni, wielomówni bracia, którzy wyparli się wiary, tradycji i języka, którym z pochodzenia pozostała jedynie solidarność uciekinierów, którzy starają się zapomnieć o swych pozostawionych gdzieś pobratymcach i zwieść tych, wśród których żyją – są oszustami, a może nawet zaprzańcami.

I choć można zrozumieć ich traumę, lęk, a nawet cynizm, to jednak budzący nas świadkowie niepamięci przywoływali wspomnienia tysięcy prześladowanych i wytrzebionych narodów i ludzi: Jaćwingów, Prusów, Siuksów i Apaczy, mieszkańców Wandei, wzywanych przez Herberta obrońców Dalajlamy, Kurdów, afgańskich górali. Tych, których w pień wycinano, gdyż mimikrę mieli za godną bezwzględного potępienia.

1 *Wspomniałem Campo di Fiori
W Warszawie przy karuzeli,
W pogodny wieczór wiosenny,
Przy dźwiękach skocznej muzyki.
Salwy za murem getta
Gluszyła skoczna melodia
I wlatywały pary
Wysoko w pogodne niebo*

Dla ludzi, którzy wypierają się przeszłości, nie ma miejsca ani wśród zmarłych braci, ani wśród żyjących towarzyszy.

Tak więc odzyskiwaliśmy naszą przeszłość. Zaczynaliśmy się rozpoznawać. Pytać o pochodzenie. O cenę naszego życia. O wierność. Rozróżniać, kto swój, a kto obcy. Bo przez trzydzieści lat znaczna część społeczeństwa polskiego pokolenia Kolumbów nie wyszła faktycznie z konspiracji. Dopiero gdy ukształtowało się pokolenie „Solidarności”, niektórzy dziadkowie wyznawali wnukom, kim są, gdzie leży zakopana jeszcze w '44 broń, pod którą klepką znajdują chowane na czarną godzinę złoto, gdzie skrywa się szlachecki rodowód, akt własności fabryki czy chanuki srebrzone.

XI INTELIGENCKIE GETTO

Trzeba było trzydziestu trzech lat, bym zrozumiał, że wychowałem się wśród innych. Wśród polskiej inteligencji wyobcowanej z narodu.

Czy była pośledniejsza? Oto najbardziej dramatyczne pytanie. Przed wojną ta inność to był plebs i brud, handele i choroba.

Na przeciwległym krańcu inności stała „swojskość” czy „naszość”, sparodiowana przez Żeromskiego w Nawłoci i spotęgowana w obrazie Estancji z *Trans-Atlantyku* Gombrowicza. Tromtadracja, narodowość – tym wszystkim słowom współczesny inteligent nadał pejoratywne brzmienie. Może jeszcze słowa patriotyzm i wspólnota nie brzmią podejrzanie, choć pozostają w osamotnieniu niepojętym, jeśli zważyć, że jeszcze w 1949 roku autor Społecznej genealogii twierdził, iż: „Dla zrozumienia genealogii inteligencji polskiej ważnym momentem jest fakt, że w okresie porozbiorowym inteligencja była jedyną spadkobierczynią szlacheckiej idei państwowej i stanowiła «moralny» rząd narodu polskiego”.

Ale Józef Chałasiński właśnie, ten syn pisarczyka gminnego, rząd ów podaje miażdżącej krytyce, wskazując, że polska inteligencja była warstwą nieproduktywną. Zachowując jedynie towarzyskie formy, nie potwierdzała swojego znaczenia ani gospodarczą, ani polityczną aktywnością. Wyrzucając poza swój nawias nawet zawodowych intelektualistów (pisarzy i naukowców), przekształciła się zdaniem Chałasińskiego w wyizolowaną biurokrację i stworzyła, jak je socjolog nazywa, „inteligentne getto”. „Inteligentne getto – powiada Chałasiński – a w tym i getto uniwersyteckie, nie jest terenem do zdobywania sławy, lecz reputacji”.

W getcie zamykają się inni. Ci, którzy chcą się odróżnić. Nie ulega wątpliwości, że wychowany na Gombrowiczu i Schulzu, Tuwimie i Jasińskim, Andrzejewskim i Konwickim – współczesny polski inteligent najbardziej chce się odróżnić od Estancji i Nawłoci, wyrzeka się polskości Sienkiewicza, szukając

uniwersalizmu w Gombrowiczu. Zachłystuje się polską Anty-Inwokacją z *Trans-Atlantyku*:

„Płyńcież Rodacy do Narodu swego! Płyńcież wy do Narodu Waszego św. chyba przekłętogo. Płyńcież do Stwora tegoż Św. Ciemnego, co od wieków zdycha, a zdechnąć nie może! Płyńcież wy do Cudaka waszego Św., od natury całej przekłętogo, co wciąż się rodzi, a przecież wciąż Nieurodzony. Płyńcież, płyńcież, ażeby on wam ani żyć, ani zdechnąć nie pozwalał, a na zawsze was między Bytem i Niebytem trzymał. Płyńcież do Ślamazary waszy Świętej, żeby ona dali Ślimaczyła...”

Zachłystuje się tak dalece, że dziś piórami każdego pismaka postkomunistycznej „Trybuny” powtarza, iż „zacna skądinąd myśl, by uczyć młodzieży upodobania do poznawania historii i kultury własnego narodu, bardzo łatwo przeradza się w propagandę nacjonalizmu. Uczucia narodowe i nacjonalistyczne, w przeciwieństwie do wartości humanistycznych i uniwersalnych, możliwych do opanowania przede wszystkim rozumowo, mają głównie charakter emocjonalny. Są one niejako naturalne, atawistyczne i łatwo je rozhuścić kilkoma chwytliwymi hasłami. Europa przez całe stulecia, z mudem i z wielkim wysiłkiem, dochodziła do poszanowania indywidualistycznego humanizmu i praw człowieka”¹.

Współczesna elita intelektualna chce być ponadnarodowa. *Międzynarodówkę* śpiewali komuniści – ideą był internacjonalizm. Dziś z *Ody do Radości* Beethovena na ustach mamy stawać się członkami Wielkiej Europejskiej Rodziny.

Mamy więc dwie inności. Dwa getta. Getto inteligenta z Nawłoci Żeromskiego i całkowite jego przeciwieństwo, jakim jest izolacja „klerka z Krakowskiego Przedmieścia” – sportretowanego w *Kalendarzu i klepsydrze* Konwickiego.

No, ale nad tym słowem ciąży przecież jeszcze jedno, wyjściowe w końcu znaczenie, dosadnie scharakteryzowane przez Żeromskiego w *Ludziach bezdomnych*: „zamieszkujący lub zatrudnieni w tych stronach tworzyli tak zwane getto. Lecz to ich osiedlisko nie powstało w przeszłości, nie miało za sobą historii. Same nazwy ulic wskazywały, że tak nie było. Nikt ich tutaj nie osadzał osobno, jak, dajmy na to, papież Paweł IV w Rzymie, aby się z chrześcijanami nie stykali, nikt ich nie zmuszał do zamieszkania tutaj właśnie, a nie gdzie indziej. Sami spłynęli w tę dzielnicę, zesłi się tu jedni do drugich, a przyrastając stale, stworzyli samochcąc getto...”

1 Krzysztof Lubczyński, „*Trans-Atlantyk*” znów straszy, „Trybuna”

Nie ulega wątpliwości, że ten element inności zrosnięty jest z polskim obyczajem. Ten cwaniak, handlarz, brudas opisywany w *Elim Makowerze* Orzeszkowej czy u Żeromskiego zniknął co do jednego.

Kto za to odpowiada? Kto sprawił Shoah? Nie wiem i nie tu miejsce dywagować, jaki np. mieli w tym udział amerykańscy arystokraci finansjery, nie dopuszczający już w czasie II wojny światowej, by statki z ludźmi uchodzącymi z Europy przed pogromem wpuszczano do Stanów; by w kraju, gdzie obcej biedoty było najwięcej właśnie dlatego, że nigdy nie było w nim podobnych choćby hiszpańskim prześladowań, by w Polsce dokonała się rękami nazistów eksterminacja tego „chwastu kulturowego”.

Nie wiem. Wiem tylko, że raz jeden miałem ochotę kogoś gołymi rękami udusić. Było to w 1975 roku, gdy głodny i zmęczony dotarłem na szczyt Aurtello Nationale w Rzymie. Podszedłem tam do grupy francuskich studentów. Ot tak, pogadać. Gdy po wstępnych grzecznościach powiedziałem, że jestem Polak, nagle usłyszałem z ust wyglądającego jak młody esesman blond żabojada, że on jest z diaspory, a Polacy wymordowali jego naród.

Nie chcę pamiętać, co było dalej. Ani zmyślać. Po bezskutecznej dyskusji moja reakcja pogłębiła zapewne u przysłuchujących się awanturze Europejczyków stereotyp, że Polak zobaczywszy obcych dostaje szału...

W Polsce wybito chyba do jednego biednych z tych miasteczek, w których niekoniecznie mówiono po polsku. Przecież nawet urodzony w Leoncinie koło Nowego Dworu Isaac Singer, który trzydzieści dwa lata życia spędził między Warszawą a Biłgorajem, by w wieku Chrystusowym zbiec przed Hitlerem do Stanów, dobrze polskim nie władał.

„Polacy winni wdzięczność Adzikowi”, ironicznie pisał Jacek Kaczmarski w *Tunelu*. O nie! Nie Polacy.

Zresztą ja nie znam takiej opozycji: Polak – ktoś z diaspory. Znam tylko opozycję: polski inteligent z getta i polski warchoł, cham, antysemita.

Rzecz w tym, że dla większości klerków z Krakowskiego Przedmieścia opozycja ta dzisiaj się odwraca, przeciwstawiając europejskim inteligentom z aspiracjami do Hollywoodu – ksenofobijnego narodowca z „Kompleksem polskim”. A to też antynomia fałszywa.

XII UCHODŹCY Z POGROMU

Zbiegł, kto zbiec zdołał. Niektórzy niepomni przestróg Marka Edelmana wyjechali, by już sześćdziesiąt lat walczyć z Arabami. Ludzi biednych i niewykształconych wymordowano milionami. W Treblince, Majdanku i Oświęcimiu spłonęło jedno getto. Drugie – to inteligenckie, narodowe, „tromtadrackie” – ginęło w Palmirach i w Katyniu, w Oświęcimiu i w Miednoje, lało krew pod Lenino i Monte Casino, w Powstaniu Warszawskim; i jeszcze w sowieckich więzieniach w latach 50. dobijano resztki „inteligenckiego getta” ze szlacheckim rodowodem.

Wojnę przeżyła za to w znacznym stopniu zasymilowana, a zatem polska inteligencja pochodząca z diaspory. Byli w armii Andersa, jak Artur Międzyrzecki, przechowali się z Rządem Londyńskim w Anglii, jak Antoni Słonimski. Wielu przed Hitlerem uciekło do Rosji, by jak inżynier Goldzamt wrócić tu z internacjonalizmem komunistycznym na ustach.

Krzysztof Wolicki, tłumacząc swoje związki z komunistami i Rosjanami, powie mi już w latach 90.: – Bo w życiu, panie Andrzeju, ważne jest tylko, kto pana bił – mnie bili Niemcy.

Niemcy wybili cały lud, całą diasporę getta. Rosjanie zaś znaczną część czysto polskiej inteligencji ze szlacheckim rodowodem. Rosjanie byli „lepsi” – uciekinierów z getta nie zabijali. I tak jedna diaspora zastąpiła drugą. Getto inteligenckie zostało zastąpione przez ocalonych przez Rosjan uciekinierów z getta. Ci uciekinierzy stworzyli w Polsce tę swoistą „enklawę klerków”.

Po 1945 roku odwróciły się intelektualne proporcje społeczeństwa polskiego. Twierdząc, że obcych nie ma, wszystkie sfery opiniotwórcze i polityczne nowej Polski opanowane zostały przez wykształconych Polaków z kompleksem uchodźcy z pogromu.

Profesor Józef Chałasiński sformułował tezę o szlacheckim rodowodzie inteligencji polskiej. Pisał o inteligenckim getcie. Myślę, że po hekatombie II wojny światowej teza to już tylko w połowie aktualna. Inteligenckie środowisko zachowało cechy diaspory zamkniętej w getcie. Lecz nie jest to już dzisiaj warstwa będąca „jedyną spadkobierczynią szlacheckiej idei państwowej”. Przeciwnie, na współczesnej polskiej inteligencji ciąży stygmat ucieczki z getta współbraci. I wina odtworzenia getta obcego większości rodaków. Dużo prawdziwsze będzie dziś zatem stwierdzenie odszczepieńczego stygmatu współczesnych polskich elit intelektualnych. (Czyżby „łże-elit” stojących na czele wykorzenionych „wykształciuchów” – jak się wyrwało swego czasu wpierw Jarosławowi Kaczyńskiemu, a potem Ludwikowi Dornowi, gdy jeszcze działali w tandemie?)

Ale nawet Kaczyńscy wiedzą, że sami sobie nie poradzą. Walcząc z Unią Wolności dziś rozrzedzoną w Platformie wiedzą, że w szczególności w kulturze, ale podobnie w adwokaturze czy medycynie środowisko jest przez inteligenckich odszczepieńców zdominowane. Pamiętam mój szok, gdy w Szkole Teatralnej uświadomiłem sobie, że stróżami piękna polskiej mowy są Erwin Axer, Leon Schiller, Aleksander Bardini, Zygmunt Hübner, Jerzy Koenig – wspaniali znawcy i piękni Polacy, lecz dlaczego ani jednego wśród nich polskiego nazwiska?

Dlatego Andrzej Urbański, objąwszy fotel wiceprezydenta Warszawy, świetnie już wiedział, że nikt spoza tego kręgu nie zdoła pokierować Biurem Kultury. Chciał jak najwyżej. Gdy jednak zarówno Antoni Libera, jak Wanda Zwino-grodzka mu odmówili – skończyło się na Małgosi Naimskiej, która w pierwszych rozmowach informuje, że jest czystą Polką (bo kulturę dziedziczy się wszak po matce), wnet jednak dodaje, że poza tym jest... córką rabina.

Polscy solidarni, posiadający zaplecze na Zachodzie odszczepieńcy i samotnicy, obrabowani z tradycji, pozbawieni rodzin, często ochrzczeni, miotający się między lękiem a chęcią odwetu za doznane krzywdy, doświadczeni hekatombą, ciężko przestraszeni uciekinierzy z getta – takimi treściami nasycają polską kulturę. Lud patrzy na to z mieszaniną podziwu i narastającej niechęci.

Podziwu: bo przecież nie sposób odmówić talentu Zimmermanowi czy Huellemu, Lebensteinowi czy Polańskiemu, Preisnerowi czy Agnieszce Holland. Z niechęcią – bo cały ten internacjonalistyczny nurt, to artystyczne cmokierstwo i Hollywood, do którego dzieci rabinów coraz otwarciej dziś się już przyznają – nie jest wszak wszystkim, co sztuka może. Ale czy może coś innego, tego nie wiemy.

Nasza kultura staje się w ten sposób kulturą mniejszości. W polskim języku formułuje się myśli pognębionych, wygnańców i osamotnionych. Tych, którzy nie mając swego miejsca na ziemi – szukają wciąż Ziemi Obiecanej. Tych, co uciekają z Egiptu od potęgi, wiary i siły faraona. Tych, którzy cudze ziemie chcą przejąć i przedstawić za swoje.

Kultura polska kierowana od przeszło pół wieku przez getto uciekinierów z getta staje się przybytkiem niszy i kultywuje wszelkie słabości. Staje się ekspresją tych, którzy mówiąc słowami Marka Edelmana będą zawsze przeciw władzy i mają poczucie wspólnoty ze słabszymi.

Obsesja strachu przed pogromem prowadzi do wykluczenia, zamknięcia kultury narodowej dla wszystkiego, co ojczyście, co z mową polską, tradycją zwycięską, snem o potędze związane. Dla wszystkiego, co chce być silne, radosne, może nawet dominujące czy imperialne. O tym może marzyć Rosjanin, Amerykanin, Francuz czy Brytyjczyk, ale *point de rêveries, Polonais* – wam to zakazane.

Gdyż w Polsce, zdaniem jej ocalałej z pogromu elity, każda wspólnota nie kontrolowana przez obcych może się stać ksenofobijna, obskurancka, antysemicka, słowem „polaczkowata”.

Czy lepiej więc, by jej nie było?

XIII
GÓRAL Z GÓRY SYNAJ
albo z Wildsteinem na Charenton

Spotkanie z Lutkiem Stommą w jakiejś kafejce w XVIII dzielnicy. Paryż, rok 1984. Nie mogłem się oprzeć wrażeniu, żeśmy obaj uciekli z kart *Straconych złudzeń*: on, zakorzeniony już od lat kilku Rastignac, tłumaczył przybyłemu z prowincji wielkiemu człowiekowi, że się spóźnił – już wszystkie miejsca powstałe z solidarności Francuzów zajęte. Można jednak spróbować wejść na któryś z salonów.

– Masz dziś trzy drogi – rzekl. – Możesz przystać do gejów, księży lub zgłosić akces do Gminy. No cóż, tobie – westchnął, przyglądając mi się krytycznie – jedni tylko księża pozostają. To jednak najbardziej kruche wsparcie.

Potwierdził to Marek Tabin, który właśnie z gminnego klucza po wracającym do Polski (by zostać deportowanym) Sewku Blumsztajnie otrzymał posadę w CGT (francuskiej centrali związkowej, przy której działało paryskie przedstawicielstwo podziemnej „Solidarności”). Tylko Gmina jest skuteczna.

– No, ale co ty masz z nią wspólnego? – pytam.

– Nieważne. Istotne, że się do niej przyznaję, zresztą moja pierwsza żona miała gminne korzenie. To wystarczy.



W diasporze nie trzeba się urodzić ani nawet wychować – wystarczy przyznać się do niej. Można to zrobić z pokorą lub też autoironicznie, jak choćby Broniek Wildstein – poznany na przyjęciu w Charenton w przeniesionym z ulicy Kieleckiej w Warszawie salonie Noemi i Andrzeja Bogusławskich.

Noemi i Andrzej Bogusławscy, Paryż 1984

– A ty skąd jesteś, Bronku? – pytam ówczesnego redaktora naczelnego paryskiego „Kontaktu” wydawanego przez Mirka Chojeckiego. Ciekaw byłem, z jakiego w Polsce miasta pochodzi.

– Ja jestem góral z Góry Synaj – odparł mi na to Mazur spod Przemysła, co studiował w Krakowie.

Przyznam, że mnie wparło. I ciągle nie mogę wyjść z zadziwienia. Ja po prostu ani wtedy, ani dziś nie umiem dzielić Polaków. Nigdy nie było we mnie poczucia innej niż językowa, jakiejś plemiennej wspólnoty. Nauczono mnie, że wszystkie kryteria winny być obiektywne, kumoterstwo zakazane, nepotyzm grzeszny, protekcja skandalem.



Jan Lebenstein, 1966

*epreuve d'artiste-
odbitka własnoręczna
na papierze
26,5x39 cm w świetle
passe-partout,
sygn. l.d. Lebenstein 66*

wł. prywatna



A. T. Kijowski,
B. Wildstein,
Warszawa 2006

Fot. J. M. Goliszewski

I cóż mam powiedzieć dziś, gdy nie mający swych korzeni w diasporze ludzie coraz częściej czują się odrzuceni – jakby we własnym domu byli intruzami!?

W czasach walki o niepodległość nie było to odczuwalne. Wszyscy byliśmy prześladowani przez ustrój. Do naszej więc dyspozycji, wszystkich opozycjonistów, były środki zgromadzone na ratowanie diaspory.

Korzystałem z nich w drobnym zakresie. Przecież ambicje były większe. Marzyłem wtedy, by zostać w Paryżu, dostać się na Uniwersytet, zgłębiać teatrologię, z której już miałem doktorat. Moim oparciem w tym mieście była od zawsze, jeszcze przed wojną zamieszkała na paryskich Bagnach (le Marais), Olga Scherer-Virsky.

Olga była cztery lata starszą przyjaciółką mego ojca jeszcze z krakowskich czasów szkolnych. Zajmowała się językoznawstwem, komparatystyką, generatywistami. Pisała też powieści po polsku, takie jak choćby wydana w paryskiej Kulturze *W czas morowy*. Związana długo z malarzem Janem Lebensteinem, była duszą polskiej emigracji, dysponowała funduszami na wspieranie polskiej kultury niezależnej. Niezawodna depozytariuszka pieniędzy, informacji i... miłości dalmatyńskiej Damy.

Poznałem ją jeszcze w 1975 roku podczas mego pierwszego pobytu w Paryżu. Między kartami wielotomowego Słownika Języka Polskiego przechowywała Olga studolarowe zaskórniaki dla przybyszy zza żelaznej kurtyny. Zapraszała na lody, wspierała radami. To ona wprowadziła mnie na Surcouf do Księży

Pallotynów. Tego czerwcowego dnia poznałem Miłosza i księdza Józefa Sadzika, a także już u Lebensteina w domu – twórcę socjologii teatru Aleksandra Hertza.

Teraz, w 1984 roku, Olga pracowała jako profesor na Uniwersytecie Saint-Denis. Wyznałem jej, że marzę o poznaniu pracującego na tej uczelni guru francuskiej teatrologii André Veinsteina. Olga natychmiast zaaranżowała mi spotkanie z autorem *La mise en scene théâtrale*. W umówionym dniu zabrała mnie swoim samochodem na ten skądinąd paskudny, oblegany przez komunizujących kolorowych kampus. Kiedy jednak już wchodzić miałem do gabinetu profesora, ujęła mnie jakoś tak serdecznie i powiedziała dość dobitnie:

– Tylko pamiętaj, Jędreku, jak będziesz rozmawiał z profesorem, nie zapomnij powiedzieć, że jesteś moim kuzynem.

Zgłupiałem. Miałem równo trzydzieści lat i w ogóle nie rozumiałem, o co Oldze chodzi. Veinstein, Lebenstein, Wildstein czy Scherer – a mnie nawet do głowy nie przyszło, że poza polską, francuską czy zawodową może ich łączyć jakaś więź silniejsza. Uciekinier z polskiej utopii mimo przeżycia Marca '68, nadal nie wiedziałem, że istnieje coś takiego jak Gmina. A przecież według mej wiedzy nie byliśmy rodziną. Przyjaźń to jedno – kłamstwo to rzecz druga.

Rozmowa z profesorem była miła i pouczająca. Nie znalazłem jednak w niej miejsca na wtrącenie wątpliwych informacji rodzinnych, którymi profesor, jak sądziłem, mało by był zainteresowany. Próbowałem go przekonać moją teorią teatru, aby dał mi szansę kształcenia się u jego boku. No cóż, usłyszałem kilka komplementów, parę ważnych rad, i z nimi przyszło powrócić do Polski. Do Polski, w której długo, bardzo długo nie mogłem jeszcze elementów tego puzzla poskładać. A kiedy poskładałem? Może dopiero wtedy, gdy nieoczekiwaną konwersję zaczęła przechodzić Bocheńska.

XIV OBYŚ NIE MIAŁ WNUKÓW

O Bocheńskiej już było. I było, że jest jej wiele. Może nawet więcej. Małgosia z domu nazywa się Gąsiorowska i jest kuzynką wybitnego polskiego pisarza, autora *Huraganu i Księżny Łowickiej* – Wacława Gąsiorowskiego. Jest też siostrą rodzoną marksizującego poety z pokolenia Hybryd – Krzysztofa Gąsiorowskiego.

Małgosia jest matką. Bywała nawet Matką Polką. W swym Salonie 101 hołubiła polską pravicę z zajmującym krótko stanowisko jej męża Janem Parysem czy stawiającym pierwsze kroki na polskich salonach Radkiem Sikorskim. Słowem – jak ją kiedyś podsumowała Iza Cywińska – pravicowa kanapa.

Ta kanapa poniosła jednak w Polsce Niepodległej totalną klęskę. Upadł rząd Olszewskiego. Wszystkie próby stworzenia instytucji kultury czy mediów rodzinnymi rękami spaliły na panewce. Gazety, telewizja, prywatne radio – wszystko znalazło się pod obcym wpływem. Mniej więcej w tym samym czasie, gdy siłowo zamknięto moją Nową Telewizję Warszawa, tworzoną przez Mirka Chojeckiego, czyli około 1995 roku – Małgorzatę brutalnie wyrzucono z telewizji publicznej.

Znalazłszy się bez środków do życia – nie od razu, nie od razu – musiała uznać, że nie ma wyjścia. Zgłosiła akces do Gminy. Nic pewnego nie wiedząc o Ricie, swej matce włoskiego pochodzenia, przyznała się do diaspory.

Znów oniemiałem, znając na dodatek jej opowieść o bracie Krzysztofie. Gąsior bowiem, by żyć publicznie, miast z diasporą bratał się z komuną. A czynił tak także i dlatego, że jak mi to sama Małgosia powiedziała, kontrolujący środowisko poetyckie depozytariusze diaspory wyraźnie i wprost mu powiedzieli, żeby się strzegł, bo jest – cudzy. W Polsce komunistycznej bowiem, poza tymi trzema wskazanymi przez autora *Żywotów zdań swawolnych* klasycznymi drogami nowożytniej kariery, była jeszcze czwarta: możliwość akcesu do partii. Tę wybrał był Krzysztof, co dowodzi, że kariery pragnął nadmiernie. Rodzinnie jednak nie czuł się związany z żadną zdolną mu to ułatwić wspólnotą.

Tymczasem jego rodzona, z tej samej matki i ojca powita siostra po opozycyjnych bojach, telewizyjnych przejściach i prawicowych ekscesach nagle odkryła w sobie duszę szabańnika. Dom Bocheńskiej na Saskiej stał się z początkiem nowego tysiąclecia miejscem spotkań rabinów. Przyjdzie taki dzień, gdy niczym paryska Olga ofiaruje mi myckę i łańcuszek z Gwiazdą Dawida.

No cóż, gest miły. I akt solidarności się liczy. Ja jednak nie potrafię wyrwać z serca szkaplerza z chrztu i odżegnać się od medalika dzieciństwa z Matką Boską Ostrobramską w szczerym złocie...

Więc przyjdzie i taka, bardzo, bardzo nieodległa chwila, gdy już wszystko niemal pojawiwszy, w rozgoryczeniu wyrzucę Małgosi to szaleństwo zamykającej się diaspory.

– Jak kiedyś sklepikarze i chłopci mieli dość tandety sprzedawanej w sklepikach z getta – powiem – tak nadejść mogą czasy, gdy inteligenci europejscy przypomną sobie, że nie wszyscy pochodzą z Góry Synaj. Jeszcze nie ja, zbyt dobrze znam dzieje Holocaustu, nawet nie córki moje. Lecz jak tak dalej pójdzie, nasze wnuki mogą panoszącym się ponad miarę wskazać drzwi na pustynię.

– Obyś nie miał wnuka – rzuciła kłótwę konwertytka.

XV INSTYTUCJA GMINY

Wszędzie, gdzie mechanizm dziedziczenia czy wręcz wojennej zdobyczy chce być zastąpiony przez system dotacji, budżetów czy posad – wszędzie tam rozpoznaje się Gmina. Rozpoznaje się, gdyż to na jej modłę wymyślone zostały wszystkie: czy to komunistyczne dotacje, czy z tej samej utopii sprawiedliwego podziału wysysane unijne fundusze strukturalne oraz dopłaty bezpośrednie.

Pojęcie instytucji stoi u podstaw romantycznej *episteme* ukształtowanej przeszło dwieście lat temu. Wyrazem tej epoki jest laicka instytucja. Jej organizację najlepiej wciela w sobie Gmina. Gmina jest zapleczem instytucji i jej pierwowzorem. Określa mechanizm, który w XIX i XX wieku podporządkował sobie praktycznie wszystkie sfery życia nazywanego społecznym. Jej współczesnym kształtem jest biurokracja, zapleczem urzędnicza inteligencja, główną bazą materialną: media, handel i banki.

A przynależność do niej nie jest kwestią genów czy rasy, lecz zgody na mimikrę, wyparcie się wiary ojców, akceptację uproszczonego światopoglądu, który niegdyś nazywano materialistycznym, a dziś sprowadzony został do jeszcze banalniejszej postaci. Zdefiniowany jeszcze przez socjologów amerykańskich „proletariat w białych kołnierzykach” najkrócej scharakteryzować dziś można przez ochraniającą wszystkie mniejszości i słabszych tzw. „polityczną poprawność”.

Wszystkie te sfery, które podlegają instytucjonalizacji, stają się zarazem zakładnikami zasad funkcjonowania Gminy. Przejawia się to, co oczywiste, w szczególnym zinstytucjonalizowaniu środowisk naukowych, artystycznych i filmowych. Także teatralnych. A poziom dominacji jest pochodną stopnia skomplikowania i kosztowności organizacji artystycznej. Stąd w sferach filmowych jest on zdecydowanie największy. W teatralnych – też niemały.

Powoli, bardzo powoli to do mnie docierało, że teatr jest nie tylko recytacją, nie tylko zachwytem, „świśnięciem szablą koło ucha” przedszkolakom

sluchającym Pani Twardowskiej. Że teatr jest nie tylko ideą, fascynacją i porwanym tłumem, lecz także urzędem i instytucją. Instytucją, na którą przekładają się mechanizmy ustrojowe.

Kiedyś – to znaczy w czasach realnego socjalizmu – wystarczyło mieć poparcie w Wydziale Kultury KC, nad którego składem najczęściej panowała Gmina. A dziś? Cofnijmy się jednak do korzeni...

ODSŁONA TRZECIA

PERYPETIE
z urzędnikami

I

SZPITAL ŚWIĘTEGO DUCHA

Rujnowały go dwa powstania: Warszawskie z 1 sierpnia 1944 roku i to z 19 kwietnia roku 1943, też warszawskie, tyle że zamknięte w Getcie, na którego granicy przy ulicy Elektoralnej 12 był położony. Najwięcej jednak ucierpiał w trakcie obrony Warszawy, gdy 25 września 1939 roku, bestialsko zbombardowany, stał się mogiłą płonących w nim pacjentów i lekarzy.

Szpital Świętego Ducha założony w XV wieku długo, bo od 15 października 1861 roku aż po czas II wojny, będzie po przeniesieniu z Piwnej najnowocześniejszą lecznicą Warszawy.

Odbudowany w 1953 roku, został przekształcony w Dom Kultury. Początkowo Związków Zawodowych, potem nazwano go Warszawskim Ośrodkiem Kultury. Różne były jego dzieje i dyrektorzy. Komisarz stanu wojennego Jan Rodzeń kieruje dziś Klubem Księgarza, inny arystokrata (Gerard Połczyński) pracował później w Muzeum Lenina, jeszcze inny, Wiesław Rudzki, był aktorem i przyjacielem dyrektora Wydziału Kultury Andrzeja Hagemajera. Po opuszczeniu przeze mnie posady w „Nowym Świecie” – czyli po tym, jak mnie zeń Piotr Wierzbicki na zbity pysk wywalił za zredagowanie obiektywnej rozkładówki na temat firmy Batax, musicalu *Metro* i pisma „Obserwator Codzienny” kształtującego się medialnego imperium Wiktora Kubiaka – był nawet krótki czas, gdy tam pracowałem, proponując Wojewodzie odtworzenie Warszawskiego Informatora Kulturalnego. *Nolens volens* (bardziej jednak *nolens*) Rudzki przyjął mnie do pracy wraz z Anuszką Kowalską, a następnie robił wszystko, by mnie (jeszcze wtedy marszałka Sejmiku) zrazić. Gdy nie udało mu się mnie wykurzyć mianując redaktorem naczelnym wymyślonego przeze mnie pisma Julka Gostkowskiego (bośmy się w piętnaście minut rozpoznali jako fachowcy i niemal zaprzyjaźnili), odmówił mi urlopu bezpłatnego na wyjazd na telewizyjne szkolenie do sardyńskiej Cagliari. I tak z wydawcy zmieniwszy się w prezentera telewizyjnego, pierwszy raz

rozstałem się z budynkiem między Mirowem a Czystem. Ale to było w czasie Pierwszego Ogródka, w 1992 roku. W 1998 poczułem, że kończą się zarty. Próbowałem wstąpić z Ogródkiem na schody...

Zacząłem od tego, że zarejestrowałem fundację. Nazwałem ją Kultura Tu-taj Obecna, by logo i skrót miały te same litery, co festiwal. Jury z Jackiem Sieradzkim, Wandą Zwinogrodzką i Pawłem Konicem po ludycznym VII festiwalu na Rynku Mariensztackim wprawdzie się ode mnie odwróciło, ale zarówno Iza Cywińska, jak Maciej Wojtyzsko nie odmówili wsparcia w Radzie Fundacji. Statut (wyjąwszy fragment merytoryczny) udostępniła mi tworząca w tym samym czasie fundację Salonu 101 Małgosia Bocheńska. Bardzo się on spodobał mecenasowi Edwardowi Wendemu, z którym znaleźmy się jeszcze z czasów NTW. (Często go tam razem z Falandyszem zapraszałem. Obydwaj już nie żyją). Wende poza tym mieszkał nieopodal, a na podwórku w garażu mojej klatki schodowej domu przy Długiej trzymał swój motor kawasaki.

Warto być harleyowcem! Szczególnie gdy przyjdzie umierać. 5 czerwca 2002 roku na pogrzeb mecenasa Wendego, senatora RP, prócz posłów, palestry i przyjaciół stawilo się przeszło stu starszych panów w skórzanych kurtkach, obwieszonych łańcuchami. A gdy trumnę wyniesiono ze zboru ewangelicko-augsburskiego przy pl. Małachowskiego, zawyły motory, klaksony zatrafiły pod niebiosa i w stronę cmentarza odprowadzała ambasadora pełnomocnego i nadzwyczajnego Księstwa Luksemburga w Polsce kawalkada, jakiej nie powstydziłby się niejeden prezydent. To jest właśnie teatr! I dla takiego teatru warto żyć. A nawet umierać.

Mecenasowi Wendemu zatem zawdzięczałem fundację, zarejestrowaną w pierwszych miesiącach 1999 roku. Założyłem ją, gdy wydawało się, że przejmujemy władzę. Choć prawo nie było jeszcze tak restrykcyjne, jak potem, gdy ją przejmujemy wraz z Kaczorami. Teraz do głosu dochodził AWS. Z drugiej strony Wałęsa sromotnie przegrał drugą kampanię, za co i ja ponoszę małą część odpowiedzialności. No, w każdym razie wiem, kto ponosi. Byłem przy tym, gdy na miesiąc przed kampanią Mirek Chojecki zlecał zadanie firmie Kalejdoskop Janka Kidawy-Błońskiego.

Nie należy jej mylić z firmą Kalejdoskop – Nowa Korporacja Andrzeja Urbańskiego i Ryszarda Nawrata, przez którą w 2005 roku, gdy nagle „Rzeczpospolita” przypomni biznesowy epizod w życiu pierwszego szefa Kancelarii Prezydenta RP Lecha Kaczyńskiego, Andrzej straci to stanowisko. Takie są nasze obyczaje – oskarżenia bez pokrycia. Doskonale pamiętam, kiedy Urbański wszystkie

swoje firmy służące do obsługi jego telewizyjnych programów publicystycznych pozamykał. Było to dobre cztery lata przed epizodem prezydenckim, w jakimś 2002 roku. Ale siła obmowy jest niezniszczalna. Nawet w końcu błogosławiona. Z perspektywy tragedii smoleńskiej możemy stwierdzić, że częsta rotacja na stanowisku Kanclerza RP – Urbańskiemu ocaliła życie.

U Kidawy-Błońskiego widziałem zatem najmarniejsze kasety typu Beta marki Scotch (o których operatorzy mawiali, że służą do klejenia głowic), na których tę kampanię się nagrywało. Wiem, ile mi płacono i kto przyszedł na moje miejsce, gdy (na dwa tygodnie przed drugą turą) w toku kampanii zażądałem nieco wyższej stawki. Amatorszczyzna, złodziejstwo, małość!!!

Ale to było wcześniej – w roku 1995 bodaj. Teraz jest 1998. Wygraliśmy wybory parlamentarne. Z formacją AWS-u, w której z Rokitą obok Płażyńskiego dzielimy Polskę na województwa. Wicepremier Tomaszewski na swej pisaneczce ma ich dwanaście. I w tym wszystkim: tu agitując za programem osłonowym dla likwidowanych województw w jakimś ministerstwie, tu znów próbując przebić się do telewizji publicznej z prywatnym newsem – w tym wszystkim... psy zjadły.

Nie było wyjścia. Dowiedziawszy się o konkursie, postanowiłem kandydować na stanowisko dyrektora Warszawskiego Ośrodka Kultury. Czyli znów do Szpitala Świętego Ducha – na Elektoralną.

Konkurs wygrałem najlegalniej w świecie. Z poparciem Andrzeja Hagmajera, Krzysztofa Marszałka i Macieja Klimczaka, który reprezentował ministerstwo. Słowem – sama merytoryczna postkomuna!

Najciężej było z byłym aktorem, a podówczas namiestnikiem kulturalnym u wojewody Gieleckiego – Maciejem Rayzacherem z AWS, pewnym siebie, próżnym, butnym. Ale jakoś go do zatwierdzenia wyniku konkursu przekonano. Nie zdecydował się kandydować Sławek Kuczmirowski, szef ochockiego OKA, którego miano za faworyta. Ani jego zastępczyni Bożena Majewska, żona śpiewającego Marka kuplecisty, która też głęboko siedzi w jakimś raczej platformerskim, jak go się dziś nazywa, układzie. Więc zostałem dyrektorem szpitala na ulicy Elektoralnej i... zacząłem pierwsze starcie z pacjentami, co się nazywają animator kultury. Słowem, zjadaczy chleba w aniołów, a dom kultury w europejskie centrum przerobić mi się zachciało.

Zatrudniłem Małgosię Bocheńską, by tworzyła Studio Aranżacji Spotkań, a także świeżo zwolnionego szefa II Programu TVP Macieja Domańskiego,

z którym zaczęliśmy na bazie mojego Ogródka projektować Festiwal Wisła Żywa. Myślałem tam o poważnej instytucji, rodzaju agencji informacyjnej zbierającej i systematyzującej bazy danych dotyczących zjawisk kultury z całego województwa. Agencję chciałem robić z Markiem Perytem, jednym z pierwszych partnerów IBM w Polsce. Miałem tam także bibliotekę, którą (to już półżartem) byłem skłonny oddać zdymisjonowanemu ze stanowiska dyrektora Biblioteki Narodowej profesorowi Adamowi Manikowskiemu. Słowem, poprzewracane miałem w głowie.

Pozbyto się mnie, zanim zdążyłem ziewnąć. Związkowcy nie odstępowali gabinetów: jedni rozbili obóz pod Sejmikiem, inni czatowali w ministerstwie. Dyrektorem przestałem być bodaj w maju 1999. I... jakby nigdy nic, ruszyłem organizować VIII Konkurs Teatrów Ogródkowych. Po raz pierwszy w Dolinie Szwajcarskiej.

Wydawało się, że mam co trzeba: firmę, fundację, pozycję i sensowne plany. Wszystko, poza jednym co zasadniczo odróżnia mnie od Adasia Michnika – rzecz w tym, że ja: kolegów nie mam.

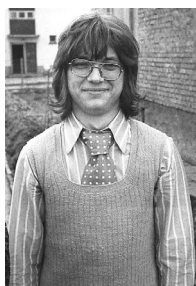
II

ANDRZEJ URBAŃSKI

czyli kolega

Kolegę mam jednego. Nazywa się Andrzej Urbański. I pewnie nie pisałbym dziś tej książki, gdyby przez cały czas moich zmagania z historią i kulturą nie było Andrzeja gdzieś w tle.

Poznaliśmy się przeszło trzydzieści lat temu, gdy największa swatka pokolenia, czyli kierowniczką dziekanatu wrzuciła nas do tej samej piątej grupy na warszawskiej polonistyce. Czasem myślę, by napisać szekspirowską komedię o Losie, który trzyma w szufladzie taka pani z Toku Studiów, segregując świeżo upieczonych studentów



*Andrzej
Urbański,
1974*

w stosunku, jak to wypada na polonistyce, czterech panów na dwadzieścia pań...

Oczywiście szybko ukształtowały się pary.

Najpierw sam kręciłem się koło Bożeny, późniejszej żony Andrzeja, a Andrzej flirtował z Elą, która jednak spędziła studia z Krzysiem Cołoszyńskim z sąsiedniej grupy. Cołosz w stanie wojennym zrobił małą karierę w telewizji, a dziś ma chyba jeszcze program o samochodach w Trójce. Ela ostatecznie wyszła za jakiegoś parasolnika, ja zaś studiowałem z Krysią (we wczesnych latach 90. wydała tom niezłych wierszy, które recenzowałem). Andrzej połączył się z Bożeną, która potraktowała go jak na załączonym obrazku widać – jako narzędzia tortur używając między innymi pewnego wysokiego dziś redaktora „Gazety Wyborczej”, co lepiej niż ideologia tłumaczyć może późniejsze podziały.. A potem odfrunęła za morze. Dziś profesor Bożena Karwowska ma się dobrze. Do Polski czasem wpada, uzyskala polonistyczny tenure gdzieś w Kanadzie.

Moja z Andrzejem przyjaźń zaczęła się chyba na korytarzu Polonistyki, gdy zastanawialiśmy się, gdzie i kto urządzi andrzejki. Byłem już starostą grupy (przezywali mnie Gruppenführer), więc strasznie chciałem do siebie. Inni chcieli do Andrzeja. Szykowałem się rozłam w grupie, który przyszedł negocjator w rządzie Buzka i ekipie Kaczyńskich natychmiast rozwiązał salomonowo.

– No, to widzę, że szykują się dwie imprezy z tańcami – zawyrokowałem.

– Nie ma sensu – zaproponowałem. – Urządźmy imprezę wspólnie, nie ma problemu, by odbyła się w Aninie. U mnie spotkamy się przy innej okazji – choćby na Sylwestra.

Od tej imprezy, od bigosu wieszonego pośpiesznym linią „F” przez starającą się już o względy Andrzeja Bożenę, od sałatek dostarczanych przez Elę i wypieków mojej Krysi zaczęła się przyjaźń, która przetrwała trzy rozwody (dwa moje, jeden jego), pokusy kariery późnego Gierka (gdy Andrzej przez moment stał się pupilkim pani Ireny Dziedzic i nawet poprowadził niedzielne wydanie „Dziennika Telewizyjnego” w jakimś ‘77 roku), pierwsze akcje opozycyjne związane ze śmiercią Stanisława Pyjasa, napięcia stanu wojennego, wolną amerykańką piętnastolecia międzysojuszniczego.



*Bożena Krasiejko
(później Urbańska)
i Andrzej Urbański*

Rozumiemy się w pół słowa

Podzieleni już na pary

Jak motyle kwiatopijce

Zakutani szaliczkami

Uśmiechnięci – rozmarzeni.

Uśmiechnięci – rozmarzeni.

Spotykamy się na rogu

W barze mlecznym na ulicy

Rozmieniamy na złotówki

Na pociechę na automat

Umawiamy się na kawę.

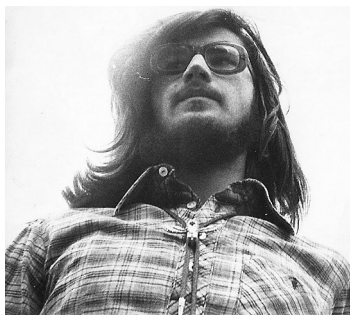
Umawiamy się na kawę.

Andrzej grał na pianinie, trochę komponował do tych moich wierszy, sam zresztą też pisał. Ja śpiewałem i tak zaczęła się nasza zabawa w studencki teatro-kabaret. Program poetycko-muzyczny, ale fabularyzowany, złożony z naszych (tzn. Andrzeja i moich) wierszy, z muzyką Andrzeja, który akompaniował, a występowali w tym przedstawieniu m.in. Grześ Godlewski, Michał Boni, Dorota Jovanka Cirlić, no i piszący te słowa.

Rzecz rozgrywała się w Sigmie pod auspicjami SZSP, ale – i to jest rzecz, która nas szczególnie zbliżyła – do tej organizacji nikt z naszej grupy nie należał. A był w tym mój wpływ, i to nie z kontaktów domowych, lecz kuroniowskich, płynących z harcerstwa. Od Wojtka Rozmusa i Saszki Gurjanowa jakoś związanych ze Zrzeszeniem Studentów Polskich (ZSP) przekształcanym właśnie w SZSP wiedziałem, że organizacja tworzona przez „późnego Gierka”, który wszędzie dodawał słówko „socjalizm”, to już nie jest towarzystwo dla społecznych ludzi.

Jednym z powodów mojego rozstania się z harcerstwem był też fakt, że gdy zameldowałem się po powrocie z maturalnego urlopu u drużny harcmistrz PRL Elżbiety Radwańskiej, ta typowa ciocia rewolucji zaproponowała mi przydział do HSPS (Harcerskiej Służby Polsce Socjalistycznej). Nie byłem już na tym etapie. Nie chcieliśmy socjalizmu, i tyle. Tak dalece, że jak opowiedziałem moim kolegom, co wiedziałem o Marcu, nikt się już z mojej polonistycznej grupy do SZSP nie zapisał. Straciłem zresztą przez to stanowisko starosty roku. Byłem nim nieformalnie przez pierwszy miesiąc studiów, ale gdy odmówiłem wstąpienia do SZSP, po jakimś czasie dowiedziałem się, że starostę grupy wybierają wprawdzie studenci całkiem demokratycznie, starostę roku jednakowoż starości grup wskazują już ze swojego grona, ale ograniczonego do członków organizacji studenckiej – jedynej, czyli SZSP.

Jest zatem rok 1973, no, raczej 1974, bo przyszedł styczeń czy marzec. Prezentujemy montaż poetycko-muzyczny pt. *Meteor* Urbańskiego i mego autorstwa w klubie studenckim Sigma. Jako starosta, biorę na siebie negocjacje z SZSP, które okazują się proste. Bardzo łatwo dostajemy zgodę na odbywanie prób i prezentację spektaklu. Jesteśmy grupą całkiem nieformalną i żadnej nie podlegamy cenzurze. Przedstawienie odbyło się raz czy dwa razy. Był jeden plakat. Za to na widowni z Dorotką Jovanką Cirlić – Stanisław Latałło z aparatem fotograficznym.



A.T. Kijowski, 1977

I gdzie się te zdjęcia podziały? Miałyby dziś swoją cenę, i ze względu na tych, których pokazywały, i tego, kto je robił. Bo Latałło, który po zagranii głównej roli w *Iluminacji* Krzysztofa Zanussiego zginie tragicznie w Himalajach, operator, aktor i filmowiec – to była dla nas postać prawdziwie kultowa.

Potem zrobiliśmy jeszcze jeden spektakl. Wtedy zaprosił nas na górkę zawsze gruby, jak na komunistycznego aparatczyka przystało, Witek Olejarz (późniejszy przez lata szef administracyjny Teatru Nowego pod kierownictwem Hanuszkiewicza, a następnie naczelny szef Rampy, gdy ją obejmie Prochyra).

– No fajnie, chłopcy – powiedział. – Zupełnie wam to ładnie wychodzi. Chcecie się w tym realizować?

– Czemu nie – odparliśmy chórem.

– No to ja mam dla was taką propozycję – zwrócił się tonem Bogusia Sobczuka z filmu *Falka* czy wczesnego *Kieślowskiego*.

– My tu, widzicie, mamy kilka zaproszeń na festiwale: piosenki żołnierskiej w Kołobrzegu, potem na Famę. Szczególnie dla tych żołnierzy coś musimy zrobić. Więc walnijcie proszę jakiś skeczyk czy piosenkę dla mundurowych, a my się już wami zaopiekujemy.

Popatrzyłem na Andrzeja, Jędreka na mnie – już miałem coś zasunąć z grubej rury, ale Andrzej wstrzymał mnie spojrzeniem.

– No dobrze – powiedział – ciekawa propozycja, ale musimy się zastanowić.

– Jak tam sobie chcecie, ale nie kombinujcie za długo, bo jest wielu chętnych na ten wyjazd.

Wyszliśmy i na schodach parsknęliśmy śmiechem.

– Chrzanić to? – spytałem.

– Jasne – odparł Jędrzek.

(Ach te dziewczyny, morze wódki, a dziś... członkostwo w Stowarzyszeniu Ordynacka byłoby murowane...). Byłbym dziś jakimś Śmigielskim albo i Pacudą.

No tak, ale to był rok 1974. Gdybyśmy jednak znaleźli się tam dziesięć lat wcześniej? Czy któryś z nas byłby dziś Wolskim, a inny Pietrzakiem? A może '68 rok wyniósłby nas za granicę (raczej nie, bo nikt na nas w kibucu nie czekał ani nie zapraszał do Uppsali).

Nasz rok polonistów był dość specyficzny. Chyba sporo, choć w różnych sferach, było wśród nas wybitnych postaci. Byliśmy rocznikiem 1954 – z tego roku jest wszak i Zbyszek Bujak, i... Aleksander Kwaśniewski. Na naszym roku był i Marek Karpiński, późniejszy rzecznik Wałęsy, który powrócił na studia po relegacji w '68 (ściślej po zamknięciu wówczas socjologii), i Aleksandra Jakubowska (ta od torebki i grupy trzymającej władzę). I Piotr Bratkowski z „Newsweka”, i Ryś Holzer, i Paweł Konic, o którym już było.

Czemu więc ja kolegów nie mam?

III CZŁOWIEK POLITYCZNY

Z Urbańskim nie rozstawaliśmy się aż do ślubów, na których zresztą kilkakrotnie świadczyliśmy sobie nawzajem.

Ja cały czas miałem w głowie Szkołę Teatralną. Wywalczyłem IPS, czyli indywidualny program studiów. Myślałem o reżyserii. Andrzej wpadł pod silny wpływ Mencwela, a przede wszystkim Siekierskiego, którzy pokierowali go w stronę socjologii kultury. Skończyłem studia przedwcześnie, marząc o reżyserii. Rozstałem się z Krysią, a Andrzej – wydawało się – z Bożeną. Ruszyliśmy na męskie wczasy do Zawoi, przez Jaszczury, gdzie mi ukradziono pięćdziesiąt dolarów wiezione dla babci od cici z Ameryki. To były dwie ówczesne miesięczne pensje. Straciłem w ten sposób niemal całą nagrodę, jaką mi przyznano za dyplom z wyróżnieniem. Mimo iż „wyrzeźbiłem” (siedząc z Andrzejem w Zawoi) egzemplarz reżyserski *Heddy Gabler*, jakiego Schiller (oczywiście Leon) by się nie powstydział, nie zechcieli mnie na reżyserii. Po powrocie rozpocząłem staż u Erwina Axera przy *Kordianie* (sezon 1976/1977). Bez powodzenia (mimo dyplomu z wyróżnieniem) starałem się o miejsce na polonistycznym studium doktoranckim (Andrzej Lam ocenił, że mam umysłowość eseisty, a nie badacza), wreszcie osiadłem na doktoranturze w IFiS PAN. Andrzej jeszcze studiował.

Nie wiem, co nas napadło, by żenić się tak szybko. Chęć ucieczki z domu? Pragnienie samodzielności? W styczniu 1977 Jędrzek oświadczył, że się żeni. Z Bożeną, z którą stosunki układały mu się już już marnie. Nie zdołałem go od tego odwieść, choć przyznam uczciwie – próbowałem.

Ja na taki sam pomysł wpadłem po trzech miesiącach. Tyle że zmieniłem partnerkę. W „Dialogu”, do którego zacząłem pisywać, *coup de foudre* walnął o blat redaktor Szpakowskiej i tak na dziesięć lat popadłem we władanie Ani z blond lokami.

Panie Bożena i Anna nie przypadły sobie jednak specjalnie do gustu, więc też i nasze kontakty się ograniczyły. To znaczy, tak stwierdził Andrzej. Wydawało się dopiero po trzydziestu latach, że panie zgadały się kiedyś na ten temat i nie rozumiały, co jest grane. Może zatem moje odwodzenie Andrzeja od wyboru Bożeny miało tu znaczenie. Politycznie dyskretny, w życiu codziennym jest paplą i od kobiet bardzo uzależniony. Jednak z mojej przynajmniej strony myślałem o Jędrku zawsze, gdy stawały poważne zadania.

Jak trafiłem na Elę Grünberg-Bąkowską (rok starszą koleżankę z Batorego), od której dostawałem pierwsze biuletyny KOR-u do przepisywania na maszynie – nie pomnę.

Pamiętam jednak wizyty u niej na Żoliborzu w charakterze, jak mnie nazywała, „swego mięsa armatniego” i jej małą córeczkę Franciszkę¹ śpiącą na bibule. Biuletyny oczywiście dostarczałem m.in. Andrzejowi, który jeszcze grzecznie kończył studia u swych czerwonych promotorów.

Aż przyszły owe imieniny mego Ojca w 1977 roku w listopadzie. To było na Jaworzyńskiej. Adam Michnik wiedział, że po ślubie mieszkam z Anią na Nowomiejskiej w kwaterekowym studio państwa Marii i Kazimierza Brandyśów. Prosił, bym udostępnił je na skład bibuły dla Mirka Chojeckiego. Musieli na gwałt opróżnić jakiś namierzany lokal. Trafił więc pod moje skrzydła cały nakład

1 LENA FISZMAN' S FAMILY TREE

Elzbieta GRUNBERG [Parents: Karol GRUNBERG was born on 23 Jul 1923 in Poland. Karol married Hanna LANDAU in Poland. Hanna LANDAU was born on 29 Apr 1919 in Radom, Poland. She died in 2003.] – was born on 10 Feb 1953 in Poland. Elzbieta married Pawel BAKOWSKI in Poland.

They had the following children.

F i Franciszka Anna BAKOWSKA was born on 13 Apr 1976.

M ii Krzysztof Pawel BAKOWSKI was born on 1 Mar 1978.

Elę odnalazłem ostatnio w Stanach, przez portal Nasza Klasa. Kilka dni temu odwiedziła mnie nawet w Warszawie. Tak pisze o sobie:

Od 1983 mieszkam w Stanach z mężem. Dzieci już są dorosłe. Franciszka ma dwie córeczki. Ona i mąż są komputerowcami. Ja oczywiście jestem bez pamięci zakochana we wnuczkach: jedna ma 2 lata, druga 2,5 miesiąca. Krzys i jego żona też są komputerowcami. Dzieci jeszcze nie mają. Pawel (mój mąż) uczy komputerów. Ja jestem chemiczką. W Stanach zrobiłam doktorat. Mamy czarno-białą cocker spanielkę i czarnego kota. Mieszkamy w malutkiej miejscowości Bear w stanie Delaware. Mniej więcej w połowie drogi między Waszyngtonem i Nowym Jorkiem. Godziny jazdy od Baltimore i od Filadelfii. Bardzo lubimy gości. Zawsze się można u nas zatrzymać. Utrzymuję kontakt z kilkoma naszymi koleżankami, które mieszkają w USA (głównie z Anią Olszewską i Ewą Pytowską oraz z Moniką Lange z klasy A). Mam nadzieję, że One się niedługo odezwą i dopiszą do naszej klasy.

Czym się aktualnie zajmuję?

Jestem Dyrektorem Technicznym w NMS Labs. To jest prywatne laboratorium kliniczno-kryminalistyczne niedaleko Filadelfii. Zajmuję się badaniami naukowymi. Głównie zatruciami metalami ciężkimi. Od kilku lat w szczególności zatruciami arsenikiem. Jestem też ekspertem sądowym.

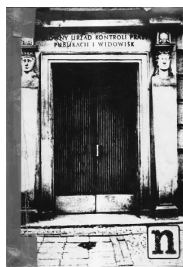
Księgi Cenzury, opracowanej na podstawie zapisów GUKPPiW wywiezionych przez Tomasza Strzyżewskiego do Szwecji.

To w tym mieszkaniu na Nowowiejskiej Urbański poznał Michnika. Był już po studiach. Siekierski załatwił mu posadę w Urzędzie Miasta w Wydziale Kultury, pod skrzydłami Krystyna Weremowicza, który do dziś krąży wokół prawicowych urzędników. Jednak prawdziwy ingres Andrzeja do opozycji nie był zasługą moją, lecz przypadku, który sprawił, że przeniósłszy się po roku pracy w magistracie do Instytutu Książki i Czytelnictwa, wylądował Jędrzek biurko w biurko z Eugeniuszem Klocem – człowiekiem bardzo blisko związanym z KOR-owcami.

Andrzej wsiąkł w opozycję, zaczął zbierać kolegów. Trochę rozeszły się nam drogi. Pisałem doktorat, potem czas karnawału 1980-1981 spędziłem w Białymstoku. Wszyscy oczywiście byliśmy w tym czasie jakimiś funkcjonariuszami „Solidarności”. Ja przewodniczyłem Komisji Wydziałowej w Filii UW w Białymstoku, Andrzej był szefem „Solidarności” w Bibliotece Narodowej na Hankiewicza.

Jakoś trafiliśmy na siebie na początku 1982 roku. Dostarczał mi wydawaną przez siebie „Wolę”. Kolportowałem grzecznie dalej, lecz nikt nie zapraszał mnie do aktywniejszej współpracy. Nie pytałem. Moja matka była kapitanem AK, więc wiem, że dyskrecja jest sprawą podstawową.

Dyskrecja mnie zresztą zbawiła. Teatralny, głośny, gadający – potrafię skupić się tam, gdzie chodzi o sprawy zasadnicze. Być może inni, z Andrzejem włącznie, tego o mnie nie wiedzą. Może dlatego nie byłem dopuszczany do konspiracji, bo bali się, że coś wypapłę? Może. W sumie jednak zrobiwszy co nieco zarówno w stanie wojennym, jak przed nim (kto ciekaw, niech czyta²) – ani razu,



Okladka Czarnej Księgi Cenzury – wydanie I, zbijane nitami, grzbiet klejony plastrem, NOW-a 1977

2 Andrzej Tadeusz Kijowski, Warszawa – W 1976 r. przepisywał na maszynie „Komunikaty” KOR i „BI”, a w 1977 r. tomik S. Barańczaka *Ja wiem, że to niesłuszne*. W 1978 r. udostępnił NOWEJ mieszkanie na magazyn bibuly. Współpracował przy wydaniu Czarnej Księgi Cenzury i kolportował ją wśród ludzi kultury. W 1982 r. prowadził wykłady w kościele św. Rocha w Białymstoku. W l. 1982-83 prowadził wykłady dla licealistów. Kolportował „TM” i „Wolę”. W 1984 r. przewiózł z Paryża do Polski pierwsze zdjęcia zamordowanego ks. J. Popiełuszki. W 1984 i 1987 r. przewoził pieniądze, tonery, urządzenia elektroniczne, wydawnictwa emigracyjne. W l. 1985-86 współpracował z Teatrem Domowym (organizował spektakle m.in. w mieszkaniu Hanry Kirchner oraz swojej matki na Jaworzyńskiej). W drugim obiegu publikował pod pseudonimem „Tadeusz Żeglikowski” (m.in. w „Kontaktach”). Za: „Ludzie NOWEJ”, Warszawa 1977.

słownie, nie wpadłem ni razu. Ani przesłuchania, aresztu, nawet tzw. operacyjnej rozmowy.

Maciek Zalewski, jak mi potem opowiadano, wręcz się pchał do kryminału (wiedział, że to się potem liczy w karierze). Jędrək spędził też w kiciu kilka miesięcy. A ja... no proszę, szczerze mówiąc, nie wiem nawet, co moje nazwisko robi na liście współpracowników KOR-u, skoro wymienia się tylko represjonowanych. Rozumiem, że bractwo ze Stowarzyszenia Wolnego Słowa zaliczyło mi na poczet represji te, których obecnie doznaję... No cóż, ludzie jak wiadomo dzielą się na tych, co siedzieli, siedzą i będą siedzieć. A ja – wyznaję ze skruczą, nieco rozrabiałem, jednak nie siedziałem jeszcze wcale.

Mnie wszystkie zło tego świata: zawiść, zdrada, obmowa – spotkały dopiero po pięćdziesiątce. Jędrək wyszedłszy w 1984 roku z kryminału, znalazł się bez żony, która zbierała się do emigracji z innym, bez gazety, której (wyniesiony z Biblioteki Narodowej przez Andrzeja) park maszynowy Michał Boni przekazał w ręce Heleny Łuczywo i koncernu „Tygodnika Mazowsze”. Takie są najstarsze powody późniejszych podziałów. Wbrew piosence Kaczmarskiego *20 lat później*, liczy się to, co dwadzieścia lat wcześniej.

Dwadzieścia lat temu rozpadło się moje pierwsze małżeństwo. Był 1987 rok. Pamiętam, jak kręciłem się moim pierwszym zdezelowanym maluchem w okolicach Ronda Wiatraczna, i tę nagłą decyzję: Andrzej, Anin! Andrzej był już sam z dziesięcioletnią Joasią, dla której fachowo ubijał nożem kotleciki. I znowu: dziewczyny, sesje, jakieś lewe kartki na benzynę.

„Wolę” praktycznie mu zniszczyli. Na szczęście tylko pismo, nie środowisko. Nawiązał kontakt z parafią przy Karolkowej i zaczął wydawać pismo na poły legalne. Nazywało się „Praca”. Znowu przynosił, drażnił, dawał do kolportażu. W redakcji obsadzał znajomych polonistów. Przedemną raczej się puszył.

Utkwił mi w pamięci jeden moment. Trzydziestotrzyletni wówczas Jędrək zatrzymał się w progu swej werandy na VIII Poprzecznej i powiedział tak jakoś zdecydowanie: – Bo widzisz, ja teraz stałem się człowiekiem politycznym.³

3 Andrzej Urbański – W styczniu 1982 r. założyciel pisma „Wola” i redaktor naczelny pisma do marca 1983 r. Był szefem Wyd. Wola, wydającego książki oraz miesięcznik „Naprzód” (1983). Działacz Grup Politycznych „Wola”. Pod koniec lat 80. był jednym z animatorów Duszp. Ludzi Pr. w kościele przy ul. Karolkowej w Warszawie. Redagował miesięcznik „Praca”. W 1988 r. był redaktorem naczelnym i drukarzem ukazującego się codziennie „Biuletynu Strajkowego”. Działacz dyskusyjnego Klubu Myśli Politycznej im. Jana Strzeleckiego i Klubu Myśli Politycznej „Dziekania”. Przewodniczący KZ „S” w Bibliotece Narodowej. Więziony. Za: Słownik „Niezależni dla kultury 1976 – 1989” (wydanie internetowe: <http://www.slownik-niezaleznidlakultury.pl>)

Tak to i trwa już od lat dwudziestu. Początkowo (jak to między chłopcami) z nutką rywalizacji. W nowej Polsce Michnika każdy z nas miał swoje miejsce: ja byłem w sam raz na śródmiejskiego rajcę od kultury, Andrzej pasował na... tygodnik „Solidarność Rolników Indywidualnych”, gdzie w pierwszym rozdziale otrzymał posadę zastępcy redaktora naczelnego.

A że nam to nie wystarczyło...

IV
POLITYKA GRAMATYCZNA
- adepci Teresy Hołównki

Mijaliśmy się z Urbańskim albo wspierali wzajemnie. Wziął mnie do kaczego „Tygodnika Solidarność”, w którym przełamalem środowiskowy ostracyzm. Pomogli mi w tym Roman Zimand, Jacek Trznadel, Tomek Burek – to przez jego tekst niszczący *Kulturę polską po Jalcie* Marty Fik poszedłem na wojnę z Jarosławem Kaczyńskim.

Kto by przypuścił, że ta komunistyczna w końcu recenzentka teatralna „Polityki” – choć przyzwoity człowiek – okaże się przyjaciółką domu braci Kaczyńskich. Zapewne przez ich pracującą w Instytucie Badań Literackich mamę próbowała, dowiedziawszy się o tekście Burka, zablokować jego druk. Byłem wstrząśnięty. Wychowany w uznaniu absolutnej niezależności oceny literackiej od osobistej, nie mogłem pojąć tego, co już dla pracującego wówczas w moim dziale Pawła Hertza było oczywiste.

Tego, że oceny nigdy nie są obiektywne. Każdy ma własny interes bardziej od ogólnego na pieczy. Słowem, jak mi zawsze powtarzał Urbański, ludzie są, jacy są. A kierownik działu kultury też powinien być polityczny.

Z Kaczyńskim się jakoś udało: wparowałem do gabinetu, nawymyślałem, wytłumaczyłem, że blokując tekst Burka zmarnuje moją półroczną pracę, której celem było przyciągnięcie do „Tygodnika” elit prawicowej inteligencji. Andrzej mnie poparł.

Osiągnąłem swoje. Czy było warto? Tekst chyba nie był zanadto sprawiedliwy. Tomasz Burek zajął się w swej recenzji¹ czysto bibliograficzną enumeracją wszystkich bardzo licznych błędów korektorsko-merytorycznych. Punktował autorkę jak uczniaka, wskazując na koniec, że w książce aspirującej do miana

1 Tomasz Burek, *Ex cathedra: Najsmutniejszy przebój sezonu*, „Tygodnik Solidarność”, 1990 nr 42, s. 11 (recenzja z książki Marty Fik *Kultura polska po Jalcie*. Kronika lat 1944–1981, Polonia Book Foundation, Londyn; 1989, ss. 835).

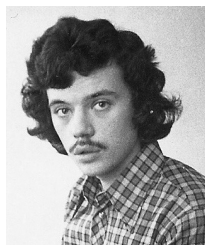
podręcznika błędy merytoryczne są nie do darowania. Ostatnie zdanie, o ile pamiętam, brzmiało: „słaba, niepotrzebna książka”. Miałem jednak wmontowaną gdzieś w geny zasadę niezależności sądów. Ale oczywiście także prawa do polemiki. Tę ostatnią przygotował Marek Karpiński². W sumie nic się nie stało. Obyło się bez dymisji, którą naturalnie wywijałem, świat się nie zawalił, jak i pewnie nie zawaliby się, gdybym był nieco mniej bezkompromisowy, a wtedy kto wie, kto wie... Jarosławowi K., który pewnie nawet nie pamięta tej sytuacji, prawdopodobnie kojarzę się od tamtej chwili jako może i sprawny organizator, zbyt jednak krnąbrny na poplecznika.

Andrzej wbrew pozorom wcale taki posłuszny nie jest. Ale umie słuchać i ma (czy raczej miał...) wdzięk. I tak naprawdę jest po tej samej stronie co i Kaczory, i ja – po stronie *ideologii gramatycznej*.

Jesteśmy wszak wraz z Andrzejem uczniami profesor Teresy Hołównki, wtedy jeszcze magister i asystentki profesora Jerzego Pelca. Pewnego razu pani Teresa przyszła na ćwiczenia, połączyła grupy i przeprosiła nas bardzo, że nie odbędą się zwykle zajęcia kursowe, gdyż, jak wyznała, ma do przeprowadzenia ankietę na temat nie pamiętam jaki, ale bulwersujący bardzo. Bodajże stosunku studentów do aborcji, zażywania narkotyków czy czegoś w tym stylu. Chciała poznać nasze poglądy w tej mierze. Michał Boni, Grześ Godlewski, Andrzej i ja rzuciliśmy się na temat jak młode platońskie wilczki. Prześcigaliśmy się w wymyślnych konceptach, spieraliśmy dla czystego sporu, byle tylko ochronić siebie i kolegów przed rozwiązywaniem zadań logicznych. I tak w mig upłynęło półtorej godziny. Pani magister nic, tylko notowała. Gdyśmy skończyli, uśmiechnęła się słodko i powiedziała:

– No cóż, chciałam tą rozmowę wprowadzić państwa w najbliższą mi dziedzinę logiki, jaką jest teoria argumentacji i błędy logiczne. Pan Grześ w rozmowie pięć razy, pan Andrzej Kijowski ileś, pan Urbański także, a i pan Boni

– popełnili błąd amfibologii, polegający na tym, że wypowiedź może być rozumiana na co najmniej dwa sposoby – wskutek wady składni prowadzącej do wieloznaczności, spowodowanej wadliwym użyciem wyrażenia potencjalnie



Grzegorz Godlewski,
1974

2 Marek Karpiński, *Poręczna książka*, „Tygodnik Solidarność”, 1990 nr 44, s. 17.

wieloznacznego. Wszyscy panowie (tu liczba i przykłady) pozwalali sobie na wieloznaczność w kontekście, czyli ekwiwokacje. Dyskusja panów nie była też wolna od sofizmatów, tj. błędów popełnianych świadomie w procesie argumentacji. Pełno było (tu liczba i przykłady) werbalizmów i pleonazmów, czyli błędów polegających na pogwałceniu reguły ekonomii wypowiedzania się.

Siedzieliśmy spostonowani, upokorzeni, obnażeni. Mniej elokwentni kole-dzy zaśmiewali się do łez. No cóż, był to bolesny eksperyment i myślę, sądząc po zyciorysach całej czwórki, że na złe nam nie wyszło to ćwiczenie.

Od tego czasu zwykłem to mówić o sobie, lecz myślę, że to zdanie dotyczy całej naszej formacji: *Moje poglądy polityczne są gramatyczne. Nie głoszę takich, które źle brzmią po polsku*. Gramatyczne to znaczy takie, które można wygłosić bez posądzenia o tautologię, ekwiwokację i amfibologię. Pogląd wolny od błędów znaczeniowych, chaotyizmu, nonsensów absolutnych czy względnych, sprzeczności czy wieloznaczności – może być mój. Obciążony tymi błędami – już nie.

W języku logiki nie da się bowiem wygłaszać żadnych prawd nacechowanych dydaktyzmem czy pleonazmem, co jest tak charakterystyczne dla współczesnych liberalów. W języku logiki nie da się też zaakceptować patetyzmu ani sofizmatu – tak chętnie nadużywanych przez konserwatystów.

Rozeszły się nasze drogi. Grześ pozostał na uczelni, uwielbiają go studenci, pewnie wkrótce zostanie profesorem. Wiem, że Andrzej zapraszał go zawsze do współpracy, kiedy chciał, by było głęboko i mądrze. Było tak w „Pracy” i w „Sobocie”, dodatku weekendowym do „Życia Warszawy”, któremu Grzegorz Godlewski z Maciejem Zaleskim próbowali nadać wysoki format.

Ma dziś Andrzej Urbański opinię człowieka, który dogada się z każdym. Prowadził w telewizji publicznej program „Premierzy”, gdzie Oleksy siadał koło Mazowieckiego, a Bielecki przy Olszewskim. Niektórzy czynią mu z tego zarzut. Ja myślę, że jego siła wywodzi się właśnie z naszych dobrych ćwiczeń z magister Holówką. Andrzej jest logiczny, a nie retoryczny. Potrafi sięgnąć do chłopskiego rozumu i zmierzyć się z polemistą. No i, co najważniejsze w polityce, słucha, poznaje ludzi i rozmawia z partnerem jego językiem.

Nasze kontakty robiły się coraz bardziej zawodowe. Przez pierwsze cztery lata się ścigaliśmy. Andrzej opanowywał struktury formalne. Najpierw „Tygodnik Solidarność”, telewizję publiczną, gdzie na początku wydawał „Pegaza”, jako poseł Porozumienia Centrum kierował „Expressem Wieczornym”, który zabrał i na powrót przekazał Czabańskiemu. Potem było przez moment „Życie Warszawy”.

W końcu został zmuszony do powołania firm AIA BEST, a później Kalejdoskop – Nowa Korporacja, dzięki którym mógł żyć i jako prawnicowy listek figowy prowadzić programy w telewizji Kwiatkowskiego i grupy trzymającej władzę.

W tym czasie zbliżyliśmy się do Wałęsy. On z jednej, a ja z drugiej, samorządowej strony. To był czas, gdy Andrzej wraz z Szymanderskim po rozstaniu się z Porozumieniem Centrum (a zatem i z „Expressem”, i Fundacją Prasową „Solidarność” kontrolowaną przez Kaczyńskich) zaangażował się w tworzenie dla Wałęsy BBWR-u. Wtedy usłyszałem z jego ust zdanie odsłaniające znaczną część prawdy o motywacji politycznej – doprawdy nie wiem, czy tylko naszych czasów. Gdy został mianowany którymś tam pierwszym po Bogu w strukturach BBWR-u, popatrzył na mnie wzrokiem faceta, co to bez raków wlaź na K-2 i westchnął z triumfem:

– Widzisz, Stary, znów na sam szczyt się wydrapałem.

Jestem ambitny. Ale jakoś ten rodzaj sportowo-pojedynkowego podejścia do polityki był mi zawsze organicznie obcy. Więc też się w niej nie utrzymałem. Moją domeną były i pewnie pozostaną działania nieformalne, pirackie, indywidualne. W Nowej Telewizji Warszawa miałem absolutną swobodę i wpadłem w pewnym momencie na pomysł, że skoro kilku premierów odwiedziło moją piracką telewizję, mogę pokusić się o spotkanie z urzędującym Prezydentem. Zadzwoiłem do Kancelarii, a tam okazało się, że mnie znają, rozpoznają. Pracowali tam notabene moi niedawni studenci ze Szkoły Teatralnej („Dziękuję panu, że pan jest” – powiedziała mi asystentka Drzycimskiego i... Drzycimski oddzwonił).

Do dziś zadaję sobie pytanie, ile w takich zdarzeniach przypadku, a ile planu czy nawet spisku. Czy dlatego zaistniałem w telewizji, stworzyłem Ogródek, odnalazłem inteligentką wspólnotę Warszawy, że znałem Urbańskiego, a ktoś dobrze o mnie mówił Drzycimskiemu? Czy gdyby mnie nie było, pojawiłby się ktoś inny, kto by zrobił coś podobnego? Słowem, wraca historiozoficzne pytanie Lwa Tolstoja, czy to jednostki kształtują historię, czy też ona otwiera pole działania takim jednostkom, które mieszczą się w jej dialektycznym rozwoju.

Pamiętam, jak w moim talk-show „A Teraz Konkretnie” doprowadziłem do spotkania Wałęsy z telewizyjnym piratem, którym wówczas byłem. Wpadłem wówczas do Urbańskiego do Radości pokrzykując, też radośnie:

– Moja jest Wielka! Ułowilem prezydenta.

– Twoja jest wielka – przyznał przyjaciel, z którym także przygotowywałem się do tej rozmowy.

Wkrótce jednak mnie przebił. W programie „Premierzy” Kwaśniewskich, Olszewskich, Suchockich, Bieleckich i innych Wałęsów był ci u niego dostatek. Z kim tak naprawdę Andrzej się zjednoczył? Długo myślałem, że z Janem Dworakiem, zastępcą Andrzeja Drawicza, pierwszego „naszego” szefa Radiokomitetu, którą to funkcję Dworak sprawował od 1989 do 1991 roku. Oczywiście z nadania Mazowieckiego. Dworak był sekretarzem redakcji „Tygodnika Solidarność”, opuszczonego przez Mazowieckiego, gdy został premierem – desygnowanym na naczelnego. Na to nie zgodził się Wałęsa (jeszcze jako szef „Solidarności”). Można więc powiedzieć, że o spokojnego Dworaka, jeszcze przed ostatecznym rozstrzygnięciem wyborów w 2010 roku mianowanego przez pełniącego obowiązki prezydenta Komorowskiego szefem Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji, zaczęła się cała wojna na górze. Gdy „Tygodnik” objął Jarosław Kaczyński, Andrzej został kierownikiem działu politycznego. Mnie przypadła kultura. Ale wszyscy już nosiliśmy buławę w plecaku. „Tygodnik” rozpoczął akcję – Jaruzelski musi odejść. I odszedł. Przyszedł „nasz” Wałęsa, a z nim odszedł „nasz” rząd Mazowieckiego.

Przyszedł rząd Jana Krzysztofa Bieleckiego. Cóż to była za noc w „Tygodniku” na Czackiego, gdy przez jeden dzień tam właśnie kształtował się rząd. Na prośbę Krzysia Wyszковского pisałem mowę Wałęsy do prezydenta Kaczorowskiego, prawie w ogóle nie zmienioną przez redaktorów, oraz samorządowy i kulturalny fragment *exposé* sejmowego Bieleckiego: „*Podaję się bowiem powierzonej mi misji ze świadomością, że po nas nie przyjdzie potop, lecz kolejny rząd Rzeczypospolitej*” – włożyłem w usta premierowi. Swoje zrobiłem i... nie usłyszałem nawet „pocałuj się w nos”. Ani honorarium, ani awansu. Murzyn zrobił swoje – murzyn może odejść. Dał to do zrozumienia mnie, doktorowi i redaktorowi, Krzysztof Wyszkowski nie mający nawet wyższego wykształcenia – szef doradców w gabinecie premiera...

Następne przemówienia dla Wałęsy pisać będzie Marek Karpiński, który jeszcze niedawno felietony do mojego działu kultury w „Tygodniku” pisał pod pseudonimem, jako Fizjonomista, by nie kompromitować się w towarzystwie współpracą z obozem Wałęsy. A było się czego wstydzić. Nigdy nie czułem się tak „trędowaty” jak wówczas, gdy przyjąłem pracę z rąk Urbańskiego. W stołwce odrodzonego jako Stowarzyszenie Pisarzy Polskich Związku Literatów czułem się niemal jak Stanisław Ryszard Dobrowolski po wygłoszeniu w 1976 roku na Stadionie Dziesięciolecia mowy przeciw wichrzycielom z Ursusa. Dobrowolski, od

którego odwracali się wszyscy, wypatrzył wreszcie ubierającego się przy szatni Antoniego Słonimskiego.

– Dzień dobry, Antoni – przyмилиł się do Poety.

– Dzień dobry – odpowiedział autor *Alarmu* i wyciągając rękę rzucił ponad głowami licznie zebranych: – Ja KAŻDEMU rękę podam.

Mnie rękę podawał Andrzej Drawicz. Ale był to pusty gest, z którego nigdy nic nie wynikło. No i – Artur Międzyrzecki, ale on nie miał wyjścia, skoro mój Ojciec całe życie traktował go jak starszego brata.

Andrzej Urbański obejmował właśnie „Pegaza” i przyszedł do Domu Literatury kontrolować operatorów. Stał pod oknem z ręką w kieszeni. Widać było, że wyrwał się już z polonistycznych, klerkowskich hierarchii wartości – mając najwyraźniej w najwyższym poszanowaniu całe to szemrane zgromadzenie. Miał jednak, w odróżnieniu od wielu innych arywistów, instynkt, by się z tym nie obnosić.

A ja? Spięty, speszony, odrzucony. Temu zaglądam w oczy, z tamtym staram się załatwić coś dla „Tygodnika”. Zobaczył to Arturek Międzyrzecki. Objął mnie, wręczając szklanke.

– Napij się whiseczki – powiedział. – I... myśl o sobie.

No właśnie, bo ja zawsze o sprawie – nigdy o sobie, dzieciach, rodzicach, rodzinie. Działalem zawsze samotnie i poza układem. Rzecz w tym, co Urbański kiedyś precyzyjnie określił już jako minister w kancelarii premiera Buzka:

– Ty nie umiesz zbudować układu.

V UKŁAD CZY SFERA

No właśnie – czym bowiem jest układ? Szajką czy grupą sprzymierzeńców, solidarnością czy sitwą? Gdy ktoś dziś mówi o układach, pytam, gdzie zaczyna się Układ, a kończy Towarzystwo. Bo przecież jeszcze przed wojną było wiadomo, że małżeństw, interesów, nawet polityki z ludźmi spoza swojej sfery się nie uprawia.

Rodzice nie nauczyli nas, że istnieją towarzystwa i że niezmiernie rzadko, tylko w chwilach nadzwyczajnych, takich jak patriotyczne zrywy, bariery społeczne bywają przekraczane. Przypominam sobie to przekroczenie, gdy w Polskiej Akademii Nauk powołany w ramach odnowy związków zawodowych Niezależny Samorządny Związek Zawodowy Pracowników Nauki, Techniki i Oświaty miał się przekształcić w NSZZ „Solidarność”. I słyszę głos rozsądku jednego z młodych pracowników nauki (dziś profesora na amerykańskim uniwersytecie Krzysztofa Jasiewicza):

– No dobrze, koleczy – przemówił – ale może by tak w ramach odnowy i odwrotu od komuny odpowiedzieć sobie na pytanie: jakie wspólne interesy zawodowe mają pracujący w PAN pracownicy nauki i sprzątaczkę, dotychczas wspólnie zjednoczeni w Związku Nauczycielstwa Polskiego. Przecież to z tym nieporozumieniem trzeba skończyć i pozwolić każdej z tych grup jednoczyć się wokół własnych interesów w swoim towarzystwie.

Jasiewicz wówczas nie miał racji, bo wtedy właśnie powstawał nie związek zawodowy lecz organizacja narodowo-wyzwoleńcza. A retoryczne pytanie, które w tej kwestii postawił, przyjęte z politowaniem, nie wiedząc, czy mamy do czynienia z prowokacją, czy polityczną głupotą. Socjologicznie uczony miał jednak słuszność – choć była to perspektywa klerka.

Rzecz w tym, że więzi towarzyskie w Polsce rozpadły się po roku 1939 i od tego czasu nie zostały odbudowane. Zasadniczo zaś, gdy towarzystwa z pokoleniową, majątkową i rodzinną tradycją, ze swoją kulturą, formami i ideałami pękają, w ich miejsce wchodzi układy, związane tylko z doraźnym zyskiem.

Kiedy piszę te memuary, grzebię się w przeszłości, wspominam kolegę czy kolegów, za każdym razem opowiadam nie tylko, kim jestem, lecz także, kto za mną stoi. A stoi za mną kalendarzyk mój i odziedziczony po Ojcu, i ten fakt, że naturalna selekcja ludzi, którym chodzi o coś więcej niż o zdobycie posady nauczyciela, zaczyna się w szkole, w organizacji harcerskiej, na akademii i w studenckim kabarecie.

Ta naturalna selekcja nie była też najgorsza po przeciwnej stronie. Ci, z którymi dziś się spieramy, działacze SLD, którzy gromadzą się wokół z naszego pokolenia stworzonej Ordynackiej, ci, z którymi nie chcieliśmy mieć nic wspólnego w 1971 roku, w 1988 roku, stali się naszymi rozmówcami. Jest wielką historyczną zasługą tego pokolenia, naszego pokolenia „Solidarności” czy rocznika 1954, żeśmy siedzieli przy jednym stole, śpiewali przy ogniskach te same piosenki Okudźawy i Kaczmarskiego, i nigdy nie stanęli przeciw sobie na barykadach.

Ma oczywiście mnóstwo racji Rafał Ziemkiewicz w *Michnikowszczyźnie*, żeśmy może tych uzgodnień zbyt ściśle dopełniali. Że to, co było możliwe i potrzebne w 1987, nie powinno było już obowiązywać w 1993. Że wtedy wstrzymano polskie reformy, dopuszczono na cztery lata postkomunistów do władzy rządowej, oddano im na lat dziesięć wykonywanie przez Kwaśniewskiego władzy prezydenckiej. Doprowadziło to do całkiem niepotrzebnej brutalizacji języka politycznego, co słusznie wypomniał Urbański Jarosławowi Kaczyńskiemu w słynnym liście do Jana Lityńskiego.

Ludzie nieprzyjaźni Urbańskiemu pytają, jak zasłużył sobie na przebaczenie owej zdrady z 1995 roku, kiedy wyprowadził pięciu posłów z PC i zwrócił się do Kaczyńskiego słowami: „Jako polityk staram się rozumieć racje Jarosława Kaczyńskiego. Przychodzi mi to coraz trudniej. Ale jako człowiek nie rozumiem go w ogóle. Coraz częściej wprowadza do polskiej polityki język, który ma za zadanie przede wszystkim degradować jego przeciwników, ma ich niszczyć jako ludzi właśnie”. Nikomu nie przychodzi do głowy, że może Urbański za to przepraszać nie musiał. Może jego późniejsze awanse są przyznaniem mu przez braci Kaczyńskich racji. Są także świadectwem ich otwarcia, inteligencji, samokrytycyzmu. No tak, ale takie sformułowania nie mieszczą się już w języku współczesnej polityki.

Zatem Andrzej wszedł w politykę: został posłem I kadencji z ramienia PC z Warszawy i starał się ratować rząd Suchockiej przed szaleństwem Wałęsy, który na lata dopuścił komunistów do władzy. A to był czas przełomowy. To był

ten moment, kiedy już należało renegocjować układy zawarte w innej sytuacji politycznej. Efekty widać było w każdej dziedzinie. Odczułem je też na własnej skórze. To w końcu Cimoszewicz – późniejszy premier, a prokurator generalny w rządzie Waldemara Pawlaka – ostatecznie zamknie moją Nową Telewizję Warszawa. Byli esbecy, a pewnie i ubecy opanują staromiejskie knajpki, wykurzą Kilińskiego z Lapidarium. Nastąpi rekapitalizacja i odtworzenie postkomunistycznych układów.

Urbański próbował z tym walczyć. Walczył również z formacją „Gazety Wyborczej”, która skradła mu powielacze i uwiodła żonę. Jednak jedno i zasadnicze łączy go z Michnikiem – nigdy nie posługuje się bronią nienawiści.

W 1995 roku komuniści już odzyskali władzę i wpływy. Okopem świętej trójcy staje się prezydentura Wałęsy. Do mnie dzwoni Chojecki, bym w ostatniej chwili wraz z Małgorzatą Kidawą-Błońską (tak, tak, dzisiejszą posłanką Platformy), której męża firma otrzymała to zlecenie, tworzył reklamowe spoty dla urzędującego kandydata na prezydenta. Andrzeja wzywają, by wspierał prezydenta w ostatnim starciu z Kwaśniewskim. Andrzej pomagał Wałęsie przy tej konfrontacji, w trakcie której padło niefortunne „panu to ja nogę mogę podać”, a także prowadził w telewizji „Pytania o Polskę” i program „Premierzy”. Obydwa realizowane przez Studio A Jana Dworaka i Macieja Strzembosza. Przy pomocy – uwaga! – Julki Zakrzewskiej, czyli Pitery, która wówczas była jeszcze aspirującą na radną skromną literacką archivistką i zajmowała się u Andrzeja zapraszaniem gości do programów.

Ja już miałem firmę, Media ATaK Sc. Zbierałem grosiwo. Sam wypełniałem PIT-y i prowadziłem księgę przychodów i rozchodów. Andrzej ku temu mniej się garnął. On w ogóle umie wiele, ale tę ma nade mną przewagę, że nie musi popisywać się omnipotencją. Ceni czas i rozróżnia rzeczy ważne od mniej istotnych. Ale po zakończeniu skróconej I kadencji poselskiej, po epizodach z „Pegazem” i „Czasem Polskim”, który był przymiarką „Timesa” do wejścia na nasz rynek, po epizodzie z Agencją Prasową i Fundacją „Ogniem i Mieczem”, którą notabene prowadził wraz z Waldemarem Dąbrowskim, pozostawała mu już tylko działalność prywatna.

No i – nazwijmy to – lobbingowa. Powołał więc Andrzej Agencję Informacyjno-Autorską AIA BEST, która między innymi moimi rękami robiła obsługę

public relations Ursusa w czasie, gdy zarządzał nim prezes Bortkiewicz¹.

To było pod koniec Szpitala Świętego Ducha, czyli WOK-u. Dyrektorowałem tam ledwie cztery czy pięć miesięcy. I choć wygrałem konkurs, nieudolnie udający warszawskiego wojewodę prawnicowy pętał o nazwisku Gielecki nigdy by mnie pewnie nie mianował, gdyby nie perswazja Andrzeja, który dogada się z każdym, a już z warszawskim mechanikiem samochodowym w szczególności. (Szkoda jednak, że Gielecki nie wychował się na Pradze. U zbiegu Koszykowej i Wilczej w warsztacie jego tatusia pierwszy raz mi się zdarzyło, by poginęły drobiazgi pozostawione w samochodzie. Na Pradze czy w Aninie, gdzie tępi się taki element napływowy, rzecz nie do pomyślenia).

To jest czas zachwytu inteligentkiej warszawki nad PSL-em z Januszem Piechocińskim na czele. Zdobywszy Elektorálną, snujemy plany. Andrzej myśli o Wyższej Szkole Zawodowej (ta idea wróci w 2007 roku w ostatnim podejściu, jakim było moje zwanie z Akademią Telewizyjną TVP, którą bezskutecznie próbowałem ruszyć z posad marazmu). Ja wtedy, w 1998, miałem wciąż w głowie Warszawski Festiwal Artystyczny, który zaczynałem wymyślać wraz z Maciejem Domańskim. Stworzyłem też przy moim powstającym Mazowieckim Centrum Kultury radę programową z Januszem Piechocińskim, Andrzejem Urbańskim i Maciejem Domańskim. Nie potrwa to długo. Jak tę radę zobaczył pełniący podówczas funkcję mego szefa w Sejmiku Mazowieckim niegdysiejszy scenograf Hanuszkiewicz i mąż Xymeny Zaniewskiej, Mariusz Chwedczuk, zmarł z przeżycia. Taka „dyrektorska polityka” musiała zasłużyć na kontrataku. Oddelegowany do spraw kultury warszawskiej z SLD Leszek Mizieliński prawnicowe konkursy w najgłębszym miał poszanowaniu. Już w maju znalazłem się bez pracy, pozostała mi jednak nadzieja na dotacje dla VIII Konkursu Teatrów Ogródkowych. Dożyłem tego dzięki Ursusowi Bortkiewicza i wkroczyłem wreszcie do Doliny Szwajcarskiej.

¹ Gdy w 1997 r. Stanisław Bortkiewicz został prezesem Zakładów Przemysłu Ciągnikowego Ursus S.A. (wcześniej był szefem spółki pracowniczej Ursus), firma chyliła się ku upadkowi. Bortkiewicz rozpoczął jednak restrukturyzację przedsiębiorstwa, zakończoną w ubiegłym roku. Produkcję traktorów skoncentrowano w jednej hali. Z ZPC wyodrębniono wiele spółek, które do tej pory wchodziły w skład ciągnikowego holdingu. Część z nich sprywatyzowano, inne zbankrutowały. We wrześniu ubiegłego roku sąd ogłosił upadłość samych ZPC Ursus, produkcję ciągników przejęła jednak wcześniej spółka z ograniczoną odpowiedzialnością Ursus, w której większość udziałów ma PHZ Bumar. 09.03.2004, *Traktory Ursusa idą jak woda*, www.ppr.pl za „Gazetą Wyborczą”

Mimo że posiadałem zgodne z planem zagospodarowania warunki zabudowy, realista Urbański nigdy w nie nie uwierzy. Pierwszy rok w Dolinie był skromny, lecz rodzinny. Całe wakacje spędziłem w Ołtarzach, gdzie po wyprowadzce z Mariensztatu wylądował w mej stodole cały nabyty przeze mnie sprzęt. Znajomi Andrzeja podjęli się prowadzić kawiarenkę. I tak marzenie zdawało się przybliżyć. W Dolinie Szwajcarskiej stanęła wreszcie moja scena.

Układów jak widać nie brakło, chociaż się zmieniały. Problem był w tym, czego żadna z Wysokich Układających się Stron nie umiała pojąć. Mianowicie, że prosząc o koncesję na kawiarnię, a nawet o środki do życia, nie szukam terenu do knajpianego przekrętu ani tylko posady dla siebie. Krążyłem! – i wciąż błędzę w poszukiwaniu teatru, czyli miejsca spotkania dla Towarzystwa, a nie dla Układu.

VI TRACENIE ZŁUDZEŃ

Nie zapominajmy jednak, że byłem bez pracy. Taki sobie drobiażdżek... Wszystko, co robiłem dotąd w sprawie Ogródków, jakoś łączyło się z moimi pracami. Narodziły się radnemu. I dziennikarzowi. Potem zamawiano je w mojej firmie Media ATaK, firmie, która poza tym miała jeszcze inne zlecenia produkcyjne dla TV. Ale około 1998 roku kontrakty się skończyły. Czerwoni wzięli telewizję publiczną. Czarno-różowi przemieszani z pampersami opanowali Polsat. No a życiorys Mariusza Waltera – twórcy TVN, a w latach gierkowskich głównego realizatora „propagandy sukcesu” w Studio 2 czasów Macieja Szczepańskiego – mówi sam za siebie.

Wspominałem już, że w latach 1996–1997 produkowaliśmy programy dla Komitetu Badań Naukowych. Pierwsze cztery odcinki wyemitowała publiczna TV Polonia, potem jeszcze uratował mnie Bogusław Pampers Chrabota z Polsatu, który przyjął do emisji ostatnie filmy zrealizowane dla KBN-u.

Wskazał zresztą od razu firmę montażową niejakiego pana Górskiego, który na komórce miał nagrany komunikat pół żartem, pół serio głoszący, że połączyliście się oto ze służbami Mosadu. Przy okazji dowiedziałem się, co to takiego, bo jakoś obijało mi się o uszy, lecz szczerze mówiąc lepiej wiedziałem, co to jest CIA czy KGB¹... Współwłaścicielką owej firmy okazała się żona słynnego posła Kozakiewicza z PSL-u. Było kulturalnie, acz chłodno. Rzucano się w oczy, że reprezentujemy zgoła różne światy. Telewizja publiczna też się zamykała. Następowala koncentracja. Z kilkuset producentów wykonawczych z czasów Walendziaka i Terleckiego ustawionych na podobnych pozycjach jak moja Media ATaK, w telewizji Kwiatkowskiego pozostało bodaj czterech, z Heritage Lwa Rywina na czele.

1 Mosad to izraelska służba wywiadowcza, której oficjalna nazwa brzmi: Instytut do Spraw Wywiadu i Zadań Specjalnych (po hebrajsku Ha-Mossad le-Modiin ule-Tafkidim Meyuhadim). Mosad odpowiada za zbieranie informacji wywiadowczych, tajne akcje i działania antyterrorystyczne w Izraelu i wszędzie tam, gdzie zagrożone są interesy państwa żydowskiego.

Jeszcze próbowałem: Adam Manikowski został szefem Biblioteki Narodowej i już, już byliśmy umówieni na jakiś film o Bibliotece, kiedy Zdzisław Podkański, któremu ówczesny rząd oddał w pacht kulturę, odwołał Adama. Z jakimiś bezsensownymi pomówieniami. Zaczynało się...

No, ale przyszedł Ogródek. Dotacja. Jakoś z najwyższym trudem związałem koniec z końcem. Trzeba pamiętać, że kosztorysy albo nie uwzględniały mojego honorarium, albo było ono symboliczne i trwało krótko – miesiąc czy dwa, tyle, ile trwania imprezy. A czas przygotowań? Na to już trzeba było innej pracy. Owszem, zaczynałem rościć sobie prawa nawet do sześciu miesięcy przygotowań. Ale ostatecznie zawsze na to nie starczało. Zresztą kosztorys i tak nigdy nie mógł uwzględniać tzw. kosztów pośrednich: czynszu, telefonów, obsługi księgowej.

We Francji ktoś, kto jak ja otworzy fundację, ma pensję z Ministerstwa Kultury i Komunikacji, a także zwrot kosztów stałych. I tak się dzieje w kraju, w którym poza tym istnieje sponsoring. Czegoś takiego nie było na wczesnym etapie polskiego kapitalizmu, który z racji oczywistych zapóźnień po prostu jeszcze nie wszedł z drzewa.

Po WOK-u (Szpital Świętego Ducha) i ósmym, czyli pierwszym „szwajcarskim” Ogródku pracę ofiarowała mi Jola Kessler-Chojecka. Zostałem redaktorem Centrum Prasowego Polskiej Agencji Informacyjnej (PAI) przy Bagateli. To była przemiła praca. Uroczy ludzie.

Trafiona chyba w sedno moich kompetencji. Przez moment miałem nadzieję, że znajduję tam swój azyl. Równolegle prowadząc Ogródki, mógłbym tam funkcjonować ku pożytkowi swojemu i innych. No, ale mało kto w tym kraju myśli o pożytku, a już najmniej szajka, na której czele stoi Krzysztof Czabański z Krzysztofem Wyszowskim (tak, tym niedokształciuchem od J.K. Bieleckiego, który dziś kompromituje polski Sierpień biegając z pseudo-lustracyjną siekierką za Lechem Wałęsą).

Pracę w PAI podjąłem dwa miesiące przed wyjazdem do Francji i mimo sukcesu, jakim była organizacja wizyty w Polsce tłumaczy z języka polskiego na rosyjski, całkowicie sfinansowanej przez Ministerstwo Kultury, mimo nagrania filmu i poczynionych oszczędności, zostałem zwolniony z wpływem okresu



*Jolanta
Kessler-Chojecka*

próbno. Czabański, osadzony właśnie na stanowisku prezesa PAI, dobrze mi wszak znajomy i doprawdy nie mający powodów, by mnie nie lubić czy nie szanować, niedawny likwidator PAP, musiał, jak się do kogoś wyraził, ciąć po skrzydłach...

„Kto mi dał skrzydła, kto mię odział pióro...”

Francuskie stypendium trwało miesiąc. Pod sam koniec wieku. Rok 1999. Pamiętamy słynną pomyłkę Słowackiego. Lecz magia cyfr jest większa. Wieża Eiffla była już oświetlona na przyjęcie trzeciego tysiąclecia.

Wszystko: od systemu Windows po program „Kultura” nazywać się musiało „dwa tysiące”. Byłem pewnie jedną z pierwszych osób w Polsce, które o programie Kultura 2000 się dowiedziały.

Z krótkiego dyrektorowania Elektorálną wyniosłem wizytę u ambasadora Francji w sprawie współpracy, a z niej (zamiast sponsora na Vallée Suisse) – inwestycję w siebie, czyli miesięczne stypendium do Paryża. Francuzi to jednak mili i konkretni ludzie.

I znowu jakieś ruchy pozorne. Ważna rozmowa z poznanym jeszcze w 1984 roku Krzysztofem Pomianem. Wtedy przeczytał moją książkę, wysoko ocenił i kazał studiować Foucaulta – co wykonałem i co bardzo mi się przydało. Przyjaciel Małgosi Szpakowskiej, która towarzyszyła moim intelektualnym inicjatywom, ma ten rodzaj inteligencji bezpośredniej, która łączy w sobie przenikliwość z otwartością niemal absolutną. Należy bowiem do tego gatunku osób, do którego zaliczam i Seniora, ale także, co dziwne, Jarosława Kaczyńskiego: że odnalazłszy porozumienie intelektualne, zwraca się do partnera niezwykle osobiście, aż biegnąc za własną myślą nie bierze wprost pod uwagę, iż nie spotka się ze zrozumieniem. Senior, Kaczyński czy Pomian reprezentują bowiem ten rodzaj „jajogłowych”, dla których intelektualne porozumienie jest jedyne i przesłania wszelkie więzi emocjonalne. Otóż ten reklamujący się jak Carlsberg, „pewnie najwybitniejszy pomiędzy Francuzami Polak z grona emigracji 1968”, wysłuchawszy moich rojeń o ożywieniu Doliny Szwajcarskiej, zawyrokował krótko:

– To być nie może. Gdybym był merem Warszawy, nigdy bym się nie zgodził, by zakłócać ciszę w centrum miasta. Historyczna tradycja nie ma tu żadnego znaczenia – tam ma być spokój.

Szkoda, że nie rozmawialiśmy po francusku: *Il faut que l'ordre règne à Varsovie* – lepiej by zabrzmiało.

No cóż, słowa Pomiana okazały się prorocze. Ciekaw tylko jestem, czy to

proroctwo wynikało z analizy warunków obiektu, czy oceny subiekta? Czy gdybym był np. krewnym Karola Sachsa - szefa banku Bize, którego bardzo mi polecano, lub choćby autentycznym, a nie przyszywanym kuzynem Olgi Scherer, późniejszy dyrektor brukselskiego Muzeum Europy powiedziałby to samo o moich planach?

A przecież Francja sprzed piętnastu lat, Paryż roku 1984 czegoś powinien mnie być nauczyć. Tam nagle ludzie stawali się tak solidarnie szczerzy. Wspominałem już rozmowę z Ludwikiem Stommą wyjętą wprost ze *Straconych złudzeń*, gdy autor *Żywotów zdań swawolnych* niczym doświadczony Rastignac pouczał wielkiego człowieka z prowincji, jakim wtedy się czułem. Powinienem być wiedzieć, na kogo nie liczyć wcale, a kto mnie wspomóc może. No tak, ale opieka wspaniałego misjonarza księdza Józefa Sadzika to możliwość poznania jeszcze w 1975 roku Czesława Miłosza na zorganizowanym dla amerykańskiego poety spotkaniu w siedzibie pallotynów. Wsparcie księdza Zenona Modzelewskiego to jakiś nocleg i śniadanko na Surcouf. Dzięki uwadze młodszego nieco ode mnie księdza Mariana Faleńczyka – twórcy Foyer Jean Paul II na Lourmel i nowej jego siedziby pod Paryżem – miałem gdzie mieszkać, a nawet znalazło się dla mnie chude stypendium na staż w paryskim Conservatoire national supérieur d'art dramatique (CNSAD).

Jednak pallotyni to nie Opus Dei. Nie tędy biegła droga do zdobywania szwajcarskich terenów. Pewnie nie umiałem szukać. Zabrakło determinacji. Choćby dla jeszcze jednej drogi, o której Stomma nie wspominał, drogi żywcem z Balzaca, z której skorzystał Adam Zagajewski, a i mój imiennik Janusz Kijowski, którego brukselskiej kariery w latach 1980. jako wykładowcy tamtejszej szkoły filmowej tak długo nie mogłem zrozumieć. A droga była prosta i przede mną kilkakrotnie stojąca otworem. Po raz ostatni, gdy po pallotyńskim stypendium w 1987 roku w paryskim Conservatoire całkiem niemłoda, ale zaakomodowana już we Francji teatrolożka, zaprzyjaźniona z Anne Ubersweld, Veinsteinem i moją Olgą Scherer, z rodziną w Nantes, studium w Paryżu, wynajmowanym mieszkaniem w Krakowie – odprowadzała mnie aż na próg wolnego świata, gnała za mną aż pod Bonn, pewnie, bym przemyślał postanowienie powrotu „na kamienne łono ojczyzny”. Tak, tak... Wystarczyło otworzyć szerzej ramiona, gdzieś pod Kolonią w Remagen...

Cóż, albo nie byłem dość cyniczny, albo nie miałem wystarczającej motywacji, skoro w Polsce czekała z secesyjną lampą jako jedynym posagiem pewna pięk-

na i młoda kobieta, przyszła matka mych córek. No i nie byłem jeszcze obłąkany Konkursem Teatrów Ogródkowych. Ideą festiwalu, o którym teraz w 1999 roku opowiem w Paryżu (poznanemu jeszcze na Armii Ludowej w Warszawie u Zelników) Andrzejowi Sewerynowi.

Societariusz Komедii Francuskiej naturalnie poparł ideę umiędzynarodowienia Teatrów Ogródkowych i przekształcenia w Festiwal Odzyskanych Narodów, którym chciałem uczcić Rok Polski we Francji. Wtedy też nawiązałem kontakty z L'AFAA (Francuską Agencją Działań Artystycznych), ba, nawet rozmawiałem na ten temat z panią minister kultury i komunikacji. Odwiedziłem też wspomniany już Brest. I tamtejszy Festiwal Filmów Krótkometrażowych.

Zacząłem nauczać – wszędzie głosiłem już ideę międzynarodowego Festiwalu Théâtre de Guinguettes.

Ileż ona miała wcieleń! Zaczęło się chyba od wymyślonej wraz z Maciejem Domańskim w czasie „epizodu Elektoralna” koncepcji festiwalu Wisła Żywa.

Ze współpracy z Domańskim wiele nie wyszło. On przez te pół roku naszej kolaboracji tak naprawdę czekał na objęcie Biura Współpracy z Zagranicą. Ja po tym, jak AWS z „moimi” Gieleckim i Rayzacherem przegrali w Sejmiku wyborów, stałem na pozycji straconej. Pokombinowaliśmy, popisaliśmy. Domański swoją ideę festiwalu w dwa lata później przekształcił w łódzki Festiwal Czterech Kultur. Po moim odwołaniu udzieli mi jednej ważnej życiowej lekcji. Spotkaliśmy się na piwie, a tam powiedział:

– No cóż, panie Andrzeju, nie wyszło, jak to w życiu. Spotykam się z panem, bo zawsze spotkać się trzeba. Nie wiadomo, kiedy i gdzie jeszcze wpadniemy na siebie. Może pan będzie moim szefem, czy ja pańskim. Jedno radzę: żadnych wywiadów. Jak mnie odwoływali z II Programu, pisali świństwa. Gryzłem palce, ale milczałem. Dzięki temu mogę być dziś kandydatem do Rady Nadzorczej TVP.

I odtąd komórka jego zamilkła. Mimo, czy właśnie dlatego że znów odwróciły się role: wkrótce został szefem Biura Współpracy z Zagranicą TVP – naturalnie propozycji żadnej mi nie złożył.

A ja... szukałem pracy. Startowałem w konkursie na dyrektora Instytutu Polskiego w Paryżu. Napisałem z tej okazji małą rozprawkę o polskiej emigracji i zaproponowałem festiwal rozgrywający się bilateralnie w warszawskiej i paryskiej Dolinie Szwajcarskiej. Bo w czasie tego miesiąca paryskiego, wychodząc z Instytutu Polskiego przy rue Goujon, na rogu Cours la Reine i avenue Roosevelt trafiłem nagle na... Vallée Suisse.

Uznałem to naiwnie za zrządzenie losu. Biegałem po Paryżu, potem nawet correspondowałem z merostwem. Dowiedziałem się tyle, że w Paryżu są dwa ogrodowe skwery nazwane Dolinami Szwajcarskimi. Powstanie każdego z nich łączy się z wystawami światowymi. Ten na Cours la Reine powstał w 1890 roku, drugi na Polach Marsowych pod wieżą Eiffla – w 1900.

Myślałem już wtedy o umiędzynarodowieniu imprezy. Bezszykownie starałem się zainteresować kogoś moją ideą. Ośmielony tym, że Andrzej Seweryn podpisał mi *declaration d'intention*, po powrocie do Polski pisałem elaboraty, biegałem między „Solidarnością” a Senatem Alicji Grześkowiak, starając się, by festiwalem uczcić nadchodzącą właśnie 20. rocznicę powstania „Solidarności”. W trakcie IX Konkursu po raz drugi odbywającego się w Dolinie wysłedziłem wzmiankę o spotkaniu Geremka z niemieckim ministrem spraw zagranicznych i sformułowaniu idei organizowania pikników europejskich. W to mi graj! I natychmiast dostosowałem projekt do nowej idei. Kolejną wersję projektu Pikników Europejskich sygnowałem Fundacją i... cała sprawa utknęła – jak mnie spławiano miesiącami – w tzw. uzgodnieniach międzyresortowych. Nie wiem, skąd wziął się pomysł. Kto to wymyślił, kto zaprzepacił. Czemu do tego tematu mimo mego akcesu nigdy nie wrócono?

W tym czasie jednak Miasto, czyli Prezydent Warszawy organizował konkurs na nowy kształt Warszawskich Spotkań Teatralnych. Wystartowałem, proponując po raz enty letni festiwal w centrum Europy. Festiwal w znacznej części plenerowy, zwrócony do turystów zachodnich, prezentujący sztukę wschodniej i północnej Europy.

Koncepcja została lepiej dopracowana. I choć zawsze miałem poczucie pewnej „literackości” mych wywodów, to jednak – i to w dużej mierze dzięki współpracy z Maciejem Domańskim – moje projekty zdawały się nawiązywać kontakt z rzeczywistością.

Idea Warszawskiego Festiwalu bez wątpienia narodziła się w moim gabinecie na Elektorальной w rozmowach z Maciejem Domańskim i Krystynem Wermowiczem, z Andrzejem Urbańskim i Januszem Piechocińskim, których powołałem tam w skład rady programowej. Pomysł polegał na tym, by wszystkim letnim imprezom – takim jak mój Ogródek (a nie było ich w końcu w stolicy zbyt wiele) – nadać wspólną oprawę, reklamę, no i tchnąć w nie duszę. Tyle że o tej ostatniej urzędniczy nie słyszeli.

Od tamtej chwili widmo festiwalu krąży nad Warszawą. Wszystkie kolejne

ekipy rzucają się na nie i... kończy się na wyścigu nazw. Cała Warszawa. Niezwykła Warszawa. Zakochaj się w Warszawie. Na słupach Warexpo za panowania wiceprezydenta Miklińskiego pojawiły się ogromne plakaty w formacie A-0, na których spisano wszystkie letnie imprezy... jakoś tylko o Konkursie Teatrów Ogródkowych w Dolinie Szwajcarskiej zapominając.

Nieważne przecież, co się zrobi, ale kto wyciągnie kasztany z ognia.

Przyznam, że nie do końca rozumiem, o co tu chodzi. Czy tylko o urzędniczą próżność? Kiedy jeszcze w 2002 roku Kaczyński wygrał prezydenturę stolicy i było już wiadomo, że Andrzej Urbański zostanie kulturalnym wiceprezydentem, przy pierwszym spotkaniu rzucił: dawaj festiwal. Otrzymał następnego dnia druk wielokrotnie już adaptowany. I nigdy się doń nie odniósł. Mianowawszy Córkę Rabina, czyli Małgosię Naimską dyrektorem Biura Kultury, zaproponował mi w pierwszym odruchu Muzeum Historyczne Miasta Warszawy, z którego odchodził już profesor Durko, a które notabene jest także siedzibą Lapidarium. Ale rozpoznawszy układ – do tego tematu też już nie powrócił.

Z punktu widzenia władzy ludzie, publiczność ważni są bowiem tylko w kontekście wyborów. Wtedy trzeba coś rzucić masom. Coś, co przeloży się na wynik. Czasem to coś pozytywnego, jak stworzenie Muzeum Powstania Warszawskiego, czasem negatywnego, jak skojarzenie przeciwnika politycznego z dziadkiem z Wehrmachtu. Można też wspomnieć i o festiwalu. Na co dzień nie liczy się głos ludzi. Ważne są kręgi opiniotwórcze. Kapelusze dla pani redaktor czy pani dyrektor. Etat dla żony burmistrza. Gabinet, w którym można spotykać się z poplecznikami. Wreszcie – pieniądze.

VII

SNY O POTĘDZE,

czyli Kraj Rad i Państwo Stanów

Całe nasze myślenie w owym czasie zorientowane było na Zachód. Tymczasem to Wschód nie spuszczał nas z oka. My z kompleksami. Rosjanie – bez. Rosjanin nie ma kompleksu. Tak naprawdę nie potrzebuje cudzego języka ani innej kultury. On ma cały świat za swój. Jest razem poządlivy i pokorny. Pragnie wiele, ale i szanuje wielu, na czele ze swoją władzą, z systemem, w którym wyrósł. A jeśli rusza w świat, to nie po to, by uciekać od ojczyzny. Żaden Rosjanin nie wygłosi Anty-Inwokacji Gombrowicza z Trans-Atlantyku. Rosjanin poza Rosją nie szuka wolności. On chce świat podbijać. Nie przyswaja innej kultury ani języka, a jeśli nawet opanuje cudzą mowę, to po to, by zachwalać własne myślenie i rosyjską literaturę.

Pokora, poządlivosc i bezmiar rozpaczy to mimo wszystkich słowiańskich podobieństw zasadnicza różnica między hardymi Polakami, którzy sami sobą pomiatają, a Rosjanami, którzy zdają się nam, Polakom, irracjonalni, gdy zaczynają mówić o Wielkiej Rosji i swojej niepowtarzalnej duszy. Ten ton pojawi się praktycznie w każdym kontakcie z Rosjaninem. Będzie brzmiał w wypowiedziach wspomnianego Saszki Gurjanowa, który w *Polsce w oczach innych* będzie przekonywał, iż to Rosjanie pieriestrojką, a nie Polacy czerwcowymi wyborami zapoczątkowali ruch, który doprowadził do zjednoczenia Europy. Zwróci na to też uwagę (słusznie, co nie znaczy sprawiedliwie) czytelnik mojego bloga na portalu www.kijowski.salon24.pl podpisujący się „Rezystor”, zauważając: „Profesor był miły, dopóki rozmowa nie zeszła na politykę Rosji. Co ten profesor opowiadał. Tak zażartego nacjonalisty jeszcze w życiu nie widziałem. Ruś – Święta Ruś ponad wszystko”.

To uznanie własnej wartości, sen o potędze, idea imperialna, której polskie, naznaczone stygmatem obcości elity odmawiają naszemu narodowi, stanowi o swoistym podobieństwie supermocarstw: Kraju Rad i Państwa Stanów.

Pierwszy raz odczułem to jeszcze w 1994 roku, zaproszony na kilka dni do Lexington. Tam, oglądając hale przekształcającej się właśnie w Lexmarka (w ramach polityki antytrustowej) fabryki drukarek IBM, spostrzegłem nad bramą cytate brzmiącą mniej więcej tak: „wytrwałą pracą budujemy przyszłość narodu”. Tekst był fragmentem jakiejś wypowiedzi dyrektora IBM-owskiej fabryki o dźwięcznym nazwisku Marx – Ottona czy może Michaela. Prawda jest taka, że tak naprawdę Amerykanie w wielu sferach wprowadzają w życie radziecką utopię. Brzmi mi jeszcze w uszach komentarz rosyjskiego dziennikarza, z którym tę jednopiętrową Amerykę oglądałem. Patrzyłem z zainteresowaniem, a Wołodia wdychał z mieszaniną zazdrości i powątpiewania: „*Ech strana! Dla żyzni strana*”. Nie rozwiążę tak pokrótce potężnego dylematu. Zamiast podsumowania, zanućmy wspólnie z Jackiem Kaczmarskim *W Amsterdamie*:

*„A ja na to – Kreml w niebo śle rakiety
Bez wysiłku wielkich rzek zawracam bieg
Żal mi ciebie lecz niestety
Również trudny kunszt baletu
Najlepiej posiadał on na planecie tej”.*

Szczerze mówiąc, nie podnieca mnie ani rosyjski, ani amerykański imperializm. Cały jestem z Wiednia i z Paryża. Jak i mój Ogródek, nawiązujący do kopenhaskiego Tivoli, paryskich Tuileries, guinguettes gdzieś w Normandii czy nad Sekwaną. I taką właśnie gegetkę w środku miasta stworzyłem w 2001 roku. Było to amatorskie, tymczasowe, parciane. I jako takie podobało się ministrom i radnym, co nagle u mnie mogli poczuć się swobodniej. Niby jeszcze w garniturze, ale już zrzuciwszy marynarki i w koszuli z krótkimi rękawami.

VIII

OLECHOWSKI, PISKORCZYCY, PRZEKRĘTY I DŹWIGI,

Skończył się kolejny Konkurs i tak naprawdę pozostały długi. Tylko fakty, iż nagle otrzymałem dwie interesujące prace (Małgosi Bocheńskiej zawdzięczałem świetnie płatne wykłady w Wyższej Szkole Dziennikarstwa, a Joli Kessler-Chojeckiej po jej wyjeździe na placówkę do Berna stanowisko dyrektora Centrum Monitoringu Wolności Prasy) zawdzięczałem fakt, że udało mi się przeżyć i stopniowo popłacić większość zobowiązań. Większość, powiadam, bo po dziś dzień ciągną się za mną pewne w tamtych czasach powstałe zaległości. Na szczęście jednak nie wobec osób fizycznych, lecz skarbu państwa, telekomunikacji, energii.

Nie tylko więc nie wyjechałem z X Ogródka nową bryką, co suponował personel lecz – abstrahując od faktu, że jakoś utrzymałem rodzinę, opłaciłem szkołę córeczek, ich pobyt na wsi – trzeba było jeszcze spore pieniądze do tego szaleństwa dołożyć. Musiałem się też naupokarzać.

Już drugi rok z rządu przyszło mi prosić urzędników ze Śródmieścia i Gminy Centrum o wybaczenie spóźnionych rozliczeń. Sprawozdania finansowe miałem dostarczyć bodaj do końca listopada. Tymczasem wypłaty honorariów przeciągnęły się do końca grudnia, a w kilku przypadkach zrealizowane zostały dopiero w lutym 2002 roku. Podobnie jak rok wcześniej, mitrzążył Sejmik Wojewódzki i Starostwo Powiatowe, teraz na dodatek część dotacji wpłynęła na zasadzie refundacji dopiero po imprezie (z Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego dopiero w grudniu). Po to, by prowadzić imprezę taką jak moja, trzeba więc było albo być zamożnym, by wyłożyć za budżetowych sponsorów, albo liczyć na cierpliwość i wyrozumiałość swoich wierzycieli. Różnie zresztą z tą cierpliwością bywało. Teatry i aktorzy na swoje nagrody czekali uprzejmie, wiedząc, że niepłacenie faktur raczej się w naszym towarzystwie nie zdarza. Lecz np. wspomniany niepłacony w porę drukarz właśnie ten co sądził, że z sezonowego ogródka

ministerialną Lancią wyjadę - biegła po urzędach z pianą na ustach, nie będąc pewnym, czy go nie zwodzę, i o mało nie zlinczował pani skarbnik miasta Łucji Konopki, dowiedziawszy się, że ta o kolejne dwa tygodnie przedłuża nasze oczekiwanie na pieniądze za plakat, za który wszakże i on komuś jeszcze zalegał.

Summa summarum wyplątałem się jakoś, choć na pokrycie części zobowiązań musiałem zwyczajnie zarobić.

Tak było. Nadchodził więc XI Konkurs, a tu dziesiąty nie rozliczony i jeszcze groziło mi płacenie karnych odsetek od spóźnień. Oczywiście ludzie Komitetów Obywatelskich od Piotra Foglera ze Śródmieścia po Ludkę Wujec, sekretarzującą w owe dni Gminie Centrum, zachowywali się przyzwoicie. Nikt mi tych odsetek płacić nie kazał, nie odmówiono też kolejnej dotacji. W końcu gołym okiem było widać, że zarzynam się dla jakiejś idei. Dla jakiejś mrzonki, marzenia. Moje prośby o jakąkolwiek stabilizację, etat, stały budżet, kilku pracowników, że o przyzwoitym lokalu nie wspomnę, były zawsze odrzucane, by nie powiedzieć: wyśmiewane. Jak więc w istocie mnie traktowano: źle czy dobrze?

Pamiętam jedną z rozmów w gabinecie burmistrzowskim Piotra Foglera, kiedy wręcz prosiłem go o drobną, wydawałoby się, rzecz. O zinstytucjonalizowanie Doliny Szwajcarskiej i zrobienie mnie prostym dyrektorem parku. Ot, tyle ile w 1960 roku dostał od komunistów trzydziestoletni wówczas profesor Marek Kwiatkowski, który po wzmiankowanym już wcześniej profesorze Durce był bodaj najdłużej w Polsce funkcjonującym dyrektorem.

– Jak to się panu udało? – spytałem go kiedyś.

– Udawałem wariata – usłyszałem w odpowiedzi. – Mamy mu wierzyć? Czy prosić o pokazanie teczki...

Mowy nie było. Chociaż ja, jak się zdaje, udawać czubka nie musiałem. Chyba wszyscy za takiego mnie mieli.

– W twoim wykonaniu nic mnie już nie zdziwi – usłyszałem od Adasia Michnika, kiedy w 1999 roku, gdy zawiadywałem „Szpitalem Świętego Ducha”, przyjmował mnie w towarzystwie Wojciecha Fuska w swym gabinecie na Czerskiej. W tym samym, w którym będzie za jakiś czas nagrywał wynurzenia Lwa Rywina. Zgłosiłem się doń „po instrukcje” – nawet mi ich udzielił. Kazał skontaktować się z jakimś potencjalnym reemigrantem ze Szwecji. I wydziwił, jak to trafiłem na tę posadę, gdzie powinien być jakiś, no, no – myślał zająkliwie – pewnie „przedstawiciel układu”. Niestety, nie zdążyłem z tych rad skorzystać. Wcześniej mnie wylali.

Przecież z góry nie potępiałem układu. Jak już pisałem, rozumiem, że ważne jest Towarzystwo, ważna wspólna Sfera. I wcale nie jestem za tym, by dopuszczać do władzy kmiotków, którzy rządy zaczynają od tego, że kupią sobie skarpetki, jakich nie widzieli, a potem myślą, jak zabezpieczyć rodziny i pociotków na kilka pokoleń. Szczerze powiedziawszy, niewiele bym miał przeciw układowi, gdybym mógł wraz z moimi artystami i wierną publicznością stać się ich beneficjentem. Wydawało mi się do czasu, że ten układ to tak naprawdę Towarzystwo, moja sfera i grono ludzi, którym zależy na samorządzie i rozwoju stolicy. To, co wydarzy się w ciągu najbliższych pięciu lat, tę moją wiarę przynajmniej nadwyreży.

Z jakiegoś powodu ani teatr ogródkowy, ani Centrum Kultury w Dolinie Szwajcarskiej nie pasowało do tego, co nazwano Układem Warszawskim. A zaznaczmy, że używając tego słowa nie przesądzam o nielegalności podejmowanych przez tę grupę działań. Jest przecież faktem, że nie ryzykuje nic tylko ten, kto nic nie robi.

W czasie pierwszej kadencji samorządowej (1990-94) takim „nierobem” był Jan Rutkiewicz. Wola rozwijała się prężnie. Śródmieście stało. Tyle tylko że w dniu zakończenia kadencji mógł burmistrz Śródmieścia wręczyć wszystkim radnym opracowany, przegłosowany, zalegalizowany plan zagospodarowania przestrzennego dzielnicy i pokazać kilkanaście projektów realizacji. Realizacji, które notabene finalizować będą w sobie tylko wiadomych „towarzystwach” ludzie lewicy, z Markiem Rasińskim na czele. Na Woli zaś zaczęły się procesy i pogłoski na temat malwersacji.

Andrzej Lubiowski – poznaniak i samorządowiec, twórca Unii Metropolii Polskich, który nam doradzał w czasie pierwszej kadencji samorządowej w Sejmiku, powiedział kiedyś zdanie, które zapadło mi głęboko:

– Nie pytaj o przekręty, patrz na dźwigi. Podejdz do okna swego biura i sprawdź, czy pracują. Przekręty będą zawsze, ale nie ty jesteś od ich ścigania. Ty jako marszałek Sejmiku masz ich po prostu nie robić i innym na to nie pozwalać, a policja jest po to, by je ścigać. Do ciebie, do władzy samorządowej należy sprawić, by była *prosperity*, by posuwały się dźwigi.

No cóż, dzieje gospodarcze Polski po II wojnie światowej podzielić można na kilka okresów. Wielki zastój gomułkowskiej „małej stabilizacji”, który kraść nie pozwalał. Nie bardzo chciał jeszcze mocniej uzależnić nas gospodarczo od Sowietów, których zresztą nie było na to stać, a Zachodu panicznie się obawiał.

Potem przyszedł Gierek i jego słynne 10 miliardów dolarów, które przeje-
dliśmy wspólnie, a część towarzyszy liźnęła przynętę luksusu. Znow Jaruzelski
zmuszał do wstrzeмиężliwości do czasu, gdy za rządów Rakowskiego dokonano
– jak je po raz pierwszy bodaj w styczniu 1987 roku w Wolnej Europie profesor
Rafał Krawczyk zdefiniuje – „uwłaszczenia nomenklatury”. Od tej chwili zaczęła
się wolna amerykanka, z której wyszliśmy jako naród, najogłędniej mówiąc, dzie-
sięć razy bardziej syci, sto razy bliżsi Europy, lecz tysiąc razy mocniej sfrustrowani.

Czemu jednak w tej grze zabrakło miejsca dla takich jak ja? Dla mnie i pew-
nie tysiacy podobnych mi entuzjastów działających w wielu sferach życia społecz-
nego? Czemu, po krótkiej chwili uniesienia, poczucia jedności i wspólnoty roku
1989, dla takich ludzi, których starałem się wokół siebie gromadzić, zabrakło
miejsca w III Rzeczpospolitej? Czemu nie było, nadal nie ma miejsca dla Doliny
Szwajcarskiej? Czemu nie znajdzie się ani pół miliona złotych rocznie (ćwiartka
budżetu średniego domu kultury), które z nawiązką starczyłyby mi na letnie
i zimowe imprezy, a także na zorganizowanie prac potrzebnych dla zdobycia unij-
nych funduszy?

Dlaczego zamiast dostać nagrodę, musiałem spłacać z własnej kieszeni miej-
skie zobowiązania? Dobre źródło, które mi w tym pomogło, czyli Wyższa Szko-
ła Dziennikarstwa, wyszło wnet, po ledwie roku pracy. Przetrwiałem tam tyle,
ile wykołczankowany przez Julkę Piterę również z Transparency International
ówczesny rektor tej uczelni, człowiek niezwyklej uczciwości i rozległej wiedzy,
profesor Antoni Kamiński.

Daremne żale. Dość, że zarobiłem nieźle i uczciwie, co pozwoliło mi po-
spłacać główne zobowiązania, jakie po X KTO powstały wobec ludzi. Wobec
umorzenia należnych formalnie Gminie Centrum odsetek można było myśleć
o kolejnym Ogródku, choć... coraz bardziej zastanawiałem się, po co.

Widać było coraz wyraźniej, że jakikolwiek rozwój czy stabilizacja tej impre-
zy są mi praktycznie wzbronione. Pamiętam nawet taką rozmowę z Małgosią
Bocheńską, gdy mówiłem o frekwencyjnym i medialnym sukcesie X KTO.

– No i dosyć – podsumowała.

Jednak wnioski zostały złożone, granty przyznane, zaprzestać było nie sposób.
Nie mogłem oznajmić, że nie zrobię Ogródka tylko z tego powodu, iż wszyst-
kie otrzymywane na fundację środki (nawet wcale niemałe) musiały być przezna-
czone na honoraria, bo nikt nie chciał się zgodzić na pokrycie kosztów wynajmu

lokalu, opłaty księgowej, personelu, marketingu – słowem, całej trwającej przez sezon pracy. Wreszcie, że nawet środki na kolejny sezon potwierdzane zostawały zwykle późną wiosną, gdzieś w okolicach maja.

A wiosna była barwna tego roku. W marcu wymieniono po raz kolejny władze w WSD i podziękowano mi z końcem semestru zimowego. Odszedłem w ślad za profesorem Kamińskim, kierowałem jednak jeszcze do końca czerwca Centrum Monitoringu Wolności Prasy. Jednocześnie Andrzej Urbański po odejściu rządu Buzka, z którym był pod koniec silnie związany, rozpoczął swoją grę o polityczne przetrwanie prawicy. Najpierw związał się (ale nie partyjnie, jak to u niego w zwyczaju) ze Stronnictwem Konserwatywno-Liberalnym Artura Balazsa, które wniósł w posagu Lechowi Kaczyńskiemu. Bowiem, jak mi zakomunikował, właśnie na niego, czyli na Lecha Kaczyńskiego postawił. Zabrzmiało to jak na Służewcu, gdzie zresztą też przez moment szukałem sponsora. Najwyraźniej polityka jest sportem pokrewnym wyścigom konnym. I czasem niezwykle prostych wymaga refleksji. Ot, takich, jak zapamiętana z Makuszyńskiego lekcja szybko biegania, kiedy Jacek wymienia Placka w połowie wyścigu o nagrodę Miasta.

Tak więc mój Jędrzek, poznawszy obu księżycowych braci, najprościej wyliczył, że nawet jeśli z osobna mają konkurencję, w sztafecie nikt ich nie pobije.

A mnie? Mnie Andrzej Olechowski wydawał się wyższy... I tak Urbańskiemu powiedziałem, gdy w czasie, gdy kierowałem Centrum Monitoringu Wolności Prasy, namawiał mnie, bym zorganizował grono autorytetów wspierających Kaczora w drodze po prezydenturę Warszawy. Tak powiedziałem, bo czułem, że na wsparcie mojego ówczesnego otoczenia liczyć nie mogą. Tak powiedziałem też dlatego, że w głębi duszy jestem przekonany o przewadze dźwigów Lubiatowskiego. Czułem, że Kaczyński to nowy Gomułka. Uczciwy pewnie, ale w miasto łopaty nie wbije.

Szukając wsparcia, autorytetu, siły, udałem się zatem na rozmowę do Andrzeja Olechowskiego. Nie było to moje pierwsze z nim spotkanie. Zetknęliśmy się w Nowej Telewizji Warszawa, gdzie prowadziłem z nim wywiad jako ministrem spraw zagranicznych.

– Panie Ministrze – spytałem wtedy w maju 1994 roku – czy nie spadliśmy z deszczu pod rynną? Czy z uzależnienia od Związku Radzieckiego nie popadamy w podległość Stanom Zjednoczonym?

Pamiętam odpowiedź:

– Polska jest istotnie zainteresowana trwałą i serdeczną współpracą z USA. To nasza racja stanu i najlepsze oparcie. Albowiem (tu Olechowski szeroko uśmiechnął się do kamery) nie mamy wspólnych granic!

Odpowiedź genialna i uczciwa. Pozostało najlepsze wrażenie. Respekt nawet.

Teraz też było miło. Gadaliśmy godzinę. To ponoć niezwykle. Niespodziany prezydent kraju i Warszawy nawet nie ziewnął, nie wyszedł w trakcie do siłowni lub na tenisa, co ponoć ma w zwyczaju. Przeciwnie, po trzydziestu minutach rozmowy o mediach, centrum monitoringu i takich tam sprawach zdjął marynarkę i przeszedł do rzeczy, definiując swoje plany i ambicje. Ofiarowałem daleko i dając pomoc i wychodziłem w przekonaniu, żeśmy się na coś umówili. Lecz po tym spotkaniu i miłych słowach, z tamtej strony pełne zapadło milczenie. Poczta e-mailowa szła w dym. Nie wiem: sprawdzono moje nieaparaczykowskie korzenie czy ktoś mnie zablokował...

Z Andrzejem inaczej. Dla jego działań na rzecz Lecha Kaczyńskiego zrobiłem czy próbowałem zrobić więcej, niż obiecałem. Testowałem wśród otaczających mnie dziennikarzy (Agnieszka Romaszewska, Jurek Kisielewski, Stefan Bratkowski, Krystyna Mokrosińska) szansę na wsparcie środowiskowe dla Kaczora. Były zgodnie z przewidywaniami zerowe. Próbowałem namówić jeszcze Mokrochę, by chociaż Andrzeja zgodziła się włączyć do Rady Konsultacyjnej Centrum Monitoringu Wolności Prasy. Jej szczerłość była bezwzględna.

– Urbański! – parsknęła. – A komu coś kiedy załatwił Urbański?

Nie było o czym gadać.

Mnie natomiast Andrzej Urbański skontaktował tej wiosny z byłym (ale dysponującym jeszcze rządowym samochodem) premierem Buzkiem. Zaproponowano mi zorganizowanie Instytutu Mediów i Public Relations przy Akademii Polonijnej w Częstochowie.

ODSŁONA CZWARTA

KULMINACJĄ
było pielgrzymowanie

I
JERZY BUZEK,
czyli opakowanie

Przełom tysiąclecia. Polska w nowym kształcie administracyjnym. A także ustrojowym. Powołanie samorządowych województw nie zwiększyło siły regionów, umożliwiło jednak stworzenie silnych baz dla coraz bardziej alienującej się od wyborców klasy politycznej. A raczej medialno-politycznej, gdyż przenikanie tych sfer, zarówno co do metod działania, jak i w konsekwencji co do składu wypełniających je osób, z dnia na dzień robi się coraz bardziej wyraźne. Rzecz bowiem nie w środkach technicznych, lecz w umiejętności ich wykorzystania. W końcu tzw. komunę dysponującą całą infrastrukturą limitowanego papieru, radiem i telewizją obaliliśmy przy pomocy powielaczowych ulotek. Wystarczyło porozumienie społecznej woli przekazu, której nie dało się zagłuszyć.

We wstępie do programu na dziesięciolecie Ogródka napisałem, że dekada to czas trudnych podsumowań. Po zakończeniu festiwalu podszedłem do lustra i spytałem sam siebie: co dalej?

– Facet – mówiłem do odbicia. – Masz przecież wszystkie sznurki w ręku. Kierujesz Centrum Monitoringu Wolności Prasy, nauczasz w Wyższej Szkole Dziennikarstwa. Masz komputer, faks, a nawet wspaniałą sekretarkę. (Jola Chojecka zatrudniła w CMWP Basię Karczewską, z którą wydawało się naprawdę, że można góry przenosić). Ratuj się i nie daj zgubić kraju.

Od przegranych wyborów samorządowych roku 1994 i likwidacji telewizji Grauso w 1995 czułem przecież, że mogę funkcjonować żywiej. Ostatnią próbę miejską podjąłem... 11 września 2001. Na ten dzień już po zakończeniu X KTO byłem umówiony z Tomaszem Siemoniakiem. Ten człowiek biurka pełnił wówczas funkcję wiceprezydenta Warszawy. To też były pampers, telewizjonista, który notabene kiedyś jako szef Programu I TVP zrzucił projekt mego ogródkowego telewizyjnego programu na żywo. W rządzie Tuska został zastępcą szefa MSWiA – coś jakby czekista?

Wkroczyłem do gabinetu około trzeciej z minutami. Akurat w chwili, gdy wszystkie agencje podały wiadomość o ataku na WTC. Miałem rozmawiać

o przekształceniu KTO w imprezę miejską. Rozmowa jak tysiąc poprzednich o wszystkim i o niczym... Siemoniaka najbardziej interesowała w tym momencie decyzja Platformy o zawieszeniu kampanii wyborczej na kilka godzin.

No cóż. Symboliczny wypadek. Od niego jednak pewnie coś się zaczęło. Choćby to udręczające Radio Zet, które co dzień mi potem przez kilka miesięcy od rana w głowę wkładało, że oto już po WTC żyjemy w innym świecie. Od tego czasu na Siemoniaka i Radio Zet reaguję jak... na łańcuchową karuzelę.

Mając zatem dostęp do większości polityków i dziennikarzy i naprawdę niewygórowane wymagania, zacząłem szukać miejsca, gdzie może byłbym wykorzystany lepiej niż w przez nikogo z decydentów nie chcianej Dolinie Szwajcarskiej. (Wiedziałem zresztą, że jeśli Dolina stanie się tylko marginesem mych zajęć, tak jak to było przez pierwsze cztery lata w Lapidarium, w sumie dużo łatwiej będzie mi jej instytucjonalizację przeprowadzić).

Z trudem przychodzi mi odtworzyć stan moich ówczesnych emocji politycznych. Niewątpliwie dzieliłem jeszcze świat na „postsolidarnościowy” i „czerwony”. Dziś już tego nie czynię. Dziś, jak sądzę, dzielimy się na tych, co jeszcze o Polsce (a to znaczy Jej języku, obyczajach, granicach, zasobach) pamiętają, i tych, których cieszy możliwość roztopienia się w nieokreślonej, bezideowej magmie. Ale także wierzyłem, że żyjemy w niepodległym kraju, którego wolność wywalczyliśmy sami. I co do tego ostatniego dziś mam coraz większe wątpliwości.

Bardziej z przyjaźni niż z przekonania starałem się pomóc Urbańskiemu organizującemu zaplecze dla Kaczyńskich – ale jako się rzekło, bezskutecznie. Inteligencko dziennikarskie kręgi, na które miałem przełożenie, absolutnie ich nie akceptowały. Jakoś to zresztą współodczuwałem. Bo choć nie mam żadnych wątpliwości co do inteligencji, uczciwości i ideowości obu braci, czułem jednak, że jest w nich pewien rodzaj zaciętrzewienia, a także bezwzględności, która utrudnia im pozytywne rządzenie. A potem, po nieoczekiwanym zwycięstwie osiągniętym dzięki wsparciu kręgów katolickich i ludowych, ich partia jak każda instytucja władzy zaroila się tłumem ludzi tak marnych i małostkowych jak... Cóż powiedzieć... Może jak Polska właśnie!

Szukałem dalej. Wtedy (jesteśmy wszak przed aferą Rywina) teczki jeszcze nie latały, myślałem serio o Olechowskim. Wysoki, bez kompleksów, nie powinien się mnie obawiać – kombinowałem. Może i dobrze się stało, że nie wyszło. Myślałem oczywiście o mediach. Telewizji. Zdawałem sobie sprawę, że bliskie jest wejście systemów cyfrowych, multiplexu, platform internetowych. Mówiłem o tym

wiele. Z Andrzejem Urbańskim widywaliśmy się wtedy często, dużo rozmawiając na temat konieczności tworzenia szkół kształcących uczciwych i fachowych dziennikarzy.

Zaczynał się wtedy narastający z każdym dniem proces medialnego chaosu spełniającego w istocie rolę bardziej destrukcyjną od komunistycznej zagłuszarki. Dziś raczej ma nie ten, kto ma lepsze argumenty, lecz ten, kto zdoła się przebić. Zaiścić. Zwrócić na siebie uwagę. Wiedzą o tym politycy i pewnie dlatego zaroiło się w nowych czasach od uczelni medialnych. Większość dzierzą w swym wpływie pogrobowcy czerwonych. Prawicowym politykom jednak także uczelnie się marzą. Stale też ta myśl chodziła za Urbańskim. Co na mnie popatrzył, to przypominał mi się mój doktorat i kombinował, jak by tu wygenerować jakąś uczelnię. Jeszcze gdy zarządzałem Elektorálną, myślał o stworzeniu przyszłokowej szkoły. Podobne pomysły będą chodziły mu po głowie, gdy zostanie prezesem telewizji. Teraz, tzn. w 2001 roku, temat ten podjął wycofujący się z aktywnej polityki prof. dr hab. Jerzy Buzek i z rekomendacji Andrzeja zwrócił się do mnie o pomoc w organizacji takiego kierunku przy Akademii Polonijnej w Częstochowie.

Przygotowałem zatem projekt Katedry Mediów Internetowych i Public Relations. Miało to być niezbędne uzupełnienie dla studentów: kierunków pedagogika, zarządzanie i marketing, dyplomacja, urzędnicy instytucji europejskiej – w Polsce i w Brukseli.

Opracowałem plan. Rozkład zajęć prasowych, telewizyjnych, radiowych i internetowych. Nawiązałem kontakt z potencjalnymi wykładowcami. Zredagowałem też ulotkę. Pracowałem w Warszawie, a także w Częstochowie. Spędziłem na rozmowach z byłym premierem łącznie około sześciu godzin. Raz czy drugi odwiedziłem go w warszawskim mieszkaniu przy Sobieskiego. Zdarzało się, że rano podjeżdżał po mnie na Starówkę służbową lanią. A gdy tak mknęliśmy do Częstochowy, czasem w towarzystwie byłej minister Kamińskiej, pan Buzek perorował. Odniosłem oczywiście jak najlepsze wrażenie. Rozmawialiśmy o służbie zdrowia, zdrowiu i karierze jego córki Agaty, samorządzie.

Profesor ma niewątpliwie zmysł dramatyzmu, czy melodramatyzmu nawet. Rozmawialiśmy o czterech reformach: terytorialnej, oświatowej, przekształceniach służby zdrowia i ubezpieczeń społecznych. Wywiady zacząłem od pytania o służbę zdrowia.

Profesor Jerzy Buzek ma tu szczególne doświadczenia z okresu ciężkiej choroby Agaty w późnych latach 80. Jako dziewczynka przyszła aktorka często się przeziębiała, a kuracje antybiotykami były bezskuteczne. Wtedy padło podejrzenie o nowotwór. Po badaniach przypuszczenia okazały się słuszne. Ojciec opowiadał mi, jak choroba została źle zdiagnozowana w Katowicach, jak jeździli do Krakowa. On, profesor mechaniki, twierdził, że w czasie choroby córki praktycznie zmienił specjalizację, studiując coraz głębiej medyczny przypadek Agaty. Okazało się wreszcie, że dziewczynka miała ziarnicę. To w tym czasie był prawie wyrok: nowotwór układu chłonnego, atakujący węzły chłonne i pozawęzłową tkankę limfatyczną. Wiele pretensji pozostało w przyszłym premierze do lekarzy. Szczególnie miał im za złe złe pojętą solidarność zawodową. Krakowski specjalista, który prawidłowo zdiagnozował Agatę, nigdy nie przyznał, że błędów katowickiego kolegi dziewczynka o mało nie przypłaciła życiem.

To była przedakcja i zawiązanie konfliktu. Czas na kulminację – była nią walka o życie. Tu następuje piękna opowieść o ludzkiej solidarności, o wsparciu środowiska naukowego, licznych wizytach w Niemczech, gdzie prywatne osoby udzielały Buzkowi wraz z córką gościny. Nie zapominajmy, że obecny przewodniczący Parlamentu Europejskiego jest ewangelikiem. Należy więc do jednej z pięknie w Europie wspierających się wspólnot. Wreszcie melodramatyczne zakończenie. Przyjdzie taka chwila, gdy po latach napięcia, wydatków, korzystania ze składkowych darów mógł Jerzy Buzek, już jako premier Rzeczypospolitej odwiedzając Niemcy, podjechać niezapowiedziany służbowym samochodem pod dom przez lata udzielających mu schronienia niemieckich przyjaciół. Podziękować, zapraszając na oficjalne spotkania w Rathausie. Wszystko niczym z amerykańskiego oleodruku.

Nie mniej pięknej opowieści wysłuchałem o początkach kariery Agaty. O jej pierwszych występach w warszawskiej Szkole Teatralnej, kiedy to rektor Englert z dziekan Górską na pierwszym roku z trudem tolerowali wślizgującego się na otwarte (raczej jednak dla studentów niż rodziców) egzaminy ze scen aktorskich zakochanego w występach córki prowincjonalnego profesora. Aż tu, proszę, proszę... Gdy został premierem, Akademia pojęła, ile może zyskać dzięki wysokiej protekcji w osobie Szefa Rządu. Premier teatroman – toż to sen jak z Szekspira!

Nie omieszkałem, rzecz jasna, w tym momencie wtrącić opowieści o tym, jak go próbowałem zaprosić, gdy mi się nieoczekiwanie na X Konkursie minister Kalisz na Dolinę Szwajcarską zdesantował. Premier nie mógł się nadziwić, że się o moim zaproszeniu nie dowiedział. Twierdząc, a z wielkim odgrywał to przekonaniem,

że gdyby mu tylko powiedziano, przybiegłby do mnie na skrzydłach... „Co czytasz, książkę?” ...

Trzecim razem pytałem o horrendalne, według doniesień prasowych, zarobki szefów kas chorych. Aż się oboje z Kamińską zaperzyli. Bzdura, nic podobnego. Szefowie kas chorych zarabiali po kilka tysięcy złotych. To wszystko medialne wymysły, których w żaden sposób zdementować się nie dało. Decentralizacja zdaniem byłego premiera polegała na tym, że jego rząd faktycznie przekazał do województw, do samorządów znaczne środki, umożliwiając samodzielne dysponowanie nimi.

Buzek twierdził, że rząd Millera wstrzymując w szczególności reformę służby zdrowia przechwytuje środki, które miały być przekazane samorządom. W ten sposób dysponując nimi z centrali, będzie mógł pod koniec kadencji rzucić je na rynek i wywołać przejściowy wzrost gospodarczy, służący jedynie wygraniu kolejnej kadencji. Obawy prorektora Akademii Polonijnej okazały się płonne. Wzrost wygenerowany przez Millera ze smakiem Kaczyńscy zjadali.

Lewicę zaś w pochodzie po wszechwładzę zatrzymał nie kto inny jak rzucający na szalę cały swój autorytet Adam Michnik, chwytający za połę chałata Lwa Rywina. I o tym także pamiętać wypada.

Bo to był właśnie rok Lwa. Jeżdżąc z Buzkiem do Częstochowy byłem już dyrektorem działającego przy Stowarzyszeniu Dziennikarzy Polskich Centrum Monitoringu Wolności Prasy. Te problemy też siłą rzeczy coraz mocniej mnie pochłaniały. Jakieś rozmowy, pisanie, spotkanie z księdzem rektorem. Wreszcie gotowy projekt, jakieś mętne obietnice, a potem ot, za trzecim razem u stóp Panienki Częstochowskiej zmieniły się nagle premiera plany. BOR-owski kierowca odwiózł mnie grzecznie na dworzec i tyłem Deputata widział.

Czy muszę dodawać, że nic z tego (przynajmniej dla mnie) nie wyszło? Że wykorzystano mnie bezczelnie, nie płacąc złamanego grosza? Opracowana przeze mnie ulotka do dziś wisi w internecie, studia się toczą. Nie bardzo tylko wiadomo, kto je prowadzi i dla kogo. Mnie w kilka miesięcy po wykonaniu prac projektowych, gdzieś około września 2002, poinformowano, że się nie zgłaszają studenci, a więc i pracy nie będzie. O tej zainwestowanej w kwietniu nikt przecież nie pamiętał.

Typowe zachowanie polskiej prawicy. Podobnie wszak było z robionymi przez firmę Kontakt Mirka Chojeckiego kampaniami wyborczymi kolegów z opozycji, którzy po pierwsze, drugie i trzecie zobowiązań nie płacą. Tak więc

ewentualnych chętnych do współpracy z przewodniczącym Parlamentu Europejskiego – ostrzegam.

Polityk nie jest po to, by płacić czy wypełniać zobowiązania. Nie nosi też w sobie treści. On wręcza obwoluty... Trzeba przyznać, że Jerzy Buzek ma dobre opakowania.

Zniknął z mego życia jak drobny hochsztapler. Oglądać go możemy w internecie. Przejrzałem właśnie notkę o nim, by tekst ozdobić zdjęciami, których wszakże w trakcie wspólnych podróży nie miałem okazji zrobić. Zdjęć szefa parlamentu, wiadomo – dostatek. Wspaniałe opakowania. Premier Piękny. Uczony Zamyślony. Czasem Mężczyzna Uroczy. Nie brak też zdjęć ukochanej córki Agaty. Niektóre nawet – bez opakowania¹. *Noblesse oblige?*

No cóż. Pewnie jestem staromodny. Może z innej epoki. A może z innego melodramatu. Tak sobie jednak myślę, że europejska klasa, ewangelicka wstrzeźmięźliwość, by o polskiej godności nie wspomnieć, z pornografią, nawet artystyczną, nie idą w parze.

I proszę mi nie mówić, że ojciec nie odpowiada za dzieci. Mam dwie córki.

Pochlebiam sobie, że nie brzydsze od pięknej Agaty. I mówię to serio do nich i tym, którzy mnie czytają. Gdyby swój proces wychowawczy zakończyły w podobny sposób szafując ciałem – uznałbym to za osobistą klęskę. I nigdy nie zdecydowałbym się po tym kandydować na stanowiska, które zajmować winni tylko ci, co potrafią dla innych świecić przykładem.

Demaskujemy się wzajemnie. Unia Europejska Berlusconi od libacji i Buzka od rozebranej Agaty, który z Pielgrzyma na moich oczach przedzierzgnął się w małego naciągacza – sama sobie wystawia świadectwo.

1 Noblesse oblige ? - Naga prawda o Przewodniczącym Parlamentu Europejskiego
http://www.bloblo.pl/image/6496/oryginal/01927_Agata_Buzek_122_352lo.jpg
http://www.bloblo.pl/image/6497/oryginal/02065_Agata_Buzek_427_122_253lo.jpg
http://www.bloblo.pl/image/6498/oryginal/02066_Agata_Buzek_037_122_491lo.jpg
http://www.bloblo.pl/image/6499/oryginal/02067_Agata_Buzek_241_122_188lo.jpg

II

CSATÓWNA & CO, czyli casus Hermiony

Któż nie zna Hermiony, mistrzowsko sportretowanej, a może i zautoportretowanej przez Joannę Rowling, autorkę „Harry’ego Pottera”? Mój Boże, ile ja w życiu tych Hermion spotkałem. Tych najzdolniejszych, pilnych, przejętych Nauką jak niegdyś przez całe całe stulecia Bogiem lub Mężem przejmowały się panny. Kobieta bowiem, szczególnie młoda, najbardziej chyba potrzebuje zjednoczenia i uwielbienia. Chce być podziwiana za swoje poświęcenie, wdzięk, pilność i pracowitość zwykle bardziej niż za talent.

Justysia Guze i Natalka Woroszyńska, Daniela Międzyrzecka i Anka Wasilewska, Ania Tanalska i Justynka Csató – córki kształconych tatusiów.

Dwie ostatnie bodaj najsilniej przeżyły ów rozdzwitek między ambicją a emocją, abstrakcją zawsze znakomitej oceny i konkretem siły oraz fizycznej odporności. Pierwsza wybrnęła z tego po ciężkim załamaniu psychicznym, gdy wędrowała na początku studiów między politechniczną fizyką a uniwersytecką filozofią. Ania Tanalska była córką niby profesora z Wyższej Szkoły Partyjnej, gdzie produkowano tytuły naukowe dla nomenklaturowych aparatczyków. Dionizy Tanalski (w stanie wojennym nawet redaktor naczelny „Studiów Filozoficznych”) miał imię Apostaty, a zawodowo trudnił się udowadnianiem w duchu materializmu antypersonalistycznego, że Boga nie ma. Sytuacja naprawdę zdolnej Ani szczególnie w okresie, gdy wszyscy byli już w opozycji, nie była prosta. Wiem jednak, że się otrząsnęła, nawet wyszła za mąż. Została tłumaczką i... psychoterapeutą.

Druga, czyli Justynka, to córka (młodsza) przedwojennego socjalisty, powojennego teatrologa – Edwarda Csató. Z Justynką skończyło się najgorzej. Jej ojca wykończyły rozterki roku ‘68. Tu organizacja partyjna, tam lojalność wobec strajkujących studentów szkoły teatralnej, w której wykładał. Tu polecenie partyjne, by objąć naczelną redakcję „Dialogu” po emigrującym Adamie Tarnie. Tam wyniosła drwina zaangażowanych już w Marzec po uszy takich ludzi jak mój,

przyjaźniący się z panem Edwardem przez lata, Ojciec. Tu przerażona żona (Danka – redaktorka „Kobiety i Życia”) i chorująca starsza córka (Zużka przez lata sekretarująca w redakcjach „Ekspresu Wieczornego”, „Porannego”, „Życia Codziennego”), kontynuująca dwuwiekowe tradycje redaktorskie tej na połę węgierskiej, na połę austriackiej rodziny Polaków z wyboru. Tam antysemitka nagonka na przyjaciół, z Erwinem Axerem na czele. Czterdziestoosmioletni monograf Leona Schillera nie wytrzymał napięcia. Zmarł na zawał w pociągu, wracając z Uniwersytetu w Toruniu, gdzie także wykładał, do Warszawy.

Justysia miała wtedy około 13 lat. Nikt nie wie, jak to przeżyła. Była zdolna. Skończyła studia polonistyczne. Po nich zdążyła nawet przeprowadzić ze mną wywiad w trakcie I Konkursu Teatrów Ogródkowych, gdy miała około 35 lat. Po czym... w końcu skutecznie popełniła samobójstwo. Nie była to ponoć pierwsza próba. Przyczyny jej depresji mogą być różne i indywidualne. Z niedokładnych wzmianek w słowniku *Niezależni dla Kultury* wynika, że wszystkie Csatówny wspierały opozycję. Czemu jednak Justynkę odnajdujemy na liście Wildsteina?... Czy tylko dlatego, jak twierdzi jej siostra, że przegoniła kiedyś jakiegoś absztyfikanta, co do którego zorientowano się szybko, że był esbecką wtyką?

Tak bym myślał o liście Wildsteina, jak myślałem o Macierewicza, gdyby nie ten piekielny Boni, który przynajmniej tę ostatnią, a więc i inkwizytora, który za nią stoi, uwiarygodnił.

1968 rok stał się dla znacznej części, i to chyba głównie inteligenckich, warszawskich dzieci – cezurą. Niezależnie, czy miało się wtedy dwanaście, czy szesnaście lat, po tym Dniu Kobiet – ich święto nabrało głębszego wymiaru.

Jednak w moim przekonaniu wszystkie te kobiety, a Justynka Csatówna w szczególności, są ofiarami chorego systemu koedukacyjnego.

Nie ma bowiem gorszej zbrodni niż wspólne kształcenie dojrzewających kobiet, jakimi stają się dziewczynki między dziesiątym a szesnastym-osiemnastym rokiem życia, z rozdokazywanymi w tym samym wieku piekielnikami płci męskiej. Dzieli ich w tym czasie siedem lat dojrzałości, a dystans ten tak naprawdę wyrównuje się nie wcześniej niż po dwudziestym pierwszym roku życia – przyjmowanym zresztą przez społeczeństwa dość naturalnie za próg np. biernego prawa wyborczego. Wychowywane w ten sposób między dziesiątym a osiemnastym rokiem życia dziewczynki uczą się dominacji, a nawet pogardy i lekceważenia mężczyzn. Jeszcze mi w uszach brzmi, jak coś szesnastoletni opowiadam, a z ust Justynki słyszę staromalutki tekst, wypowiedzany tonem zapożyczonym od matki:

– Boże, jaki on zabawny. Ten Kijoszczak.

Chowane wraz z chłopcami panienki dochodzą do oczywistego w tym okresie wniosku, że są od chłopców czystsze, pilniejsze, zdolniejsze. Że słowem ród męski jest pomyłką ewolucyjną, a ideałem byłoby życie w babskiej republice.

Gdy po szesnastym roku życia hormony podpowiadają co innego – szkody psychologiczne mogą już być nieodwracalne.

Tym bardziej że wpajany w społeczeństwach industrialnych system wartości utrudnia kontakt z mężczyznami dojrzalszymi. Kobiety wchodzące w związki ze swymi szefami czy akademickimi nauczycielami traktowane bywają często jak karierowiczki; na dodatek odbijające mężczyzn ich rówieśniczkom, które przeważnie zaopiekowały się nimi we wczesnej młodości. W tych związkach studenckich będących skutkiem przedwczesnej koedukacji, opartych na rzekomym partnerstwie i wyścigu, nagle z niepojętych powodów zmieniają się reguły gry, gdy po dwudziestym piątym roku życia mężczyznom sukcesy zawodowe zaczynają przychodzić dużo łatwiej. Kobietom zaś zdarza się – rodzić. Ileż nagle pretensji i porzytowania. Nawet żalów do Pana Boga lub Natury, że to na nie z niepojętych przyczyn został nałożony dopust płodności. I tak w coraz większym procencie (zastraszająco już wysokim w kręgach inteligencji) około czterdziestki Hermiony bądź to pozostają same, bądź – jak te najzdolniejsze – nigdy za mąż nie wychodzą. Całą energię wczesnej młodości poświęcając mało twórczej rywalizacji z mężczyznami. Rywalizacji, ku której sposobi szkoła, studia, a także praca zawodowa.

Nieszczęście zdolnych kobiet chowanych wśród mężczyzn! Hermion, których pozycję, nie powszechną wszak, lecz w przewadze, tak pięknie podsumuje bohaterka „Harry’ego Pottera” ćwicząca z młodym czarodziejem elementarne zadania magiczne: „Ja! książki! i trochę inteligencji! są ważniejsze rzeczy... przyjaźń i męstwo... i...”. Coś w tym jest, że znakomity tłumacz Rowling Andrzej Polkowski nie umiał znaleźć bardziej bezplciowego słowa!

Napotkana w pociągu Kasia była Hermiony najczystszy wcieleniem, co wyjaśniam wszem, którzy chcieliby w opowieści doszukiwać się elementów lirycznych dla jednych, cynicznych dla innych, a jednak pozostających co najwyżej w sferze czystych rojeń. Od słowa do słowa, jak to podczas podróży flirtów bywa, okazało się, że panna S. potrzebuje praktyki, a ja takową na Świętojeńskiej (gdzie ulokowałem biuro CMWP) dysponuję. Pomagała więc Kasia dzielnie przy organizacji sesji medialnej Konferencja „Niezależność mediów a interes publiczny” którą 11 kwietnia 2002 z pomocą „Rzeczpospolitej” zorganizowałem.

Wzięli w niej udział wszyscy wielcy medialnego świata¹ przy których Kazimierz Grudek z Radia RMF FM opisał presję jaką ówczesny minister Włodzimierz Czarzasty starał się wywierać w toku procesów koncesyjnych. Moje dni w tej instytucji były już jednak policzone.

1 Por., L. Zalewska, *Wolność mediów a interes publiczny*, „Rzeczpospolita”, 26.IV.2002.

III

PALANT NA PALATYNACIE

Szaleństwo? Amatorszczyzna? Heroizm? Czy mam tłumaczyć, że właściwie na wędrowni po Europie nie było mnie stać? A już z pewnością na noclegi. Załadowawszy samochód materiałami reklamowymi, pięknie oprawioną książeczką z projektem w wielu egzemplarzach, ruszyłem stawić czoło brukselskiej biurokracji, unijnej anonimowości procedur. Ruszyłem, jak to w moim zwyczaju, bardzo późną nocą. I... zaczęło się od gumy, którą w ulewnym deszczu złapałem gdzieś pod Poznaniem. Właściwie nie gumy, lecz felgi, bo nie wytrzymała jakości pseudoautostrady na odcinku między Koninem a Poznaniem. Koło zmieniłem w ulewie. Potem wyremontowałem felgę. Gdzieś za Poznaniem w drodze do Świecka poczułem upiorne zmęczenie. Był biały dzień, prawie południe, droga koszmarna, żadnego hotelu w okolicy. Zjechałem gdzieś w rżysko i zapadłem w drzemkę. Pamiętam, że zbudził mnie telefon komórkowy. Dzwoniła bodaj czy nie Monika Świtaj. Odpowiadałem światowo, że właśnie jadę do Brukseli. Zmierzałem.

Niemcy zawsze dotąd traktowałem w podróżach jak zjeżdżalnię do Francji. Najpierw trzeba się przedrzeć do polskiej granicy, potem wskoczyć na autostradę i jechać, jechać, jechać. Zwykle nocą wpadałem do Belgii na oświetlone autostrady prowadzące do Metz, gdzie zjazd na Maubeuge lub Valenciennes sprowadzał mnie na ziemię. Francja to była dusza. Niemcy – mechanika. Tym razem miało być inaczej. Do Świecka pozostałe 150 km z okładem przedzierałem się około dwóch godzin. Ze Świecka do celu, czyli: *eine romantische Schweitzertal, sport und spiele*, pozostało mi jakieś 600 kilometrów. Było popołudnie. Nacisnąłem pedał gazu i... około dziesiątej wieczorem pierwszy raz w życiu wkroczyłem w południowe Niemcy, w dolinę Renu, kraj zamków i Lorelei. Z autostrady spadłem bodaj na Montabaur. Potem był Neuhäusel, Fachbach i nieoczekiwanie zacząłem zdążać w stronę Natur Park Nassau między Bad Ems a Miellen.

Minęły lata. Dziś koryguję wspomnienia przy pomocy internetowego nawigatora, który przypomni każdy zakręt. Pokaże, że ta dolina to żaden plac, i że nawet nie było to w Miellen. Wtedy – to już siedem lat temu – informacje były dużo bardziej szczątkowe. Więc zjechałem do Miellen, krążę, pamiętam, późną już nocą wzdłuż rzeki Lahn. Miellener Weg, Hauptstrasse, wreszcie w las pełną już ulicą o nazwie Fruchter Weg. Kamienna tablica z oczekiwanym napisem „Schweizertal”. Ciemno. Las. Jakiś dom wiejski. Poczulem się u wrót Parku Narodowego. Jakbym samochodem na koniec drogi do Białego w Zakopanem zajechał.

No i jestem, pomyślałem, ale tu chyba romantycznego teatru nie wystawię. Drugą już noc wyciągnąłem się w moim przestronnym tiponku. Nad ranem okazało się, że skojarzenie z Parkiem Narodowym nie było mylne. Znalazłem się po prostu na terenie Natur Park Nassau. Rezerwatu przyrody. Obudziłem się rześki i ruszyłem przed siebie, w górę przez las. Spotykałem motyle, klaniałem się dzięciolom, pozdrowiłem nawet nietoperza. Spacer był piękny. Przeszedłem dolinę i wydrapałem się na płaskowzgórzu, z którego rozciągał się widok podobny temu, jaki roztacza się z tatrzańskiej Ścieżki nad Regłami. Może bogatszy nawet. Bo to był las, z którego właśnie wyszedłem, za nim w dole rzeka Lahn, w oddali zaś Ren, do którego Lahn wpada nieco poniżej Koblencji. Niezaplanowane wakacje. Pojechałem jeszcze do pobliskiego Bad Ems. Odkryłem tam muszlę koncertową nad rzeką Lahn, sanatoria. W Rathausie ani o mnie słyszeli, ani po angielsku mówili, że o francuskim – a do granicy niespełna 200 km – nie wspomnę. Pozbyłem się na jakiś czas kompleksów językowych.

Jednak wciągnęła mnie Nadrenia-Palatynat. Zjechałem do Koblencji. Zwiedziłem, co się dało. W jakimś eleganckim markecie wydzwoniła mnie zatrudniana już przeze mnie w moim maleńkim biurze Konkursu Teatrów Ogródkowych na Wilczej pani Kasia. Udało jej się w międzyczasie... umówić mi spotkanie z panem Łupiną, szefem Instytutu Polskiego, który miał czekać na mnie przed złożeniem aplikacji w Brukseli. Czulem się trochę jak emisariusz, trochę jak palant na Palatynacie. Trochę jak turysta, który zrozumiał już, że czas w życiu ucieka bezpowrotnie.

Do dziś żałuję, iż jako student nie skorzystałem z propozycji wujka, by odwiedzić paryską Operę, do której wciąż jakoś nie trafiłem. Tkwi gdzieś żal, że dwudziestoletni nie zdecydowałem się opuścić autostopowej okazji koło Werony czy Vicenzy, by zajrzeć do tych miast. Do dziś tam nie byłem. Teraz wiedziałem już, że raz się żyje. I jeśli Lorelei woła, trzeba biec na jej spotkanie. Pobieglem.

Pociągnęła mnie wyżej i wyżej. Straciwszy poczucie czasu i przestrzeni, pędziłem wgapiiony w zamki Nibelungów i pnącza winnic w górę Renu: z Koblencki przez Lorelei ku Ludwigshafen i aż do Strasburga, w którym przekroczywszy granicę niemiecko-francuską, ruszyłem do siebie. Czyli do Lunéville.

Nie mogłem go minąć. Podobnie jak Nancy z jego Muzeum Miejskim. Kolejna noc w samochodzie pod tym „Książopolem”. A potem dwór w Lunéville. De La Tour. De La Tour. De La Tour. Dwa dni zwiedzania. Czas popracować. Ruszyłem w stronę starej stolicy Szampanii – Troyes. Przybyłem jeszcze za dnia. Dolina Szwajcarska? A jakże. W centrum miasta przy bulwarze Gambetta – jak żywa.

Oglądam ceny hoteli. Oczywiście nie ma na co liczyć. Przy wjeździe do miasta zauważam jednak rzecz dla klienta niemieckich łaźni parkingowych nieocenioną: miejski basen, czyli *piscine*. Samochód stoi, ja wypływany wkroczyłem w miasto. A tam trafiłem na Dom Piekarza.

Maison du Boulanger w Troyes to coś na kształt Domu Kultury. Zastąpiłem tam wieczorem samego Emmanuela Saint-Mars, który dyrektorem Domu Piekarza został w wieku 26 lat. Było to dwadzieścia lat temu. Jego zadaniem jest koordynowanie działań kulturalnych różnorodnych instytucji. Odpowiada za logistykę salonu książki młodzieżowej – zdarzenia, które jest poniekąd jego dzieckiem. Samo pokazywanie książek jednak mu nie wystarcza, pasjonuje go przedstawianie. Stąd obok wydawców zaprasza do udziału w ekspozycji autorów, ilustratorów, bibliotekarzy, nauczycieli i księgarzy. Między 17 a 20 października impreza ta przyciąga około 40 tysięcy osób, w tym 18 tysięcy dzieci¹.

Emmanuel jest także współautorem bibliofilskiej „Historii Troyes”. Prywatnie zaś to przemiły człowiek z tych, co tylko na francuskiej prowincji zachowują dziś wdzięk i wrażliwość dawnej Francji. Francji sprzed Pompidou i coca-coli. Francji sprzed epoki minitela i internetu. Pierwszy *research* pomógł mi odkryć, że Vallée Suisse w Troyes faktycznie istnieje.

To zagłębiany podobnie jak warszawska dolina park w centrum miasta. Przez całą długość ciągnie się kanalik. Nad Doliną od jej południowej strony umieszczono miejski teatr. Zaszedłem doń. Teatr w Troyes nie gra przedstawień codziennie, nie starczyłoby publiczności. Ścisłe współpracuje jednak z Domem Piekarza mieszczącym się na truajeńskiej Starówce. Na ten budynek zwróciłem uwagę już poprzedniego wieczora, spacerując po przepięknym mieście, płacząc się

1 Le Point”, nr 1568 (z 4 października 2002), s. 308.

między pubami a internetowymi kafejkami. Ba, gdybym tamtej nocy dysponował pokojem w hotelu... Może nie tylko odkryłbym sztukę karaoke, którą następnie będę starał się z przeciętnym skutkiem ucywilizować i – poczynając od XII KTO – wprowadzić jako element teatralnego spotkania. Może życie potoczyłoby się inaczej...

Jednak noc spędziłem rutynowo w samochodzie, zaparkowanym na skwerku między Gambetta a rue Jules Lebocey nieopodal Théâtre de la Madeleine. Pobiezną toaletę zrobiłem w bistro, w którym – i to się w mojej głowie zmieścić wciąż nie chce – cen już nie podawano we frankach. Obym był fałszywym prorokiem, lecz wprowadzenie euro pogrzebie Unię. Gdy tylko zrobi się w Europie pierwszy większy (większy mówię, a nie ten zdalnie sterowany w roku 2010) kryzys ekonomiczny, a ten nadejść musi, bo płynie ze snów faraona, więc gdy obróci się siedmioletnie i przyjdzie bida, pierwsze, co zrobią kraje starej Siódemki, w szczególności Francja i Niemcy, to zatęsknią za frankiem i marką. Myślę, że stanie się to dokładnie wtedy, gdy nowi członkowie Unii stwierdzą, iż dojrzeli do euro. To euro stoczy się do nas. A moje słowa oby się zamieniły... w liry.

Ogarnąwszy się nieco z nadzieją na popołudniowy basen, ruszyłem poznawać Troyes za dnia.

Rankiem umówiony już byłem w drugim gabinecie Emmanuela tuż przy teatrze nad Szwajcarską Doliną. Okazało się, że dotarł nawet do radnych anons od attaché kulturalnego ambasady francuskiej w Warszawie, że się tu pojawię. Emmanuel z sympatycznego stał się uprzedzająco miły, traktując mnie jak oficjalnego gościa. Przede wszystkim pragnął pokazać mi swoje miasto. Starą (jeszcze sprzed czasów Reims) stolicę Szampanii, dzielnicy Joanny d'Arc, która pochodzi z nieodległych stron. Dowiedziałem się mnóstwo. O mieście z jedną z najstarszych katedr z podwójną nawą główną i najważniejszym w świecie Muzeum Narzędzi. O samorządzie, gdzie Emmanuel był wówczas radnym, szefem wydziału kultury i dyrektorem Domu Piekarza, pełniącym, jak wspominałem, zarazem funkcję szefa miejskiego domu kultury. U nas nazwalibyśmy to naganną koncentracją stanowisk, ale właśnie nasza, kopiowana nieporadnie z francuskiej struktura samorządowa sprawiała, że przez piętnaście lat dzieje Teatru Ogródkowego były zakładnikiem niewydolności i zakłamania.

Niewydolności, gdyż wymyśliwszy imprezę jako radny, byłem od samego początku blokowany w zinstytucjonalizowaniu jej w oparciu o samorząd. Oparcie się zaś o stanowisko szefa domu kultury generuje w sposób automatyczny

– o czym się jeszcze przekonamy – konflikt między instytucją kultury a wydziałem (jeśli nie ma tu unii personalnej).

Zakłamania, gdyż nie będzie oczywiście tak, by samorządowcy nie tworzyli sobie instytucji. Ale im bardziej muszą to ukrywać (jak mój znajomy wodniak z SLD z druhem walterowcem), tym bardziej przekształcają się w mafię.

Obejrzałem miasto. Niewielkie w sumie. Ale takie, którego i Kraków mógłby być niedalekim krewnym. Miasto i ludzie wiedzących, co robić, potrafiących pozyskiwać na swoje działania środki czy to w relacjach bilateralnych, czy korzystając z możliwości Brukseli. Lecz przede wszystkim miasto, dla którego zagranica nie leży daleko. Przekraczając w Strasburgu granicę niemiecko-francuską zdałem sobie sprawę, że nad Renem w promieniu dwustu kilometrów mam kilka granic. Jak blisko do Belgii i Holandii. Francja o krok, Luksemburg tuż. Szwajcarskie kantony (nie zadające się z Unią) przed, a Włochy też blisko, tyle że za górami. Wszystko o zajęczy skok.

A ja? Cóż niby miałbym Emmanuelowi zaproponować? Théâtre de guinguettes... Wysłuchał uprzejmie i z zainteresowaniem. Ale on miał swoją pasję. Rewelacyjne międzynarodowe targi książki dziecięcej. Więcej w końcu miastu z uniikatowym Muzeum Narzędzi nie trzeba. Wymieniliśmy adresy, zostawiliśmy sobie furtkę, ale czułem, że na siłę nie stworzę partnera. No, chyba żeby ekologia, parki, ta ich Dolina.

Na zakończenie dnia udałem się jeszcze raz do tego parku. *Le jardin de la Vallée Suisse* (boulevard Gambetta) urządzono w roku 1860 w fosie położonej wzdłuż dawnej fortyfikacji. To ogród w stylu romantycznym, pozwalający spacerowiczom odkrywać wzdłuż alejek swoje różnorodne przestrzenie: jego kaskady i strumyki zachęcają do błąkania się. Pagórkowaty, odcięty od otaczających bulwarów, ogród ten jest też ciekawym obiektem botanicznym.

Ktoś, pies, bies... Nie jestem zbyt otwarty, a jednak nawiązała się rozmowa. Mój rozmówca okazał się emerytowanym oficerem wojny z Algierii, który miał dom gdzieś pod Troyes. Zatrudniał w nim młodych ludzi, w czym krępowały go teraz jakieś nowomodne przepisy. *N'importe!* Kiedy powiedziałem, że obfotografuję to miejsce z nadzieją uruchomienia na tym terenie festiwalu, mężczyzna się zadumał:

– Idea owszem piękna, ale co pan robi z miejscową konotacją, gdy wiadomo, że w języku potocznym iść, szczególnie wieczorem, do Doliny Szwajcarskiej znaczy tyle mniej więcej co „pójść w krzaki na ksiuty”?

No tak. I ten argument ważny, jeśli nie rozstrzygający. Nie uszczęśliwię trujączyków na siłę. Popływałem trochę przed samym zamknięciem basenu i rusyłem w dalszą drogę. Kierunek Châlons-en-Champagne.

W tej pięknej miejscowości w pół drogi między Troyes a Reims wysłuchałem mszy Mozarta w katedrze, na którą ściągnęło pół miasta, zjadłem pysznie (u lepszego, ale jednak Chińczyka). Wreszcie, zostawiając (pierwszy raz, odkąd goszczę na francuskiej ziemi) Paryż jego sprawom, pomknąłem na wskroś wschodniej Francji przez Reims, gdzie wpadłem na godzinę, by przejść się tamtejszym Champs Élysées i popatrzeć na katedrę, całkowicie zasłoniętą przez reklamę konserwatorów.

Drogami departamentalnymi naturalnie (kogo tu stać na autostrady...) jechałem dalej – w stronę Lille. Cały czas byłem bowiem w kontakcie z warszawskim „biurem”. Ono kontaktowało się z całą Europą, poszukując kogoś, kto, nazwijmy to wreszcie po imieniu, podżyruje projekt europejskich dolin szwajcarskich. Rzecz bowiem w tym, że projekt europejski musi zgłosić minimum trzech unijnych partnerów. A skąd ja niby miałem ich wziąć – niebożę? Dziewczęta przekazały mi zatem wprost z konsulatu adres jakiegoś zasiedziałego w Lille André polskiego pochodzenia.

Może rodacy pomogą? Brnąłem przez Francję. Orałem moim tiponkiem kilometry unijnej procedury z narastającym poczuciem beznadziei. Niemal bez zatrzymywania, świtem wjechałem do Lille. Dotarłem prosto na umówione dość wcześniej rano spotkanie.

Jakaś knajpka, jakiś nawet miły artystyczny typ. Burza pomysłów, lecz bardziej imprezowych niż merytorycznych. – My raczej nie. Nie mamy pieczątki ani statusu, może jacyś inni „oni”. Usłyszałem. Wypad na przedmieście. Opóźnienie. Przesiadamy się w jeden samochód. Poczulem się, jakby to były szczenięce lata gdzieś pod Aninem czy w okolicach Radości. Zorientowałem się, że w najlepszym przypadku znalazłem się wśród lokalnej cyganerii, jeśli wręcz nie w kręgu jakiegoś półświatka. Po kilku godzinach bezsensownej włóczęgi, zmyśliwszy jakieś dodatkowe spotkania, wymiksowałem się z tej idiotycznej sytuacji i powróciłem do centrum Lille.

Bardzo, bardzo już byłem zmęczony. Minionym dniem bezsensnym. Krytyńskim spotkaniem. Pięcioma już nocami w samochodzie. Zaparkowawszy na podziemnym parkingu w okolicach rynku, przeszedłem kilka kroków w stronę

ratusza i kościoła, gdy nagle, tuż przy deptaku, rzucił mi się w oczy niewielki, schludny hotelik. Cena nareszcie przystępna. Wszędzie było w granicach 80, tu bodaj 30 euro. Samochód bezpieczny. Ja umyty. Rzuciłem się do łóżka, by zbudzić się późnym wieczorem.

Lille jest nie tyle piękne, co urocze. Inaczej jednak niż tętniące godnością Troyes. Lille jest przedmieściem Flamandów: domowe jak oni, lecz wesołe jak Francuzi. Dobre miejsce dla życia. Nic dziwnego, że mnóstwo tam Polaków. I muli. Udawszy się wieczorem na centralny bulwar, w każdej knajpce widziałem na stoliku podawane w teflonowych garnkach, takich domowych z nakrapianymi pokrywkami, tuziny muli.

– Mężczyzna po czterdziestce – tak mawiał Senior, gdy się rozochocił – z wolna, z akcentem na słowo „z wolna” (podkreślał) z wieku seksualnego przechodzi w kulinarny.

A zestresowany mężczyzna...? Więc niech nam z Lille pozostaną mule. I jeszcze poranna kawa.

Mój tani hotelik śniadań nie serwował. Jednak gdy rano zmierzałem już w stronę parkingu, zaszedłem do cukierni-piekarenki, będącej połączeniem kawiarni, bistra i tego, co się we Francji nazywa *pâtisserie*. Przestronny lokalik pachniał kawą, bułkami, tysiącem konfitur. I z tymi zapachami pożegnawszy Francję, ruszyłem na podbój Brukseli.



Gandawa

Fot. A. T. Kijowski

IV
PYSK W PYSK Z OLEKSYM,
czyli brukselskie Waterloo

Z Lille do Brukseli nie jest zbyt daleko. Ledwie sto kilometrów. Szybkim pociągiem pół, samochodem niespełna godzina jazdy. Na umówione z Zenonem Łupiną spotkanie przybyłem punktualnie. Choć rue du Croissant była dobrze ukryta.

Dostałem szkołę. Pan Zenon jest człowiekiem praktycznym. Nie wierzy politykom ani urzędnikom. Nie przecenia też (podobnie jak Emmanuel) Unii. Rozumie, co dla podążającego śladem barbarzyńcy w ogrodzie uciekiniera z komunistycznej utopii wciąż jasne nie było, że sztuka nie rodzi się na kamieniu, że musi mieć mocne oparcie, nie utrzymają jej ani społeczni, ani prywatni sponsorzy. Jego Centrum Polskie w Brukseli (Centre Polonais) to w sensie biznesowym hotel i restauracja, prowadzące poza tym działalność kulturalną, potrzebną o tyle, o ile przyciąga sponsorów, powiększa liczbę gości przy stołach i w pokojach. No, a restauracji ani hotelu w centrum Brukseli nie wystawi się z niczego. Pieniądze zawsze mają jakieś pochodzenie – to już inna sprawa.

Przejrzał pan Zenon uważnie wypieszczone przez nas wystąpienie. Abstrahuując od zasadniczego faktu, że brakowało już ewidentnie dwóch europejskich żyrantów, a i jego organizacja ani chciała, ani chyba mogła angażować się w mój projekt, wskazał jeszcze kilka drobnych, acz istotnych usterek. Co z tego, że nie wymagane, ale dlaczego nie jest dołączone i przetłumaczone sprawozdanie finansowe za ostatni rok? A zaświadczenie o braku zadłużeń na koncie fundacji, które w ostatniej chwili jeszcze zdobywałem w banku, czemu nie jest przetłumaczone przez tłumacza przysięgłego?

– No, ale jeśli znajdę żyrantów, to takie niewymagane bezwzględnie formalne kwity można przecież dostarczyć w późniejszym terminie – skonstatowałem.

– Po polsku pan myśli. Tu termin jest termin, a procedura to procedura. Bo ona właśnie chroni brukselskie pieniądze przed dostaniem się w niepowołane

ręce. Oczywiście, że osobiste kontakty mają ogromne znaczenie, ale ich przecież nie wykrzesze się z niczego. Jeśli zaś odda pan wniosek niedopracowany choćby w kilku procentach, to ani temat, którego dotyczy, ani instytucja, która go przedstawiła, nigdy na żadne środki nie ma co liczyć. Tu nie ma szansy na poprawę. Budżet unijny to jedna bramka, do której gra tysiące graczy. Zadaniem urzędnika jest tę bramkę obronić.

Ja jednak wciąż naiwnie wierzyłem w swoją gwiazdę. Że może jednak kogoś przekonam, że wspomże mnie unijny urzędnik. Wskaże drogę, skontaktuje z potencjalnym żyrantem.

Prawdę mówiąc, moje myślenie wcale nie było tak błędne. Kilka lat później, gdy będę już jako szef Domu Kultury walczył o środki na inny projekt w Instytucie Kultury, dowiem się prawdy: jednak o tym za chwilę. Jesteśmy jeszcze w unijnym przedśmionku, a o tym co się dzieje w środku nawet Łupina nie wiedział albo i nie powiedział.

Wyszedłem odeń jak błędny. Staralem się trzymać fason, a on nie mógł pojąć, dlaczego nie chcę skorzystać z jego (biorąc pod uwagę stosunek jakości usługi do ceny) znakomitej propozycji noclegowej za bodaj jedyne 60 euro. A więc cały wysiłek na nic! Byłem wszak jedną z pierwszych osób w Polsce, które – już w 1999 roku na stypendium Maison de la Culture du Monde w ramach programu Courants (kiedy to spotykałem się z Andrzejem Sewerynem i flirtowałem z l'AFAA) – dowiedziały się o istnieniu programu Kultura 2000 z jego fundamentalną zasadą międzynarodowości. Mimo że w konwersatorium brało udział osiemdziesięciu dyrektorów instytucji kultury, nie udało mi się przekonać czy zachęcić nikogo, nawet Dunki odpowiedzialnej za podobny mojemu letni festiwal w Kopenhadze. Ona interesy załatwiała bilateralnie z Francuzami. Z Francuzami, którzy o europejskich przedsięwzięciach z grzeczności wspominali, lecz ich stosunek do nich zilustruje jeden wykrzyknik, któregoś z urzędników ministerstwa kultury czy spraw zagranicznych. Zapytany o środki unijne i UNESCO, uśmiechnął się z politowaniem:

– Środki? – zapytał. – Jakie środki? Przecież istnieją tylko francuskie środki. *Quels moyens? Il n'y a que les moyens français!*

Jestem nieudacznikiem, biedakiem bez posagu, naiwniakiem – myślałem. Dałem się wpędzić w pogoń za mrzonką, a ten tygodniowy pęd po Europie sprowadza moje działania do absurdu. Bezmyślnie kręciłem kołami po przedmieściach Brukseli. Była niedziela 27 października 2002 roku. Na złożenie dokumentu

pozostało cztery dni. No, ale widać to było wyraźnie. Nie ma gdzie spać, nie ma co robić, nie ma tu czego składać. Niemal półprzytomnie (o jakiejś bagietce i coca-coli kupionej w spożywczaku) wyjechałem z Brukseli i znalazłem się na autostradzie. Koła same niosły mnie w stronę nieodległej Brugii. Tak powiedziałem Łupinie. Dziękując za propozycję noclegu powiedziałem, że muszę odwiedzić ukochaną Brugię. No i Gandawę, której ciągle nie dane mi było zobaczyć.

Brugię pierwszy raz odwiedziłem w 1999 roku. Jadąc samochodem na stypendium Courants, postanowiłem zahaczyć o Flamandy. I odkryłem to miasto Memlinga. Niewielkie i skupione jak Toledo. Wodami jak Wenecja warowna, jest Brugia stolicą malarstwa, ale i złotnictwa, i handlu wszelakiego. Wyróżnia ją jednak kanał, którym można opłynąć naokoło całą najstarszą jej część.

Zapadał zmrok. Pogoda też już się psuła. Była dziesiąta, może jedenasta wieczorem, gdy wjechałem do tego miasta malarzy i sukienników. Łało. Ukrywszy tiponka w podziemnym parkingu tuż koło centrum (coś mu dolegało z przednim światłem w wilgoci, więc musiałem powalczyć z kabelkami), ruszyłem na podbój miasta. Pogoda nie zachęcała do spacerów. Ja jednak bardzo pragnąłem przypomnieć sobie kanały, którymi kilka lat wcześniej opłynąłem miasto. Przekąsiwszy co nieco w knajpcie naprzeciw ratusza, nacieszywszy oczy pięknem oświetlonych kamieniczek, przeczekałem deszcz i ruszyłem na spacer.

W miejscu, gdzie uliczka zamieniała się w bulwar nadbrzeżny, spojrzałem na wejście do patrycjuszowskiej kamieniczki, przy której spostrzegłem przypięty kłódeczką rower. Popatrzyłem uważnie: to była jedna z tych najtandetniejszych kłódek, gdzie opory mechaniki szyfrowania poczuje byle palant z Pałaty-natu. Złodziejskie ręczki same pracowały. Uwolniwszy rowerek, przyznałem rację tym, co mi takie kłódki odradzali kupować. Spojrzałem na zegarek. Było po jedenastej. Wiedziałem, że oświetlenie miejskie gaszą najwcześniej około północy. Nie sądzę, pomyślałem, żeby właściciel przed rankiem zatęsknił do swego wehikułu. Dokładnie zapamiętawszy numer domu i nazwę ulicy, ruszyłem w turę: naokoło miasta po wewnętrznej stronie kanału.

Było pięknie. Cała przejażdżka rowerem trwała w granicach godziny... Raz tylko zmartwiałem, gdy na jakimś zakręcie nieoczekiwanie podjechał do mnie wóz policyjny. Na złodzieju czapka gore! Panowie zwrócili mi uwagę po flamandzku, że mi się tylne światelko nie pali. Odpowiedziałem po francusku tłumacząc, że jadę pożyczonym od przyjaciół rowerem. Jak na przyjaciół przystało, pomogli podłączyć przewodzik do dynamo i rozstaliśmy się w zgodzie. I tak

objechałem kanały, rowerek niepostrzeżenie przypiąłem i nieco odprężony udałem się w stronę tiponka.

Co robić? Zaczynał się poniedziałek. Myśl o Brukseli, o *bâtiment 100*, na który adresuje się unijne aplikacje kulturalne, biurowcu który planowałem, obiecywałem, chciałem zdobyć, podbić i oczarować, napelniała mnie trwogą i zażenowaniem. Szukałem więc najwyraźniej przeżyć zastępczych. Flamandzki nie jest wcale prostym językiem, a że w naszej kulturze nazwy miast hanzeatyckich tradycyjnie spolszczamy, wcale nie łatwo jest wędrując bez przewodnika skojarzyć, że Brugge to Brugia, Gent to Gandawa, a Den Haag to po prostu Haga. I w takiej kolejności, w trakcie kolejnych flamandzkich wojaży przegapiałem ogrody Niskich Krajów. Najpierw przegapiłem Brugię, jeszcze w czasie pierwszej eskapady skoncentrowanej na Antwerpii, Brukseli i Rotterdamie. Potem minąłem dwakroć Gent, czyli Gandawę. Hagi, mimo że dotrę w tej jeszcze podróży nieomal na przedmieścia Den Haag – do dziś nie zwiedziłem.

Postanowiłem teraz jeszcze tej nocy odrobić gandawskie zaległości. Gent, które już tego dnia mijalem pędząc z Brukseli, odległe jest od Brugii o ledwie 40 km na południe z hakiem. Ale... Obudził się we mnie traper. Jeśli już jestem na tej autostradzie ciągnącej się wzdłuż kanału, którego zamulenie odsunęło Brugię od morza – trudno będąc tak blisko nie dotknąć Północnego Morza. Ostenda... To słowo ma koloryt sprzed I wojny. Niesie w sobie wspomnienie monarchii austrowęgierskiej i ulubionego kurortu belgijskiego króla Leopolda. Ma w sobie Ostenda coś purytańskiego i salonowego zarazem. Widzę ją wyłącznie w biało-czarnych kolorach. Na przyspieszonych kadrach filmów Lumière'ów. To w Ostendzie narodziło się pojęcie kurortu. Pojęcie europejskie w istocie, jeszcze nie wynaturzone tunezyjską plażą. Skręciłem ku Ostendzie. Dopadłem kurortu. Odbyłem spacer. Poznałem marynarza. Spenetrowałem molo. Jednak miasto głębiej mnie nie wciągnęło, nie spotkałem też Neptuna ani duch *Tespisa* nie wynurzył się z piany. Było już dobrze po północy, gdy zacząłem powrót mimo Brugge przez Gandawę w stronę tajemnej Brukseli.

Gandawę postanowiłem zwiedzać nocą. Była pięknie oświetlona, więc wdarłem się aż na sam szczyt, gdzie za dnia samochodów nie wpuszczają. Dotarłem niemal na rynek, objechałem wszystkie uliczki, od bardzo przypominającego gdańskie nabrzeża Motławy kanału aż po katedrę z dzwonnica i kościołami. Przytulilem się gdzieś z samochodem i postanowiłem przedzemać do rana. Tym bardziej że w muzeum sztuki nowoczesnej otoczonym przez piękny *Citadel Park*

zobaczyłem informację o retrospektywie Giorgia do Chirico, którego dzieła wszystkie pierwszy raz widziałem w Paryżu w Muzeum Marmottan przeszło ćwierć wieku wcześniej.

Niestety, zapomniałem, że jest to poniedziałek, dzień, w którym nieczynne są muzea. Minął poniedziałek. Termin składania aplikacji nadchodził nieodwołalnie. Ostatnią szansą na jej złożenie, jeśli nawet nie teraz, to za rok, zdawał mi się sam Urząd. Sama Komisja Kultury, gdzie, jak mi się zdaje, powinni mieć informacje, może nawet prowadzą swoistą bazę danych dla takich, co mają wartościowe pomysły, lecz trudno im znaleźć zagranicznego partnera. Może coś mi po ludzku doradzą...

Nie można się poddawać. Zdecydowałem. Jeśli mam zostać bez unijnych środków, muszę wiedzieć, że zrobiłem absolutnie wszystko, co w mojej mocy, by nie zostać odtrąconym.

Późnym wieczorem przemknąłem krótki odcinek, który dzieli założoną jeszcze w rzymskich czasach Gandawę, niegdyś trzecie w Europie i pierwsze we Flandrii miasto, od stolicy Brabancji, czyli Brukseli. Wjeżdżałem do tego miasta po raz trzeci, już wiedząc, że też są w istocie trzy, na trzech poziomach położone Bruksel.

Pierwszy raz to było jeszcze w 1988 roku, gdy wyrwałem się z Polski w styczniu, nareszcie samochodem (jeśli tym mianem obdarzamy malucha), na stypendium w paryskim Conservatoire, zafundowane mi dzięki ks. Faleńczykowi przez paryskich pallotynów. Myślałem wtedy głównie o muzeum. I zajechałem pod nie, niemal bezpośrednio sunąc przez środek miasta Koningsstraat, czyli rue Royal. Dopadłem muzeum, spotkałem się z Flamandami i rzuciwszy okiem na monumentalne pałace królewskie, poplątawszy się po estakadach, oddaliłem się nieco zdziwiony, że nigdzie starych kamieniczek nie widzę.

Za drugim pobylem, też na muzeum królewskim skoncentrowanym (to był czysto turystyczny wypad w jakimś 1995 roku), zszedłem w dół, by odkryć katedrę świętego Michała z kilkoma europejskimi budynkami. Łało, pamiętam, jak z cebra i moje penetrowanie stolicy Europy zakończyło się bodaj na skryciu głowy w niezwykłym handlowym pasażu, jakim jest Koningsgalerij, Galerie du Roi, czyli Galeria Królewska.

Dopiero w 1999, wracając ze stypendium Maison de la Culture du Monde, oddaliłem się na tyle od mojej (położonej na centralnym środkowym poziomie) muzealnej osi, by zejść w dół i trafić w końcu na Grote Markt, czyli Grande Place,

który, jako że marzyła mi się już ślizgawka w Szwajcarskiej Dolinie, był dla mnie bardzo interesujący, gdyż dowiedziałem się, iż zimą brukselczycy urządzą sobie sztuczną ślizgawkę między jego barokowymi kamieniczkami.

I wreszcie teraz odkryć miałem górę. Tzn. tereny powyżej Muzeum, rue Royal i Parku Brukselskiego. Rozmieszczone między rue de la Loi (Wetstraat, czyli ulicą Prawa) a rue Belliard supernowoczesne budynki Parlamentu Europejskiego i jego komisji. Zaopatrzone w legitymację dziennikarską zaatakowałem te rejony już we wtorek rano. Po nocy spędzonej tym razem w hoteliku blisko Grote Markt, pachnący i wyprasowany.

Dzwoniłem z budek. Odsyłany od bâtiment do bâtiment starałem się wysłać to zaczarowane miejsce, w którym mają rozstrzygać się kulturalne losy Europy. Przy okazji zwiedziłem wszystkie ważniejsze budynki, z Parlamentem na czele. Ten oszałamia rozmachem połączeń, łączników przebiegających nad ulicą Wiertz – na kształt Łuku Triumfalnego.

– To nie tu. Dwa bloki dalej. To nie ja. To koleżanka. Właśnie jest na lanczu – dowiedziałem się w bâtiment 100.

Krótko mówiąc: proszę działać zgodnie z przyjętymi procedurami. Cóż, więcej się nie spodziewałem. Łupina miał rację. Dziś liczyłem już tylko na cud. Nasyciłem oczy przybytkiem władzy. Wiele do myślenia dało mi natknięcie się niemal pysk w pysk na odpowiedzialnego naoczas za sprawy aneksji agenta, nie agenta Olina, lecz z pewnością kłamcę lustracyjnego – Józefa Oleksego.

Pozostało mi jeszcze zwiedzić Jubel Park z ciekawym muzeum malarstwa i jeszcze ciekawszą kolekcją starych samochodów. Zjechać na sam dół do starej Brukseli, by przejść się po Galeriach Króla i Królowej (Galerie du Roi, Galerie de la Reine). Poblądzić ulicami Dominikanów, Rzeźników (rue de Bouchers, Fourche, Gretry, Fripiers) aż po Bulwar Anspach, Plac Giełdy (Place de la Bourse), by powrócić na Wielki Plac, odnaleźć targ ziół, czyli Grasmart (Marche aux Herbes). Wreszcie ulica Maślana (rue au Beurre) niby ateńska Plaka. Tu, napatrzysz się na dziesiątki stoliczków restauracyjnych na ulicach, nareszcie dobrze i nie bardzo drogo zjadłem. Mijając jeszcze kościół Magdaleny, ostatecznie opuściłem Brukselę, przez przypominające nieco paryskie Trocadero Wzgórze Sztuk, czyli Mont des Arts (Kunst Berg).

Tak na odchodnym powróciłem do punktu wyjścia. Na Plac Królewski do Muzeum, od którego wszystko się zaczęło. Wiem nieco więcej o mieście. A także o współczesnym brukselskim systemie. Stąd już bez urazy, acz z żalem

odtrąconego konkurenta – pora wracać. Usprawiedliwienia dla tej szaleńczej podróży się skończyły. Opuściwszy Brukselę, wpadłem jeszcze na moment rzucić okiem na Panoramę pod Waterloo. Zmiliłem pod nosem znane przekleństwo generała Cambronne, ale wychodząc przypominałem sobie tę szlachetniejszą wersję wydarzenia: „*La garde meurt, mais elle ne se rend pas!*”¹. Spojrzałem jeszcze raz na mapę.

Warszawa tuż-tuż! Trzeba tylko przejechać do Holandii. Przez znaną już Antwerpię (do muzeum wdarłem się na 15 minut przed zamknięciem). Następnie siadłszy autobusowi z amerykańcami na ogonie, urządziłem sobie według ich rozkładu jazdy pełną City Tour.

Dotarłem potem do Bredy. Tam miła noc w hotelu, spacer niewielkim miasteczkiem między damami, które młodzieńcy zwozili do kina rowerami. Potem jeszcze małe piwo w Rotterdamie i już, już przed nami znajoma szosa E-8 z Londynu do Brześcia. Po 1985 roku przezwana E-30.

E-30 to trasa europejska wiodąca z irlandzkiego portu Cork do Omska w Rosji. Ma w sumie 3625 mil / 5800 km długości (2062 mile / 3300 km z Cork do Moskwy i 1560 mil / 2500 km z Moskwy do Omska). Często uznawana jest za najważniejszy europejski szlak komunikacyjny na osi wschód–zachód; główna trasa dla dużych samochodów ciężarowych wiozących zaopatrzenie z Europy Zachodniej do Rosji i Białorusi.

Wszystkie drogi prowadzą do Rzymu. Droga z Brukseli do Warszawy też musi być prosta. Pamiętając kłopoty, jakie ma się przy wyborze kierunków, gdy pędzi się siecią autostrad, postanowiłem zacząć od podporządkowania się standardom. Dotrzeć do europejskiego źródła drogi: odbić się od portu w Hadze. I tak się stało. Ominąwszy nierozpoznaną dawną stolicę Holandii, zjechałem do portu o drugiej w nocy, obejrzałem wojenny okręt-muzeum z czasów II wojny światowej, w garkuchni dla marynarzy zjadłem za dwa euro posiłek złożony ze świeżuteńkich krewetek, za które w Brukseli zapłaciłbym nawet sto razy tyle. I w drogę.

W Utrechcie spędziłem ostatnią hotelową noc. Obejrzałem rozerwaną na pół katedrę bez głównej nawy i holenderskie popisy rowerowe. W klasztorze świętej Katarzyny napatrzeć się nie mogłem na siwiutkiego staruszka, kręcącego się w kółko na rowerze po wewnętrznej części podwórka. Czteroletnia co najwyżej wnuczka stała trzymając rękę na jego ramieniu za postawionym na tymże bagażniku czajnikiem z wodą. Do kierownicy przywiązana była smycz, a na niej

1 Gwardia ginie, ale się nie poddaje.

biegł niewielki pies. Potem dołączyła babcia z drugim dzieckiem siedzącym też na bagażniku i cała kawalkada ruszyła ulicą – nawet piesek nie zaplątał się im między koła. Wtedy wyjaśnił mi się widok z dnia poprzedniego: panienek w długich płaszczach zajeżdżających do teatru... na bagażnikach rowerowych swych adoratorów.



Utrecht, Rowerzysta

Fot. A. T. Kijowski

Tak, tak – kto chce tu aplikować, musi od dziecka trenować.

W Utrechcie, mieście pokoju, powiedziałem – pokój tobie, Europo. Przede mną już tylko europejska E-30. Apeldoorn w Holandii. W Niemczech: Osna-brück – Hanower – Brunszwik – Magdeburg – Poczdam – Berlin – Frank-furt nad Odrą, i do Polski: Świecko – Świebodzin – Poznań – Konin – Stryków – Łowicz – Warszawa.

Dniało. Opadłem z sił kilkadziesiąt kilometrów przed Warszawą. Teoretycznie mógłbym sobie pozwolić na nocleg w hotelu. Jednak lubię symetrię. Niech dobre wspomnienia pozostawi nam Breda.

Tutaj, u wrót aspirującej wówczas do Unii stolicy, pora przedstawić bilans przegranej bitwy. Całą drogę myślałem. Przeżuwałem niepowodzenie. Myślałem, jak po przegranej bitwie wygrać tę batalię. Dziwiłem się swej naiwności. Uświa-damiałem sytuację.

A sytuacja jest po pierwsze taka, że droga z Utrechtu do Świecka, czyli 700 km zgodnie z komputerowym Itinéraires Via Michelin, zajmuje dokładnie sześć godzin. Pozostałe do Warszawy 488 km to minimum kolejne sześć godzin. Cóż, pomyślałem, zbudziwszy się nad ranem i kierując się do stęsknionych córeczek i ciekawego mych przygód personelu. Po pierwsze, mieszkamy za daleko. Po dru-gie, jeszcze nie jesteśmy w Unii. Po trzecie...

Zanim za dwa dni dotarłem na Wilczą, awaryjny plan był gotowy.

V
WALDEMAR DĄBROWSKI,
czyli jak gonić króliczka

W czym problem? Zadałem sobie pytanie. W naszej odległości od Unii, w osamotnieniu, w braku kontaktu. W Miellen nie myślą o Europie. W sposób naturalny współpracują z sąsiadami zza Renu. Podobnie w Troyes. Nie myślą o środkach. Spotykają się, dużo podróżują. Ja pewnie zdobycie środków na mój festiwal powinienem zacząć od wędrówki po europejskich parkach, może od spisania i enumerowania co ciekawszych letnich muszli parkowych. Wszystko zatem, co trzeba, to umożliwić ludziom spotkanie i rozmowę. Nie indoktrynować ich ani zarzucać brukselskimi materiałami, lecz na wzór konferencji ekonomicznej w Davos zaprosić zainteresowanych w jedno miejsce (niech to będzie położona w centrum Europy Warszawa), by mogli przedstawić swoje pomysły i łączyć się w unijne trójki lub piątki. No cóż, podróże kształcą – podsumowała mój pomysł Kasia Synowiec i ze zdwojoną energią wzięliśmy się do pracy.

Po kilku dniach projekt w swych zasadniczych zarysach był gotów. Ktoś z kolegów Kasi z Forum Młodych Dyplomatów pomógł i naszkicowana przeze mnie w html-u strona nabrała lekkości php. Zniknęła już z serwerów, ale k'woli ciekawości ją przypominam.¹

Nawiązałem kontakt z Zamkiem warszawskim, zarezerwowałem sale, uruchomiłem listy mailingowe własne, ministerstwa, a także Czechów i Słowaków, którzy mi swoje udostępniłi, słowem: rozesłałem tysiące spamów, po których ślady dziś jeszcze odnaleźć można w internecie.² Fundacja „Kultura Tutaj Obecna” zapraszała do wzięcia udziału w Europejskim Forum Inicjatyw Kulturalnych (EFIK), które miało się odbyć w Warszawie na Zamku Królewskim w dniach 7-8 kwietnia 2003. EFIK chciał powołać europejską płaszczyznę współpracy kulturalnej, której priorytetem miało być stworzenie miejsca spotkania dla

1 <http://www.kijowski.pl/efik/index.html>

2 <http://wiadomosci.ngo.pl/wiadomosci/39526.html>

zadzierzgnięcia międzynarodowej i trójstronnej współpracy kulturalnej. Głównym celem Forum miało być stworzenie płaszczyzny wymiany doświadczeń dla projektów artystycznych i kulturalnych, które wymagają współpracy z partnerami z zagranicy. Przyczynić się to miało do pogłębienia wiedzy i wykształcenia umiejętności przydatnych w ubieganiu się o dotację na cele kulturalne. Inicjatywa miała pomóc europejskim organizacjom wykorzystać środki osiągalne poprzez europejskie programy akcesyjne, takie jak np. Kultura 2000 czy Media Plus. Adresatem EFIK były zatem europejskie fundacje, stowarzyszenia, osoby prywatne, muzea, lokalne domy kultury, jak również polskie i zagraniczne podmioty realizujące cele kulturalne. Kilkundniowe prezentacje, podczas których uczestnicy mieliby możliwość pokazania dotychczasowego dorobku, miały na celu ożywienie kontaktów, wymianę doświadczeń i wspieranie dialogu w sferze kultury. Ambicją organizatorów było też zapoczątkowanie debaty na temat stanu i możliwości rozwoju kultury w procesie integracji europejskiej. Na program Forum składać się miały przede wszystkim spotkania i prezentacje zorganizowane na kształt „targów”, gdzie na poszczególnych stanowiskach prezentowano by oferty inicjatorów otwartych na współpracę międzynarodową, w obrębie podanych niżej grup:

1. FESTIWALE (teatralne, filmowe, muzyczne, taneczne)
2. WYSTAWY (plastyczne, fotografia)
3. PUBLIKACJE (tłumaczenia, inicjatywy wydawnicze)
4. KULTURA W INTERNECIE – EUROPEJSKIE PORTALE KULTURALNE
5. ETNOGRAFIA – ARCHEOLOGIA
6. MEDIA.

W trakcie EFIK zorganizowane miało też zostać seminarium wyjaśniające praktyczne aspekty paneuropejskiej współpracy oraz zasady ubiegania się o unijne dotacje. Program EFIK uzupełniać mogły również odczyty i sesje panelowe. Przewidywałem wykłady wybitnych przedstawicieli świata kultury oraz panele dyskusyjne, które byłyby okazją do wymiany doświadczeń opartych na europejskich przykładach. Imprezie towarzyszyłby naturalnie program turystyczny i artystyczny. Zaplanowałem nawet bankiet. Termin nadsyłania zgłoszeń: wyznaczyłem na 28 lutego 2003. Koszt uczestnictwa...

No właśnie... Kto zechce zapłacić? Wszakże mnie, mimo całego bidowania, tygodniowa wycieczka po Palatynacie kosztowała z pewnością ponad tysiąc złotych. Ale czy wielu jest takich wariatów? Wszyscy wiemy, czemu służą zjazdy. Tu chodziło o to, by poza tym, co jest wataą, czczym gadaniem, poza przyjemnością i zwiedzaniem, dać konkret realnej możliwości znalezienia partnera.

Zorganizowania drużyny, która, godząc się na metaforykę pana Łupiny, wbije gola do unijnej bramki. Oczywiście, myślałem, oceniając podstawową cenę przyjęcia uczestnika na jakieś 200 euro, czyli 800 zł. Można dodać dla bogatszych płatne usługi dodatkowe.³ Warto jednak, by „szaraczki” zostały przez kogoś z-sponsorowane. Nawiązałem kontakt z panią Ewą Stepan z przedstawicielstwa Komisji Europejskiej w Polsce. Obiegrałem wszystkie zagraniczne instytuty kultury w Warszawie: poczynając od Goethego i British Council, poprzez Francuski, Austriacki, Włoski, Czeski, Słowacki, Bułgarski. Wydawać by się mogło, że na taki pomysł rzucą się wszyscy z ochotą. Porozumiałem się z Ministerstwem Kultury.

Ministra Waldemara Dąbrowskiego poznałem jeszcze w Polsce i organizując z nim mój „ATaK Show”. Co prawda interesował mnie on wówczas (to był rok 1995) jako szef PAIZ (Państwowej Agencji Inwestycji Zagranicznych) bardziej niż jako wieloletni szef komitetu do spraw kinematografii przy Ministerstwie Kultury – on jednak okopał się na pozycjach wyłącznie kulturalnych. Było Dąbrowskich wielu, mówiłem wtedy o nim: były szef klubu „Riviera-Remont” za Gierka. Pracownik komuszego Magistratu i współpracownik pełnego esbeków Pagartu. Twórca Impresariatu Studio w stanie wojennym i szef kinematografii w pierwszej połowie lat 1990., odwołany w atmosferze skandalu podsycanego przez NIK. Były krótkotrwały szef Państwowej Agencji Inwestycji Zagranicznych, wreszcie już od czasu tamtego naszego spotkania w roku 1995 minister kultury i dwukrotny szef Opery Narodowej. I jeszcze, co mi w nim najbliższe, wygląda na to, że czas szefowania PAIZ wykorzystał Dąbrowski „kulturalnie” na pozyskanie środków dla swego Festiwalu Gwiazd w Międzyzdrojach i innych filmowych przedsięwzięć. Słowem – absolutny instynkt menadżera kultury.

W Nowej Telewizji Warszawa, program telewizyjny z jego udziałem niezwykle podniósł oglądalność mojego show. Rzecz ciekawa. Organicznie i zdawałoby się towarzysko bliższy prawicy, gdy ministrem kultury zostaje pani Nazarowa, przez pół roku nie jestem w stanie dostać się do niej na audiencję i nic dla Ogródka nie wskóram. Ludzie tacy jak Waldemar Dąbrowski czy Włodek Paszyński, gdy ten ostatni zasiądzie na jakimś kuratorsyjnym, rządowym czy

3 W cenę 200 euro wliczone było stoisko wystawiennicze podczas Forum w pierwszym i drugim dniu (tablica na plakaty, logo, krzesła, półki) oraz udział jednej osoby w Forum i imprezach towarzyszących, w tym nocleg w hotelu dwugwiazdkowym. Organizatorzy zapewnić mieli również przygotowanie informatorów adresowych, które ułatwią kontakty między uczestnikami forum, a także zawierałyby podstawowe informacje umożliwiające wymianę kulturalną oraz foldery z informacjami na temat dotacji dostępnych w UE na kulturę.

prezydenckim stołku, umawiają się łatwiej, rozpoznają, wręcz się bratają. Pozostajemy na „ty”. Tyle że jak widzę po latach, robią to dlatego, że wiedzą, od kogo można bezkarnie brać. I ani im w głowie się dzielić. Tak też było z Dąbrowskim. Nie czekałem na rozmowę z pięknym Waldim dłużej niż dwa tygodnie. Przedstawiłem pomysł. Uznał go za świetny i skierował z jednej strony do pani Aliny Magnuskiej (szefowej Narodowego Centrum Kultury) po opinię, z drugiej zaś poradził, by skontaktować się z panią Lucyną Krupą, która właśnie przybyła z Tarnowa, by na czas krótki zatrudnić się w Ministerstwie w punkcie kontaktowym do spraw kultury. Pani Krupa, niepozorna blondynka, jest jednak, jak się okazuje, bardzo sprawnym menedżerem. Kiedy dziś zajrzemy na strony Tarnowskiej Fundacji Kultury, nie odnajdziemy już śladów jej korzeni, związanych z osobą (w owym czasie powołanego na zastępcę Magnuskiej w Narodowym Centrum Kultury) Stanisława Lisa. Wszystkie sznurki łączące ją z jej wcieleniem prezesa Zarządu Tarnowskiej Fundacji Kultury (którym, zdaje się, nie przestała być w czasie pracy w ministerstwie) Lucyna Krupa starannie poprzecinała. Stanisław Lis, o którym wiadomo, że był animatorem Fundacji, wyprowadzając ją ze struktury administracji rządowej i samorządowej, znikł wycofując się na pozycje biznesmena. Prezes zarządu Firmy Marketingowej Hektor Sp. z o.o. dziś jest już tylko, czy może aż, przewodniczącym Rady Fundatorów Tarnowskiej Fundacji Kultury.

Kim zatem jest Stanisław Lis? Jak zbudował swoją pozycję? To jasne. W stanie wojennym dyrektor Młodzieżowej Agencji Kultury, w latach 1982–1986 dyrektor Miejsko-Gminnego Domu Kultury im. C.K. Norwida w Żabnie, potem w latach 1986–1995 dyrektor Wojewódzkiego Ośrodka Kultury w Tarnowie, następnie kolejno prezes zarządu Tarnowskiej Agencji Rozwoju Regionalnego S.A., przewodniczący Rady Programowej TVP Kraków, p.o. dyrektora i zastępca dyrektora Narodowego Centrum Kultury w Warszawie (2002–2003). Ekspert do spraw polityki regionalnej i funduszy UE. Twórca Światowego Forum Mediów Polonijnych, największego przedsięwzięcia w dziedzinie mediów w Europie i na świecie, systematycznie organizowanego od 1993 roku. Pełnił też funkcje społeczne: przewodniczącego Rady Fundatorów Tarnowskiej Fundacji Kultury, prezesa zarządu stowarzyszenia Małopolskie Forum Współpracy z Polonią, członka Rady Akredytacyjnej Ogólnopolskiego Programu „Konsultant Funduszy UE” oraz przewodniczącego Rady Konsultacyjnej stowarzyszenia Polskie Forum Kultury Samorządowej, przewodniczącego Komisji Rewizyjnej Oddziału Tarnow-

skiego Stowarzyszenia Autorów Polskich. Motto życiowe: Kiedy będziesz tak mocny jak ŚCIANA, przed którą stoisz, to znak, iż możesz wejść na DROGĘ (*Sati Pathannasutta*).⁴

Po takiej cytacji trzebaż coś jeszcze dodawać? Wydziwiać nad organizacją współtworzoną przezeń z grupą literackich manipulatorów krążących wokół ZLE-Pu (ZLP, czyli tego, co pozostało z kolaborującego w stanie wojennym Związku Literatów Polskich), w rodzaju Witolda Nawrockiego czy Andrzeja Zaniewskiego? To towarzystwo wtajemniczonym mówi samo za siebie. Poucza jednak, jak budować sobie prestiż, szczególnie niewymierny, czyli międzynarodowy.

Przypomina mi to opisywane już spotkanie z Adamem Michnikiem po jego wyjściu z kryminału w roku 1985. Powiedział mi wtedy jeszcze i tak:

– Nasiedziałem się. Forsę mam. Kolegów też: jeszcze mi tylko książki potrzeba.

I wyniósł z kryminału *Dzieje Honoru w Polsce* (swoją drogą za nic nie chciał się przyznać, jak mu na jej pisanie klawisze pozwolili). Toutes proportions gardées. Tarnowianie od Lisa poszli w jego ślady. Czytając portale, dowiadujemy się, że pani Krupa i Lis to uznani poeci, bo przecież zasiadający w ważnej (choć stworzonej przez kilku literackichmacherów) organizacji. Oddał mnie więc piękny Waldi w ręce tarnowian, którzy, jak się okazuje, na ten obszar działań wyrabiali sobie od 1982 roku (gdy Dąbrowski współpracował z Pagartem) monopol. Nie muszę chyba dodawać, że wśród pięknych słówek Alina Magnuska wystąpienie mojej fundacji do Ministerstwa o środki na EFIK (chodziło mi głównie o sfinansowanie wynajmu sali) zaopiniowała negatywnie. A skoro ja zarezerwowałem salę w Zamku, szybko Ministerstwo Kultury zorganizowało w nim swoją sesję. Niemal dokładnie w tym samym terminie. Takie ogólne trucie na zbliżony temat. Na to oczywiście znalazły się środki. Słowem, nie dla psa kielbasa. Próbowaliśmy więc zorganizować imprezę całkowicie komercyjnie. Zawiadomiliśmy cały świat, a świat popatrywał na nas z politowaniem. Najgorzej chyba przyjęli mnie Francuzi i Austriacy. W rozmowach z nimi dopiero jasno wychodzi, jak Unia w gruncie rzeczy mało ich interesuje. Więc mój pomysł stworzenia warszawskiej rady zagranicznych instytutów kultury umożliwiających poszukiwanie międzynarodowych partnerów ubiegających się o środki unijne uznać można za całkiem chybiony.

Młodziutki Andreas Stadler szefujący naonczas Instytutowi Austriackiemu w Warszawie (dziś w Nowym Jorku) też ogłosił désintéressement dla jakich-

4 Pisownia Satipatthana Sutta wg strony internetowej Stanisława Lisa: http://www.liberum.yoyo.pl/leksykon/lis_stan.htm

kolwiek szerszych inicjatyw. On tu jest po to, by dbać o relacje dwustronne polsko-austriackie. Więc gdybym chciał jakiś austriacki zespół prowadzić: nocować, żywić, transportować – to proszę bardzo, on może takie zaproszenie nawet współfinansować. No tak, ale ja nie szukałem pieniędzy dla imprezy. Te wiedziałem już, że jestem w stanie zdobywać. Ja szukałem pieniędzy dla siebie. Legalnych środków, dzięki którym mógłbym uczciwie moje biuro i siebie samego utrzymać!

Francuska attachée kulturalna ambasady Catherine Blondeau była okrutniejsza. Po prostu mnie wyśmiała.

– Z czym się pan porywa na tak wielki obszar? To trzeba stopniowo. Jakies seminarium teatralne czy filmowe jeszcze bym rozumiała. Ale „Davos” w dziedzinie kultury w Warszawie – absurd!

Fakt. Udało się wciągnąć Czechów, Słowaków. Z uwagą przysłuchiwali mi się Niemcy z Instytutu Goethego. Miał widać raczej Krzysztof Pomian, który, kiedyś mu w 1999 roku opowiadał o moich zamiarach uwiedzenia l’AFAA dla realizacji planu jednoczących się Dolin Szwajcarskich, powiedział, bym na to nie liczył.

– Tak naprawdę – tłumaczył mi dzisiejszy twórca brukselskiego Muzeum Europy – w ogólnoeuropejskim planie Francuzi nie interesują się ani Polską, ani jej kulturą. Oni w Europie postkomunistycznej większą uwagę zwrócić mogą jedynie na najbardziej frankofońską ojczyznę Ionesco, czyli Rumunię. Cała uwaga francuskiej dyplomacji kulturalnej skierowana jest na kraje Maghrebu, Afrykę, Polinezję. Słowem na dawne kolonie.

Nie dziw przeto, że do Polski na placówkę wysyła się z tzw. Zachodu osoby mniej wpływowe lub czasem nawet zdolne, lecz nie zagrożone powagą strategicznego błędu – dyplomatyczne dzieci.

– Polska jako kulturalna „kolonia” – powiedział Pomian – interesować może i została oddana pod egidę niemiecką. Więc środki unijne będące narzędziem polityki europejskiej, jeśli mają szanse być pozyskiwane przez kogoś, to tylko przez Niemców. No, ale my przecież Niemców nie kochamy.

Wykonałem jeszcze jedną akcję. Znalazłszy w internecie aplikację Europejskiej Fundacji Kultury z siedzibą w Amsterdamie, wypełniłem wszystkie przepisane kratki i wysłałem e-mailem wniosek o wspomnienie mego *Forum européen d’initiatives culturelles*, by po dwóch miesiącach otrzymać bardzo grzeczny list podpisany przez jakąś Esterkę, że niestety nic mi dać nie mogą, bo moja inicjatywa nie ma wystarczająco silnie europejskiego charakteru (sic!), a oni wszystkie środki rezerwują na... wydatki związane z akcesją kulturalną nowych członków Unii!!!

No cóż, ktoś tu czytać nie umie. Zapewne ja, bo Polska to jakiś dziki kraj, a i niedźwiedzie (sam je na Pradze naprzeciwko Szpitala Przemienienia widziałem) chodzą tu po ulicach.

Tak więc po raz kolejny zdany sam na siebie, postanowiłem jeszcze zagrać biznesmena. Interes nazwałem Europejskie Forum Inicjatyw Kulturalnych na Zamku Królewskim. Dla imprezy zaplanowanej na kwiecień 2003, w listopadzie 2002 roku uruchomiłem prezentowaną już stronę www. Zebrałiśmy adresy. Przynajmniej Czechów, Słowaków, Węgrów udało się namówić, by anons nasz rozśleli dalej. Efekt? Wszystko byłoby pewnie pięknie, gdyby nie te nieszczęsne 200 euro. Po dwu miesiącach, czyli na miesiąc przed planowanym terminem zjazdu, miałem raptem dwa zgłoszenia (z Anglii) osób deklarujących wolę zapłaty. Przyszło więc – przynajmniej w tym roku – imprezę odwołać. Na stronie internetowej wisiało do jej skasowania z niepłatnych serwerów takie nie lubiane przez przeglądarki wyskakujące okienko: „UWAGA! Planowane na 7-8 kwietnia 2003 forum inicjatyw kulturalnych nie odbędzie się w tym terminie! Powodem jest bardzo mała liczba zgłoszeń oraz brak środków finansowych”.

Długo liczyłem, że choćby dzięki nowej sytuacji w Warszawie po wygraniu wyborów prezydenckich przez Lecha Kaczyńskiego uda się z czasem oprzeć tę inicjatywę o Miasto. Ostatecznie złudzenia straciłem pod koniec 2005 roku. Od dwu lat kierując już Domem Kultury Śródmieście, projekt EFIK oddałem do koordynacji Agnieszce Boleckiej. Ta piękna, mądra i zdolna córka świetnej pisarki Anny i uczonego profesora Włodzimierza robiła, co w jej mocy. Nawiązała kontakty z Biurem Promocji Miasta: truli, gadali, zwodzili. Bardzo przyjaźnie nastawiona do Agnieszki szefowa miejskiego Biura Kultury, a poniekąd też i zwierzchniczka moja – czyli Małgosia Naimska – sama mi zasugerowała, bym wysłał Agnieszkę w tej sprawie na jakąś konferencję do Barcelony. Stać było na to instytucję, więc zainwestowałem. Agnieszka wróciła zadowolona, przywiozła mi śliczną filizanczkę do kawy. Słowem: „miodzio”, tylko... o EFIK-u cisza. Może kiedyś, może za rok, może w ramach innej miejskiej akcji. W rezultacie Agnieszka spakowała manatki i wyniosła się do Düsseldorfu. Już wie, o co chodzi. To trochę jak w piosence Moczulskiego: „Nie o to chodzi, by złapać króliczka, ale by gonić go”.

Myślę, że zapamiętała. Swego czasu poszliśmy bowiem razem do Fundacji Kultury. W poszukiwaniu partnera. I tu wszystko naraz stało się jasne. Przemili sekretarz, który zastąpił pana Starczewskiego na stworzonym przezeń stanowiu-

sku, popatrzył nam prosto w oczy i – uwiedziony zapewne urodą Agnieszki – wyznał w zaufaniu:

– Mili Państwo, przecież wiadomo, że środki unijne załatwia się dziś przez wyspecjalizowane brukselskie kancelarie założone przez byłych eurodeputowanych.

Środki unijne są więc w istocie odpustem, a my wszyscy pielgrzymami. Ktoś, kto stara się rozwiać zasłonę czy uprzystępnić procedurę jakimiś EFIK-ami, uderza w istotę tajemnicy, jest obrazoburcą i profanem!

No, ale to było trzy lata potem. W chwili, gdy akcja EFIK ponosiła swoją pierwszą klęskę, tak naprawdę żyliśmy (ja i moje Panie) inną, tym razem udaną akcją. Nazwaliśmy ją...

VI

ALERT EUROPEJSKI, czyli śladami Leszka Millera

Pamiętacie? Wszystko zaczęło się jeszcze w listopadzie 2002 roku. Właśnie wtedy, gdy wymyśliłem EFIK, pierwsze kroki skierowałem do Ministerstwa Integracji Europejskiej, kierowanego wówczas przez Danutę Hübner. Czasy były wprawdzie millerowskie, lecz wszelkie złudzenia związane z tym rządem już minęły. A pewne jednak, przyznam się otwarcie, były.

Gdy po odejściu (hołdującej zasadzie nazwanej przez Jarosława Kaczyńskiego „Teraz k... my”) ekipy Jerzego Buzka, który nawet zakończywszy swą misję, nie umiał się ze mną za wysiłki włożone w tworzenie częstochowskiej uczelni rozliczyć, w rządzie Millera pojawiły się osoby tak przeze mnie szanowane jak Andrzej Celiński (wówczas SLD, jednak przez lata sekretarz Komisji Krajowej w najtrudniejszych czasach „Solidarności”) na stanowisku ministra kultury, czy Włodek Paszyński jako wiceminister edukacji. Przez chwilę zwątpiłem. Pomyślałem, że gdyby komuś przyszło do głowy (inna sprawa, że nikt na to jakoś nie wpadł), to wołałbym np. odznakę zasłużonego działacza kultury odbierać z rąk Celińskiego niż np. pani Nazarowej, której zasług w walce o demokrację z pamięci nie umiem wyliczyć.

Ale ten czas już minął. Teraz, a działo się to dokładnie w momencie wybuchu afery Rywina, było już jasne, że końcówka tego rządu nie będzie taka, jakiej życzyłby sobie prawdziwy mężczyzna. Tym niemniej miałem informacje, że stworzony jeszcze przez Jana Krzysztofa Bieleckiego Urząd Komitetu Integracji Europejskiej głównie dlatego, że był w URM zupełnie nowym ciałem, jest wolny od komunistycznych naleciałości. I to okazało się prawdą.

Inaczej niż w jakimś Amsterdamie, w którym nadchodząca z Polski nawet najbardziej słuszna aplikacja jakiegoś pana ...ski pozostanie anonimowa, póki jej jakiś przedstawiciel Sanhedrynu nie podżyruje, inaczej niż w Komisji

Europejskiej, gdzie nawet recepcji nie udało mi się sforsować, w kamienicy Adama Bromke u zbiegu Bagateli i al. Szucha – w której notabene mieściła się siedziba Polskiej Agencji Informacyjnej w czasie, gdy tam pracowałem – nie czułem się anonimowy. I przedstawivszy miłej urzędniczce, z czym przychodzę, usłyszałem to zdanie, którego w Brukseli wywalczyć się nie dało.

– Wie pan, to ciekawa inicjatywa – powiedziała osoba odpowiedzialna za współpracę z fundacjami. – Ale na żadne EFIK-i czy Międzynarodowe Festiwale Kulturalne my pieniądze nie mamy ani nie damy. Jednak gdyby miał pan jakiś pomysł na akcję związaną z integracją europejską, to powiem panu szczerze, że mamy niewykorzystane środki, które do końca roku musimy spożytkować.

No cóż, to jest rozmowa! Drogę z placu Unii na Wilczą odbyłem pieszo. I zanim doszedłem do mojej „pakamery stróża”, zasadniczy zarys projektu był już gotowy. Włącznie z nazwą: zacierpniętą z harcerstwa, a dziś wcale nie nadużywaną. Akcję związaną z naszymi staraniami o akcesję do Unii Europejskiej postanowiłem nazwać: Alert. Było już wiadomo, że 13 grudnia (sic!) odbędzie się w Kopenhadze ważne spotkanie, na którym ustalona zostanie ostatecznie data i warunki naszej akcesji. A w nadchodzącym roku czekało nas referendum. Wymyśliłem więc Alert Europejski, czyli jazdę wskroś zachodniej Polski, przez Szczecin, zachęcanie i przekonywanie do głosowania za przystąpieniem do Unii. A potem promem do Ystad (znałem go z jakiejś dziennikarskiej wycieczki w 1994 roku) i przez Malmö mostem łączącym Szwecję z Danią, by dotrzeć na manifestację, która miała towarzyszyć obradom akcesyjnym w kopenhaskim Bella Center.

Moją wewnętrzną motywacją była ta metaforyczna autostrada. Przybliżenie nas ku Francji i Szwajcarii. Zbudowanie drogi. Miałem przy tym (szczególnie po nabiciu się na Oleksego w siedzibie brukselskiej) świadomość, że nasz narodowy los spoczął w ręku sowieckich agentów, którzy wynegocjują kontrakt najgorszy z możliwych. No, ale także i to głębokie poczucie, że innej drogi dla Polski nie ma. Że nawet pojęcie narodu jest młodym dziewiętnastowiecznym tworem, więc również upieranie się przy wartościach nacjonalnych mogłoby nie być konieczne. Pod jednym wszakże warunkiem, że zagwarantowane byłyby wszystkie wolności zapisane w karcie praw człowieka, od zachowania ojczyztego języka poczynając, po prawo do swobodnego przemieszczania się, czyli podróży. No i po drugie, że uzyskamy pewność, iż inni: w szczególności Francuzi czy Niemcy, nie wykorzystają mechanizmów unijnych dla własnej narodowej dominacji.

Tu jednak trzeźwy pragmatyzm mozelczyka utkwiał mi w pamięci na stałe. To było w 1999 roku, gdy przez Luneville de La Toura i jeszcze bardziej jego Vic sur Seille zdążyłem ze stypendium Maison de la Culture du Monde z powrotem do kraju. Wylądowałem w Vic około północy pod ratuszem, w którym odbywała się huczna zabawa. Błądząc pod domem de La Toura, spotkałem mężczyznę, który wyszedł zaczerpnąć świeżego powietrza. Poznawszy obcokrajowca spytał, w czym może mi pomóc. Dowiedziawszy się, że błądząc śladami de La Toura, Alain Blanchard, przeżył miejski weterynarz, wygłosił wspaniały wykład na temat historii szesnastowiecznej sztuki. Chciałbym dowiedzieć się tyle na temat muzyki romantycznej i o Chopinie np. od dentysty z Żelazowej Woli. Miasteczka w Polsce mającego z Lotaryngią tyle wspólnego, że z tamtych okolic wywodzi się także ród Mikołaja ojca Fryderyka Chopina.

Zostałem zaproszony na bal cyklistów odbywający się w merostwie w Vic, a tam, gdy okazało się, że jestem Polakiem, nauczono mnie jeszcze historii Polski i Europy. Nie bez kozery wszak główny plac w stolicy tego regionu Nancy nosi imię Stanislas, na cześć króla Lotaryngii i Polski Stanisława Leszczyńskiego. Otóż mieszkańcy pogranicza Lotaryngii i Mozeli doświadczeni w XIX wieku podobnie jak Polacy niemieckim rozbiorem, zapytali mnie, czy nie obawiam się jak oni, że stworzenie Unii może stać się wstępem do rewindykacji granic i nawrotu dominacji ducha germańskiego.

Nie, nie obawiałem się. Jeszcze wtedy. Gdy mnie pytali o bezpieczeństwo naszych granic zachodnich, wspominałem klęczącego w Warszawie Willy'ego Brandta i zawarte układy. A oni? Popatrywali na mnie z politowaniem, jakby już antycypowali przyszłe spory o... mazurskie Narty.

Nie obawiałem się jednak, i dlatego chętnie zaangażowałem moją Fundację w powrót do Europy. Gdy więc powróciłem na Wilczą z pieniędzmi przyrzeczo-nymi z UKIE, aktywnie wzięliśmy się do pracy. Kasia Synowiec okazała się tu pomocna wyjątkowo, albowiem studiując stosunki międzynarodowe należała do Klubu Młodych Dyplomatów, z którymi w rezultacie przygotowaliśmy całą akcję.

Zacząłem od telefonu do Włodka Paszyńskiego. Tego Włodka, z którym znamy się, jak to sam określi, „sprzed wojny japońskiej”, który był kuratorem, a teraz zaskoczył mnie przyjęciem stanowiska wiceministra edukacji w rządzie Leszka Millera, gdy ten powierzył resort Krystynie Łybackiej. Jednak epizod ministerialny nie udał się Paszyńskiemu. Z jednej strony zachorował poważnie – dziś

można już mieć nadzieję, że uratowano mu zdrowie – z drugiej okazało się, że ci, którzy uwierzyli w nową twarz lewicy, szybko musieli się przekonać, iż są zakładnikami rewindykacji personalnych osadzonych korzeniami w starym PZPR-owskim układzie tzw. czerwonych baronów.

Włodek właśnie złożył był dymisję, kończył kurację, no ale dla kadr hübnerowskiej administracji był też znakomitym żyrantem naszych planów. Pojawił się w mojej „pakamerze nocnego stróża” na Wilczej, gdzie wymyśliśmy całą akcję związaną ze zbliżającym się szczytem Unii Europejskiej w Kopenhadze.

W miesiąc wszystko zostało przygotowane. Uzyskaliśmy patronat medialny Radia dla Ciebie i TV Polonia, nawiązaliśmy kontakty z rozrzuconymi po Polsce euroklubami, znaleźliśmy ekipę plastyków z Kamą Jackowską na czele, która pomogła wymalować autobus wynajęty z pomocą zawsze niezawodnej, gdy chodzi o podróże, firmy BUT Barbara, pani Basi Szwargolińskiej.

Jako że będący jeszcze w okresie wypowiedzenia z Ministerstwa Paszczak nie chciał angażować się osobiście w charakterze eksperta, o pomoc w tym zakresie poprosiłem przez lata współpracującą z nim jako wicekurator Irenę Dzierzgowską.

Irenka już nie żyje. Zmarła nagle. W marcu 2009 roku. Podobnie jak Włodek organizowała w stanie wojennym tzw. oświatę niezależną. (Też z nimi współpracowałem, w 1982 wykładając po mieszkaniach na kursach dla licealistów organizowanych przez Ewę Klinger). Potem ze swoją siostrą Alinką Bukowską i wieloletnim korespondentem „Gazety Wyborczej” w Paryżu Markiem Rapackim organizowała ekipę samorządową Komitetu Obywatelskiego w pierwszych wyborach roku 1990. Za naszymi plecami pojawiał się wtedy Czesław Bielecki ze swoją firmą architektoniczno-doradczą „Dom i Miasto” i Andrzej Lubiatowski, a nawet Zbyszek Bujak, oczywisty naonczas kandydat na prezydenta miasta.

Potem Irena przez lata pracowała z Paszyńskim jako jego zastępczyni w Kuratorium, ale rozstała się z nim jeszcze przed tym, nim go w czasach Buzka AWS-owski wojewoda Gielecki ze stanowiska odwołał. Poprzez samorząd dotarła za Handkego do ministerstwa oświaty i jest z pewnością współodpowiedzialna za gimnazjalno-licealną reformę i system nowoczesnych matur. Wreszcie założyła funkcjonującą w momencie, gdy organizowaliśmy Alert, firmę konsultingową, z której usług, wynajmując Andrzeja Perego w charakterze eksperta, teraz korzystałem.

Irena rozstania z Paszyńskim nigdy specjalnie nie chciała komentować – stwierdziła tylko, że druh podharc mistrz w trakcie ośmiu lat kuratorskiej posłu-

gi ogromnie „szczerwieniał”. W tym momencie nie miało to jednak dla mnie znaczenia. Szanowałem oboje i cieszyło mnie, że mogę korzystać z usług najlepszych.

Naszą akcją zainteresowała się TV Polonia, reklamując przejazd na antenie. RDC przeprowadziło quiz, którego laureatów zabrałem na zorganizowaną pielgrzymkę, i *summa summarum* 10 grudnia Eurobus z kilkunastoma osobami na pokładzie ruszył pod moim i rezydentnej Kasi dowództwem przez Kutno, Gniezno (z noclegiem w urokliwym Czarniejewie), Połczyn Zdrój do Szczecina, gdzie zaokrętowaliśmy się na prom do Ystad. Stamtąd przez most za Malmö dotarliśmy do Kopenhagi.

Podróż zorganizowana była w moim przekonaniu bez zarzutu. Jechaliśmy od szkoły do szkoły, od euroklubu do euroklubu. Autobus pięknie obmalowali w kolorach unijnych plastycy z ASP. Nie było to łatwe, zważywszy panującą w grudniu temperaturę. Z dwóch stron towarzyszyło nam ułożone przede mną z córeczkami po polsku i przetłumaczone na angielski reywskie hasło:

*Niechaj to narodowie wżdy postronni znają
Polacy od Europy równych szans żądają.*

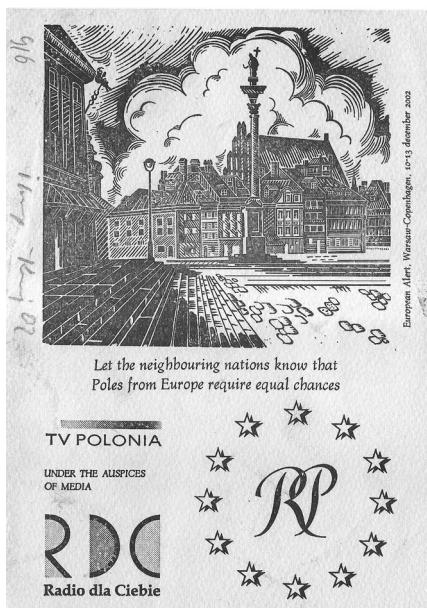
Młodzież z odwiedzanych ośrodków dopisywała pod tym wezwaniem na specjalnie przygotowanej samoprzylepnej folii swoje sentencje, a nawet graffiti. Przez najdłuższy w Europie, jeśli nie na świecie, dwudziestodwukilometrowy most łączący Szwecję z Danią dostaliśmy się do Kopenhagi. Tu w pamiętny dla Polaków dzień mieliśmy dopingować Leszka Millera, by Polski unitom zbyt tanio nie sprzedał.

Jak wiadomo, wywalczono tam jakiś miliard euro, choć biorąc pod uwagę wadliwość decyzji przedakcesyjnych, od warunków z Nicei, poprzez Kopenhagę (Dania kończyła właśnie swoje przewodnictwo w Unii), aż po nadchodzące Ateny, trudno się oprzeć wrażeniu, że spektakl ten był jednak świadomie gdzieś reżyserowany. I że w widowisku, które nazywa się interes publiczny, o ten ostatni chodzi na samym końcu. Tak naprawdę pytanie jest o to, kto i jaką po drodze zgarnie kasę.

Myśl ta zaatakowała mnie już w trakcie przejazdu przez Szwecję. Ponieważ w Kopenhadze spodziewano się sporej demonstracji, bardzo uważnie nas w Ystad kontrolowano, długo zastanawiając się, czy nie zagrażają bezpieczeństwu zabrane przez nas (zgodnie z poleceniem organizatorów) pochodnie z oliwnymi lampkami.

Oni nas rewidowali, a ja przeszukiwałem mapę nie mogąc pojąć, po co zrobiono cyrk z budowaniem ogromnego mostu między Malmö a Kopenhagą, gdy gołym okiem widać, że sześćdziesiąt kilometrów na północ można by połączyć mostem zaledwie kilkukilometrowym duński Helsingør ze szwedzkim Helsingborgiem – miastem dużo lepiej skomunikowanym autostradami z centrum kraju.

No, ale może tak to właśnie jest. Ze czasem efekt marketingowy czegoś największego pozwala łatwiej zgromadzić środki ogromne niż też niemałe, a jednak nie największe w świecie. Trudniej zdobyć kasę na inwestycję po pierwsze nie tak imponującą, po drugie zaś taką, przy której mniej ludzi zarobi.



VII

BELLA CENTER, czyli ryczenie krów

Czy to także dotyczy tej podróży i tego, co się w tym dniu w Kopenhadze działo? W pierwotnym zamyśle mieliśmy zjechać do Kopenhagi sami i wykonawszy na rynku przygotowany happening zwrócić uwagę na polskie żądania. Jednak po sympatycznej korespondencji z pełniącą obowiązki ambasador RP przy Królestwie Danii panią Tuげ-Erecińską dowiedzieliśmy się, że tego dnia planowana jest manifestacja europejskiej młodzieży skupionej wokół LYMEC¹. Wydawało się to oczywiście ze wszech miar logiczne, nawiązaliśmy zatem kontakt z organizatorami i rozumieliśmy, że czeka na nas miejsce w szeregu.

Pobyt w Kopenhadze zaczął się od zwiedzania. Widziałem już raz to miasto bodaj w 1995 roku (nie było jeszcze mostu, więc z Ystad do Kopenhagi też jechało się promem). Syrenka. Zmiana warty przed pałacem królewskim, ogrody Tivoli. Na te ostatnie niestety zabrakło czasu, a także pieniędzy. Wstęp tam jest wcale kosztowny. Mieliśmy wynajętego przewodnika, zostawiliśmy więc autobus gdzieś na nabrzeżu, a sami z kłopotami udaliśmy się na główny rynek. Nasz happening to była wielka bela papieru z wypisanymi żądaniami, flary, staromodna maszyna drukarska przyciągnięta przez Bolka Skoczylasa z wydziału grafiki ASP, którą rozstawiliśmy na środku placu, drukując na oczach publiczności pamiątkowe drzeworyty przedstawiające panoramę Warszawy z naszym hasłem, głoszącym żądanie równych szans.

Byliśmy też wszyscy – jako że zbliżał się okres gwiazdkowy – poprzebierani za białoczerwone Mikołaje. Nasze pochodnie miały drzewce rzecz jasna w kolorach narodowych, dysponowaliśmy flagą Polski i Unii (a tę ostatnią wcale nie łatwo było w Warszawie zdobyć).

1 (The European Liberal Youth) - młodzieżowa, międzynarodowa organizacja polityczna skupiająca stowarzyszenia liberalne z Europy.

Tak uzbrojeni stawiliśmy się na placu. Do imprezy zostało jeszcze kilkadziesiąt minut. Tłumek stopniowo gęstniał. Z flagą, w zabawnych czapkach, udaliśmy się z ulotkami do pobliskiej galerii – trochę poagitować i pooglądać co nieco.

– Pan z Polski! – zawołał w moim kierunku starszy może z dziesięć lat ode mnie mężczyzna.

– Tak, witam.

– I co wy tutaj robicie?

– Ot, proszę, nasze ulotki, żądania, akcesy.



*Fot.
Maciej Figurski
Forum*

– Czy wyście zwariowali? – żachnął się polski tubylec, a poparła go gromko siedząca wraz z nim kompania. Kilka kobiet i mężczyzn.

– I po co wam ta Unia!?! – uśmiechali się z politowaniem zamieszkali w tym mieście od 1968 roku polscy emigranci. – Nie rozumiecie, że oni tylko po wasze krowy idą! Przecież tu prawie wyłącznie chodzi o wołowinę.

Ludzie mili, kulturalni, jacyś artyści czy rzemieślnicy bodaj, rozmowa jednak była niemożliwa. Oni poza ojczyzną od 35 lat żyli w wolnym kraju. I pewnie szukali jakoś podświadomie potwierdzenia swojej decyzji.

Opowiadał mi nie tak dawno Janek Pietrzak, że najpełniejsze występy dla emigrantów dawał w stanie wojennym. Wtedy każda negatywna informacja z kraju niosła im potwierdzenie słuszności decyzji o ucieczce. Oni więc powrót Polski do Europy czy też nasze przyście ku nim musieli odreagować. Ja zaś myślałem, jak wolność świeżo zdobytą i podniesiony niewątpliwie przez dziesięć lat

po Okrągłym Stole i czerwcowych wyborach standard życia utrzymać i zagwarantować.

Tak myślałem. A jednak... Ilekroć przyjdzie mi stwierdzić w tańszych sklepach mięsnych w Warszawie brak mojej ulubionej wołowiny bez kości na befsztyki lub zawahać się w Carrefourze, czy kupować ją za niemal trzykroć już wyższą od chwili naszego wejścia do Unii cenę (z niespełna 30 zł polędwica wołowa podrożała dziś do ponad 80!), przypomina mi się tamten śmiech szydery. Przecież im idzie tylko o wasze krowy.

Idą! Są już organizatorzy z LYMEC. Grupy młodzieży z Niemiec, z Francji, ze Szwecji. Tylko Czechów, Słowaków, Węgrów, innych Polaków jakoś nie widać. Impreza jak impreza. Jakaś muzyka, chór prowadzący. Angielski znałem wtedy jeszcze bardzo słabiutko, jednak przez całą drogę ćwiczyłem, aż wkulem na pamięć krótkie przemówienie, przesłanie skierowane do starych unitów. Kasia odnalazła gościa, któremu swoje przybycie anonsowaliśmy. No tak, wiadomo. Jesteśmy mile widziani. Możemy ustawić się blisko estrady, do naszej dyspozycji są pochodnie i flary, ale żeby coś mówić... Byli bardzo zdziwieni.

– No, nie. Nie ma takich uzgodnień. Przemawiać ma dwóch europosłów i będzie program artystyczny. Nikt scenariusza nie wrusza.

Hm... Trochę mi nawet ulżyło, bo ciutkę obawiałem się, jak zabrzmię po angielsku. Po francusku łatwiej powiedziałbym, co myślę o tak pojętej wolności słowa w trakcie swobodnych zgromadzeń.

Idą! Po akademii na placu z udziałem telewizyjnych kamer niemały już tłum, kilkudziesięciu tysięcy osób, wyruszył z placu Kopenhaskiego w stronę Bella Center. Wczesny grudniowy zmierzch zamienił się już w noc. Nad głowami maszerujących wzniosły się płonące pochodnie. Dużo lepsze od tych, jakie zdołałem kupić w warszawskim Auchanie. Tłum gęstniał. W nim należałem do uprzywilejowanych, dysponowałem bowiem elektryczną tubą na baterie, kupioną w rok wcześniej na potrzeby Parady Dionizyjskiej w ramach Konkursu Teatrów Ogródkowych.

„Europe United is never divided. Eins, zwei, drei.

Europe United is never divided. One, two, three”.

Skandujemy. Co kilkanaście minut świetnie zorganizowane postoje. Wszystkich uczestników częstowano gorącą czekoladą. Patrzyłem na rozpłomienione twarze, podniecone oczy. Wszystkim, jak to w tłumie opisywanym przez Gustawa Le Bona, udzielała się zbiorowa emocja.



*Fot.
Maciej Figurski
/Forum*

„Jednostka w tłumie – pisał francuski psycholog u progu ery totalitarnej – nie reaguje mózgiem, lecz stosem pacierzowym. Suma inteligencji jednostek zgromadzonych w tłumie jest niższa niż średnia inteligencja poszczególnych osób”. Jednak nasza emocjonalna wrażliwość zwiększa się, gdy bodźce odbieramy zbiorowo.

Wychowany już u zmięchu epoki manifestacji, coś wiem o anonimowych politycznych parteitagach, znam atmosferę pochodu pierwszomajowego, a także nastrój pielgrzymki. Patrząc na tych młodych ludzi z pochodniami, na wnuków hitlerowców (mnóstwo, chyba najwięcej było w tym tłumie Niemców), dzieci pokolenia moich rówieśników wychowanych w czasach małej stabilizacji, zdałem sobie sprawę, że fanatyzm nie jest zarezerwowany tylko dla mniej rozwiniętych społeczeństw jakiejś Korei, Chin czy Rosji już coraz mniej radzieckiej. Przypomniało mi się, co wiedziałem o roku 1932 i pierwszych pochodach SA zakończonych antysemitkami pogromami. A gdyby tak – minął ledwie rok od zamachu na WTC – jeszcze jeden, dwa zamachy i ktoś by wskazał potomkom Normanów, jakich dziś w całej Europie pełno, nocny sklepik Araba... Czy na hasło „pogońmy stąd sprzymierzeńców Bin Ladena” nie pochylą się te pochodnie i nowe nie zapłoną wnet stosy!?



*Róża
Luksenburg*

I dokąd, stawiałem sobie pytanie, ku czemu ten pochód zmierza? Skoro nie widzę ani jednego poza sobą przedstawiciela krajów wstępujących do Unii. To czym jest ten marsz i ta ogarniająca mnie w Kopenhadze szkopska radość? To marsz akcesji, czy może triumf aneksji? Radość z pozyskania bez wojny dostępu do taniej siły roboczej, taniej ziemi, tanich, a tłustych krów od chłopca, który o połędwicy wołowej ani słyszał.

– Pan także z Polski? – odezwała się do mnie niska, przystojna, młoda blondynka o niebieskich oczach.

– Tak! – wykrzyknąłem z ulgą, że jednak nie jesteśmy tu sami.

– No nie! – zdumiała się nie mniej niż ja, lecz jakoś inaczej zaskoczona. – Ale właściwie to kogo pan tutaj reprezentuje?

– Jak to kogo? – odparłem. – Siebie. Polskę i siebie. Moją prywatną Fundację „Kultura Tutaj Obecna” umocowaną przez UKIE, TV Polonia i Ambasadę Polską, która nas tu akredytowała.

– Aha – panienka zdawała się usatysfakcjonowana.

– No ale skąd pani się tu wzięła i, że się wyrażę pani słowami, kogo pani reprezentuje?

– Unię Wolności – usłyszałem – a ściślej krakowską młodzieżówkę tej partii. Organizatorem tej manifestacji jest LYMEC – tłumaczyła mi dalej, gdy się pytałem, czemu nie widzę tu przedstawicieli poszczególnych państw przyjmowanych.

– To jest forum młodzieży przy partii europejskich demokratów. Partii ponadnarodowej, stanowiącej forum i brukselski lobbying dla ponad 60 organizacji w Europie. W Polsce jedynie młodzieżówka Unii Wolności jest jej członkiem – panienka terkotała z dumą. – I w całej Europie Wschodniej jeszcze niewiele doń organizacji należy. Zapewne – kontynuowała – są tu jacyś czescy czy węgierscy koledzy, lecz jeśli są, to też nie reprezentują tu siebie, lecz ponadnarodową demokratyczną siłę polityczną, chcącą być kuźnią kadr dla brukselskiej administracji.

Jakbym się cofnął o stulecie. Spotkał Różę Luksemburg w jakimś 1902, gdzieś w Berlinie, i słuchał... o zjazdach II Międzynarodówki!

Marsz prowadzony przez naszych przyszłych brukselskich właścicieli jakoś samoistnie rozwiązał się gdzieś po dwu godzinach w okolicy centrum, gdzie oczywiście tego tłumu nikt już z politykami Szesnastki nie konfrontował. Może zresztą udali się tam jacyś wybrani przedstawiciele. Ściągniętych z całej Europy krzykaczy nikt o zdanie nie pytał. Pochód rozwiązał się przy stacji podmiejskiego metra, z której potwornie zapchanymi wagonikami, gdzie nawet mowy być nie mogło o kupieniu biletu czy karnetu, więc lekko zestresowany, cały nasz polski *team* bez żadnych komplikacji czy kontroli powrócił do centrum.

A potem... Potem już było jak na wycieczce z Almatyrem. Ktoś się zgubił, ktoś znalazł. Ktoś kazał na siebie czekać narzeczonej. Jakaś para się rozpadła, inna dobrała. O oznaczonej godzinie dotarliśmy całym autobusem na prom, który w tę stronę wiozł nas do Szczecina już bezpośrednio z Kopenhagi. Na promie zaś jak to na promie: tańce, hulanki, swawole. Na Gwiazdkę byliśmy w Warszawie.

VIII

CAŁE TO BIZANCJUM

Udział w tym „rykowisku” pod Bella Center 13 grudnia 2002 nie był to wcale koniec mych zatrudnień owego roku. Wszakże ku memu zdumieniu nie żaden Olechowski, lecz „moi” przyjaciele Lecha Kaczyńskiego znaleźli się w mieście u władzy. Andrzej Urbański został zastępcą prezydenta miasta ds. kultury. Od pierwszych dni grudnia pełniłem funkcję jego nieformalnego doradcy.

Wszyscy uważali, znając nasze relacje, że wkrótce obejmę jakąś ważną w mieście posadę, a przynajmniej moje ogródki urosną do należnych rozmiarów. Gdy sobie dziś przypominam nasze ówczesne kontakty, muszę przyznać Urbańskiemu, że wyraźnie chciał ze mną pracować i skorzystać z doświadczenia, także samorządowego, którym dysponowałem. Przypominam sobie nasze spotkania jeszcze na placu Konstytucji, gdzie po wygranych wyborach, lecz jeszcze przed wkroczeniem na Miodową do Urzędu Miasta, miał gabinet.

– Dawaj festiwal – powiedział mi pierwszego dnia. Dałem. Po czym nigdy już do tematu nie wrócił. Potem, odkrywszy zasiedzenie profesora Durki, który zresztą po 50 latach piastowania tej funkcji zdecydował się odejść na emeryturę, zastanawiał się, czy nie powierzyć mi Muzeum Historycznego m.st. Warszawy, do którego m.in. należy staromiejskie Lapidarium. Wnet jednak stwierdził, że wokół obsady tego stanowiska zbyt wielkie panuje wśród varsavianistów poruszenie. Tylko posady szefa biura kultury ani przez moment mi nie proponował, konsultując ze mną jedynie, jak już wspominałem, kolejne, stuprocentowo koszerne warianty. Zorientowałem się wnet, iż Andrzej musiał poczuć jakiś nieprzewidywany dotąd opór. Okazało się, że wbrew pozorom nie jestem wcale tak dobrze osadzony w środowisku. Nie tak organicznie, jak pewnie sądził. Owszem, Senior był i pewnie pozostaje autorytetem dla kręgów „Gazety Wyborczej” i okolic „Tygodnika Powszechnego”. Ja z wiekiem coraz bardziej – „wyrodnym”... Tyle że po śmierci – atencja nic nie kosztuje... Gdyby jednak żył? Gdyby tej wolności

doczekał? Czy w rządzie Mazowieckiego, zamiast Cywińskiej, likwidowałby przywileje dla plastików, którym komuna przydzielała pracownie (często na niezłe mieszkania) i kategoryzował teatry, czy może byłby dziś wyklęty i na marginesie? „Pan to jest takie »dziecko przez ptaka przyniesione»” – ostrzegala wszak Seniora w 1968 roku pogardzana Halina Auderska¹. Ojciec pisał o niej, że „głupia baba i najpodlejsza na świecie”² – czy aby się nieco nie mylił?

Po prawdzie nie wiem, czy problem jest we mnie, czy w środowisku samym. We mnie, jak mi często zarzucają, w jakichś moich nietaktach, nadmiernych szczerościach, może braku wdzięku, w tym, że jak mi to kiedyś dosadnie powiedział Urbański: nie buduję układu. Inaczej – nie budzę sympatii. Czy jednak chodzi po prostu o środowisko? O to, że ci, którzy tworzą opiniotwórcze kręgi artystycznej Warszawy, dobierają się według klucza, w którym nie ma miejsca dla potomka krakowskiego inteligenta, syna pisarza pochodzącego z urzędniczo-mieszczańskiej rodziny.

Wyobrażał sobie Andrzej, że będę tą osobą, która zapewni prezydentowi Kaczyńskiemu dobre relacje ze środowiskiem artystycznym.

– Zaczniemy od wigilii – zaproponowałem. Niech spotkanie ma tę aurę, jaką gwarantuje duszpasterstwo środowisk twórczych i ks. Wiesław Niewęglowski. Bardzo się to Jędrkowi spodobało.

– Tylko bez pompy – prosił. –Najskromniej, wręcz w jakimś domu dziecka byłoby najstosowniej. – Dom dziecka domem dziecka, ale znalazłem miejsce idealne. Lokal Muzeum Historycznego m.st. Warszawy, który jest dość ciepły, no i nic nie kosztuje prezydenta, bo to lokal miejski. W czasie gdyśmy z Kasią bujali po Danii, druga moja pracowniczka, pani Iza Pieczykolan siedziała w Urzędzie Miasta pracując nad przygotowaniem wigilii. Tu już nie obyło się bez zgrzytów. Najpierw duszpasterz Środowisk Twórczych ks. Wiesław *pleno titulo*, którego umówiłem na uroczystość, obraził się, że pominąłem mu dra przed nazwiskiem, tytułując prezydenta Kaczyńskiego profesorem. Z tym poradziliśmy sobie przy pomocy Ani Jedlińskiej, w jedną noc poprawiając w firmie Cezan zaproszenie. Jednak w czasie mego pobytu w Kopenhadze urzędnicy z Januszem

1 8/III 1968 „Rozmowa z H. A[uderską]. Ostrzeżenia. Intrygi żydowskie. »Pan w tym wszystkim jest takie dziecko przez ptaka przyniesione...«. Żydzi zainicjowali podpisywanie, Żydzi przemawiali, Żydzi odrzucają nasz eksport. A. chce mnie »ocalić« od ew. procesu, w który mógłbym być wplątany. Radzi mi po prostu wyjechać do Zakopanego. Wszystko to ma być oparte na informacjach pewnej osoby partyjnej”. (Andrzej Kijowski, *Dziennik* t. II, s. 281)

2 Op.cit. t. III. s. 147.

Pietkiewiczem na czele dowiedzieli się o wigilijnych planach. No i zaczęło się – jak je po czterech latach odchodząc ze stanowiska „Kanclerza Rzeczypospolitej” Urbański określi – „całe to Bizancjum”.

Janusz Pietkiewicz to potęga. Impresario nie znający granic rozmachu. Skądinąd człowiek miły, obyty, znający języki, z włoskim na czele. No i ma wdzięk. W obronie jego posady dzwonił, jak mi relacjonował Urbański, wszyscy: od kurii po gminę czy postkomunę, z której to rąk dwukrotny szef Opery Narodowej, późniejszy, już za Kaczyńskiego, nowożytny Muchanow, czyli, dyrektor Biura Teatru i Muzyki m.st. Warszawy, stanowisko w strukturze miejskiej w jakimś 1999 roku otrzymał.

Nie szło z nim walczyć. Więc przeniesiono całą imprezę na Zamek Królewski, z elementami dekoracji i zaprojektowanymi do Muzeum Historycznego występami. Piękna instalacja anielska i artystyczna choinka wykonana przez Grzegorza Stachańczyka oraz występ grupy „Pod Górkę” z fragmentami Schillerowskiej *Pastorałki*, *Kolęda na 4 głosy* zupełnie z innej niż zamkowa były bajki, ale po to się miesza, by namieszać.

Namieszali więc urzędnicy tak skutecznie, że ludzi też przyszło niewiele. Staszek Górka z Moniką Świtaj



*Monika Świtaj,
Wojciech Machnicki,
Stanisław Górka,
Pastorałka
2002*

dokonali cudu, radząc sobie z koszmarną akustyką Zamkowej Sali Wielkiej, a pan prezydent Kaczyński... zachorował na gardziółko, pozostawiając Urbańskiemu pełnienie honorów domu na tej artystycznej wigilii. Kolejna zmarnowana szansa i niepotrzebna praca to napisana przeze mnie dla Kaczora mowa. Życzenia bożonarodzeniowe. Nigdy niewy ogłoszone, może nawet niedostarczone – oczywiście nieopłacone, zatem już tylko moje.

„Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Mili Państwo! To właściwie moje pierwsze tak duże spotkanie od czasu, kiedy mieszkańcy Warszawy powierzyli mi mandat prezydenta stolicy.³ Chciałem, by to spotkanie odbywało się właśnie z ludźmi kultury, gdyż, co tu dużo mówić, od Was teraz bardzo wiele zależy. Od obecnych tu pisarzy, malarzy, muzyków,

³ To miał mówić Lech Kaczyński. Ja może powinienem powiedzieć: „Od czasu, gdy urzędnicy przerażeni tłumami, do których (nie bez wsparcia prezydenta Kaczyńskiego) przemawiałem w Ogrodach Frascati, postanowili pozbyć się mnie z miasta, wraz z piękną imprezą”.

aktorów, przedstawiciele instytucji kulturalnych zależy znowu to, co zrobi z sobą Warszawa w Polsce, a Polska w Europie.

Czy będzie cierpieć »pogardę i zniewagi świata, / Krzywdy ciemieży, obelgi dumnego, / Lekceważonej miłości męczarnie«, czy będzie hamletyzować i histeryzować, czy cały swój wysiłek skupi na tym, by w demokratycznym społeczeństwie, które sfery artystyczne pomagały przed piętnastu laty odtworzyć, zaprowadzić porządek, pielęgnować standardy, dbać o wartości. »Lecz nade wszystko – słowom naszym, / Zmienionym chytrze przez krętaczy, / Jedyność wróci i prawdziwość: / Niech prawo zawsze prawo znaczy, / A sprawiedliwość – sprawiedliwość«.

Mamy wkraczać do zjednoczonej Europy. To dobrze, bo przecież dla nas Polaków nie ma innej kultury niż europejska. Ale wspólnota europejska zdaje się dziś na kulturę bardzo słabo nastawiona. Narodzona ze Wspólnoty Węgla i Stali, dopracowała się wspólnego pieniądza – ale czy jakiś wspólny duch ją ożywia? Choćby ów Święty Duch, którego przywołaniem przed trzydziestoma laty Ojciec Święty sprawił, iż odmienione zostało oblicze ziemi – tej ziemi.

Myślę, że musimy je nadal odmieniać. Poczynając od tej najbliższej warszawskiej i stołecznej razem. »Nie można też bez Chrystusa zrozumieć dziejów Polski« – wołał Jan Paweł II w swojej homilii ponad ćwierć wieku temu na placu Zwycięstwa w Warszawie. Po dwudziestu pięciu latach Warszawa i Polska stają przed niezwykłym wyzwaniem. Z tysiącem naszych narodowych wad: brakiem pracowitości, nieposzanowaniem autorytetów, skłonnością do efekciarstwa, zacofanym rolnictwem, skorumpowanym urzędem, niedokształconym pracownikiem, mamy oto wkroczyć do europejskiej wspólnoty, gdzie prawa będziemy mieć wprawdzie równe, lecz i kary za wszelkie niedociągnięcia ponosić godzimy się jednakże.

Czy jesteśmy na to przygotowani?

Dziś – może mniej niż wczoraj. Wczoraj, gdy naszą siłą, naszą wizytówką była nasza kultura.

Nie będzie w Warszawie bezpiecznie, nie zostanie zahamowana korupcja, nie polepszy się praca urzędów, nie przybędzie dobrych dróg, jeśli nie postawimy na edukację, na młodzież, jeśli nie przywrócimy należnego miejsca kulturze, a z nią nie zwrócimy się ku europejskim miastom z planem szeroko zakrojonej europejskiej współpracy kulturalnej.

Nie można zrozumieć dziejów Polski i Warszawy bez kultury. Na nią zawsze

brakowało pieniędzy, a to przecież ona dawała nam wolność. Teraz wolność już podobno mamy. Obiecuję więc jako nowo wybrany prezydent Warszawy zrobić wszystko, by przestało brakować pieniędzy przynajmniej na to, co Rada Kultury, którą powołać zamierzamy, uzna za słuszne. Powstanie taka Rada. Do jej powołania zobowiązałem już publicystę, dziennikarza prasowego i telewizyjnego, ze wszech miar kompetentnego polityka i człowieka kultury, jakim jest pan Andrzej Urbański.

Spodziewam się raportu, w którym zaproponowane zostanie, które inicjatywy, tak jak dziś większość kin czy galerii, pozostać mają w rękach prywatnych, a które winny zostać otoczone organizacyjnym mecenatem. Które zaś, z niezwykle dziś scentralizowanych instytucji teatralnych czy bibliotecznych, mają tkwić w strukturze miasta, a które mogą lub powinny radzić sobie same. Przejrzystszym musi się stać system miejskich dotacji dla kultury, stworzony system grantów dostępnych zarówno dla osób prywatnych, jak i organizacji pozarządowych, wreszcie podjęte muszą zostać działania zaznaczające silniej znaczenie Warszawy na kulturalnej mapie Europy. Warszawa leży w jej geograficznym centrum.

Mam nadzieję że jeszcze dziś i w najbliższym czasie porozumiemy się co do tego, jakie przedsięwziąć działania, by Polska nie stała się zakładnikiem europejskiej normy. By wkroczyła do Europy z taką dumą i pewnością siebie, z jaką słowiańszczyzna dodała do judejskiego rytu bożonarodzeniowego swoją ośnieżoną choinkę.

Dobrej choinki Państwu życzę, pogodnych świąt i mnóstwa prezentów, a sobie, by mi pomogli anieli jak najwięcej tych prezentów dla świata kultury zgotować”.

Przez cały pierwszy kwartał 2003 roku wykonywać więc będę kontredans wokół gabinetu kulturalnego wiceprezydenta Warszawy Andrzeja Urbańskiego. Faktycznie pełniąc rolę doradcy wiceprezydenta, formalnie musiałby mnie jednak w swoim teamie zatrudnić sam prezydent. Mimo że taki wniosek z podpisem wiceprezydenta zostanie skierowany, zatrudnienia w kierowanym przez Wojciecha Arkuszewskiego zespole doradców Kaczyńskiego nigdy nie uzyskam.

I słusznie. Nie mam pojęcia o tej roli. Kiedy mi Urbański zadawał pytanie, włączałem komputer i w punktach na dwóch-, trzech stronach spisywałem wszystko, co na dany temat wiem. Jędrrek czytał te moje sylabusy z zachwytem i wzdychał – żebym ja mógł ci tylko za takie konspekty płacić. Ale taki doradca działa przeciw sobie. Po trzech miesiącach uczciwie informowany przełożony wie

już tyle, co doradca. Dziеляcy się całą swoją wiedzą doradca staje się niepotrzebny. Urzędnik, polityk nigdy nie myśli o *meritum*. On myśli o tym, jak wzmocnić swoją pozycję. Udzielić minimum, a uzyskać maksimum informacji.

Zadaniem, które postawił mi Urbański, było stworzenie Rady Kultury przy prezydencie Kaczyńskim. Takiej intelektualnej tarczy. Zasadniczo to dla mnie przyszłość. Napisałem regulamin.

Cele Rady są następujące:

1. Działanie na rzecz rozwoju polskiej kultury i sztuki oraz architektury – zasadniczych zrębów cywilizacji śródziemnomorskiej
2. Działanie na rzecz rozwoju m.st. Warszawy i zapewnienia mu godnego miejsca wśród stolic kulturalnych jednoczącej się Europy
3. Działanie na rzecz idei integracji europejskiej
4. Działanie na rzecz rozwoju terytorialnych, lokalnych, gospodarczych i regionalnych wspólnot samorządowych
5. Do kompetencji Rady należy:
 - 5.1. Koordynowanie niezależnych, rządowych i samorządowych imprez kulturalnych o charakterze ponadlokalnym, a odbywających się w Warszawie
 - 5.2. Inicjowanie kulturalnej współpracy międzynarodowej, ze szczególnym uwzględnieniem miast partnerskich oraz krajów Unii Europejskiej
 - 5.3. Inicjowanie przekształceń w zakresie infrastruktury instytucjonalnej
 - 5.4. Podejmowanie działań organizacyjnych w zakresie realizacji *stricto* miejskiej polityki kulturalnej itd.

Zaproponowałem, aby Rada składała się z Komitetu Honorowego i Zespołu Miejskiego złożonego z urzędników i zarządzających miejskimi instytucjami kultury, a także Zespołu Stołecznego złożonego z dyrektorów instytucji kulturalnych z siedzibą w Warszawie – nie podlegających miastu.

Kiedy jednak zestawilem to godne grono, znowu zaczęli wtrącać się do tego polityczni urzędnicy. A to, że któryś z autorytetów zbyt unijny. Czerwonych sam nie proponowałem, zresztą szczęśliwie ta formacja nie ma wśród artystów zbyt wielu fanów. To znów, żeby gdzieś między Wajdę, Zanussiego, Piesiewicza, Pendereckiego czy Hartwig wcisnąć jakiegoś dyrektora, radnego czy innego Gelberga. Na takie propozycje parsknąłem śmiechem.

Oni też na mnie... parsknęli. Potem była mowa o Pałacu Kultury. Radzie nadzorczej czy zarządzie. To już było trzecie moje podejście do tej ciekawej w sumie instytucji.

IX

MURAWSKI, CO PeKiN PALI

Jesteśmy równolatkami. Prawie. Miałem dokładnie rok, kiedy powstał. Jego iglicę widać było z domu. Ciekawił. Był wysoki. Trudno powiedzieć, czy przystojny. Pytałem Ojca, czy można by zeń skakać na spadochronie.

Rośliśmy razem

Obdarzony krakauerskim, sarkastycznym poczuciem humoru zapewnił mnie, że tak: pod wodzą pierwszego sekretarza KW wszyscy posłuszni chłopcy mogą tam skakać przy niedzieli. Tygodniami nie mogłem się doprosić wycieczki. Podobno nigdy nie byłem dość układny – więc zamiast skakać z Pałacu, trzeba było grzecznie iść na mszę do Zbawiciela...

Pierwsze z nim zetknięcie musiało nastąpić w Teatrze Lalka. W przedszkolu dawali czasem darmowe talony na spektakle. Pamiętam przedstawienie *Wielkiego Iwana*¹. Teatr był lalkowy, ale wstawka filmowa w iście Piscatorowskim stylu. Iwan na czele wojsk Wehrmachtu szedł mścić się za swoje krzywdy na braciach – niemal po głowach osłupiałych widzów. Niezapomniane wrażenie.

Gorąco. Wokół Pałacu rozsiadały się babki sprzedające wodę z saturatorów. Kiedyś nawet wpuszczono nas z ojcem w niedzielę na basen. Trzeba było wypożyczyć płócienne, białe, z boku wiązane slipki i koszmaryny czepek, który wydzierał włosy. Ale tylko raz się udało. Najczęściej basen służył sportowcom i klubom. Pierwszy raz kąpałem się tam pięcioletni, w jakąś parną niedzielę, pewnie około 1959 roku. Następnie – przez jeden sezon roku 1994. Gdy ocalałem druhnie Wacowskiej (znajomej jeszcze z harcerstwa, komunistycznej radnej rezydującej tu nieprzerwanie od 1982 roku) stanowisko dyrektora tej placówki, dostałem za szczytu otrzymania VIP-owskiego karnetu. Gdy straciłem wpływy, karnet też się skończył. Ale powstały wnet inne baseny.

1 *Wielki Iwan*, autorzy: Sergiusz Obrazcow, Sergiej Preobrażeński, reżyseria: Jan Wilkowski, dekoracje: Adam Kilian.

Układ warszawski Piskorskiego, Bujalskiego i Foglera zafundował stolicy szereg świetnych krytych kąpielisk od „Warszawianki” poczynając. Podobno w tle jakieś przekręty stały, ale szczerze powiedziawszy, bynajmniej nie mam ich za złe, skoro jest się gdzie kąpać w Warszawie. Bez protekcji, choć za niemałe pieniądze.

Jest też gdzie kupować. Przybyło sklepów, supermarketów i galerii, które (czego przykładem los kierowanych przez Adama Hanuszkiewicza Teatrów Nowego i Małego) pożądliwym konsumpcjonizmem rugują dziś ślady kultury i nauki. Dotyczy to także PKiN im. Józefa Stalina. Pełnego pięknych wspomnień.

Z Pałacem jak z całą tzw. komuną. Jak z całym półwieczem budowania ustroju sprawiedliwości społecznej. Czym jest dziś? Co znaczy? Co z nim począć?

Były szef marketingu tego obiektu, były sojusznik Kaczyńskich i zdolny menadżer, poliglota, etyk i archeolog śródziemnomorski, dr Krzysztof Murawski powiada dziś, że jednak należy go zburzyć. Z pozycji prakseologa stwierdza: *Ten budynek to gwałt na Warszawie i na całej Polsce, i wrzód na kulturze narodowej. Fatalne znamię, którego obecność odbiera nam pełnię szacunku dla samych siebie. Czesław Bielecki chciał go odczarować budując tam muzeum komunizmu, ale a kysz z komunizmem, to już teraz jest właśnie dokładnie tym – muzeum komunizmu, które niby wygląda pałacowo, ale do niczego się tak naprawdę nie nadaje. Sala Kongresowa, którą należałoby zamknąć z powodu zagrożenia pożarowego, niespełniania żadnych norm dla tego typu budynków, z dyskoteką łupiącą spod ziemi w czasie koncertów, salonikiem Stalina, siedzibą PEN Clubu, w której jest szkoła tańca, salami balowymi, w których marmury szlifują miłośnicy kotów lub książek albo strojów ślubnych. Daleki jestem od tego, aby sądzić, że z tego powodu nie budujemy autostrad ani boisk, i w ogóle wszystko, co się zmienia przychodzi z tak ogromnym trudem, ale owszem, w pewnej mierze, to są pozostałości tej samej demoralizacji. Zburzmy ten »pałac« i zrobmy w tym miejscu nowoczesne centrum miasta, z Muzeum Sztuki Współczesnej, nowoczesnym centrum kongresowo-wystawienniczym i innymi gmachami użyteczności publicznej. Pożegnajmy się z tym fatum, wyburzmy je albo przebudujmy, żeby stało się centrum kultury, odrodzenia, odnowy, odbudowy podstawowych wartości, a nie czymś, co trzeba pracowicie zastaniać i od bez mała 20 lat urbaniści debatują, czym to coś zastonić. Pani Prezydent – na Pani ręce.*

No cóż, do Murawskiego jeszcze wrócimy. Ważniejsze jest to pytanie. O Pałac.

Uporządkujmy. Pytanie jest zdaje się o to, czy budować, czy burzyć. Burzono zawsze. Od egipskich czasów jeden faraon budował mastabę i świątynię – następny stawiał sobie w formie piramidy grobowiec jeszcze potężniejszy, a świątynię

poprzednika rozbierał, zacierał napisy, by z tych samych kamieni wznieść świątynię jeszcze większą i własną.

Pałac Kultury i Nauki w Warszawie jest ostatnim bodaj w najnowszej historii zapamiętanym zmierzeniem się władzy z pamięcią wykutą w marmurze. Powodowany własną (całkowicie zresztą uzasadnioną) urazą były szef marketingu tej instytucji proponuje dziś, by ją zamienić w pył.

Nie ulega wątpliwości, że ten przeogromny budynek jest szramą na centrum miasta. Blizną na jego sercu wytyczanym kwadratem ulic: Marszałkowska, Aleje Jerozolimskie, Emilii Plater i Świętokrzyska.

Nim jednak odpowiem na pytanie, czy go zburzyć – warto spytać, czy umiemy go zastąpić inną konstrukcją.

Powierzchnia największego placu Europy, zajęta dziś przez budynek Pałacu Kultury i Nauki, to przestrzeń większa nawet nieco od luksorskiego Karnaku. Ten ostatni zajmował dwa kilometry pustyni – plac Defilad wytyczony w centrum stolicy europejskiego miasta mierzy dwa i pół kilometra kwadratowego. Jednak tę przestrzeń wypełnia dziś Pałac Kultury, w którym funkcjonują nadal trzy teatry, Muzeum Techniki i wspomniany Pałac Młodzieży wraz z basenem.

Bez wątpienia – architektonicznie a także biznesowo – Pałac Kultury to wrzód na centrum miasta. Przedzielenie centrum Warszawy największym placem Europy zmieniło krwiobieg ulic stolicy. Pańska, Chmielna, Niecała czy Wspólna – krwawią dziś resztkami. Ale Pałac, nie ma co ukrywać, stał się istotnie miejscem, gdzie nauka i kultura miały swój azyl. Od Teatru Lalka, znajdującego się na tyłach przemianowanego z czasem w Studio – teatru, który ja jeszcze wspominam pod nazwą Teatr Dzieci i Młodzieży, zwany też Klasycznym – poprzez ochrzczony Teatrem Dramatycznym m.st. Warszawy, dawniej nazywanym Teatrem Domu Wojska Polskiego, aż po Pałac Młodzieży z harcerską „Gawędą” druha Kieruzalskiego z basenem dla wybranych sportowców i wspomnianych VIP-ów.

Pałac to także świetne Muzeum Techniki i Sala Kongresowa, w której występowali i The Rolling Stones, i Aznavour. No i 33 piętra. Biblioteka PAN-u na parterze, pierwszy wielki komputer – mieścił się na czwartym piętrze, tam gdzie sale wykładowe Uniwersytetu, wyżej była Polska Akademia Nauk. Wreszcie PeKiN to kino „Wiedza”, kilka restauracji i największa antena w Warszawie. Byłem na Aznavourze – mój ojciec wystął bilet w jakiejś koszarnej kolejce. Dostał tylko dwa. Sam nie poszedł. Starczyło dla mnie i dla mamy – więcej nie sprzedawali. Reglamentacja.

Najsilniej jestem oczywiście związany z salą Teatru Dramatycznego. Tu był

Senior – przez sezon 1966–1968 – kierownikiem literackim u Andrzeja Szczepkowskiego. Tu odbywały się Warszawskie Spotkania Teatralne. Tutaj też 13 grudnia zawieszono Kongres Kultury Polskiej. Na tym „kongresie na Titanicu”, jak go później nazwano, przemawiał Ojciec.

Z czasem zacząłem odkrywać piętra. Szczególnie w okresie mej współpracy z PAN-em. Tu mieściły się niektóre gabinety, zakłady, odbywały się wykłady, lektoraty. Jeździło się obsługiwanymi jeszcze długo przez windziarzy kabinami.

Albo... wchodziło schodami. Schody Pałacu to osobna tradycja. Na którymś jego wysokim piętrze prowadzone były, pamiętam, wykłady z ekonomii dla humanistycznych doktorantów, którzy taki egzamin musieli zdać dodatkowo. Połączyły się tam szeregi instytutów PAN-owskiego Wydziału Pierwszego: siedł Krzysztof Murawski z Dybciakiem, Marek Zalewski z Gumkowskim i niżej podpisany – wszyscy wspinali się w górę po schodach, towarzysząc Małgosi Baranowskiej (tej od historii pocztówki i prywatnej historii poezji, która miała klaustrofobię i winda dla niej był koszmarem).

W 1993 roku rozmawiałem z wieloletnim szefem Pałacu Kultury Waldemarem Sawickim. Zwiedziłem wtedy instytucję od schronów atomowych po iglicę. Drugi raz krążyłem tam „zawodowo”, gdy szefem Pałacu został były szef stowarzyszenia kupieckiego Wola, burmistrz pierwszej kadencji tej dzielnicy, oscylujący między PC, Telegrafem a Platformą – Paweł Bujalski. Nie znalazł dla mnie miejsca. Wolał Andrzeja Golimonta, radnego SLD, niegdyś związanego ze szmatławym „NIE” Jerzego Urbana, wreszcie szefa promocji Pałacu, na którym to stanowisku zastąpił go właśnie Murawski.

Chyba jednak dobrze, że się tam nie dostałem, biorąc pod uwagę, że Bujalski w pewnym sensie zajął zwolnione przez Maćka Zalewskiego miejsce w kryminalne. Przesiedział rok, dziś – zwolniony za kaucją – czeka na procesy. Trzecie podejście dokonywało się, gdy szefem Pałacu został Lech Isakiewicz, a jego zastępcą, czy raczej szefem marketingu, Krzysztof Murawski. Ci też się procesują – ale między sobą...

A pod Pałacem? Właśnie zlikwidowano kupieckie hale. Ma powstać Muzeum Komunizmu. Tadeusz Koss odzyskał swoją działkę pod Pałacem. Za nim pójdą inni. Jeszcze się będzie działo.

X
ZMARNOWANE SZANSE
– rzecz o Murawskim Krzychu

Murawski... O Murawskim już kilkakrotnie wspominałem. Znam go dobre 33 lata. To także mój rówieśnik. Jak Pałac Kultury. Studiował na Uniwersytecie Warszawskim równoległe z nami (Andrzejem Urbańskim, Grzesiem Godlewskim, Markiem Karpińskim, Michałem Bonim, Krzysiem Jasińskim), tyle że na wydziale archeologii.

Opisywałem już nasze występy z Urbańskim, z przedstawieniem „Meteor” w „Sigmie” i na wydziale ekonomii UW. Wspominałem, że brał w nich udział i Murawski – obok Piotrka Glińskiego (dziś profesora Polskiej Akademii Nauk) – i Janek Aisner (współpracownik Lutka Dorna; na emigracji przepadł gdzieś w Kanadzie, jeszcze w 1983 roku). To kumple z jednej klasy licealnej na Saskiej Kępie. Trzeba przyznać, że ten wysoki blondyn o pociągłej twarzy i organizujących jej wyraz wypukłych, nieco sennych powiekach jest bardzo zdolny. Przede wszystkim językowo, lecz nie tylko. Z Krzyśkiem losy wyjątkowo nam się przez lata krzyżują.

Poznaliśmy się przy teatralnych zajęciach, na pierwszym roku. Potem jednak traf zbliżył nas towarzystwo. Zaczęła się mała stabilizacja. Żeniliśmy się szybko, młodo i... raczej bez sensu. Przeważnie z koleżankami, które nam pożyczaly skrypty. Krzysiek znalazł sobie pierońsko zdolną Kasię (która w sierpniu 2009 roku jako Katarzyna Murawska-Muthesius, po latach emigracji w Londynie, powróciła na stanowisko zastępcy dyrektora Muzeum Narodowego).

Ja – porzuciwszy studencką kruczowłosą Krysię – wkręciłem się w loki blond Ani. Jak to było? Ze studiów polonistycznych wyniosłem zażyłość z Halinką Kread, która skutecznie posiadała Marka Waszkiela (dziś dyrektora Białostockiego Teatru Lalek) na roku trzecim i wierzę, że im (może jedynym z całej pokoleniowej formacji) rodzinne szczęście wciąż sprzyja. Wtedy zaś młoda Waszkielowa, ze świeżo Murawskiemu poślubioną Kasią, w jednym stały domu, w którym i myśmy z Anią bywali i grali nawet brydża.

Przyszedł karnawał „Solidarności”. Krzysiek dołączył do mojego studium doktoranckiego w IFiS-ie i ma swój udział, jako ówczesny przedstawiciel doktorantów w Radzie Naukowej, w tym, że mnie (jako jedyne doktoranta, który w terminie obronił pracę) w końcu do IFiS-u przyjęto. Rozpadło się potem Murawskiemu małżeństwo. W zdobytym z ogromnym poświęceniem finansowym obydwu rodzin mieszkaniu na ulicy Czerwonego Krzyża, z którego w 1982 r. pomagałem mu wynosić kubelkami gruz – w roku 2003 zamieszka (i nawet do Pałacu przy Krakowskim Przedmieściu nie od razu zechce się wyprowadzić) instalujący się w Warszawie jako prezydent, wpierw miasta, a potem kraju, nie kto inny jak Lech Kaczyński. Krzys w finale związku z Katarzyną pocznie jeszcze syna Michała. Ten jednak wnet z matką wyemigruje do Angli, gdzie Kasia zrobi sporą karierę jako historyk sztuki. A Krzysia Kaczyński w tymże 2003 roku najpierw (bez związku z mieszkaniem...) przyhołubi w Pałacu Kultury, a potem pod dyktat agenta SB Lecha Isakiewicza będzie starał się bezskutecznie (a także bezprawnie, czego wykazywanie pięć lat trwało) dyscyplinarnie zwolnić z pracy. Mroźek by tego nie wymyślił!

Dziś Krzysztof jest przedstawicielem na wschodnią Europę bazy ProQuest dla Europejskiej Agencji Leków. Mieszka w podwarszawskich Żąbkach. To on zachęcił mnie, bym założył swój blog w Salonie 24.

Wtedy, czyli w stanie wojennym, Krzys pracował w IFiS-ie, w Zakładzie Etyki i był pod sporym wpływem prakseologa Rudniańskiego. Doktorat zrobił szybko i nie zawahał się dać go do czytania w bojkotowanym na początku stanu wojennego reżimowym radiu. Każda taka informacja bolała. Stan wojenny przeprowadzała bowiem WRONA na otwartej ranie ambicji inteligencji polskiej. W drugi dzień świąt wielkanocnych roku 1985 poznał Murawski w moim ówczesnym domu Dorotkę Szczepańską, czym dowiodłem, że umiem kojarzyć innym związki skuteczniej niż sobie. Dorota przeniosła na Krzyska wszystkie uczuciowe marzenia, mają czworo dzieci, piękny dom, a ja... przynajmniej do momentu opublikowania tego tekstu - miałem miejsce przy stole, gdy mnie wiatry po bezdrożach gnały. To jednak zbyt mało.

Odnowa roku 1990 wyniosła mnie do „Tygodnika Solidarność”. Krzysztof dusił się w PAN-ie zazdroszcząc kolegom – choćby takim jak Józek Orzel (były poseł PC, również uciekinier z tej samej instytucji) – kariery. Pomagałem, jak umiałem. Przekonałem Piotra Wierzbickiego, by zatrudnił go, a także Jolę Kessler-Chojecką w dziale zagranicznym „Nowego Świata”. Gdy zostałem

dziennikarzem TV, zapraszałem Krzycha tak często jak się dało na Grzybowską do NTW. Kariera Krzyśka nabrała rozpędu za rządów Buzka. Najpierw został dyrektorem departamentu w ministerstwie, potem na rok szefem Wydawnictw Szkolnych i Pedagogicznych, wreszcie za panowania Urbańskiego szefem marketingu Pałacu Kultury – z prośbą, by zajął się także mną. Z tym zajmowaniem zawsze jednak było gorzej.

Nie tylko o mnie tu chodzi. Jak podliczę, gdzie się tylko Murawski pojawi, czy to w gazecie, czy w ministerstwie, czy w wydawnictwie, czy wreszcie w Pałacu Kultury – wszędzie ma pozycję zawodową i finansową i... każda z tych instytucji padnie, a Krzysztof wraz z nią, lądując jednak (dzięki perfekcyjnej znajomości języków) zawsze w jakieś zachodniej firmie, która eksploruje polski rynek. Przypadek? Zapewne. Lecz taki, który potwierdza regułę szans zmarnowanych przez egoistów.

Gdy Krzyś został zastępcą dyrektora Departamentu Struktur Państwa w zlikwidowanym przez rząd PIS-u w 2006 roku Rządowym Centrum Studiów Strategicznych, natychmiast poprosił mnie o współpracę. Miał, jak pamiętam, pilotować reformę samorządową. Potrzebował ekspertów. Był dość szczery. Oświadczył, że teraz on będzie błyszczeć, lecz są mu potrzebni eksperci. Zachowałem się, jak to u mnie w zwyczaju – palec do góry i wyrecytowałem lekcję. Przedstawiłem projekt.

Zgromadziłem mu w gabinecie najlepszych ekspertów w tej dziedzinie: byłego już w tym momencie wojewodę warszawskiego Bohdana Jastrzębskiego, byłego wiceprezydenta miasta Olgierda Dziekońskiego, Kazię Kleinę (byłego wojewodę śląskiego, kaszebę i senatora AWS) oraz opisywanego już Andrzeja Lubiatowskiego.

Wykonałem pracę, oddałem całą wiedzę, nie otrzymałem za to złamanej złotówki i jak się tu dziwić, że nie zaproponowano mi stałej współpracy. Po co kupować od tego, co sam chętnie daje. „Adwokat po sprawie jest jak panienka po zabawie”. Krzyś to jakoś zawsze instynktownie wiedział. Pamiętam, jak na początku lat 90. rozgryzaliśmy pierwsze komputery. Jeszcze nie rozumiałem, czym różni się dyskietka od taśmy magnetofonowej. Nie odróżniałem pamięci dysku twardego od podręcznej i przenośnej. Krzyś uśmiechał się z wyższością, ale wiedzy udzielał niechętnie. Jakoś instynktownie rozumiał, że jeśli nie płacą, nie należy się z nią obnosić. Gdyż, jak to sformułował Michel Foucault, wiedza jest władzą.

Z Krzysiem stosunki są nadal ciepłe, choć zawsze jednostronne. Ani w okresie zarządzania przezeń WSiP, ani w czasie, gdy szefował marketingowi pałacowemu,

nie znalazła się tam dla mnie posada. Nikt nigdy nie chciał przypuszczać mnie zbyt blisko. Choć tym razem (czyli w czasie pałacowym), na wyraźne polecenie Andrzeja Urbańskiego, otrzymałem przynajmniej materialne wsparcie – będące formą zapłaty za moje przysługi, których temu ostatniemu honorować nie pozwalano.

W sumie dobrze, że nie zbliżyłem się doń bardziej. Do niego czy raczej do zdemaskowanego dziś agenta SB Lecha Isakiewicza, powołanego na stanowisko szefa Pałacu Kultury przez Lecha Kaczyńskiego, który najpodlej rozprawił się z Krzysztofem, stawiając mu absurdalne zarzuty. Zwolnił go dyscyplinarnie z pracy i oczywiście po pojawieniu się Pani Bufetowej (jak warszawka pieściotliwie Hannę Gronkiewicz – Waltz nazywa) w gabinecie Prezydenta Miasta sam bez problemu dogadał z jej formacją.

No cóż, Krzysiu, Andrzeju – może mniej należało się bać lojalnych przyjaciół. Może gdybyście się tak nie puszyli, nie asekurowali, przetrwalibyśmy razem, a może poległbym z wami bardziej niż sam? Któż dziś to wie. W 1983, a może 1984 roku zaprzyjaźniona ze mną serdecznie Małgosia Szpakowska, gdy wyrzekałem na komunę i Związek Radziecki, życząc temu ostatniemu, by go diabli wzięli, powiadała:

– Bo ty, Andrzeju, jesteś jak ten więzień przywiązany do Pałacu Kultury, łańcuchem przykuty, który modli się, by go wysadzono w powietrze, nie bacząc, że zginie pod gruzami.

Związek Radziecki się rozpadł. Przynajmniej długo mi się tak wydawało. Kamienie? Patrząc na tę eksplozję w cyklu historycznym właśnie osiągnęły zenit swego wlotu. Wiele wskazuje na to, że właśnie zaczynają spadać.

A my też już jakby pod gruzami. Jeden w Radości, drugi w Ząbkach, trzeci przy placu Zbawiciela. I komu tu Pałace burzyć? Grobowce pora budować.

Łatwo powiedzieć. Łatwo zburzyć. Łatwo obiecywać. Jednak ani Paul Morand nie spalił Moskwy, ani Bruno Jasiński Paryża. Przeciwnie, to tego ostatniego Moskwićni zamrozili. Podobnie jak Murawskiego Lech Kaczyński, a mnie jego „pani prezydent”, pod której skrzydłami nie zdołał jednak tenże Murawski, już jako platformerski radny, przerobić podwarszawskich Ząbek w centrum nauki i kultury. Nie wiem nawet, czy próbował. Zrezygnował. Oskarżony przez głupców, obmówiony przez agentów, skrzywdzony przez cyników jest dziś Krzys Murawski – jak Pałac Kultury, jak niżej podpisany – jakąś pozostałością, świadectwem marzeń, śladem umarłej frazeologii.

XI OBCE PALIKOTA DZIEJE

Kto jeszcze stoi na tej drabinie, przed tym pajacem z *Małej Apokalipsy* Konwickiego świeżo przez NOW-ą właśnie w 1979 roku wydanej? Na tej drabinie, przed którą, kto wie, czy nie przyjdzie się w końcu spalić, choć inne dziś niż ćwierć wieku temu widać zagrożenia dla polskiej kultury. Po schodach Pałacu wstępując ubijaliśmy wszak starą hierarchię wartości, tworząc zręby nowej. To klasa Krzycha Murawszczaka z Saskiej Kępy, a w niej?

Krzyś Jasiński. Nie, nie ten od Teatru Stu. Też rówieśnik, dziś reżyser i znakomity realizator telewizyjny, kolega jeszcze z Liceum im. Batorego. Jego ojciec był jakimś komunistycznym aparaczką w Ministerstwie Kultury. Podlegał mu Departament Szkolnictwa Artystycznego. Ale mama Krzysia była nauczycielką w liceum na Saskiej Kępie, gdzie wspomniani koledzy chodzili do niezwyklej klasy. Dobrała się tam grupa młodych, bardzo zdolnych chłopców. Poszli na różne wydziały, lecz przynajmniej na I roku gromadzili się właśnie wokół teatru. Stąd trafiali w moją, a i ja poznawałem ich orbitę.

Spotkany na I roku Janek Aisner. Studiował socjologię w towarzystwie Ludwika Dorna, Uli Doroszewskiej (dziś ambasador RP w Gruzji) i Andrzeja (Sahibka) Axera – zaangażowany w KOR i „Solidarności”. Widzę go w 1982 roku w mieszkaniu Magdy Chechlińskiej na Jelonkach, żegna się, emigruje.

O Michale Bonim kilkakroć już wspominałem.

Z tej klasy spotykanej a to na kursie angielskiego, a to w którejś z teatralnych sal Pałacu Kultury czy w księgarni PAN-u na parterze, warto jeszcze wspomnieć dzisiejszego profesora socjologii i brata wybitnego filmowca Roberta, czyli Piotra Glińskiego. Studiował ekonomię (to on załatwił salę prób na Długiej), potem wszyscy trzej, to znaczy Gliniak, Murawski i ja zostaliśmy doktorantami Instytutu Filozofii i Socjologii PAN. Ja w sumie doktorat zrobiłem najszybciej, a chłopcy

zrobili, co w ich mocy, bym powrócił z zesłania na białostockie „Kresy Wschodnie”. I tak się w istocie stało.

Przeprowadzoną w okresie solidarnościowego karnawału uchwałę Rady Naukowej IfiS-u, zobowiązującą dyrektora instytutu do zatrudnienia mnie, skonsumował dyrektor-komisarz tej instytucji, prof. dr Kazimierz Doktor, już w stanie wojennym. Ale jak skonsumował! Była to jego pierwsza decyzja personalna, podjęta wobec zwalnianego w tym samym momencie z białostockiej filii przez tamtejszego komisarza prof. Jerzego Niemca, przewodniczącego Komisji Wydziałowej Pedagogiczno Psychologicznej „Solidarności”. Dziwnie się plecie w Polsce i na świecie. Od tamtej chwili uważałem, że jestem w czepku urodzony. Zresztą, ponoć faktycznie jestem.

Moje drogi z IFiS-em rozeszły się w 1985 roku, gdy z amerykańskiego stypendium wróciła Kasia Rosner.

Chyba trochę rozżalona. Bo nie znalazła dla siebie miejsca w Stanach, pozostawiła natomiast za oceanem swego męża Piotra Graffa. Piotr i Kasia splodzili (i świetnie w Stanach wykształcili) Agnieszkę Graff, dziś czołową polską sufrażystkę. Piotr zaś (czego dowiedziałem się odeń po francusku, gdyśmy razem oprowadzali po Warszawie francuską profesor Jeanne Parain-Vial) jest wyniesionym jako niemowlę z getta dzieckiem wychowanym przez polską rodzinę. Ta informacja sprzedana została przez Piotra nader komercyjnie – osobie, która przesyłała nam dary i zaproszenia umożliwiające wyjazd z Polski. W 1984 roku załatwienie mi przez ojca stypendium z francuskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych wykorzystałem tylko dzięki przyslanemu mi przez profesor Vial zaproszeniu.

Zatem Kasia Rosner wróciła. Czy to oznaczało również, że gdzieś zdecydowano, iż kolejnego exodusu z Polski nie będzie, a przeciwnie, zaczną się powroty? Że, jak to najjaśniej wyraził Marek Edelman, dla jego pobratymców nie ma miejsca między Arabami. Ich miejsce jest w Europie. Ich ojczyznę Polska, której jedynym mankamentem jest fakt, iż nadto jest wypełniona radiomaryjnymi Polonusami.

Fakt, że z powrotem Kasi skończyły się dobre czasy. Bowiem Sław Krzemień-Ojak, komunista, lecz w sumie przyzwoity człowiek, pozwalał mi w ramach Zakładu Estetyki tworzyć zręby estetyki teatru, nauki w Polsce właściwie nieuprawianej. W czasie, gdy szefem zakładu był Wittek Kalinowski (też go wygryziono, nie dając nawet obronić napisanej habilitacji) mogłem stworzyć

popularnonaukową książeczkę dla Ossolineum i przedstawić ją jako pracę roczną¹. Gdy jednak wróciła Rosnerowa, zaczął się w zakładzie terror semiotyczno-kulturowy: Husserl, Levinas, Ricoeur. Z rozpaczy chwyciłem się Foucaulta. Ale i tak pozbyto się mnie na korzyść Pawła Dybla i niejakiego Janusza Palikota, który doktoratu wprawdzie nigdy nie napisał, wzbogacił się jednak niezmiernie na spirytualiach i oświadczył swego czasu wprost, iż jego czwórjednia to: Platforma–SLD–

Żydostwo i Gejstwo. Cóż, na takie *dictum* można już tylko fraszkami:

*Nie jestem Żydem ani gejem.
Masonem też – niestety! – nie.
Obce mi Palikota dzieje.
Alians Platformy z SLD.*

Tak więc ja ostatecznie odfrunąłem z IFiS-u około 1986 roku. Gliński z Murawskim zostali. Piotrek okopał się na pozycjach naukowych, został kierownikiem zakładu. Janusz Palikot, Witek Kalinowski, Józek Orzeł, Krzychu Murawski też odlecieli. Chcieliśmy rządu czy samorządu – czegoś więcej.

1 A. T. Kijowski, *Teoria Teatru*, Wrocław 1985

XII

RZECZPOSPOLITA SAMORZĄDNA MICHAŁA KULESZY

W mej opowieści jesteście, przypomnę, na początku roku 2003. Lech Kaczyński wygrał wybory samorządowe, Urbański został jego zastępcą do spraw kultury, Krzych Murawski znów w zarządzie: po krótkim epizodzie prezesowania i zarządzania Wydawnictwami Szkolnymi i Pedagogicznymi ma rekonstruować Pałac Kultury.

A Pałac stoi. Zajmuje powierzchnię, sypie się, kosztuje. Miasto zwalnia go z podatku od nieruchomości – trudno więc powiedzieć, czy to się w jakikolwiek sposób kalkuluje. Może należało, jak Niemcy Mur Berliński, rozebrać go gołymi rękami – cegła po cegle? No tak, ale kto mi zagwarantuje, co by na jego miejscu powstało. Tak jak teatry Hanuszkiewiczza zamieniono w supermarkety i przekazano z ręcznie w prywatne ręce do Fabryki Trzciny miejską dotację Teatru Nowego...

Co by pozostało z Pałacu Młodzieży z basenem, Teatru Lalka, Studio i Dramatycznego, Muzeum Techniki? Bo Salę Kongresową, niespełniającą żadnych standardów, nawet przeciwpożarowych, z pewnością dawno przerobić by należało. Ale na co? Dla kogo?

Ten Pałac, te teatry to własność samorządu. Własność komunalna czyli... należąca do komuny. Inaczej mówiąc, do Wspólnoty. Wspólnota Samorządowa. To była myśl, która w 1990 roku wyprowadziła mnie na ulicę. Kazała walczyć o kino „Wars” na Rynku Nowomiejskim, o prawo mieszkańców warszawskiej Starówki do wykupu swych mieszkań.

Samorząd! Idea samorządu narodziła się w mojej głowie chyba jeszcze w 1981 roku, gdy czytałem piękną utopię stworzoną na zjeździe „Solidarność”. Nadano jej imię Rzeczpospolita Samorządna. Opierać się ona miała na samorządach pracowniczych, zawodowych i terytorialnych. Była to próba pogodzenia mitu sprawiedliwości społecznej z mechanizmami rynkowymi, dążenia do niepodległości

z ówczesnymi ograniczeniami tzw. geopolityki¹.

Z tym wszystkim, jako adiunkt w Szkole Teatralnej, dałem się w 1990 roku wybrać radnym, zostałem przewodniczącym Komisji Kultury, Oświaty i Sportu Śródmieścia i wicemarszałkiem warszawskiego Sejmiku. Nie ma już tego obdarzonego osobowością prawną Śródmieścia. Sejmiku w tamtej postaci też nie ma. Funkcjonował osiem lat. Ale i wtedy nie udało się uzyskać podmiotowości dla staromiejskiej „jurydyki”, która mnie wybrała. Od pierwszego dnia w Radzie musiałem się stykać z mechanizmem zbiorowej woli utrzymania gestii w rękach anonimowego ciała kolegialnego. Uciezki przed obdarzaniem ludzi kompetencjami, sprytem osób, które rozumiały, że najwięcej można zyskać rządząc anonimowo, a odpowiedzialność rozmydlając decydując zbiorowo. Słowem – z myśleniem partyjnym.

Jeszcze w 1990 roku żyliśmy ideami. Udało się w Sejmiku odtworzyć komisje nawiązujące nazwami i zakresem kompetencji do czasów oświeceniowych: *Boni Ordinis*, Komisję Skarbu, Spraw Publicznych i Brukową, które miały niejako w poprzek analizować (miast dublować) funkcję wydziałów architektury czy zdrowia, kultury czy komunikacji współczesnego urzędu.

Zapanował jednak chaos, w czasie którego coraz częściej mówiło się o konieczności wprowadzenia w mieście zarządu komisarycznego. Czułem, że takie działania mogłyby się spotkać z poparciem znacznej części mieszkańców. Można bowiem pogubić się w polityce i pozwolić posłom działać w oderwaniu. Kiedy jednak człowiek nie wie, gdzie się w mieście rejestruje sklepy, kto podatkuję grunty, u kogo wynajmuje się lokale, jak nazywa się urząd przyjmujący skargi, gdzie łątają ulice lub odtykają kanalizację – zaczyna się *horror*.

Ten *horror* trwał już pół wieku. Ale myśmy obiecywali, że z nami wszystko się zmieni. Komitety Obywatelskie, które większość obecnych radnych wyniosły, gwarantowały w naszym imieniu. I co? Po komitetach nie zostały nawet wspomnienia. A i o nas też wyborcy zapomnieli. Odpływaliśmy... W równe dwa lata od wyborów, już w 1992 roku, czułem to, odpływaliśmy w sferę administracyjnej fikcji, prawnej niemożności, w stronę gadania.

Że to nie nasza wina? Że złe były ustawy? Obojętny parlament? Niestabilne rządy? Że kryzys gospodarczy?! Ale przecież to zdawał się być nasz sejm, nasz rząd, nasze rady – nasza wspólna bieda. I trzeba to powiedzieć otwarcie i do końca: był to kryzys i głębokie załamanie naszej własnej władzy.

1 <http://archiwum.polityka.pl/art/rzeczpospolita-samorządna,399839.html>

To załamanie widać było coraz wyraźniej po dymisji rządu Olszewskiego. Ale też wtedy zdawało mi się, że nie kto inny, lecz właśnie radni stanowiąc mogli ostatnie gremium polityczne wybrane na zasadzie w pełni demokratycznej i nie kontraktowej. I choć po Komitetach Obywatelskich „Solidarności” nie pozostał już ślad, to jednak w samorządowym sejmiku i na radach gmin można było jeszcze, tak mniemałem w 1992 roku, zwracać się do pewnej formacji. Formacji, którą konstituował ścisły związek z wyborcami. Formacji obywatelskiej, dla której zdrowy rozsądek ważniejszy był zarówno od suchej litery prawa, jak i od emocji. Formacji, w łonie której niemożliwe do pomyślenia byłoby kompromitowanie demokratycznych instytucji władzy z obawy o własną skórę czy z osobistej urazy. Formacji, której obca zdawała się prywatność. Formacji, dla której liczyły się jedynie społeczne fakty. Tak pisałem w „Spotkaniach” w 1992 roku².

Wśród radnych wykształciły się dwa typy zachowań. Nazywałem je syndromem legalizmu i anarchizmu. Wskazując, że w każdej z nich tkwi niebezpieczeństwo. Legalści kazali czekać cierpliwie: najpierw na Ustawę o dochodach gmin, bez której obywano się przeszło dwa lata, potem na Regionalne Izby Obračunkowe, z braku których Naczelna Izba Kontroli nie chciała badać budżetów gmin. Na wnioski dotyczące zmiany podziału terytorialnego Warszawy. Anarchiści twierdzili, że skoro system samorządowy nie został legislacyjnie zamknięty, mówienie, iż mamy respektować prawo zapomniane, prawo odłożone, prawo uśpione – okazuje się przeważnie czystą demagogią.

W ówczesnej bardzo trudnej sytuacji kraju, gdy ujawniały się pierwsze załamania budżetów gminnych, nawoływałem do korekty Statutu Miasta Warszawy, regulującej wadliwe relacje między Radą Warszawy a Radami Dzielnic i jej organami oraz między Zarządem Miasta a Zarządami poszczególnych Dzielnic (wśród ekspertów odpowiedzialnych w Sejmie za kształt tych kalekich ustaw były między innymi obok profesorów Regulskiego i Kuleszy – Hanna Gronkiewicz-Waltz i Zyta Gilowska).

Twierdziłem, że wszędzie, dosłownie wszędzie można się porozumiewać, łączyć, miast dzielić budżety rządowe, samorządowe i specjalne. Łączyć je po to, by administracja nie miała nadmiernej władzy. By istotnie służyła do przekazywania środków. Bo kiedy różne są źródła finansowania, wtedy właśnie władza znajduje się na dole. U dyrektora czy w zarządzie instytucji, która otrzymując środki z różnych stron czuje się relatywnie wolna i ma pewien margines swobody wobec każdego ze swych gestorów.

2 A.T. Kijowski. *Apel radnego (W obronie miasta)*, „Spotkania” 1992 nr 27 (02 VII 1992)

A czy to nie jest właśnie to, czego tak bardzo nie chciano stracić? Czy nad współczesnym polskim ustrojem nie ciąży najsilniej lęk urzędników wszelkiej administracji przed wyzbyciem się wyłącznego prawa do przekazywania środków? Czyli władzy?! I czy w imię obrony swych gestii nie są oni skłoni do tego, by zaprzepaścić dobro publiczne?

To pytanie nie może zostać uchylone. Gdyż ten, kto uzdrowi stolicę, pomoże państwu, a kto przegrywa w Warszawie, ten traci Polskę. Nawoływałem, by stworzyć tu, w Warszawie ruch naprawy miasta. Powtarzam wołanie! Musi się on oprzeć na tej, jak ją wciąż nazywałem, obywatelskiej, dziś powiedziałbym mocniej p a t r i o t y c z n e j formacji, zdolnej działać bez chowania się za prawne parawany.

Wierzyłem, że nie łamiąc prawa, ale także nie pytając, co nam wolno, a czego nie – zdołamy znaleźć w stolicy, w całej wielkiej Warszawie, sposób na skuteczne dokończenie dzieła naprawy Rzeczypospolitej.

Pomyliłem się. I długo nie mogłem tego zrozumieć. Gdy dziś patrzę wstecz, widzę wiele poronionych bytów. Nie ma Sejmiku Warszawskiego, ani tygodnika „Spotkania”, w którym ten tekst ogłaszałem, „Ekspresu Wieczornego”, na które-go łamach wystąpiłem z tym samym apelem też nie ma. Mimo moich (wicemarszałka w końcu) protestów i ostrzeżeń,

Michał Kulesza, Andrzej Lubiатовski, Czesław Bielecki, funkcjonujący jako doradcy samorządu, uparcie lansowali wprowadzenie II szczebla samorządu i przeprowadzili zastąpienie tzw. rejonów przez powiaty.

W 1998 roku ostatecznie zniszczono w Polsce samorząd. Głównie poprzez stworzenie struktur pośrednich. W Warszawie zaowocowało to istną paranoją. W miejsce relacji dzielnica–gmina i Rada Warszawy wybierająca prezydenta powstała jeszcze Gmina Centrum oraz struktura powiatowa. Na prowincji między zdeprecjonowane dawne województwa i pozbawione np. podatku drogowego gminy wdarła się korupcyjogenna struktura powiatowa. Dziś na wezwanie wojewody walczące o dochody gminy rabują się nawzajem, zamiast tworzyć lokalną wspólnotę. Odpowiedzialny za to wszystko we wszystkich niemal rządowych wcieleniach Michał Kulesza nie traci dobrego samopoczucia. Podobnie jak nie tracił go Krzysztof Murawski, gdy ponad rok zawiadywał Departamentem Struktur Państwa w Rządowym Centrum Studiów Strategicznych. Poprosił mnie wtedy o współpracę, a ja wiedząc już, że demokracja w obieży – jeszcze się starałem

zbawiać Samorządną Rzeczypospolitą tworząc program osłonowy dla 27 miast tracących godność wojewódzką.

Odpowiedź na pytanie jak je chronić, zdawała się prosta, sprowadzała się do rozwiania obaw przed:

1. Utratą prestiżu i zszarganiem tradycji (ten, kto dopuści do utraty godności, źle się zapisze w miejskich kronikach)
2. Spowolnieniem tempa przyływu pieniędzy, a zatem rozwoju inwestycji miejskich
3. Marginalizacją miejsca z punktu widzenia komunikacyjnego:
 - konieczność wyjazdów mieszkańców
 - zmniejszenie ilości przyjezdnych
4. Ograniczeniem administracji interpretowanego jako czynnika zmniejszającego znaczenie miast
5. Bezrobociem zagrażającym urzędnikom likwidowanych struktur państwowych
6. Powstawaniem wtórnych, czysto biurokratycznych struktur będących wynikiem lokalnych lobby.

Te przedstawione przeze mnie na początku w 1997 roku hasła rozwinięte miały zostać przez zespół ekspertów: Bohdana Jastrzębskiego (byłego wojewody warszawskiego w latach 1991–1997), Andrzeja Lubiatowskiego (Instytut Miasta, Unia Metropolii), Kazimierza Kleiny (byłego wojewody śląskiego, senatora RP, przewodniczącego Komisji Gospodarki Narodowej). Widziałem w tym gronie jeszcze Olgierda Dziekońskiego – prezesa Agencji Rozwoju Komunalnego, zwróciłem się także o współpracę do Marcina Bajko z Fundacji na Rzecz Rozwoju Administracji Publicznej.

Program, jak sądziłem (bez wstępnej dyskusji z ekspertami i nie do końca znając zamówienie), powinien składać się z trzech części.

Pierwsza to opracowania ideologiczne w rodzaju np. projektu stworzenia powiatów grodzkich dla miast wydzielonych (o ile pomysł zostanie zaakceptowany) Oraz ogólne zasady postępowania w wymienionych wyżej i z pewnością przez moich ekspertów rozbudowanych obszarach. Byłby to rodzaj opracowania dla rządu. Liczyłem tu w znacznej mierze na doświadczenie Lubiatowskiego.

Druga to zestaw konkretnych propozycji adresowanych dla poszczególnych 27 miast. Tu osobą najbardziej pomocną byłby pewnie Kazimierz Kleina.

Trzecia sprawa to zaproponowanie Sejmowi RP konkretnych rozwiązań legislacyjnych. Być może pakietu odniesień kompetencyjnych bądź też ingerencji w inne ustawy. Osobą dysponującą tu ogromnym doświadczeniem był bodaj najbardziej doświadczony z solidarnościowych wojewodów, pełniący tę funkcję prawie osiem lat – Bohdan Jastrzębski.

Osobną sprawą było dostarczenie konkretnych propozycji rozwojowych dla poszczególnych miast, w oparciu o pakiety programów dostosowawczych z Programu Phare i innych funduszy europejskich. Liczyłem tu na współpracę Dziekańskiego z Agencji Rozwoju Komunalnego oraz Fundacji na Rzecz Rozwoju Administracji Publicznej.

W punktach rysowałem to tak:

1. Można niczego nie zabierać (zostawić wicewojewodę z całym urzędem Delegatury Wojewódzkiej).

2. Należy rozpraszac administracje. Np. specjalne (Urząd Statystyczny, Urząd Pracy, Regionalna Izba Obrachunkowa, może stolica Sejmiku) nie muszą się mieścić w stolicy województwa. Wojewoda gdański mógłby mieć stolicę nawet w Toruniu.

3. Można uczynić te miasta wolnymi od powiatów. Lub, co tyle samo znaczy, wydzielonymi z powiatów (jak przed wojną). Taki status przysługiwałby każdemu z miast poniżej 250 000 mieszkańców, które nie będąc dotychczas objęte Ustawą miejską korzystałyby z jej dobrodziejstw (jednoszczeblowego zarządzania).

4. Być może należy też wprowadzić i ustawowo dookreślić powiatowe miasta „planety” (typu Radom), wokół których kręca się „satelity” (typu Białobrzegi).

5. Dla Bielska trudno coś poradzić (Ustawą miejską było objęte), ale trzeba uświadomić, że Bielsko oddając część swojego dochodu na rzecz kraju (tak jak inne bogate regiony) nic nie traci wobec stanu dotychczasowego. Ono tylko jako osobne województwo mogłoby dużo zyskać.

Natomiast sugerowałem, by w Bielsku utworzyć osobny region samorządowy. Podobnie można było postąpić z ziemią sandomierską.

6. Natomiast to: „nic nie traci” trzeba ustawowo zagwarantować w części Ustawy o finansowaniu województw. Moim zdaniem należałoby określić, jaki procent dochodu wypracowanego na danym terenie zostaje w postaci podatku dochodowego, a jaki musi tam wrócić.

7. To się łączy naturalnie z Ustawą o finansowaniu gmin. Jeśli byłoby województwo dostanie silny powiat z większym od 15,5% odpisu (np. 25%) od po-

datku dochodowego, to to byłby konkret.

Jest pewne jak $2+2=4$, że państwo nic nie straci, jeśli zwiększy udział gmin czy powiatów w podatku dochodowym (szczególnie tam, gdzie zarządzanie jest jednostopniowe, bo nie zżerają środków struktury pośrednie i powielające kompetencje).

8. W szczególności należy powiązać zasady finansowania miast z posiadaną infrastrukturą. Jeśli macie lub powołacie: szkołę, licea, uniwersytet – to to musi być finansowane.

Jednak uniwersytety nie powinny być dekretowane na zasadzie „49 uniwersytetów na pociąg”.

9. Z pewnością można jednak zainwestować w informatykę. Tworzyć regionalne centra informatyczne. Wirtualne biblioteki z internetem. Miejsca spotkań, wykładów.

10. Rzecz naturalnie w kompetencjach. Można coś nadrobić dodając kompetencji regionom (Radom Regionalnym czy Sejmikom) i powiatom. Jeśli będą kompetencje: planowanie przestrzenne, ochrona zdrowia, kultura, nauka na stopniu wyższym – to będą też pieniądze.

Puste gadanie! Zmarnowany papier. Po poniższym tekście już nigdy żadnej oficjalnej reakcji. A tekst był taki:

„Szanowny Dyrektorze, Krzysztofie miły! Eksperci, z wyłączeniem Kleiny, mogą się spotkać we wtorek 10 III 1997 r. o godz. 15.00. Proszę zatem o salę, napoje, wszystko jedno co, byle nie słone paluszki, Twoją Łaskawą obecność oraz piękną protokolantkę zdolną potem protokół utrwalić na dyskietce. Twoja Firma »wisi« mi za 5 godzin rozmów telefonicznych, w tym ponad połowa komórek lub zamiejscowych. Rozmawiałem z czterema naszymi konsultantami i jeszcze wykonałem kilka rozmów z samorządowcami, specjalistami od finansów publicznych. Troszkę to, jak widać, trwało. Niestety, nikt nie lubi pracować na »halo!«”.

Koniec i kropka – ani paluszków, ani rozmowy. Za to ładny punkcik w życiorysie. Gdy zatem w znanym mi ze wszystkich wcieleń gabinecie przy ulicy Miodowej w Warszawie zamieszka wreszcie w 2003 roku – lepiej rozumiejący, czym są idee i jak bywa im daleko do praktyki – Andrzej Urbański, to usłyszę od niego jako pierwsze:

– Żadnych Kuleszy! Bo widzisz, Marszałku, to już jest całkiem inne miasto, inny samorząd i inny kraj, niż to, które znałeś.

Urbański widzi konkret. Lecz rozumie wizję. Jest też bardzo przenikliwy.

XIII

ALERT, CZYLI SYMPATYCZNE MIGLANCE z Kisielewskim i Paszyńskim po Podlasiu

W oczekiwaniu na dotację, przekształconego w jedną strukturę miasta, dla XII Konkursu Teatrów Ogródkowych zająłem się rozkręconym już „Alertem Europejskim”. Zrobiłem to właściwie z poczucia obowiązku i misji. No i po to, by otaczający mnie ludzie mogli coś zarobić. Sam praktycznie nie zarabiałem na tym nic. No, może z trudem pokryłem symboliczny czynsz za dwa miesiące użytkowania biura na Wilczej. *Notabene* po dwóch latach po kontroli NIK-u musiałem zwrócić Urzędowi Komitetu Integracji Europejskiej 500 zł z własnej kieszeni. Urzędnicy doszli bowiem do wniosku, że w ramach przyznanej dotacji nie miałem prawa zmniejszyć kwot projektowanych na noclegi i wyżywienie, by trochę lepiej zapłacić ekspertom.

Po wyprawie do Kopenhagi, gdzie 13 grudnia 2002 roku formalnie zakończono negocjacje akcesyjne, myślałem o jeździe do Aten. Tam 16 kwietnia odbywać się miał kolejny europejski szczyt – tam też miało nastąpić podpisanie traktatu na temat przystąpienia Polski i pozostałych kandydujących państw do Unii Europejskiej.

Chciałem przejechać tym razem południową Polskę i kandydujące wraz z nami do Unii Czechy, Węgry, kawałek Macedonii. Poprosiłem o większe pieniądze. Jednak w UKIE nie zgodzono się na to.

Skończyło się zatem na przedreferendalnej agitacji na ścianie wschodniej Polski. Celem II „Alertu Europejskiego”, który odbywał się w rezultacie od 15 do 21 maja 2003 roku była promocja referendum akcesyjnego, zachęcenie do uczestnictwa w referendum i dostarczanie argumentów za przystąpieniem do Unii Europejskiej. Poszerzenie wiedzy na temat realnych możliwości i szans w momencie przystąpienia do Unii. Uruchomiłem telewizję Program I (telewizja śniadaniowa); Program III (regionalna), magazyn „Eurotel”.

Przypomniałem, że alert to stan podwyższonej gotowości. Szczególnie na specjalnie zagrożonych terenach. „Alert” dotyczył tych wszystkich, którzy obawiali się, że doraźne kłopoty mogą zmarnować historyczną szansę Polski, która była marzeniem dziesięciu pokoleń naszych przodków. Piętnastego maja ruszyliśmy z happeningowym Eurobusem zbierać pokłosie „Alertu”.



*Agnieszka Czekierda,
Adam Sajnuć,
Zasługiny z Europą*

„Alert” robiliśmy z „Konsekwentnymi” – młodymi, fajnymi ludźmi, których poznałem jeszcze w Warszawskim Ośrodku Kultury. Adam Sajnuć i Agnieszka Czekierda i ich impresario Aldona stanowią dziś trzon zespołu, od którego oddzielił się po zdaniu do warszawskiej Akademii Teatralnej twórca tej grupy – Marcin Kołaczkowski. „Konsekwentni” do zawodu aktorskiego konsekwentnie przebijają się spoza uczelni. Nie podoba się to akademikom (takim choćby jak Staszek Górka), ale zachwyca publiczność, wśród której „Konsekwentni”, niby zespół rockowy, mają grupy wiernych fanów. Wiem, że także i dla tych młodych artystów jazda po Podlasiu, spotkania z ludźmi, sam fakt, że wyczarowałem autobus, ekspertów, pieniądze i nagłośnienie – było swoistym przeżyciem.

No właśnie, nagłośnienie. Niby nic, ale jak tu sprawić, by jadący przez małe miasteczka autobus (nie wszędzie się zatrzymywaliśmy) grzmiał. Autobus musiał mieć przetwornicę – urządzenie zamieniające prąd z akumulatora na właściwy do zasilania wzmacniacza. Zdobyłem taki autobus, po długim namyśle zaopatrzyłem go w hak holowniczy i przyczepę, na której jechały dwie wierne kolumny (swego czasu od Witka Szymańskiego kupowane), które dzielnie przetrzymały całą drogę. Jechał też z nami głupkowaty Adam – akustyk, który o mało nie doprowadził mnie do zawału patrząc bezmyślnie na aparaturę, którą przez dwa lata osobiście obsługiwał na Ogródkach. Na godzinę przed wyjazdem, już w autokarze ogłosił mi nagle, że wszystko jest do wyrzucenia. Zdechło! Cud, że Wróbel,

który był pierwszym właścicielem tego sprzętu, odebrał komórkę, przyjechał na sygnale i przypomniał studencikowi, że gdzieś tam są inaczej oznaczone plus z minusem czy wejście z wyjściem. Wreszcie wszystko zagrało, przybyliśmy, zobaczyliśmy, zwyciężyliśmy.

„Konsekwentni” przygotowali specjalny happening o zaślubinach Polonii z Europą. Śpiewali piosenki, tańczyli na placach, pomagali rozdawać nagrody w edukacyjnych konkursach przeprowadzanych przeze mnie z ekspertami. Tym razem o pomoc poprosiłem dziennikarza i syna słynnego Kisiela – Jurka Kisielewskiego oraz byłego kuratora, krótko wiceministra oświaty, dziś znów wiceprezydenta Warszawy, czyli nauczyciela doskonałego, jakim jest Włodek Paszyński.

Ruszyliśmy przez Warszawę – Olecko – Gołdap – Grajewo – Krynki – Bielski Podlaski – Siemiatycze – Sokółów Podlaski – Białą Podlaską – Radzyń Podlaski – Lubartów – Lublin – Świdnik – Krasnystaw – Zamość – Biłgoraj – Tarnobrzeg – Starachowice – z powrotem do Warszawy.

Po prawdzie, to z tym Alertem było tak: czułem, że po Kopenhadze trzeba iść za ciosem, choć z coraz większym przerażeniem stwierdzałem, że kolejne moje akcje może i służą czemuś, pewnie przysparzają mi popularności, tak są jednak skonstruowane, że nie dają żadnego regularnego dochodu. Działalem trochę jak bankrut. Tyle że ideowy. Tak, uwierzyłem w rok 1989, tak, uwierzyłem, że jesteśmy w wolnym kraju, takim cudem zdało mi się otwarcie granic, wypełnienie pól, wycofanie wojsk rosyjskich z Polski. Nie chciałem zwątpić – mimo, iż na moich oczach kształtowały się mafie (tu układ warszawski), a w okolicach Unii Wolności przekształconej potem w Platformę Obywatelską odzyskiwały wpływy gminne sojusze. Widać było to już gołym okiem – ja jednak wciąż w to nie wierzyłem. Wciąż dawałem siebie. Wciąż nie pytałem o płacę i czułem się jak złodziej, gdy z pozyskanego przeze mnie na integracyjne akcje łącznego funduszu w granicach stu tysięcy złotych w kieszeni pozostało mi (i to bez odliczenia wszystkich kosztów) po sześciu miesiącach pracy około 6 tys. zł. Naturalnie nie na tych fakturach, które mi potem kwestionowano.

No, ale jak by nie liczyć, w skali roku czy siedmiolecia, każda konkretna wpłata pozwalała złapać oddech, pospłacać z wolna kształtujące się zaległości: a to ZUS, a to VAT, czynsz, telefon. Z takimi płatnościami od czasu X KTO już zaczynałem zalegać. Ciągle jeszcze liczyłem na nagrodę.

Przypominam sobie Marka Chojnackiego. Ten miły, wykształcony młody człowiek, którego poznałem na stanowisku zastępcy Joli Kessler-Chojeckiej jako

wicedyrektora Centrum Prasowego PAI bardzo był dumny z siebie po zorganizowaniu obsługi pielgrzymki papieskiej w bodaj 1999 roku. Przyjął potem stanowisko konsula w Lyonie, stwierdzając ze spokojem: „Jakaś nagroda musi być”. No tak, ale on pracował w strukturze. Na sukces zarządzającego w tym czasie PAI Jana Musiała. Ja zaś, pozyskując środki, dawałem coś publiczności, sprawie, konkretnym zarabiającym dzięki mnie osobom. Jednak pracowałem zawsze na siebie. I to był błąd, choć nie do końca przeze mnie zawiniony. Nigdy bowiem nie spotkałem nikogo (od Erwina Axera czy Stefana Morawskiego poczynając na Andrzeju Olechowskim kończąc) kto by chciał, bym pracował na niego. Jakoś tak się złożyło, że to u mnie pracowano. Ja zaś szczyliłem się tym, że zatrudniam najlepszych. Właśnie takich, co też pracują na siebie.

Starałem się też zatrudniać młodzież¹. Choć to szło mi gorzej, bo nie bardzo potrafię prowadzić za rączkę. Zakładałem u moich podopiecznych ten sam co u siebie poziom inteligencji a nawet niezależności. Co się zaś tyczy tych lepszych – tu z kolei zakładałem, najczęściej błędnie, niestety, że takie osoby są lojalne, nie obawiają się konkurencji, jeśli coś otrzymają, zachowają wdzięczność i jakoś spróbują się odplacić.

Naiwna nieco wiara. Jurka Kisielewskiego znam (z widzenia) pewnie ponad 30 lat. Mieszkaliśmy czas jakiś naprzeciw. Szanowali się nasi ojcowie.

Ojciec Jurka to wszak słynny Kisiel, Stefan Kisielewski – muzyk i pisarz, felietonista „Tygodnika Powszechnego” w czasie, gdy to katolickie pismo (zawieszane w latach stalinizmu) wyznaczało standard niezależności i patriotyzmu. Po Marcu '68 ojciec mój nie mógł nigdzie pisać pod nazwiskiem. W „Twórczości” pisał felietony jako Dedal. W „Tygodniku Powszechnym” swoje pisywał też pod (powszechnie już rozpoznawanym) pseudonimem Kisiel. Gdy tylko przyszła kolejna lekka odnowa, naczelny redaktor „Tygodnika”, Jerzy Turowicz zaproponował memu ojcu felieton na ostatniej stronie. Obok Spodka (Marka Skwarnickiego),

1 W znaczeniu słownikowym alert oznacza stan gotowości np. przed ważnym wydarzeniem. W tym wypadku jest to oczekiwanie na referendum o przystąpienie do Unii Europejskiej. Celem projektu jest: przygotowanie polskiej opinii publicznej do referendum w sprawie członkostwa w Unii Europejskiej, stworzenie pretekstu do dyskusji na temat równości szans państw kandydujących, promocja zdecydowanej, aktywnej postawy Polaków, którzy jako przyszli obywatele powinni umieć walczyć o swoje interesy. Niewątpliwie mocnym atutem jest specjalnie przygotowany Eurobus. Jego trasa obejmie miasta całej Polski.

Autobus akcji przyjechał także do Olecka 15 maja 2003 r. Aktywnie włączyliśmy się do akcji. Przygotowaliśmy flagi, baloniki i udaliśmy się na miejsce zebrania. Zobaczyliśmy ciekawą *bappening*. W akcji brali udział aktorzy Teatru „Konsekwentni”. Interlokutorami byli Jerzy Kisielewski i Włodzimierz Paszyński, zaś polemista – Andrzej Tadeusz Kijowski.

Uczennica naszego koła, Ula Kozłowska wzięła udział w konkursie. Okazało się, że odpowiedziała na wszystkie, nawet bardzo trudne pytania związane z UE. Zdobyła pierwszą nagrodę – rower. Gratulujemy. (Za: A. Kunicka Internet LO Olecko).

Józefy Hennelowej, Antoniego Słonimskiego, no i przewodzącego tej stawce Kisiela. Tak więc ojcowie stali się kolegami z redakcji. Spotykaliśmy dość często pana Stefana idąc z Armią Ludową na spacer w stronę placu Na Rozdrożu, dalej Alejami Ujazdowskimi wzdłuż Urzędu Rady Ministrów, aż po róg Bagateli, zwracając na wysokości Wyższej Szkoły Partyjnej, tej od Dionizego Tanalskiego. Pieski wskakiwały na murek, panowie perorowali, chłopcy grali w pikuty. Jurek miał brata Wacka, świetnego pianistę, który poszedł w muzyczne ślady ojca i zasłynął w latach siedemdziesiątych, wraz z Markiem tworząc podbijający świat (do tragicznej śmierci Wacka w 1986 roku) duet fortepianowy Marek (Tomaszewski) & Wacek (Kisielewski).

Jurek stara się chodzić w te drugie, publicystyczne szlaki ojca. Przystojny (moim zdaniem), romanista, mieszka do dziś przy al. Szucha na czwartym piętrze, naprzeciw mieszkania Zosi Kucówny, w którym przechowywali mnie Hanuszkiewiczowie, gdy zdawałem maturę. Przechowywanie dotyczyło też Kalego, w istocie powiernika Seniora, a formalnie mojego psa, którego wyprowadzając, natykałem się nieraz na Jurka z jakimś małym szczurkiem na smyczy.

Łączą więc nas z Jurkiem wybitni ojcowie, krakowskie, inteligentne korzenie. Podobne w sumie talenty. Przewagą Jurka jest wdzięk i jakaś taka arystokratyczna siła. Nie tyle pewność siebie, co poczucie dowartościowania. Jurek należy do tych, co nie biorą – oni udzielają siebie. Za komuny był skromnym filologiem romańskim, gdzieś pracował, coś tłumaczył. Jego czas zaczął się po śmierci ojca. Z godnością go reprezentuje. Robi to zresztą optymalnie. Mnie bycie synem bardzo, bardzo długo nie przysparzało satysfakcji. Nie wynika to zresztą z braku miłości czy szacunku, lecz ze sposobu wychowania. Mnie tresowano w poczuciu, że i tak w życiu do wielkości Ojca nie dorosnę. Senior wyznał nawet w *Dzienniku*, że obawiał się, bym ja go nie prześcignął. Jakiś kretyński wyścig szczurów, na który nałożyły się dodatkowo moje różne szkolne niedoskonałości. Potem obłany egzamin na wydział aktorski. Gdzieś od doktoratu zacząłem odrabiać pozycje. Lecz co zdobyłem flankę: książka, doktorat, stanowisko – okazywało się, że bitwa już toczy się gdzie indziej, i że nie w tym zamku trzeba szukać Graala.

Jurek przeciwnie, ma tyle godności i wewnętrznej pewności siebie, że też wiele mu uchodzi. Z wiekiem staje się coraz ważniejszy: pracownik Radia dla Ciebie, potem telewizyjnej śniadaniówki, wybrany wiceprezesem Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich w chwili, gdy organizację tę opanowała Krystyna Mokrosińska ze swym telewizyjnym teamem.

Ktoś, kto jak ja ma nawyk mierzyć wartość człowieka dziełami, mógłby mu zarzucić niedosyt dzieł. Jednak, czy obecność nie jest dziełem? Cóż w końcu innego robi polityk? On też tylko jest tam, gdzie trzeba i we właściwym czasie. Więc dziś, gdy dziennikarstwo schodzi na psy, gdy czołowym autorytetem środowiska ogłosił się samozwańczo – Stefan Bratkowski, o którego nieprzyzwoitościach za chwilę, otóż w takich czasach sylwetka Jerzego Kisielewskiego zdawać się może wręcz klasyczna. I aż wspominać hadko, iż bez wahania objął odebrane mi za odchylenie promichnikowskie stanowisko dyrektora Centrum Monitoringu Wolności Prasy. Że w moim przekonaniu całkiem bezprawnie łączył je z funkcją wiceprezesa SDP – będąc zarazem kontrolerem i kontrolowanym. CMWP jest bowiem jednostką podległą Zarządowi SDP. Czynił to jednakowoż sympatycznie, a na dodatek krótko, oddawszy rychło funkcję Andrzejowi Krajewskiemu, który odbudowawszy z nas trzech z pewnością najlepiej pozycję Centrum, padł również ofiarą samowładztwa Carycy Mokrosińskiej. Urazy w sercu nie noszę. Rękę po kilkakroć wyciągałem. Wyciągnąłem ją więc do Jurka i teraz, byśmy razem w objazd Polski ruszyli. Propozycję przyjął. Wódeczkę piliśmy rozkosznie.

Ja zasadniczo, a już szczególnie w towarzystwie, innych trunków niż wino nie pijam. Jednak w kompanii potomka rodu Kisielewskich nawet okowita smakuje jak szampan z oliwką. Urznęliśmy się więc słodko raz, a może i drugi, skąd trochę śmiechu i miłe wspomnienia, lecz w moim mieszkaniu nic nie pozostało. Ani Gianta, który miał zasponsorować na nagrody jakieś lepsze rowery niż te, które kupiłem z wyprzedaży Carrefoura, ani nigdy żadnej, najmniejszej propozycji współpracy. Ani wtedy, ani potem – mimo jeszcze kilku ofert, jakie w życiu Jurkowi złożyłem.

Nigdy nie przyszło mu do głowy, że można uczynić większą łaskę, niżli odbierać z wdziękiem – można wykonać telefon, gdzieś zaprosić, pomyśleć, co tam sły chać u bliźniego.

Ta uwaga dotyczy obydwu „kolegów”. Zarówno Jurka, jak dużo lepiej i dawniej zaprzyjaźnionego „Paszczaka”.

Eksperci pomogli, owszem, spopularyzować akcję – Jurek Kisielewski ułatwił wejście do „Kawy czy herbaty?”, Paszyński uruchomił Miłkę Skalską, dzięki czemu suwalska ekipa TVP 3 zrobiła reportaż z naszej eskapady. Bawiliśmy się świetnie. Jednak wszyscy moi goście w trzy dni zarobili dokładnie tyle samo, ile ja pracując pół roku. Wróciliśmy z Podlasia. Akcja zakończyła się sukcesem. Myślę, że nasza obecność przysporzyła Unii zwolenników, w każdym razie we wszystkich odwiedzanych przez nas rejonach referendum wygrało.

XIV
„NA POMOSTACH”
między Krzyżakami

Unia Unią, jednak rzeczywistość skrzeczy. Na chleb starczało z coraz większym trudem. Zdecydowałem się przedstawić swoją kandydaturę na stanowisko dyrektora Teatru im. Stefana Jaracza w Olsztynie. Od dawna szukałem przecież bazy instytucjonalnej dla realizacji moich projektów, mających na celu wzmocnienie pozycji kulturalnej Polski, a co za tym idzie – zasobności jej mieszkańców w jednoczącej się Europie.

Był rok 2003. Stawiałem na fakt, iż Polska stanowi geograficzne centrum Europy – równie stąd daleko na Kaukaz jak z Hiszpanii, może się więc stać naturalnym miejscem spotkania Europejczyków. Miejscem spotkania, gdyż tak właśnie widzę rolę teatru. Teatr bowiem to nie budynek, aktor czy reżyser – teatr to publiczność, ludzie, którzy chcą się spotkać w określonym pięknym miejscu, w odpowiadającej im atmosferze.

Od dawna przypominałem, że z dwóch i pół tysiąca lat tradycji teatralnej zaledwie sto w dziewiętnastym stuleciu związanych jest z budynkami. Teatr grecki, średniowieczny, rybałtowski, jezuicki, *commedia dell'arte* – to wszystko spełniało się na placu. Podobnie jak i w XX wieku wszystko, co w teatrze ważne, powstało poza budynkami.

Budynek będzie nam oczywiście potrzebny jako rodzaj studia, zaplecza, pracowni, gdzie tworzy się produkty trwałe, dziś często multimedialne, przeznaczone do wielokrotnej emisji. Jednak istotą teatru jest spotkanie w miejscu magicznym.

A czyz istnieją w Polsce miejsca bardziej magiczne od mazurskich krajobrazów, jezior, romantycznych zamków?

Jestem najgłębiej przekonany, że ani chytre Tatry, skąpy i zimny Bałtyk, ani prowincjonalna Warszawa nie stanowią żadnej atrakcji na europejską skalę w porównaniu z Warmią i Mazurami.

Propozycja objęcia przeze mnie teatru w Olsztynie była więc równoznaczna z zamiarem wykreowania w regionie i w mieście miejsca letniego europejskiego spotkania artystycznego.

Stale to przypominam, że w Polsce, gdzieś między Łodzią, Warszawą, Łomżą a Olsztynem i Elblągiem znajduje się geograficzne centrum Europy. Tak więc w momencie wstąpienia do Unii Europejskiej właśnie Olsztyn czy Elbląg mógłby stanowić naturalne miejsce spotkania Europejczyków z północy (Finlandia, Szwecja, Litwa, Łotwa, Estonia) i wschodu (Rosja, Białoruś, Ukraina, Czechy, Słowacja) – spotkania, które może być bardzo interesujące dla turystów i znawców kultury z Europy Zachodniej (Przede wszystkim Francji, Szwajcarii, Włoch, Hiszpanii).

Jest chyba oczywiste, że pojezierza Warmii i Mazur stanowią z turystycznego punktu widzenia najlepszy polski produkt marketingowy. Góry mamy byle jakie, nawet w porównaniu ze Słowacją, o Alpach nie wspominając, morze zimne, za to jeziora – najlepsze w Europie. I coraz częściej się przekonuję, że obcokrajowcy świetnie o tym wiedzą, a po wizycie w Krakowie i obowiązkowej Warszawie pytają już tylko o... *Lacs de Mazurie*.

Trudno mi pojąć, że to turystyczne zagłębienie Europy uchodzi dziś bodaj za jeden z najuboższych regionów. Że być może nawet niewiele zarabia na turystach, którzy przepływają kajakami, przechodzą lasami bądź przejeżdżają na rowerze.

Trzeba też spytać, czemu z wydarzeń artystycznych w tym regionie wymienić mogę bez namysłu: Piknik Country i Festiwal Kultury Kresowej, jeszcze może Przystanek Olecko, natomiast działalność teatru w okolicy, w której mieszkają (mają swoje letnie domy) dziesiątki artystów, gdzie na wakacje przyjeżdżają inteligenci i studenci z całej Europy – jest tak mało znana.

Odpowiedź jest prosta: znane jest to, co funkcjonuje w telewizji i co pozyskało potężnych sponsorów.

Dlaczego teatr nie znajduje tak potężnego wsparcia? Jak sądzę, wynika to z błędnego odczytania roli i funkcji teatru. Traktujemy bowiem teatr z jego budynkiem jako dość kosztowny luksus kulturalny, naturalnie konieczny, lecz w gruncie rzeczy nudny, ezoteryczny i nierentowny. To taka kosztowna miejska pracownia języka polskiego i miejsce dla hobbystów. Chyba nawet dla większości kulturalnych ludzi niezbyt dobre miejsce dla towarzyskiego spotkania.

W końcu lepiej pójść do restauracji, kulturalnego pubu czy klubu, niż siedzieć w ciszy, ciemności, bez ruchu, w dusznej nieraz sali, a w czasie przerwy tłoczyć się wokół obłożonego bufetu.



*Na pomostach
w Braniewie*

To trzeba zmienić. Oczywiście wystawiać trzeba sztuki z repertuaru klasycznego, trochę lekkich komedii, coś dla dzieci. Ale to wszystko spełni się w budynku. Będzie obowiązkowe. I choćbym nie wiem jakie gwiazdy ściągnął z niedalekiej Warszawy, zawsze będzie to dla nich prowincjonalna chałtura. A inteligent olsztyński woli wyskoczyć na premierę do stolicy, niż oglądać siedemdziesiątą siódmą wersję hanuszkiewiczowskiej pani Dulskiej w kostiumach Chwedczuka!

Otóż rzecz w tym, by odwrócić pojęcia. Bo prawda jest taka, że to Warszawa jest prowincją – smutnym nadwiślańskim miastem, które nie ma nic do zafierowania Europie i które w swym generowanym przez ekipę Hanny Gronkiewicz-Waltz kosztownym i smętnym pościgu za Europą spada gdzieś daleko za Berlin czy nawet Kraków, że o Gdańsku nie wspomnę.

Olsztyn jednak miałby szanse. Mógłby stać się turystyczną stolicą Polski. Ale nie zostanie nią, jeśli nie skupi wokół siebie inteligencji. Nie wypromuje atmosfery. Nie samym chlebem, kajakiem i rybami żyje wakacyjny człowiek. Nie przyjedzie tu zamożny Francuz czy Niemiec, jeśli nie będzie miał gdzie pójść po upalnym dniu nad jeziorami. Podobnie jak kariera Zakopanego zaczęła się od Chałubińskiego, a dziś Andrzej Dziuk od 25 już lat w Teatrze Witkacego udowadnia, że w miejscowości wakacyjnej jest miejsce dla teatru – tak i Olsztyn musi poza bazą turystyczną i krajobrazowymi udogodnieniami ofiarować turystom interesującą ofertę kulturalną.

Nowocześnie rozumiana instytucja teatralna może się tu stać znakomitym akceleratorem promocji regionu. Wbrew temu, czego doświadczamy w odziedziczonych po XIX i XX stuleciu dusznych teatralnych salach, teatr jest właśnie zaprzeczeniem nudy i bezruchu.

Gmach teatralny, którego relikty zachowujemy płacąc słono za utrzymanie budynków teatrów dramatycznych w Olsztynie czy w Elblągu, to w gruncie rzeczy wypadek przy pracy lat 1765–1965, wypadek, który nie odznaczył się prawie niczym istotnym w dziejach sztuki scenicznej, której historię w całym XX wieku wyznaczyli reformatorzy uciekający z teatralnej sali.

Nie należy stąd jednak wnosić, iż proponowałem samorządowi regionu jakiś kolejny teatr uliczny. Wprost przeciwnie. Teatr uliczny jest ewenementem polegającym na zaczepianiu ludzi, którzy sztuki nie oczekują.

Działania, jakie bym podejmował, stanowią zaś istotę życia artystycznego kultury śródziemnomorskiej od dwóch i pół tysiąca lat. Wymagają one świadomego uczestnictwa. Wymagają sali czy amfiteatru. Wymagają także (o czym przekonałem się wielokroć jako animator Teatrów Ogródkowych) ochrony przed wiatrem, deszczem i chłodem.

Proponowałem zatem, by w oparciu o bazę Teatru im. Stefana Jaracza w Olsztynie, amfiteatru, ale pewnie także teatru w Elblągu, tzw. filii w Mrągowie i innych instytucji kulturalnych województwa, a przede wszystkim zamków krzyżackich, porwać się na realizację cyklu letnich zdarzeń, które funkcjonowałyby podobnie jak słynny francuski festiwal letni w Awinionie. To teatr z małego miasteczka i regionu – z tradycjami templariuszy i średniowiecznej niewoli papieża w południowej Francji – uczynił z Awinionu mekkę artystów i turystów z całego świata!

Pomysł polegał na organizacji letniego trzymiesięcznego Europejskiego Festiwalu Artystycznego, który proponowałem nazwać „Festiwal na Pomostach”.

Byłby to spływ teatralny organizowany latem, gdzieś od letniego przesilenia (wianki), aż po koniec sierpnia – może nawet września.

Wyobrażałem sobie jacht, który płynie szlakiem mazurskich jezior z repertuarem teatralnym od plaży do plaży. Jacht ze sceną na trapie. Widziałem takie łodzie na kopenhaskich kanałach. W każdym z wytypowanych siedmiu miejsc (w jakimś Praniu czy Krzyżach, Gromie czy Pasymiu) pojawiałby się określonego dnia tygodnia. Każdego tygodnia z innym zespołem czy sztuką.

Oczywiście proponowałem też regionowi wszystko, co dotąd wymyśliłem. A więc organizację:

1. Konkursu Teatrów Ogródkowych
2. Europejskiego Forum Inicjatyw Kulturalnych
3. Akcji "Z Dziecka Król", czyli konkursu na Najwszechstronniej uzdolnione dziecko Warmii i Mazur
4. Wpadłem też na pomysł przeprowadzenia Mazurskich Tesmoforii, czyli konkursu na najpiękniejsze niemowlę. W Atenach obchodzono je w dniach 10–17 miesiąca *Pyanepsjon* (październik). W trzecim dniu świąt, zwanym *kalligéneja*, poświęconym Demeter Kalligenei, „matce pięknych dzieci”, odbywał się festyn, do którego tradycji proponowałem nawiązać.

Słowem, tryskałem inwencją. A kluczem do przedstawianego projektu były mazurskie jeziora – czyli teatr na wodzie!

Te moje marzenia, powtórki, teorie... Przy całkowitym niewyczuwaniu układu. Niedostrzeganiu, że – jakby powiedziała Małgosia Szpakowska – gram na boisku, z którego futboliści dawno już się wynieśli ze swoją szmacianką na zupełnie inne podwórko. Tutaj boiskiem było województwo olsztyńskie. Dostrzegłem w nim miejsce pozytywnej w istocie penetracji niemieckiego kapitału, lecz starałem się nie przywiązywać wagi do banalnego faktu, że w 1981 roku, w ramach partyjnej odnowy, wojewodą tego regionu został działacz Stronnictwa Demokratycznego, wcześniej prezes OST Gromada, Jerzy Kijowski, ojciec filmowca Janusza.

XV
ANI BRAT, ANI SWAT
– przypadek Janusza Kijowskiego

Janusz Kijowski. Pierwszy raz usłyszałem o nim zauważywszy jakąś podpisaną ważnym dla mnie nazwiskiem recenzję filmową w wilhelmiańskiej „Kulturze”¹. Piśmie przez dziesięć lat powszechnie bojkotowanym, ponieważ zastąpiło zlikwidowany w 1963 roku „Przegląd Kulturalny”. Wiedziałem, że się doń nie pisze. Debiutowałem zatem w tym samym czasie w powstałej za wczesnego Gierka i nawiązującej do tradycji „Współczesności” – „Literaturze”. Naczelnym był wprawdzie Jerzy Putrament, jednak stanowisko zastępcy otrzymał, na znak gierkowskiej odwilży, były naczelny „Przeglądu Kulturalnego” – Gustaw Gottesman.

Janusz nie był tak głęboko osadzony w środowisku. Mógł czegoś nie wiedzieć. Wnet po jego debiucie rozeszły się niepokojące pogłoski, że ten młody hunweybin stał się ponoć aktywnym uczestnikiem partyjnej egzekutywy wilhelmiańskiej warszawskiej „Kultury”.

Inteligentniejsi karierowicze mojego pokolenia zaczęli wówczas swoją grę w pokoleniowy *Przypadek* mistrzowsko opisany przez Kieślowskiego i Piesewicza. Tak samo grał wówczas np. partyjny u korzeni szef Koła Polonistów Krzysztof Rutkowski. Tak, tak, późniejszy emigrant i autor *Paryskich pasaży*. Tak też zaczynał syn warmińsko-mazurskiego wojewody.

Inicjacją był i tutaj Marzec 1968. Janusz Kijowski to przecież Reytaniak. Rocznik 1948. Co nieco mi o nim opowiadała córka rabina, czyli Małgosia Naimska, której w tym właśnie czasie świadczył na ślubie z Piotrem. Ponoć „słowa nie zostawały weń bez skrzydeł” – że się homerycką frazą wyrażę.

Jednak dostawszy się do szkoły filmowej, wyczuł historyczną koniunkturę i zaryzykował grę w prawdę. Może ćwierćprawdę, ale i tego okazało się za dużo.

¹ Janusz Wilhelmi (ur. 14 listopada 1927, zm. 16 marca 1978), redaktor naczelny „Kultury”. Zginął w katastrofie lotniczej w Bułgarii.

Zrealizował film, pierwszą właściwie pełnometrażową etiudę traktującą o studencie wyrzuconym ze studiów w konsekwencji wydarzeń marcowych. Obraz nosił tytuł *Indeks*.

Zagrał w nim doktorant Instytutu Badań Literackich i student reżyserii PWST, późniejszy szef Teatru i Programu II PR – Krzysztof Zaleski (1948–2008). Film aż do 89 roku niepokazywany obrósł w mit i ustawił artystyczny życiorys reżysera. Film, o którym środowisko wiedziało, o którym wspominać nie było wolno, którego „zrobione niezrobienie” stało się w rekach utalentowanego cwaniaka zakładem zupełnie przyzwoitej kariery. Film w istocie słaby, lecz słusznie niesłuszny – trafia dziś do Platynowej Kolekcji Polskiego Kina. Rechet historii.

Żeby nie było wątpliwości – Janusza Kijowskiego uważam za człowieka autentycznie zdolnego, lecz realizującego się w dziedzinie, w której w każdym kraju i to niezależnie od ustroju zdolności są warunkiem koniecznym, lecz dalece niewystarczającym. Posłyszeliśmy o nim wkrótce jako o autorze filmu *Kung Fu* zrealizowanego z zespołem „X” Andrzeja Wajdy. W ten sposób znalazł się w środowisku, którego produkcję próbowałem w „Polityce” ochrzcić nie do końca pochlebny mianem kina realizmu biurowego. Nie przyjęło się. Formację nazwano prościej: kinem moralnego niepokoju. Jego członkowie rozpieczęśli się po świecie (Agnieszka Holland), spełnili spokojną karierą (Feliks Falk), walczą z otchłanią niebytu (Tomasz Zygadło). Odrywają kupony (Janusz Kijowski).

Kijowski to z pewnością świetny organizator. Był jednym z głównych animatorów tzw. Studia Irzykowskiego działającego formalnie od 1 VII 1981 aż do 1 VI 2005 roku przy Stowarzyszeniu Filmowców Polskich. Do dziś, choć filmów praktycznie nie kręci, zasiada w licznych międzynarodowych gremiach i filmowych władzach.

Przytkoło mnie, gdy w 1984 roku blakając się po Francji odkryłem, że profesor Janusz Kijowski, wykładowca szkoły filmowej w Brukseli, jest powszechnie znany w artystycznej Europie. Spędził tam w sumie dwanaście lat. Wrócił po Okrągłym Stole. A ja przez dwadzieścia lat nie mogłem pojąć w czym rzecz, aż mnie w końcu, mieszkający dziś w Niemczech były asystent Kijowskiego z czasu *Indeksu*, Andrzej Faber oświecił: „Gdy nie wiadomo o co chodzi, trzeba szukać kobiety”. *Cherchez la femme*, jak powiadają Francuzi.

I czemu ja się dziwię? Czego zazdrościsz? Z czym zgodzić nie mogę? Że ruja, że donosy? Że pochlebstwo – bronią?

Z Kijowskim spotkałem się pierwszy raz, gdy pod koniec działalności Polonii 1 postanowiłem zrobić „ATaK Show” z Waldemarem Dąbrowskim, który właśnie opuściwszy niezmiennie piastowane stanowisko szefa przyministerialnego Urzędu Kineematografii, został w rządzie Cimoszewicza szefem PAIZ. Czyli Państwowej Agencji Inwestycji Zagranicznych. „Piękny Waldi” ma życiorys nie gorszy od Olechowskiego. Z korzeniami na bramce w studenckim klubie „Remont”, poprzez agencję „Pagart”, w której w najczarniejszym okresie stanu wojennego zajmował się Dąbrowski wskazywaniem artystów prawomyślnych, którym esbecja może bez obawy wydawać paszport. Wielu ludzi ma wobec niego do dzisiaj dług wdzięczności. Dąbrowski to skądinąd bardzo miły i uważny człowiek. Sprawny menedżer. Chyba trudno jednak o bardziej agenturalną biografię. Dąbrowski związków z opozycją nie udawał, lecz na swojego adwokata w prowadzonym przeze mnie programie wskazał Janusza Kijowskiego. Czy trzeba coś jeszcze dodawać?

Ponadto, w czasie gdy wpadłem na pomysł wygrania konkursu na dyrektora olsztyńskiego teatru, ministrem kultury (nadzorującym tę instytucję) był właśnie... Waldemar Dąbrowski.

Z Kijowskim zaczynają nas czasem mylić. Tak było i tym razem. Zjawiwszy się w biurze Sejmiku Województwa Warmińsko-Mazurskiego poczułem niezwykłą uwagę, gdy się przedstawiłem swym nazwiskiem. Wkrótce jednak, przejrzawszy listę aplikantów, zrozumiałem w czym rzecz. Zobaczywszy nazwisko Janusza, zrozumiałem, że cały konkurs ustawiony jest dla przyjaciela ministra. Mądry człowiek pewnie by się wycofał. Ja jednak żyłem jeszcze złudzeniami. No cóż, pomyślałem sobie, minister ma jeden głos, a jeśli nawet radni dostaną sugestię, by wskazać Kijowskiego, to zobaczywszy dwóch, mogą zgłupieć i po prostu wybrać lepszego. Mojej koncepcji zaś byłem pewny z całą naiwnością.

Nie doceniłem przeciwnika. Przybywszy, doprawdy nie wiem po co, na konkurs, dowiedziałem się, że... nie spełniam wymogów, ze względu na brak wyższego wykształcenia artystycznego. Wprawdzie moje wykształcenie, jak stwierdził wicemarszałek sejmiku, było bardzo wysokie, jednak doktorat z estetyki teatru, doświadczenie organizatorskie i wieloletnia praca wykładowcza na uczelni artystycznej etc. nie może się równać z „mgr sztuki” jakiejś – powiedzmy – baletnicy. Zażartowałem i przed odjazdem podszedłem jednak do Janusza Kijowskiego. Grzecznie pogratulowawszy mu zwycięstwa, przedstawiłem swój projekt Festiwalu „Na Pomostach”. W końcu, by go zrealizować, nie muszę być dyrektorem – pomyślałem.

Idea realizacji na Mazurach Festiwalu „Na Pomostach” wydała mi się bardzo kusząca. Zresztą kilkudniowa eskapada do Olsztyna, zwiedzanie Elbląga, wypad aż po Frombork w stronę Braniewa sprawiły, że wszystko ciągnęło mnie w tamtą stronę. Janusz wysłuchał z uwagą. Zdawał się serio zainteresowany. Po wygraniu konkursu zwrócił się do mnie SMS-em z prośbą o wysłanie scenariusza. Przerobiwszy go tak, by wynikała konieczność stworzenia Biura Festiwalowego, zaopatrzyłem w *copyright* i wysłałem.

Zapadła cisza. Po pół roku, gdy już zasiadałem w gabinecie na Smolnej, odkryłem ze zdumieniem, że w Olsztynie (a nie w województwie) odbywać się będzie organizowany pod auspicjami miejscowego teatru Letni Festiwal „Na Pomostach”. Kazałem łączyć. No tak, stwierdził „kolega dyrektor” – mimo że teatr jest formalnie wojewódzki, czyli podlega Sejmikowi, jego większym przyjacielem okazuje się prezydent miasta. Pytanie, jakim prawem przywłaszczył sobie nazwę, po prostu utknęło mi w gardle. A przecież wystarczyło słowo „proszę”, może jakieś grzecznościowe honorarium... Pewnie tak zachowano by się w Europie. Jak to się niegdyś powiadało w Stanach: „u białych ludzi...”.

No ale, jak widać, niekoniecznie na terenach podbijanych przez Krzyżaków. „*O tempora, o mores!*”. Wszakże opisuję tu obyczaje. Cóż więcej dodać można o tym reemigrancie z Brukseli nadto, że konkwistador.

XVI

WSZYSCY LUDZIE PREZYDENTA KACZYŃSKIEGO

Powrót z Olsztyna nie należał do łatwych. Przebijałem się ku moim Ołtarzom-Gołaczom przez pola Grunwaldu, po którym krążyłem o zmroku. Towarzy-zyły mi w tym smutku miłe SMS-y mojej młodszej, nad wiek wrażliwej dziesięcioletniej w tym momencie córeczki – Emilki. No i duch poezji wkraczał drzwiami i oknami.

*Świat mnie woła – ja milczę. Świat milczy – ja gonię
I tak i stąd, i zowąd towię listy Twoje*

– napiszę chwilę potem do mej ówczesnej Muzy Internetowej. W końcu zadzwonił telefon. Andrzej Urbański głosem nieznoszącym sprzeciwu poinformował mnie, że mam się zgłosić do burmistrza, tytułować go posłem, jako że właśnie udało mu się zdobyć mandat rezerwowowy i że zostanę dyrektorem Domu Kultury Śródmieście. Właściwie w tej pierwszej odzywce zawarta została cała czynownicza pułapka kontaktu z nowoczesnymi aparatczykami. Aparat wszędzie jednaki. Późny, lokajski, pełen obłudy, fałszu i donosu. Ten PIS-owski pewnie ani gorszy, ani lepszy od SLD-owskiego czy PO-wskiego, tyle tylko, że słabszy, a przez to często brutalniejszy.

Czymże bowiem jest władza, jeśli nie emanacją siły? Siła władzy to nakaz i nagroda. Władza, która nie karze ani nie nagradza, faktycznie przestaje być władzą. Siła władzy feudalnej wyrażała się w przemocy fizycznej, ale i w uszlachceniach, rycerskich pasowaniach, nadaniach. Kapitalistycznej – w terrorze finansowym. Komunę wprowadzono na radzieckich bagnietach, a trzy pokolenia profi-tentów tego najazdu wzmocniły swoją władzę majątkiem, koneksją, wreszcie wykształceniem. I to zarówno tym szkolnym, językowym czy ekonomicznym, jak przygotowaniem do rządzenia.

Śmiałyśmy się z absolwentów Wyższej Szkoły Nauk Społecznych przy KC PZPR. Ale wykształcenie, które tam odbierali partyjni aparatczycy wiele mogło

mieć wspólnego z wiedzą udzielaną adeptom kolegów pijarskich czy jezuickich, w których szlachta uczyła swych synów sprawować władzę.

Po okresie początkowego buntu, w którym dominowała opozycja, bracia Kaczyńscy rozpoczęli budowę pierwszej niekomunistycznej formacji zorientowanej na władzę. Uważając, by nie przenikali w jej szeregi dziedzice starego układu, których w rezultacie zagospodarowała Platforma Obywatelska, oprzeć się musieli na nieskażonych wprawdzie komuną, ale wyzbytych też jakiegokolwiek zaplecza młodych aktywistach, dla których pierwszym wskazaniem było zabezpieczenie własnego losu.

Władza bowiem to pewność. Widać to na przykładzie Warszawy. Nie zdobywa się pozycji w rok ani nawet w cztery lata. Osoba nominowana przez przełożonego, o którym wiadomo, że nie gwarantuje bezpieczeństwa po ewentualnie przegranych wyborach, nie jest zarządcą, lecz tylko nieproszonym, czasowym rezydentem.

Tak traktowano w Polsce Lecha Kaczyńskiego. W Warszawie jego zastępcę Andrzeja Urbańskiego. W Domu na Smolnej – jak go nazwałem – mnie. Także każdego z kolejnych PIS-owskich burmistrzów Śródmieścia: Zielińskiego, Błaszczaka, Brodowskiego. Póki się wreszcie nie pojawił człowiek, który jest wprawdzie nikim, lecz ma umiejętność przechodzenia z ugrupowania do ugrupowania, silną protektorkę z bankowym zapleczem i dziadka z akowskimi urazami oraz doświadczeniem PRL-owskiego literackiego serwilizmu. Słowem, przedstawiciel klasowej elity władzy...

4 listopada 2003 roku wkroczyłem zatem na Smolną. W sekretariacie trzy panie stłoczone jedna na drugiej, w hallu dwóch kelnerów, którzy podali mi w lansadach kawę z ekspresu, ale z fusami, niczym z przydworcowego bufetu w jakiejś Włoszczowej przed laty. Na parterze ogromna kuchnia z piecem, jakiego nie powstydziliby się Prus opisując usmażenie Rozalki, siostry Antka.

Przede mną zespół. Władza zaczyna się od siedmiu osób, mawiał swego czasu Janek Łatkowski. A tu zgrana paczka organizowana od początku lat 90. przez Elżbietę Staręgę, była kierowniczkę Biura Organizacji Widowni Teatru Dramatycznego. Siedemdziesiąt osób zatrudnionych. Dwadzieścia parę na etatach. Wyższym wykształceniem (jeśli za takie tytułu magistra sztuki z PWST w Warszawie nie uznawać, a przecież nie przesadzajmy) poza panią dyrektor, absolwentką SGPiS-u, nikt prawie nie dysponował. Dwie osoby po szkole teatralnej. Jedną po Studium Aktorsko-Wokalnym. Sekretarka prowadziła wcześniej

jakiś butik, kierowniczką administracji z maturą kończyła kursy z zakresu obrotu nieruchomościami.

Trochę emerytowanych agentów. Najmocniej rozczulił mnie pracownik techniczny. Były kierowca, któremu jednak skłonność do korzystania z tzw. urlopów na żądanie raczej uniemożliwiała wykonywanie wyuczonego zawodu.

– Czy pan wie, dyrektorze, kogo ja woziłem? – wyznał mi kiedyś.

– No, kogo? – pytam.

– Samego Pykę, jeśli to panu coś mówi.

Przypadkiem mówiło. Studiując kiedyś uważnie historię porozumień gdańskich z 1981 roku, których negocjatorem ze strony rządowej był wicepremier Jagielski, zapamiętałem, że przybył on po klęsce poniesionej przez pierwszego negocjatora, właśnie rzeczono go Pykę.

Taki więc element otrzymuje w miejskich instytucjach „dożywocie”. *Notabene* moja P.T. poprzedniczka wykonała dla dwóch osób manewr dość niezwykły. Zatrudniała je na pół czy jakiś fragment etatu do chwili, gdy... uzyskały one status emeryta. W macierzystym miejscu pracy jest oczywiste, że w tym momencie idzie się na emeryturę. Nie ma jednak żadnych przeciwwskazań, by emeryturę zawiesiwszy, przyjąć nawet pełny etat w innym miejscu. Np. w domu kultury. A jeśli nowy pracodawca zdecyduje się zawrzeć umowę na czas nieokreślony, pracownik korzysta z ochrony takiej samej jak każdy inny znajdujący się w tzw. wieku produkcyjnym. No cóż. Wojna od sześćdziesięciu lat omija nadwiślańskie kraje, usługa medyczna staje się coraz bardziej wyrafinowana (co nie znaczy, że równie dostępna) – społeczeństwa starzeją się. Hołubią niepełnosprawnych i stetryczących, a kto się temu sprzeciwi, naraża się na zarzut politycznej niepoprawności.

A tymczasem młodzi, jak we Francji czasu restauracji, widzą, że wszystkie posady zajęte. Ponad formacyjny przebija się sojusz pokoleniowy. Młodzieży pozostaje lepsza czy gorsza emigracja. Walczy tam o stanowiska z tubylcami, którym do tego, że nie życzą sobie inwazji obcych ani polskich flag nad pubami w Dublinie również nie pozwala przyznać się obawa przed narażeniem się na zarzut „niepoprawności”. Do czasu oczywiście, do czasu. Aż pewnego dnia wybuchnie kryzys, zerwą się hamulce, uśnie rozum, zbudzą się upiory...

– Ustawisz instytucję, zrobisz ogródek, może z czasem zaczniesz produkować na Smolnej programy telewizyjne. Z takim przesłaniem wpuścił mnie Andrzej na Smolną. I to było mądre. I zostało zrealizowane w 300%. Na kilka dni przedodwołaniem, które nastąpiło po trzech latach, robiłem już nawet audycje

dla programu TVP 3 i TVP Kultura.

Do objęcia tego stanowiska byłem oczywiście po raz kolejny kompletnie nieprzygotowany. Zero informacji. Brak fachowego wsparcia ekonomicznego. Z pewnością nie była to moja wina. Już od czasu gdy w 1999 roku kierowałem Szpitalem św. Ducha, czyli WOK-iem na Elektorальной, pojąłem, że zarządzanie majątkiem komunalnym w Warszawie jest próbą wyrwania postkomunistycznej mafii jakiejś części jej władztwa. Oczywiście najmniej nadają się do tego osoby, które jak ja mają tego świadomość. Najlepsi są ludzie posłuszni z natury, wygodni, mający coś na sumieniu. Wspaniali są zaleczeni alkoholicy, ale i artyści, którzy zaakceptują wszystko, byle tylko robić swoje. I w tej ostatniej roli zapewne chciano mnie widzieć. Niestety, moja formacja polityczna, czy towarzyska raczej, robić tego nie potrafi.

Zasadniczo wiedziałem, o co chodzi, ale jeszcze nie wiedziałem, że największym ojcem sukcesu jest milczenie.

– Nie mów! – powtarzał mi już od dłuższego czasu Andrzej. – Po pierwsze, nie gadaj! – A ja ciągle chwaliłem się jak głupek licząc, że kogoś poruszą moje wspaniałe plany. Pewnie największym moim błędem był fakt, że spotkawszy się z oddanym mi pod zarząd zespołem, zapowiedziałem pracę, obiecałem wspólny sukces, co oczywiście zrozumiane zostało jako zapowiedź, że wszyscy mają pracować na mój sukces.

– Niech tam sobie pan Kijowski chce być piękny i bogaty, ale co nam do tego – podsumował moje wezwanie do wspólnej pracy dla zbiorowego dobra jeden z najpodlejszych, jak się z czasem okazało, agentów. A nie mówię tu o niejakiem Darku Sikorskim, który moje wejście na Smolną w rozmowie z Agnieszką Budzyń podsumował krótko:

„– Dyrektor Kijowski przyszedł do nas w 2003.

– Dobrze miał wejście?

– Nie pytaj. Przyszedł i pierwsze, co powiedział, to: Nie znam was, ale teraz zaczniecie wreszcie pracować! A, Darka znam... – spalił mi kontakty z kolegami.

– Odzyskałeś ich sympatię?

– Tak, bez problemu”.

W ciągu najbliższych kilku dni, tygodni, miesięcy zobaczyłem, jak sprzysięgają się siły zła. Do dziś nie powiem z pewnością, ile było w tym spisku, ile przypadku, ile mojej winy, którą oczywiście wszyscy mi imputują.

Można oczywiście patrzeć na świat ufnie i wybaczać ludziom ich mankamenty.

Można widzieć we wszystkim spisek i sojusz niezdolnych, leniwych i pazernych. Trzy lata pracy na Smolnej każą mi uwierzyć w tę drugą wizję świata. Nie mogę się oprzeć wrażeniu, że wszystko, co mnie spotkało w tym czasie, mogło być jakimś tajemnym spiskiem.

Do Domu Kultury Śródmieście wkraczałem z zamiarem oparcia się na jego strukturze w celu rozwinięcia imprezy plenerowej. Miałem poczucie, że instytucja tego rodzaju w Śródmieściu Warszawy pełnym teatrów, kin, tanecznych klubów, nie jest potrzebna. Czulem też, że nie ma żadnych transparentnych reguł, według których autentycznie potrzebujące darmowej opieki dzieci, ubodzy inteligenci, starsi ludzie mogliby korzystać z tych wszystkich dóbr, które samorządowa instytucja kultury udostępnia za darmo czy za pół darmo. W poczuciu większości ludzi wraz ze śmiercią komuny skończyły się socjalne przywileje, które w tamtym systemie rozdzielane były według bardziej lub mniej sprawiedliwych, jednak ogólnie znanych, reguł.

Oczywistym odruchem pierwszych lat transformacji była likwidacja tych nieefektywnych struktur. Pamiętam, jak w pierwszej kadencji odrodzonego samorządu debatowaliśmy nad tym, co zrobić z tzw. klubami osiedlowymi – skądinąd wartościowymi, parterowymi lokalami. Nie było jeszcze telewizji satelitarnej. Chodziło mi po głowie, by samorząd zajął się jej organizacją. Samorząd rozumiałem bowiem po amerykańsku, jako wspólnotową umowę ludzi, którzy zamieszkawszy w tym samym miejscu, mają wszystkie prawa, ale umawiają się do oddania jakiejś części swoich środków na rzecz: szeryfa, kościoła, szkółki niedzielnej, z czasem osobnej szkoły, basenu, biblioteki. Ale samorząd amerykański to nie jest feudalny twór, w którym minister Regulski z Kuleszą uznają, iż posłowie, jak car, wraz z mandatem otrzymują od wyborcy pełnię władzy i całe terytorium, które następnie przekazują w dół tworząc szczeble samorządu, z którym warunkowo dzielą się swymi kompetencjami. Samorząd amerykański to oddanie wspólnocie przez jednostkę elementarną każdorazowo definiowanej według aktualnych potrzeb wyższej części z całości przynależnych jednostce praw. Samorząd Michała Kuleszy to przydzielanie wspólnotom lokalnym i jednostkom elementarnym części ze wszystkich zawłaszczanych przez tzw. „państwo prawa” podatkowych i administracyjnych kompetencji.

W pierwszej samorządowej kadencji udawało się jeszcze działać według idealnych reguł. W Sejmiku Warszawskim, którego byłem wicemarszałkiem, kompetencje samorządu gminnego z jego licznymi komisjami kontrolowane były

przez zespół czterech komisji nawiązujących do tradycji XVIII-wiecznych:

- Komisji Brukowej,
- Komisji Skarbu,
- Komisji Spraw Publicznych
- Komisji Boni Ordinis, czyli dobrych praw.

Radni pierwszej kadencji ulegli jeszcze mej namowie, by kompetencje organu kontrolnego¹ biegły w poprzek kompetencji organów wykonawczych. By spojrzenie radnych Komisji Spraw Publicznych zajmujących się całą infrastrukturą społeczną w skali województwa było szersze od punktu widzenia osób zajmujących się samą tylko oświatą, kulturą czy służbą zdrowia w gminie.

W miarę upływu lat, z kadencji na kadencję poszerzają się kompetencje i biurokratyzuje się struktura polskiego samorządu. Nie tylko zakresy kompetencji, również organizacja polityczna spływa z góry do dołu. Jak niegdyś Partia, tak dziś władzę w państwie przechwyciła coraz bardziej odcinająca się od narodu, powiązana mafijnie, samo reprodukująca się rodzinnie (*vide* klan Giertychów) klasa medialno-polityczna.

W Warszawie w czasie drugiej i trzeciej kadencji, za prezydentury byłego członka Sekretariatu KC PZPR, działacza Unii Demokratycznej związanego z Klubem Inteligencji Katolickiej Marcina Święcickiego i później Pawła Piskorskiego samorząd przekształcił się w tzw. układ warszawski. Układ korzeniami wywiedziony z nomenklatury komunistycznej, która w istocie towarzyskiej nienaruszona przez grubą kreskę Tadeusza Mazowieckiego sprowadziła się do kooptacji nomenklatury partyjnej z kręgami dysydenckimi. W administracji Warszawy, gdzie trzema instytucjami po jednej tylko stronie starego Rynku: Klubem Księgarza, Muzeum Literatury i Staromiejskim Domem Kultury zarządzają od połowy lat siedemdziesiątych wiceszef gierkowskiej WRN prof. Janusz Odrowąż-Pieniążek, komisarz stanu wojennego w Warszawskim Ośrodku Kultury Jan Rodzeń, czy powołany na stanowisko w 1987 roku „apolityczny” w stanie wojennym Sebastian Lenart – widać to całkiem wyraźnie.

Istotą układu są budynki. Czyli konkretne mienie generujące dochody. Administratorzy, zarządcy lokali są układów zwornikami. W taką więc rolę wstępowałem przejmując wybudowany przez rodziców Saszki Gurianowa, budynek przy Smolnej 9.

1 W pierwszej ustawie samorządowej z 1990 r. prawodawca, czyli w istocie profesor Jerzy Rejlski umocował przy sejmiku samorządu terytorialnego Kolegium Odwoławcze jako organ odwoławczy dla decyzji administracyjnych burmistrzów i wójtów podejmowanych w pierwszej instancji.

Nie ulega wątpliwości – od pierwszego dnia w Domu Kultury Śródmieście miałem przeciw sobie w znacznym stopniu zakorzeniony w Gminie, okopany już w bankach i innych instytucjach sprywatyzowanego przez sojusz Platformy z SLD majątku narodowego – establishment urzędniczy.

Miałem przeciw sobie też tych wszystkich, którzy odkryli, że śmierć komunizmu jest w istocie pozorna. Dla tych, którzy ukrywają się w gronie zarządców dóbr komunalnych, dobre jego istotne strony mogą jeszcze długo trwać. Miałem więc przeciw sobie mój wymarzony samorząd, który w ciągu 12 lat wynaturzył się w potężny sojusz rad zarządzających komuną, czyli własnością komunalną. Zostało to zorganizowane w zarządy: terenów publicznych, domów komunalnych, lokali mieszkalnych.

Place, mieszkania, lokale. Oto faktyczne władztwo samorządu. Samorząd może całkowicie dowolnie decydować, komu dać lokal na prowadzenie działalności gospodarczej, komu na siedzibę organizacji politycznej, który przekształcić w instytucję kultury. Moje działania ogródkowe dla urzędnika gminnego tłumaczyły się jednoznacznie pytaniem: czego on chce?. Co chce nam zabrać, jaki fragment naszego władztwa, o który park mu chodzi i co ma w nim zamiar naprawdę zrobić? Czym go kupić? Może zadowolony się lokalem na biuro? Nikt nie brał tylko jednego pod uwagę: że słowa moje znaczą to, co znaczą. Że kiedy mówię „teatr”, nie myślę o garażach, a „kawiarnia na wolnym powietrzu” nie jest wstępem do hotelu.

Miałem więc przeciw sobie radnych. Jak się okazało, wszystkich – co do jednego. Miałem przeciw sobie komitety osiedlowe i tych wszystkich, którzy z zarządzania fragmentami własności komunalnej czerpali korzyści lub sprawiało im to satysfakcję. No i pracowników gminnych zatrudnionych w Domu Kultury rozumiejących, że ich niewysokie (ale też nie malutkie) pensje kompensuje możliwość darmowego wykształcenia dziecka, uzyskania mieszkanek komunalnego czy uzupełnienia domowego budżetu jakąś wymienioną z kolegami fakturą, zatrudnieniem znajomego i otrzymaniem w zamian czy to prowizji, czy wzajemnego zaproszenia.

Rzeczy, rzeczy i jeszcze raz rzeczy. Rzeczy mam, oświadczyłem „w pierwszych słowach mego listu” podczas spotkania z zespołem. Są moje i wiem, jak ich użyć: mam namioty, scenę, widownię, nagłośnienie. Niezbędny w plenerze instrument. Ale to oczywiście za mało. Chcę by mocą finansową Domu Kultury wszystko to zrealizowane zostało bardziej profesjonalnie. A impreza, którą prowadziłem do-

ład pod nazwą „Konkurs Teatrów Ogródkowych”, zmieniła się w czteromiesięczny festiwal, który nazwałem „Ogródki Warszawskie”.

Zwołałem zebrania. Wydałem polecenia. Wyzaczyłem pisemnie zadania. I zaczęło się piekło. Przerażony *establishment* Domu Kultury zjednoczył się w związek zawodowy, pragnąc *de facto* przejąć kontrolę nad majątkiem, który mógł zacząć wymykać się z rąk. Próbowałem nowoczesnego zarządzania. Analiza SWOT, badania marketingowe etc. Organizowałem zebrania, na których połączony wspólnotą interesów zespół stosował bezbłędnie metodę prowokacji. Grzecznie puszczano moje wezwania mimo uszu, tłumaczono, że czegoś się nie da. Wmawiano, że białe jest czarne z bezczelnym uśmiechem – czekając na moją irytację. Zorientowano się bowiem, że ja mówię. A skoro mówię, można moje słowa notować, protokołować, wrywać z kontekstu.

Z jednej strony więc włoski strajk, którego przywódcą okrzyknął się szef związku zawodowego przezywający sam siebie na forach internetowych, gdzie mnie ob smarowywał Zsiadlakiem. Z drugiej atak na moich przełożonych bombardowanych skargami. Metoda sprawdzona już w czasie, gdy kierowałem Elektoratną. Wszak pierwszym zadaniem pracownika jest nie przysparzać kłopotu szefowi. A taki dyrektor, w którego sprawie ustawiają się pod gabinetami marszałków, prezydentów czy ministrów delegacje niechętnych pracowników prędzej czy później musi zostać odwołany. Oczywiście pod warunkiem, że władza nie wyśle wyrazistego sygnału, że swego pracownika wspiera. Andrzej Urbański taki sygnał wysłał, ale tego nie dało się już powiedzieć o burmistrzach dzielnicy. Rozpętało się piekło. Wszyscy za wszystkich i wszyscy na jednego. Andrzej Urbański po dwóch latach naszej współpracy, widząc, co się wokół mnie dzieje, podsumuje to krótko:

– Uwalą cię dyrektorzy pozostałych domów kultury, bo podnosisz poziom tak, że się tego zdzierżyć nie da. Ale nie przejmuj się i pikuj dalej.

Pikowałem równo 1212 dni, od 4 listopada 2003 do 28 lutego 2007 roku. Mój główny szef, prezydent Lech Kaczyński, który mnie na to stanowisko powołał, „pikował” też – wraz z całą niepodległą Polską. Równo 7615 dni...

Od 4.06.1989 do 10.04.2010 roku minęło 7615 dni. Tyle samo minęło od 11.11.1918 do 17.09.1939 roku, kiedy to Prezydent RP Ignacy Mościcki opuścił terytorium Polski.

Cokolwiek to znaczy – to fakt...

XVII
ASIA JABŁCZYŃSKA
i dzieci z dobrych domów

Czułem, jak mnie mój ogród oplata. Z każdego splachetka ziemi wyrastały ludzkie pędy. Z coraz większą oczywistością odsłaniała się prawda zagubionej wspólnoty. Wspólnoty, której nie wymyśliłem, z której jestem i która przyszła ku mnie, skupiła się wokół – ze swoimi wadami, małością i pięknem. To ta wspólnota, o której mówił Chałasiński w Szlacheckim rodowodzie inteligencji polskiej.

Nie ma zgody między zarządzaniem przez cele a orientacją na instrumenty władzy. Pamiętam krótki epizod z życia Andrzeja Urbańskiego, kiedy niespełna trzy miesiące kierował „Życiem Warszawy”. Kiedy go spytałem potem, czemu go odwołano, powiedział: „Bo zająłem się pismem, podnoszeniem nakładu zamiast intrygą. Siedziałem w gabinecie, zamiast krążyć po korytarzach”.

Świadomie powtarzałem jego błąd. Nie chodziło mi bowiem o władzę, lecz o realizację idei. Jeszcze na początku 2004 roku nie miałem świadomości kastowej. Wiedziałem tylko, że potrzebna jest impreza plenerowa, która będzie miała duszę. I tak to tłumaczyłem radnym. Impreza zakorzeniona w garden party, w niedzielnej przechadzce po publicznym ogrodzie. Impreza, gdzie dziedziczka z parasolką przyjmuje ukłon sklepikarza w anzugu. Czułem formę towarzyską, nie do końca zdawałem sobie sprawę z treści. Myślałem więc wyłącznie o ogrodach, ale wkrótce przyjrzałem się wewnątrz. Wewnątrz, o których dotąd ani mi (nam) wolno było marzyć. Przyjrzałem się opanowanej przez grafomanów i pretensjonalne damy Biesiadzie Poetyckiej. Imprezie, w której jedna pani puszyła się ku uciesze grupy aspirantów do tytułu literata. Popis pretensji, złego gustu, zmarnowanego papieru.

Obudził się we mnie instynkt, zadrgały korzenie, na pomoc wezwałem luminarzy polskiej literatury: Agatę Tuszyńską, Tomka Jastruna, Leszka Wirpszę, Marcina Wolskiego czy Iwonę Smolkę. Całe niezbyt potrafiące dbać o rynek imprez Stowarzyszenie Pisarzy Polskich. Przyjaciół, rodzinę. Członków mojej

gildii czy korporacji. Instynktownie postanowiłem sprawdzić moje kwalifikacje mistrzowskie. Powstała Biesiada Literacka i Jubileusze – imprezy do dziś błakające się po Warszawie. Ba, nawet udało mi się zrealizować marzenia pani Krzysy Krowirandy i Żanety Nalewajk i wystąpić w roli wydawcy pisma „Tekstualia”. Wzniosłem sztandary, z których większość leży dziś w błocie. Część sojuszników zdradziła, inni w niewoli. Ale ta walka nie skończy się w jednym pokoleniu.

Budżet Konkursu Teatrów Ogródkowych, którym dotąd jako Fundacja dysponowałem, oscylował w granicach 40 do 180 tysięcy złotych. Ale były to pieniądze na wszystko. Nie uwzględniały wydatków na moje roczne życie, lokal, honoraria. Nie uwzględniały pomocników. Teraz wszystko się zmieniło. 2 miliony 67 tysięcy, które zastałem w budżecie Domu Kultury pozwalały mi żyć, wyznaczyć zadania osobom odpowiedzialnym za realizację ogródka, nawet coś jeszcze komuś zlecić. W budżecie Domu Kultury nie było naturalnie środków na ogródkowe honoraria, na tradycyjną nagrodę. Ale miałem poczucie, że te sto tysięcy z okładem czekają na mnie w budżecie miasta w środkach, których w tym roku nie weźmie już moja Fundacja. Pracownicy DKŚ jednak tego nie wiedzieli (czy nie chcieli wierzyć). Przede wszystkim ogarnęło ich przerażenie, że oto dla moich ogródkowych znajomków pójdą środki, którymi nawykli obdzielać znajomków własnych. Cóż, myśleli tak, bo inaczej nie potrafiały. I tą myślą niemal od dnia, gdy rozpocząłem pracę, gdy poinformowałem, że Dom Kultury zajmie się także latem organizacją Konkursu Teatrów Ogródkowych, dzielili się w formie donosów i lamentów ze wszystkimi przełożonymi. Ja jednak zacząłem od początku, czyli od pieniędzy. Ocenilem potrzeby Domu Kultury, jego dorobek. Osiągnięcie było właściwe jedno, lecz niemałe.

Był to „Kabaret 41” – zespół ustawiony niegdyś w pierwszym lokalu na Hożej przez Janusza Tylmana (znanego dziś akompaniatora w „Śpiewających fortepianach”), aktorkę Małgosię Dudę czy znanego reżysera musicali Cezarego Domagałę. Taka taneczna szkółka domowa zorganizowana dla zaprzyjaźnionych pacholąt: dwojga dzieci tegoż Domagały (Marta i Filip), córeczki instruktorki pani Ruckaber, wnuczka księgowej Domu Kultury, parki dzieci aktora Stanisława Banasiuka (Aldona i Mateusz), wreszcie Łukasza, najmłodszego syna Janusza Rosa, bardzo znanego satyryka, który zgłosił się, w ramach odbudowywania przez Hannę Gronkiewicz-Waltz układu, na radnego Platformy. Może o dwóch (notabene najzdolniejszych) dziewczętach, Agnieszce Skrzyszewskiej i Joasi Jabłczyńskiej, można powiedzieć, że nie zawdzięczają występowania w kabarecie znajomościom

swych rodziców. Jak dalece cały ten układ zainteresowany był wyłącznie wykonywaniem środków publicznych dla osobistych celów, poświadczy fakt, że pomysłodawczyni tego zespołu, pani Babińska-Głódkowska zajmowała się klubem do chwili, gdy w pracach uczestniczył jeden z jej synów. W momencie, gdy chłopaka przestała interesować zabawa, instruktorka straciła zainteresowanie dla tej pracy, choć pozostawała nadal zatrudniona w Domu Kultury.

Kabaret był przedsięwzięciem z jednej strony wyjątkowo bezczelnym, lecz zarazem spektakularnym i udanym. Wzięła dzieci pod opiekę nagrodzona w 2009 roku za najlepszą choreografię (Barcelona Dance Award) Izabella Borkowska.

Dzieci czy raczej młodzież z dobrych domów, którą zastałem w zespole, była zdolna i wykształcona. Więc, choć nie uważałem, by ta forma zawłaszczania przez elity dóbr publicznych zasługiwała na akceptację, nie miałem sumienia zepsuć efektu wychowawczego. Walczyłem już tylko o to, by wizytówka Domu Kultury nie szczyliła się nagrodami zdobywanymi w zaprzyjaźnionych Domach Kultury: warszawskiej Doróżkarni i Domu Kultury w Kutnie, z którymi związani byli opiekujący się zespołem instruktorzy. Gdy zaproponowałem wyjazd na Międzynarodowy Konkurs Zespołów Szkolnych do San Remo, niechęć do tego wyjazdu była wśród instruktorów ogromna. Skąd się brała? Tylko z lenistwa, obojętności czy z podświadomej ostrożności, że wykonanym dla dobra osobistego dziełem nie należy się chwalić zbyt głośno? Jednak przeforsowałem swoje i młodzież wyjechała.

Uznałem, że nie mogą być karani za kombinacje rodziców, ani przyzwyczajani do sukcesów pozornych. Pojechali do San Remo (oczywiście nie pod moją, choć strasznie próbowano mnie na to namówić, opieką), zdobyli pierwsze miejsce, wrócili dojrzałsi. Joasia Jabłczyńska wnet odłączyła się od zespołu. Zaczęła studiować prawo łącząc je z efektywną karierą popularnej gwiazdki telewizyjnych show („Taniec z gwiazdami”, „Jak oni śpiewają”) i seriali (Marta Konarska w „Na Wspólnej”). Iza Borkowska też poszła za ciosem. Wzięły wiatr w skrzydła. „Kabaret 41” był dla mnie domknięciem pewnego etapu. Ale jednocześnie wyraźną, po wielokroć artykułowaną deklaracją, że godzę się na kapitalizm, mogę zaakceptować socjalizm, ale utrzymywanie przywilejów socjalnych dla uwłaszczania neonomenuklatury jest mi najgłębiej obce. Zgasilem więc w zarodku tworzony właśnie na bazie kursu filmowego elitarny klub filmowy. Pod formalnym kierownictwem opłacanego według abstrakcyjnie jak na Dom Kultury wysokich, wyspanych wręcz z palca stawek próbował go zainstalować na Smolnej zatrudniony w nim zięć jednego z byłych szefów Radiokomiteu, dziś znanego producenta

telewizyjnego. Odkryłem za to ciekawą akcję festiwalową związana z nurtem tzw. kina niezależnego o nazwie „Oskariada” realizowaną przez Maćka Dominiaka i projekt nawiązania współpracy z rotterdamską fundacją Bokie-Boekie, która zorganizowała międzynarodowy konkurs poetycko-plastyczny polegający na tym, iż dzieci ilustrują napisany przez siebie wierszyk, a następnie prace ich (po przetłumaczeniu wierszyków) krążą po wielu krajach. Ta wdzięczna impreza, z lekka tylko zasygnalizowana w projekcie, była według mojej oceny typowym próbnym balonem wypuszczonym w celu odrzucenia. – Ot proszę, złożyliśmy taki świetny projekt, ale kto na to da pieniądze, westchnęła pani Basia. – A ile? Konkretnie?! – spytałem. – Oj dużo, dużo. Pewnie ze sto tysięcy. – Spokojnie. Policzmy. Katalog, tłumaczenia, ubezpieczenie, transport. Doliczyłem się 20 tysięcy. Ale i za 10 tysięcy obleci. Macie u mnie te pieniądze, powiedziałem. Jak w banku. I wystąpiłem do Urbańskiego o... 40 tysięcy na tę akcję. Trzeba było widzieć ich miny! To jak to? To będzie? To my teraz mamy pracować? Kiedy tak dobrze się narzekalo, że nic nie da się załatwić. Kiedy już istotnie pieniądze przyszły, popędzałem do roboty. I irytowałem się, że niefachowo, że nudnie, że kosztorysy zawyżane, pierwszym pytaniem, jakie usłyszałem było: „No, ale co my za to dostaniemy?”. Jak to, co – panie mają etaty, jeśli się nie mylę. A jak dobrze wyjdzie, to może będzie też nagroda. Zdumiały się. Jakże to? Etat ma się za to, że się przychodzi do pracy. Nagrodę regulaminową za to, że się uśmiecha do dyrektora. Ale przecież za prawdziwą pracę należałoby coś ekstra zapłacić. Kiedy tłumaczyłem, że tak projektując, nic się nie uzyska – uzyskałem. Kolejne skargi i donosy (impreza jednak kulawo, bo kulawo, na ćwierć gwizdka, bo na ćwierć, ale odbywa się i jest bodaj jedynym mym osiągnięciem, które przez mych następców póki co nie zostało zaniechane). Tak więc przygotowaliśmy wnioski. W sumie na milion złotych. Na „Poem Express”, na „Oscariadę”, na wyjazd „Kabaretu 41” do San Remo.

No i oczywiście na ogródek. W sumie postulowałem o prawie milion złotych, i o kontrasygnatę prosiłem burmistrza. Tłumacząc, że proszę wszak o pieniądze z prezydenckiej rezerwy, które zwiększą budżet dzielnicy Śródmieście o załącznik budżetowy. Jeszcze opowiem te boje. Dość, że pieniądze zostały przyznane. Jeszcze je ktoś na Radzie Miasta próbował podważać, lecz w sumie przyszły. Można było działać. Postanowiłem wrócić do tradycji sprzed dwóch lat i robić imprezy codziennie. Ale już nie wyłącznie teatralne. Imprezę w Dolinie Szwajcarskiej nazwałem „Ogródki Warszawskie”.

XVIII WOJNA O PIETRZAKA

Poznałem go w pierwszych dniach października 1976 roku. Dużo jednak minie czasu – trzydzieści lat – do chwili, gdy nasze drogi się przetną i choć z różnych stron, okazuje się, że dziś w jednym zmierzamy kierunku.

Poznałem go w dniu, w którym z rąk pani profesor Kulczyckiej-Saloni odebrałem uzyskany w czerwcu dyplom ukończenia z wyróżnieniem studiów polonistycznych. Zapytany w przytomności wyróżnionych starszych kolegów, m.in. Włodka Boleckiego i Marka Zalewskiego, co mam zamiar zrobić z tak pięknie zdobytym dyplomem, odpowiedziałem: – Cóż, myślę, że teraz zacznę naprawdę studiować. – Rozumiem to jako przytyk do niezbyt wysokiego poziomu studiów – wycedziła przez zęby komunistyczna pani dziekan, podczas gdy ja w istocie miałem na myśli spełnienie marzenia o studiowaniu reżyserii na PWST.

Tymczasem Ojciec postanowił uczcić mój dyplom zapraszając mnie na Chmielną (zwaną wtedy Rutkowskiego) do kabaretu pod Egidą. – Wiesz, ich jest tam dwóch – oświecił mnie Senior. Zdolny, czyli Jonasz Kofta i politycznie ustawiony, tzn. Jan Pietrzak. No tak, to nie był wszak jeszcze ten dzisiejszy, ważny, kultowy Jan Pietrzak, na widok którego moherowe berety wstają z miejsc wyśpiewując ze łzami „Żeby Polska...”

Kim był naprawdę ? Opowiada o tym we własnej książce słowami Janusza R. Kowalczyka „Pietrzak nigdy nie krył – wręcz przeciwnie, uczynił to przedmiotem wielu tekstów, choćby w cyklu swoich estradowych „życiorysów” – że ma po rodzicach lewicowe korzenie. Jako chłopiec wygrzebujący uzbrojenie z ruin powojennej Warszawy został przez przedwcześnie owdowiałą matkę oddany do szkoły wojskowej. Wychowywano go tam wprawdzie na janczara komunizmu, jednak silna przekora nakazywała mu dociekać słuszności swych racji, trwać przy nich i patrzeć na ręce przełożonym. Zwolniony ze służby za obopólną zgodą

został robotnikiem warszawskiej fabryki telewizorów, a następnie studentem socjologii w Wyższej Szkole Nauk Społecznych.”¹

Precyzyjnie – za „Wikipedią” tym razem. „Jan Stefan Pietrzak urodził się na warszawskim Targówku jako syn Waława i Władysławy z Majewskich. Ojciec był działaczem Komunistycznej Partii Polski, więźniem sanacji w Berezie Kartuskiej. W 1940 był współzałożycielem organizacji „Młot i Sierp”, która później weszła w skład Związku Walki Wyzwoleńczej (przekształconego następnie w Polską Partię Robotniczą – PPR). W październiku 1942 Waław Pietrzak został pojmany przez gestapo, w wyniku prowokacji wewnątrz organizacji, a następnie zakatowany w więzieniu na Pawiaku. Po wojnie został pośmiertnie odznaczony Krzyżem Grunwaldu. Władysława Pietrzak, matka Janka, w latach 1947–1952 była posłanką na tzw. Sejm Ustawodawczy.

Jan Pietrzak w bardzo młodym wieku został posłany przez matkę do wojska. W latach 1948–1957 był kolejno słuchaczem Korpusu Kadetów im. gen. Karola Świerczewskiego oraz Oficerskiej Szkoły Radiolokacyjnej w Jeleniej Górze. Po odejściu z wojska pracował w Warszawskich Zakładach Telewizyjnych przy produkcji telewizorów. Studiował również na kursie wieczorowo-zaocznym na Wydziale Socjologii Wyższej Szkoły Nauk Społecznych przy KC PZPR, którą ukończył w roku 1968. Był członkiem Związku Młodzieży Polskiej (ZMP) oraz PZPR, działał w radzie robotniczej Zakładów Telewizyjnych.”

Nie ma wątpliwości – w III RP nie ma miejsca dla ludzi spoza układu. Może być to układ komunistyczny, w którym przez lata funkcjonował Pietrzak. Gminy, który sprawia, że choćby nie wiem jak się kłócili, Michnik nigdy nie skrzywdzi Wildsteina tak jak Chojeckiego. W inne układy, mafijno-enkawudeckie już się nie zagłębiajmy.

Na ten fakt wskazywali też bracia Kaczyńscy pomijając tylko, że chcąc władzy realnej, nie mogą się też od istniejących w Europie zależności odżegnywać. Kompulsywnie szukają więc swoich reprezentantów tak w gminie, jak i wśród masonów. Jak nie Józek Orzeł, to Lutek Dorn, jak nie Dorn, to Broniek Wildstein otwarcie przyznający się do koneksji z polską lożą masońską. Zawsze przecież trafiają na wygnańców ze stada. Zamknięte koło.

A wszystko to z okazji Janka Pietrzaka, który na tym koncercie w październiku 1976 roku obok leitmotiwu „Bęc wuja w czoło i jest wesoło” wykonał napisaną w czerwcu tego roku snującą się rozciągliwie pieśń *Żeby Polska była Polską*.

1 Janusz R.Kowalczyk, *Przedmowa*, /w:/ J.Pietrzak, *Jak obalałem komunę, Łomianki 2010*, s.13.

– Chryste, co za grafomania – trzymał się za uszy mój Senior. Zapomniałem piosenkę. Przypominam sobie jednak moment, gdy po czterech latach, też w październiku 1980 r., przybiegła do mnie w Białymstoku rozgorączkowana studentka. – Jest! Jest! Jest – hymn „Solidarności”, niech pan doktor przeczyta – powiedziała i wręczyła mi przepisany na maszynie tekst: „Z głębi dziejów, z krain mrocznych...”. Nie powiem, żeby mnie zachwycił, ani nawet, by szczególnie poruszyło mnie pierwsze wysłuchane nagranie. Nawet chyba w tym momencie nie pamiętałem, że już je już kiedyś słyszałem.

Jednak z czasem... oto dowód na względną sądów estetycznych, na relacjonizm oceny. Wartość utworu Pietrzaka nie jest wszak immanentna. Nie ma też obiektywnego charakteru. Nakłada się na nią doświadczenie pokoleniowe, absorbuje ona płonące oczy studentki Wydziału Pedagogiki i Psychologii F UW w Białymstoku i to wszystko, co w związku z tą pieśnią wykonywaną nawet przez Franka Sinatrę przeżyliśmy, aż po koncert „*Let Poland be Poland*” w roku 1982.

Inna sprawa, że sporo w tej sprawie mitu. I więcej totalotkowego szczęścia niż własnej zasługi. Zawsze wiedziałem, że Pietrzak wybrał powrót do Polski i półprywatne koncerty w stanie wojennym, wydawało mi się jednak, że wystąpił był w tym koncercie, którego transmisję słuchałem 31 stycznia 1982 roku w Białymstoku w noc poprzedzającą wizytę u uniwersyteckiego komisarza profesora Jerzego Niemca, który miał zamiar zwolnić mnie z pracy.

Efekt był istnie teatralny. Na dole kłębił się tłumek odprowadzających mnie studentów z kwieciami w kolorach narodowych. Jerzy Niemiec próbował zmiekczyć mnie przedłużonym oczekiwaniem, ja podśpiewywałem jego zbaraniałej sekretarce „*Let Poland be Poland*”, miałem bowiem ukrytego asa w rękawie.

Otóż gdy już komisarzyna napocił się i nabzdyczył, by wreszcie wyjąkać, że w tej sytuacji nie ma innego wyjścia, tylko wypowiedzieć mi umowę o pracę, ja wyciągnąłem z zanadru pismo jego starszego kolegi w ubeckim fachu, profesora Kazimierza Doktora, w danym momencie też komisarza, który... proponował filii zatrudnienie mnie w warszawskim Instytucie Filozofii i Socjologii PAN na mocy porozumienia zakładów pracy!

Szok był pełen. Jakież to ja dla Niemca musiałem mieć ubeckie plecy, skoro w takim momencie uzyskiwałem w istocie wiele razy lepszą pracę w stolicy. Wielkiego fartu nie mam, ale w sytuacjach ostatecznych spadam na cztery łapy. Decyzja, którą podjął Doktor (chcąc tanim kosztem uwiarygodnić się w roli komisarza IFiS-u) podtrzymała jedynie realizacją Uchwały Rady Naukowej z 1981 roku.

Uznano wtedy, że jest skandalem niezatrudnienie w Instytucie jedyne go doktora w dziejach studium, który doktorat napisał i obronił w terminie. Słowem *qui pro quo* z *Let Poland be Poland* na ustach.

Wracajmy do Pietrzaka. Rechet historii sprawił, że w późnych latach 70., jakoś tak od '77 do '81, byłem z Jankiem skoliigacony. Uczyniła to moja stryjeczna siostra Elżbieta, aktorka, która wśliznęła się do jego alkowy w modrzewiowym dworku przy sejmie, czyli, jak zwał tak zwał, fińskim domku na Jazdowie. Dziecka jednak, którym z dużym samozaparciem próbowała go obdarzyć, urodzić nie zdołała, więc Janek zwał do Ameryki, a gdy w 1983 roku do Polski wrócił, przywiózł stamtąd prawowitą żonę. Dopiero ostatnio odkryłem, że pomyliłem się, chwając go za odwagę, iż nie odmówił swego udziału w reaganowskim *show*. Otóż odmówił: ani obywatelstwa nie przyjął, ani nie wystąpił. Nie zdystansował się tylko do sprawy i w ten sposób spijał konfitury z obydwu naczyń. Był popularny na Zachodzie i wrócił do Polski jako bard „Solidarności”. Jednak czerwony o nic się doń nie mógł przyczepić.

Majstersztyk! Milion w totka. Słowem – fart. Coraz trudniej zgodzić mi się z Einsteinem, że sukces to 99% pracy i 1% talentu. Myślę, że więcej racji miał Bonaparte pytając przed awansem, czy dany oficer ma szczęście. Jednak nie uogólniamy. A jeśli już to robimy, miejmy świadomość, jakie okoliczności oddziałują na nasz sąd. Ten Einsteina kształtowany był przez pruski porządek, szwajcarską dokładność, amerykański obiektywizm. Napoleon opierał się na doświadczeniach wojennych przypadków.

Ja też, gdy patrzę na moje życie i życie mych przyjaciół, w każdym jego fragmencie widzę niepokój, szarpaninę, przypadkowość. Jak los Janka Pietrzaka wysypał się z ruletki historii, tak i moim zmaganiom całe życie towarzyszy niepokój. A poważną jego przyczyną stanie się toczona przeze mnie przez bez mała trzy lata wojna o Pietrzaka

Po latach spotkaliśmy się przelotnie, gdy już objąłem Dom Kultury, a on dał w czerwcu 2004 roku koncert na kombatanckiej popijawie, jaką zorganizowali koledzy ze Stowarzyszenia Wolnego Słowa w Pałacu Kultury. Ponieważ jak zwykle narzekał publicznie, że nie ma gdzie występować w Warszawie, podszedłem doń i spytałem, czy nie chciałby zainstalować się z Egidą na Smolnej.

Odnosił się do propozycji wstrzemięźliwie i zasugerował negocjacje z Krzysiem Paszkciem, swoim akompaniatorem i impresario.

Nim jednak podjąłem temat, zjawił się Ryś Makowski i ściągnął Janka na kabaretowy występ w Dolinie Szwajcarskiej. Było to wydarzenie! Koniec sierpnia. Impreza już rozkręcona, niepłatna. Dolina pękała w szwach. Frekwencja sięgnęła tysiąca osób. Śmiech, wzruszenie. Pietrzak w rewelacyjnej formie. Na coś przydały mu się studia socjologiczne. Swoje dowcipy, nieraz z brodą, często cytowane ze zbioru humoru polskiego „Kultury Paryskiej” (do czego się w życiu nie przyzna), okrasza znakomitym, ironicznym, nierzadko pogłębianym komentarzem. Nie ma wątpliwości, że w klasie polskich opowiadaczy dowcipów jest Pietrzak mistrzem nad mistrzami, co spotyka się z bardzo gorącym przyjęciem publiczności. Jedno jest mi niewątpliwie u Janka bliskie. To co jeszcze w „Hybrydach” zmieniło go w artystę – że uważnie wsłuchuje się w reakcje publiczności.

Podobnie i ja w teatrze, w kabarecie, w każdym miejscu spotkania obserwuję widownię. Interesuje mnie autentyczna i zjednoczona. I nie pytam, czy twórca realizuje jakieś abstrakcyjne założenia estetyczne. Pytam tylko, czy buduje wspólnotę. Otóż gdy końca dobiegał koncert Jana Pietrzaka w Dolinie Szwajcarskiej, rozglądałem się wokół i widziałem twarze roześmiane, oczy myślące, gesty uprzejme. I widziałem gęstniejącą widownię. W tym momencie, nie ukrywam, zakochałem się w Pietrzaku jako artyście. Niemal w ostatniej chwili, na 40 minut przed końcem koncertu posłałem niezawodnego Wojtka po biało-czerwone róże, Dziecię zaś moje młodsze, jedenastoletnią wówczas Emilkę, która jedyna z rodziny wspierała czasem swoją obecnością moje przeżycia, uprosiłem, by je wręczyła Pietrzakowi. Ten koncert to było wydarzenie rozpoczynające cały cykl imprez. Zrozumiałem wówczas, że Janek przyciąga dokładnie ten rodzaj publiczności, której jest potrzebna moja Dolina Szwajcarska i której mogę służyć jako dyrektor domu kultury.

Jeśli bowiem teatromani, miłośnicy muzyki czy wysublimowanego malarstwa mają w stolicy dziesiątki ezoterycznych miejsc dla zaspokajania swych potrzeb, a młodzież znakomite sale na koncerty młodzieżowe, to osierocona została publiczność, nazwijmy ją –kabaretowa, szczególnie ludzie nieco starsi, na skraju wieku produkcyjnego, ci których gusta kształtowały się u schyłku PRL-u, często w opozycji do obowiązującego wówczas socjalistycznego kanonu. Ci ludzie to inteligenci, ale nie intelektualści. To wyżsi urzędnicy, nauczyciele, adwokaci czy prawni radcowie, emerytowani lekarze. Przedstawicielami adresowanego do nich nurtu stali się w pierwszym sezonie goście Makowskiego i Klawego: Janeczko, Daukszewicz czy Marek Majewski, który zresztą wkrótce bardzo się zadomowił.

Ale wracajmy do Pietrzaka. Zadowolenie było obustronne. Ja dostałem człowieka, który przyciąga tłumy, on osobę, która mu tej publiczności nie żałuje. Twierdzi bowiem Pietrzak, i z pewnością jest w tym trochę prawdy, że od czasu gdy zwariował (tak oczywiście się nie wyraził) i postanowił kandydować na prezydenta uzyskując 1% głosów, w telewizji publicznej zapanował na niego zapis ostrzejszy niż za czasów cenzury PRL. Przedstawiciele mediów twierdzą oczywiście co innego – że nie podnosi on oglądalności. No cóż? Na pewno nie w tym stopniu co sezonowa Doda Elektroda, ale wszakże repertuar to różnorodność. Dla mnie było jasne, że swoją publiczność Pietrzak ma.

Wyciągnąłem też stąd wnioski i od października 2004 roku „Kabaret pod Egidą” gościł na Smolnej prawie trzy sezony. Mimo że w istocie realizowałem słowa prezydenta Kaczyńskiego, który obiecał Jankowi jakiś lokal w Warszawie, decyzja moja wzbudziła same negatywne emocje. Niezadowoleni byli pracownicy, urzędnicy, kontrolerzy – tylko publiczność, mimo braku środków na reklamę, przychodziła – godząc się płacić wcale nie małą cenę za występ dwunastoosobowego kabaretu.

Od tego momentu każdy piątek stał się dla mnie swoistym świętem, A Dom na Smolnej miejscem, gdzie zapanowała miła, lekko buduarowa atmosfera. Z Jankiem przybywała Ewa Dałkowska, Marcin Wolski, dziewczęta Renata Zarębska i Asia Jezewska, o Pawle Dłużewskim i Rafale Ziemkiewiczu nie zapominając.

Na pierwszy występ Janka ułożyłem melorecytatywny *éloge*, w którego wykonaniu wspierał mnie akompaniamentem Krzysz Paszek. Brzmiał tak:

Witam w domu na Smolnej

– Andrzej Tadeusz Kijowski:

„Egidę” Jana Pietrzaka

O Polskę pelną troski.



„Śmieję się Warszawo!” – ²

czterdzieści i cztery

lata istnienia!

Najpierw w Hybrydach wieszczył

Ze Stanów – budził sumienia.

2 Tak brzmiał tytuł programu wystawianego w sezonach 2004–2006 w Domu na Smolnej.

*Bo czy Pietrzak może kłamać?
Raczej tak !
A pomógł komunę złamać?
Nawet uspak!!!*

*Choć była wentylem „Egida”,
Powietrze spuszczano z cenzorem,
Poezja się władzy nie przyda.
Pieśń uszła cało – z honorem!*

*Matką głupich ją nazwano – nadzieja,
Tych, co czuli się zaszczuci – nadzieja.
Tych, którzy poczuli, wszyscy wraz,
Że gdy na białego konia cudem naród wlaźł,
To choć nas historia goni, przyszłość rwie
Już się zrzucić zeń nie damy! Nie, bo nie!*

*I nie zbłąźnił się Jan Pietrzak
U Reagana,
Żeby Polską była Polska
Wyspiewana.
A Imperium Zła znaczyło
to, co znaczy.
Był w tym triumf, wolność słowa,
gest rozpaczy.*

*Jest takie miejsce u zbiegu dróg,
Gdzie się spotyka szyderców huk.
Blisko pół wieku – w tej okolicy...
Grali tu: Kofta, Kreczmar, Raczkowski
– kto ich policzy.*

*Tu pod egidą Jana Pietrzaka
się spotykali.
Myśl niezależną, śmiech zdrowy
protest – kładli na szali.*

*Na Mokotowskiej, na Rutkowskiego.
W „Ewie”, w „Melodii”,
Pod Komitetem, za Komitetem
– zawsze swobodni!*

*A dziś na Smolnej: – kto ją pamięta,
„Gralnia” w „Kaprysie”,
Której szyld dawał klub ZMS-u
i zdaje mi się:
dla uwłaszczonej nomenklatury piętnastolecia –
spółka Digital – już jej tu nie ma.
Ten czas przeleciał !*

*I jakby kregiem koło historii
się zatoczyło...
Patrzymy w przeszłość,
jakby przyszłości żadnej nie było.
Dwukroć przeżywszy „Vingt ans après”
Humory mamy przeważnie – złe.*

*Czas więc przegonić dowcip z Marketu
I Big Brothera.
Tutaj na Smolnej, gdzie dinozaury
Kijowski zbiera.
I bez fałszywych w stronę młodości
Próżnych wynurzeń.
Dla pokolenia „Solidarności”,
Któremu służę.*

*A gdy się zejdą raz i drugi:
Egida po przejściach
I Smolna z przeszłością,
I kiedy pod tym dachem
Spotkają się z publicznością,*

*Gdy zagra Ryś Makowski,
Wolski tekst wygłosi,
Asia Jeżewska zaśpiewa,
Klawe – akordy wznosi,*

*Gdy niedoszły Prezydent
Z doraźnych sobie kpi.
Zamknijcie Państwo oczy
Otwórzcie Serca drzwi.*

*I z ust naszych niech popłynie
Niezmożona nuta taka:
Żeby Smolna! Żeby Smolna!
Była domem – dla Pietrzaka .*

Tak więc każdego wieczora doskonalilem się w profesji zapowiadacza nawiązującego poniekąd do tradycji Mariana Żaluckiego.

Ja się doskonalilem, a w stolicy zawrzało. Po 10 latach wygnania Pietrzak otrzymał miejsce w Warszawie. Zaczęły się szykany, donosy, kontrole. Powtarzające zgodnie, iż „Dyrektor DKŚ nie kieruje się zasadą efektywności przy zawieraniu umów z podmiotami zewnętrznymi i ponownie zawarł w 2006 r. umowę z Towarzystwem „Egida” Jana Pietrzaka, która nie przysparza Domu Kultury korzyści finansowych, a w wyniku której jednostka ponosi koszty związane z organizacją. Dlaczego w w/w repertuarze reklamuje Pan „Kabaret Egida”, który jest imprezą pozastatutową, kosztem statutowych imprez?” – pytano. Odpowiadałem, że: „Nie wiem, na jakiej podstawie stwierdza się, że występy

w Domu Kultury zrodzonego w studenckich Hybrydach (też klubie kultury) charyzmatycznego „Kabaretu pod Egidą” Jana Pietrzaka nie są imprezą statutową. W moim przekonaniu impreza ta wyczerpuje dyspozycje przynajmniej czterech z 11 punktów określających w § 6 zakres działalności Domu Kultury, a to:

1. rozpoznawanie, rozbudzanie i zaspokajanie potrzeb oraz zainteresowań kulturalnych mieszkańców
9. edukację kulturalną i wychowanie przez sztukę
10. kształtowanie nawyków mieszkańców do aktywnego współtworzenia i odbioru różnorodnych form spędzania czasu wolnego
11. inne działania na rzecz rozwijania i zaspokajania potrzeb kulturalnych mieszkańców.

Jak wyjaśniałem już wielokrotnie, celem tego przedsięwzięcia jest stworzenie z Domu na Smolnej miejsca w Warszawie, do którego chętnie zaczęli przychodzić publiczność zachęcona możliwością spotykaniu tu kultowego przedstawiciela politycznego kabaretu. Zamieszczenie reklamy „Kabaretu pod Egidą” jest więc w istocie reklamą miejsca, które na taką reklamę może sobie pozwolić. Promuje i wysoko wartościuje wszelką prowadzoną przez Dom Kultury Śródmieście działalność. Daje nam to renomę podobną do tej, jaką dzięki afiliowaniu „Piwnicy pod Baranami” zyskał krakowski Wojewódzki Dom Kultury, w którego lokalu mieści się słynna Piwnica”.

Stawano na głowie. Najpiękniej było, gdy za korzystną uznawano umowę, jaką na występy w Ogrodach zawarłem z „Egidą” za występ Pietrzaka z akompaniującym mu Krzysiem Paszkim, na który wstęp był wolny, a który kosztował Dom Kultury 1500 zł ($\frac{1}{4}$ przeciętnej stawki Kabaretu), natomiast fakt wypłacenia kabaretowi za występ około 3,5 tys. zł – w całości pozyskanych z biletów sprzedanych na występ 12 gwiazd estrady – był dla kontroli niekorzystny finansowo.

W sumie oceniam dziś, że mój upór i walka o to, aby zgodnie z wolą prezydenta Lecha Kaczyńskiego „Smolna była domem dla Pietrzaka” stała się jedną z głównych przyczyn wyeliminowania mnie przez urzędników miejskich z dyrektorskiej „rezerwy personalnej”.

Ja jednak brnąłem w Pietrzaka coraz głębiej. Po pierwszym sezonie wydaliśmy płytę, co oczywiście stało się kolejnym powodem zarzutu kontrolerów, którzy z Domu na Smolnej już nie wychodzili. W następnym sezonie przygotowałem

nowy wierszyk, który zresztą starałem się już z tygodnia na tydzień aktualizować. Brzmiał tak:

*Witam w Domu na Smolnej,
Już rok tu gra „Egida”.
Prezydent ubył jeden,
a jakiś by się przydał.
Mówił – nie będzie lepiej,
Lecz śmieszniej – o mój Boże,
Naiwny ten satyryk,
Wszak śmieszniej być nie może.
Więc gdy w sejmie kabaret
Gdy z trybuny kuplety,
O czym ma marzyć „Egida”?
Na co sprzedawać bilety?
Dobre rady, krytyka,
Patriotyzmu szczypta,
Trochę jeszcze humoru
I melodia niezwykła?
Tak mili – trudna rada,
Nie stać nas na wybory,
Chcą komisarza w Warszawie,
Gdy odfrunęły Kaczory.
Więc gdy rządzą na luzie,
Codziennie nowa draka.
Rekomenduję Państwu:
Na serio – Jana Pietrzaka*

Ja jemu wierszyki. On mi melodię, którą napisał do mojego wiersza (przerabiając go nieco) *Ogrody Frascati*³. Po sukcesie w Dolinie Szwajcarskiej występować

3 Słowa: © Andrzej Tadeusz Kijowski, muzyka i wykonanie: © Jan Pietrzak, „Ogrody Frascati”

*Warszawo ma – zieleni pełna!
Oddychasz w parkach i w ogrodach.
Zmęczony dzień twój się dopełnia
Tu na Frascati, na tych schodach.
Wieniawa by swój słynny motyw
Powtórzył dzisiaj tu niezbitcie:
Kończą się żarty, zaczynają schody
I na tym właśnie polega życie.*

będzie Pietrzak przy wielotysięcznej publiczności każdego roku w Ogrodach Frascati. Ostatni jego występ skwitowałem następująco:

*Zwykłem dla Janka pisać fraszkę,
Lecz dzisiaj odniósłbym porażkę,
Gdy Zyta w sądzie, to znów w rządzie
Wy ogródkowi się pokłonię,
Że koalicja nasza trwa.
Tu na Frascati z ATèKa
Gra Krzysztof Paszek trzeci rok,
A Państwa nie ogarnia wzrok:
Ogłaszam dumny jak ten paw
Przed Państwem Pietrzak: żądny brow!*

No właśnie – dumny! I pomnik sobie wznoszę – ze słów. Nie ze spizu...
Sława, sława, sława.

*Warszawo ma! W stołeczne mury
Przybysze z miast, miasteczek, wiosek,
Jechali z wianem swej kultury,
By splotła się z warszawskim losem.*

*Tradycji Twej uważnych stróży:
Stonimskich, Prusów i Waldorffów –
Świadectwa, których czas nie zburzy
Wzywajmy czasem – do raportu!*

Warszawo ma! Warszawo ma!

*Warszawo ma! Dzisiejszy raport
Składamy w tłumie na Frascati,
Bo wśród oklasków i wiwatów
Wpadł nawet senior Osculati.*

*Tutaj tradycja nowa wzrosła.
Jest w drzewach, w schodach, w gwiazdach, w trawie.
Spotkanie muz i czas radosny,
Ogród Frascati jest w Warszawie.*

Warszawo ma! Warszawo ma!

Warszawo ma! Warszawo ma!

ODSŁONA PIĄTA

EPILOG

to znaczy hierarchia wartości

I

CZERWIEC

– czas zwycięstwa

Na początku, w czerwcu 2005 roku było bardzo skromnie. Z imprezą, czyli Festiwałem Artystycznym ustanawianym na Frascati postanowiłem ruszyć nieco później niż rok temu („Zimni Ogrodnicy” Agnieszki Boleckiej dali nam się nadto we znaki). Postanowiłem zatem zacząć od przypomnienia właściwie wymazywanej z historycznej pamięci Polaków daty 4 czerwca 1989 roku. Roku zwycięstwa i pierwszych wolnych wyborów.

To niepojęte, że ten dzień nie stał się świętem narodowym, wielkim wspomnieniem narodowego triumfu, bezkrwawej rewolucji, patriotycznego pojednania. Dlaczego? Dlaczego z jednej strony prawica zarzuca środowisku późniejszej „Gazety Wyborczej”, że trzeba było „szybciej i ostrzej” (zacytuję słynną rozmowę Mazowieckiego z Sewerynem Jaworskim w Strzebielinku):

„– A nie mówiłem: »ostrzej«, panie Mazowiecki?

– A nie mówiłem: »mądrzej«, panie Sewerynie?

– I na co się panu ta mądrość przydała?

– A na co panu ta ostrość?”.

Z drugiej zaś strony nawet te kręgi nie zdecydowały się „Roku owego” wynieść do rangi symbolu. Często przecież historyczne daty nabierają znaczenia wraz z emocjami, jakimi je obdarzymy. Nasze emocje po roku 1989 skompromitowały i nas, i ten czas. Dlaczego?! Czy rok 1989 był ostry czy mądry? Jedno nie ulega dla mnie wątpliwości – był optymalny. I był to bez wątpienia najpiękniejszy dzień mego życia. Mieszkalem wtedy, czyli w 1989 roku, na Chłodnej 11. Tej Chłodnej, z której (chyba spod nr 15) 30 kwietnia 1982 nadano drugą audycję Radia „Solidarność”. I wtedy też tam byłem – na pierwszym piętrze nad sklepem spożywczym.

W czasie gdy słuchaliśmy Zbyszka Bujaka w Radiu „S”, helikopter milicji wściekle pragnącej namierzyć stację omal nie wleciał mi do mieszkania!



*Chłodna 11,
stan wojenny
– widok z mojego okna:
kościół,
bibuła w maluchu
i przekręt w sklepie*

I to pod ten sam sklep spożywczy podjechałem świtem 5 czerwca 1989. Położyłem się na kierownicy mego malucha, trąbiąc i budząc sąsiadów okrzykiem „Zwycięstwo!” – o którym byłem już przeświadczony po informacjach, które jako mąż zaufania jednej z warszawskich komisji wyborczych przyniosłem z siedziby Wolskiego Komitetu Obywatelskiego. Mieścił się on w wielokrotnie potem przez opozycyjną prawicę używanym Domu Kultury i siedzibie Klubu Nauczycielskiego przy Działdowskiej 6.

Tak więc dzień 4 czerwca wciąż wydaje mi się ważnym, może najważniejszym w całym moim życiu. To dzień, który zmienił Polskę i Europę, bez którego nie byłoby ani czechosłowackiej aksamitnej rewolucji, ani zburzenia berlińskiego muru.

Saszka Gurjanow zaprzeczy. Powie (w rozmowie z Jankiem Strękowskiem): „1989 rok wspominam z rozrzewnieniem. U nas to był rok dziwny, czuło się jakieś uniesienie. Okazało się, że wszystko może być inaczej. Ale, wie pan, w Polsce jest to sprawa zupełnie nieznaną. A przecież przed wyborami w Polsce odbyły się wybory w Związku Radzieckim. Już w marcu. Te wybory wolne były zasadniczo w tym samym stopniu co w Polsce. A zainicjował je Gorbaczow.

– Kto mógł w nich kandydować?

– Każdy. I nie musiał być członkiem KPZR. Kandydatów wysuwały załogi. Niekoniecznie robotnicze. Zebrania mieszkańców. 2/3 kandydatów miało być wybieranych w wyborach wolnych, z głosowaniem, a 1/3 miała pochodzić z wyborów wewnątrz różnych organizacji społecznych, które zostały

zakwalifikowane jako uprawnione. Wśród nich była KPZR, związek zawodowe, twórcze, Akademia Nauk. Na początku byliśmy przekonani, że to jest absolutnie niedemokratyczne, bo 1/3 miejsc jest zarezerwowana. Ale tymczasem, choć zasada niedemokratyczna, wewnątrz Akademii wywiązała się zażarta walka. Głównie chodziło o to, czy w Akademii ma być wybierany Sacharow. Sacharow uważał, że ponieważ przez całe życie był związany ze środowiskiem naukowym, więc to środowisko powinno go wybrać. No i mieliśmy te wolne wybory. Pierwsze posiedzenia Zjazdu Deputowanych w całości były transmitowane przez telewizję. Cały kraj przez kilka tygodni nie odchodził od telewizorów. Odczuwaliśmy trochę satysfakcji, że u nas jednak wszystko odbyło się wcześniej. Ale przekonałem się, że w Polsce nikt o tym nie wie. Nikt nie wie, że były wtedy jakieś wybory w ZSRR, że była fala wielkiego afektu do demokracji. A jestem przekonany, że jeżeli ograniczyć się do lat po 1985 r., to ta cała fala, która doprowadziła do aksamitnych rewolucji w NRD, Czechosłowacji, Węgrzech, Polsce, jednak zrodziła się u nas. Impulsy niezbędne, może nie jedyne, przyszły wtedy z Moskwy. Ale jak taki pogląd wygłosiłem wśród Polaków, to się zachnęli.

– Polacy uważają, że wszystko rozpoczęła „Solidarność”. A zmiany wymusili swoim oporem w latach 80.

– Zgadzam się z tym, że system komunistyczny doznał pierwszego i zasadniczego pęknięcia kręgosłupa w okresie Solidarności. Ale kolejne prądy ożywcze zaczęły się, kiedy przyszedł Gorbaczow. Dobrze pamiętam ten moment. Jeszcze zanim zapowiedział pierestrojkę, powiedział coś, co na nas w instytucie wywarło wielkie wrażenie. Mianowicie że każdy ma robić to, co do niego należy. Każdy *dołżen zanimatsia swoim dielom*. Naukowiec nie może kopać ziemniaków. A jeżdżenie na wykopki było dla nas prawdziwą zmorą. To było niesamowite. Nagle słyszymy, że naukowiec ma nie kopać ziemniaków”.¹

No właśnie – tyle to na pewno z Rosji przyszło, że „naukowiec nie ma kopać ziemniaków”! Oczywiście, wszystko co twierdzi Gurjanow, syn Goldzamta, to prawda. Z pewnością nie byłoby Okrągłego Stołu bez pieriestrojki – radzieckiego przyzwolenia na liberalizację.

Skąd jednak to przyzwolenie się wzięło i co ono znaczy? Jacek Kaczmarecki w piosence o zafascynowanym Rosją Radziecką Brunonie Jasieńskim śpiewał: „*Strażnik z twarzą kałmuka w moim płaszczu i butach*”. No właśnie – kałmuk,

1 Coś trudnego do ogarnięcia. Z Aleksandrem Gurjanowem rozmawia Jan Strękowski, w: R. Januszewski, J. Strękowski, Polska w oczach cudzych, Wrocław 2003, s.231–232

który najchętniej pognałby wszystkich swoich i cudzych inteligentów na Syberię czy wykopki zorientował się, że nie ma już z kogo butów zdzierać. Że opanowawszy ćwierć Europy, poćwiartował ten kontynent pozbawiając go ekonomicznej wydolności. Kałmuk nie był już w stanie zagłuszać radiostacji, powstrzymywał przemytu, tłumić protestów. Więc uległ. Ulegał stopniowo od śmierci Breżniewa w konwulsjach geriatrycznych przemian poprzez – kto ich pamięta: Andropowa, Czernienkę, wreszcie Gorbaczowa z jego „głastnością” i „uskorieniem” składającymi się na tzw. pieriestrojkę.

Wybory wiosną 1989 roku w Związku Radzieckim pewnie istotnie były jakimś otwarciem. Być może nawet sygnałem dla Jaruzelskiego. Jednak dla Europy i przekształcenia systemu nie miały najmniejszego znaczenia, bo nikt o nich nie słyszał. Znaczenie miały natomiast polskie wybory czerwcowe właśnie dlatego, że o nich cały świat się dowiedział – przede wszystkim kraje obozu socjalistycznego. Wybory roku 1989 były głośnym potwierdzeniem tego, co od '80 po '89 cicho negocjował z Rosjanami Jaruzelski – że oddanie czy podzielenie się władzą z opozycją nie zakończy się radziecką interwencją.

Ma jednak historia trzy swoje wymiary: fizyczny, intencjonalny i mityczny. I wbrew pozorom niekoniecznie są one jednakie. Szczególnie jeśli ten fizyczny nie będzie miał ostatecznego wymiaru. Można bowiem zmieść miasto (choćby takie jak Pompeje) bądź całą cywilizację (kreteńską czy aztecką) z powierzchni ziemi. Można wybić całe populacje. Tak jak wybito Indian północnoamerykańskich, Jąćwingów, obywateli Wandei. W dziejach znikaly bez śladu całe cywilizacje i populacje. I to jest aspekt fizyczny historii. Jeśli z Atlantydy czy dawnej Krety nie pozostało nic – to i nic nie zmienia intencji, ani nie stanie się mitem.

Inaczej jest jednak, gdy zdarzenie można rozmaicie interpretować. Zauważyć lub nie, nagłośnić lub wyciszyć. Trzy tysiące lat temu faraon Ramzes II wcale nie zdobył miasta Qadech. Słynna bitwa stała się wstępem do rozejmu, a w dalszej perspektywie sojuszu między Egiptem a Hetytami.

Cóż z tego, skoro na „zwycięskiej” bitwie o Qadech oparta została cała mitologia średniego państwa egipskiego i wielkość polityczna Ramzesa II. Historia nie spisana, lecz strawiona ogniem i mieczem znaczone, bywa posłuszna politykom. I tak jest, tak może być również z rokiem 1989. Wybory w ZSRR nie miały najmniejszego znaczenia, polskie z 4 czerwca 1989 były sygnałem, który uruchomił lawinę zdarzeń w Czechosłowacji, która na prezydenta

powołała subtelny literata, okrutny mord dokonany na Słońcu Karpat, Ceaușescu i jego żonie – 25 grudnia 1989 roku w rumuńskiej Târgoviște, czy pokojowe rozebranie muru berlińskiego, które zaczęło się 9 listopada tego samego roku.

Która z tych dat pozostanie w historii? Którą wspominać będą po tysiącu lat? Kto stanie się autorem największej pokojowej rewolucji w dziejach? Służby KGB, ludzie honoru czy Jaruzelski wraz Kiszczakiem i jego rzecznikiem Wojciechem Garstką, który te zmiany zapowiadał już latem 1987 roku? Twórcy porozumienia Okrągłego Stołu, czy kilkadziesiąt tysięcy Polaków takich jak ja, którzy nie chcieli umierać na barykadach jak ich rodzice, ale też nie umieli żyć na kolanach i ani im w głowie było jeździć na jakieś wykopki!

Walka o historyczną pamięć, o intencjonalny wymiar tych wydarzeń jeszcze się toczy. I nie ulega wątpliwości, kto ją wygra – ten, kto więcej wysiłku włoży w zapis naszej pamięci. Prezydent Lech Kaczyński miał tego świadomość podkreślając wagę jak ją nazywał „polityki historycznej”. Wydał też sporo pieniędzy na utrwalenie pamięci powstania warszawskiego. Za pamięć o Katyniu oddał życie pod Smoleńskiem 10 kwietnia 2010 roku.

Fundując Muzeum Powstania Warszawskiego Lech Kaczyński sprawił, że wydarzenia z 1944 roku zamieszkały trwalej w pamięci każdego warszawiaka i gościa, który odwiedzi to miasto. Powstanie, w którym, jak to świetnie powiedział kiedyś Mirek Chojecki, przez 63 dni codziennie ginęło tyle osób, ile kosztował Amerykanów jeden zamach z 11 września 2001 na WTC. Około 2600 osób razy 63 to łącznie przeszło 160 tys. warszawiaków, którzy padli w powstaniu. Liczba to trzykrotnie większa nawet od liczby ofiar wcześniejszego powstania w warszawskim getcie, które, nie licząc oczywiście wcześniejszych eksterminacji, pochłonęło 62-63 tysiące ofiar. Tych ostatnich od roku 1948 czci plac Muranowski i Powstańcy warszawscy swego Pomnika na placu Krasieńskich doczekali się dopiero w 1989 roku. Odsłonięto go w 45. rocznicę powstania. Otwarte w 2004 roku Muzeum czekać musiało 60. rocznicy!

Niestety często jest tak, że to, co i jak zostanie zapamiętane to tylko i wyłącznie kwestia trwałości i wielkości pomników, którymi upamiętniamy dzieje.

Nie ulega wątpliwości, że skłóceni Polacy robią ciągle zbyt mało, by nasz wkład w historię powszechną został zapamiętany. Co gorsza, jeśli już wreszcie to robimy, wówczas skupiamy się nie na tych aspektach, co trzeba. Wspominamy kłęski, miast szczycić się zwycięstwami czy nawet je anektować. Pamięć

o powstaniu warszawskim czy mordzie katyńskim jest oczywiście bardzo ważna. Bo to pamięć o tym, czym Polska była. To świadectwo zwrócenia się ku wytrzebionej w czasach II wojny światowej polskiej inteligencji.

Ale o ileż ważniejsza jest pamięć zwycięstwa. Bo to znak nadziei na to, czym Polska być może. Czerwiec 1989 roku to czas zwycięstwa mojego pokolenia „Solidarności”, które definiowałem jeszcze w połowie lat 80., a które zdołało handlem i podstępem, negocjacjami i oszustwami uzyskać to, o czym się nikomu nie śniło: kraj otwartych granic, porównywalnych dochodów, swobody języka. Pokolenie „Solidarności”? A cóż to takiego? Definicję sformułowałem ćwierć wieku temu.

II
POKOLENIE „SOLIDARNOŚCI”
– konflikt z wychowawcami

*„Nic, nowego nic / i zimą nuda taka, że...
a w sąsiedniej wsi / to pociąg wykoleił się”*

– śpiewali gdzieś w połowie lat sześćdziesiątych „Skaldowie” do słów Leszka A. Moczulskiego, a Wojciech Młynarski wtórował im lansując piosenkę o Kolumbach:

*„Dzieci Kolumba, dzieci Kolumba
Dziś już są dawno dorosłe,
Przygód nie znają, przed sobą mają
Drogi przetarte i proste!
Szlak wiedzie jasny, tędy i tędy,
Nikt się nie waha ni chwili...
Nawet na własne nie stać ich błędy –
Starzy je dawno zrobili!”*

Dokąd wiódł ten szlak, któremu pokolenie dojrzewające w Polsce w sześćdziesiątych latach XX wieku i chciałoby się przeciwstawić, i nie widziało ku temu jasnych powodów? Pewnie do naszej małej stabilizacji, jak określił epokę Różewicz. Pewnie ku temu, „aby Polska rosła w siłę, a ludzie żyli dostatniej”, co głosił dla nich właśnie sformułowany jeden z nielicznych powszechnie przez Polaków akceptowanych sloganów partyjnej propagandy.

Dwadzieścia, trzydzieści lat po jednej z największych wojen w dziejach ludzkości dzieci Kolumba wychowane przez świadków historii i bohaterów, znajdujące w szufladach ojców akowskie opaski, jeszcze nie całkiem pożółkłe konspiracyjne gazetki z nazwiskiem dziadka rozstrzelanego przez okupantów oraz niewykorzystane egzemplarze kartek żywnościowych, słuchały opowieści o czasach

pogardy. Historia okupacji była dobrze znana. Rodzice przybliżali ją wspomnieniami, w szkole niemal nie było czytanki, akademii, lekcji, w której by o wojnie nie mówiono. Jak życie Chrystusa zostało wpisane w rok liturgiczny, tak cykl II wojny światowej mieścił się w programie roku szkolnego. Od akademii pierwszorzeczniowej, w której początek roku szkolnego zbiegał się z kolejną rocznicą wybuchu wojny i podczas której odpowiedzialny nauczyciel musiał pogodzić wierszyki typu „Witaj szkole kochana” z elegijnym: „Kiedy się wypełniły dni i przyszło zginąć latem...”, od akademii wrześniowej zatem, poprzez styczniowe święto wyzwolenia Warszawy, skończywszy na majowej akademii z okazji podpisania kapitulacji przez Trzecią Rzeszę, rok szkolny był wojny początkiem, wakacje przynosiły pokój.

Opowieści o wojnie towarzyszyły nam od kołyski. Słuchaliśmy ich z mieszaniną ciekawości, zazdrości i narastającej z czasem nudy. Bowiem wspólny moral, który płynął z domowej klechdy, szkolnej pogadanki czy radiowo-telewizyjnej agitacji sprowadzał się niezmiennie do stwierdzenia, że pokolenie urodzone po II wojnie światowej ma szczęście żyć w świecie rozwijającym się pokojowo i powinno być za to wdzięczne losowi. Pacyfizm, czy raczej pokojowy rytuał, stał się rodzajem religii wszystkich, którzy przeżyli okupację.

Świadomość problemowa młodego pokolenia dojrzewającego w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych była zatem świadomością historyczną. A to znaczy – świadomością istotnych faktów z przeszłości, lecz systematycznie wpajającym schematem historycznej dialektyki.

Kiedyś było źle, uczono nas już od kołyski, klasa pracująca była wyzyskiwana przez kapitalistów, naród polski pozostawał w niewoli. Potem masy w Rosji zbuntowały się przeciw temu, a Polacy odzyskali niepodległość. Lecz w sanacyjnej Polsce nie przewyciężono niesprawiedliwości klasowych. Więc Hitler podbił nasz kraj, który został wyzwolony dopiero przez opierający swój system na jedynie słusznych zasadach sprawiedliwości społecznej – wielki naród radziecki. Socjalizm przyniósł Polsce dobre granice, a społeczeństwu polskiemu ofiarował słuszne zasady współżycia gwarantujące, że każdy otrzyma według swojej pracy oraz zapewnienie, że należy mu się według jego potrzeb.

Świadomość społeczeństwa polskiego stała się zaś świadomością postępu. Wojenna degrengolada, zrujnowanie miast, migracja ludności krążącej po całym kraju w jego nowych granicach, a także zachwianie drabiny społecznej, powszechne zubożenie, a co za tym idzie zrównanie społeczeństwa, oraz równie

powszechna chęć odbudowy sprawiły, że w ciągu pierwszych kilkunastu lat po wojnie postęp stał się dostrzegalny gołym okiem. Tam gdzie wczoraj stała ruina, jutro wyrastał dom. Ten, kto dziś szedł do pracy piechotą, jutro mógł wsiąść do tramwaju. To, co jutro odbierze się w pracy w charakterze przydziału, pojutrze będzie można kupić w sklepie za zarobione i posiadające realną wartość pieniądze.

Być może ludzie wiedzieli, rozumowo pojmowali, że wszystkie te osiągnięcia, którymi nasycone były pierwsze powojenne lata, stanowiły przyspieszone przebywanie drogi od gospodarki towarowej do towarowo-pieniężnej, od poziomu życia koczowników do cywilizacji europejskiej. Ale zdawać sobie sprawę to jedno, a odczuwać to drugie. Ludzie odczuwali, że jest lepiej, a zatem mimo woli dawali wiarę komunistycznej teorii głoszącej, że buduje się nowy, lepszy ustrój, system sprawiedliwości społecznej. Charakterystyczne przy tym, iż o ile marksistowskiej teorii postępu udało się w ten sposób przeniknąć do wyobraźni zbiorowej, to jednak propagandzie nie udało się oszukać powszechnej świadomości. Budując nową Polskę i nowy, lepszy świat nikt nie ludził się, że osiąga coś więcej niż przedwojenny poziom średniozamożnego państwa europejskiego. Przeciwnie, w miarę oddalania się w czasie okres dwudziestolecia zmieniał się w mityczny raj ekonomiczny. Sklepy bez kolejek, chrupiące bułeczki, cytrusowe owoce dostępne o każdej porze roku, to brzmiało jak bajeczka babuni i wywoływało u młodych podświadomą tęsknotę za kapitalizmem. Tęsknotę, którą wspierał kształtujący się mit szczęśliwego Zachodu, sycony obrazem wujka z Ameryki, przysyłającego zza oceanu łakocie, a później po prostu kilka dolarów umożliwiających zakup dżinsów w PeKaOwskim (przemienionym dopiero później w Pewexy) sklepowym rajem.

Entuzjastyczne likwidowanie skutków wojny przez wynędzniałe społeczeństwo wytworzyło zbiorową wiarę w postęp i wpłynęło na ukształtowanie się społecznego etosu zasługi. Wobec rozbicia rozrzuconych po całym kraju, wyzbytych siedlisk rodzin, w większości przestały być one źródłem oparcia. Młode małżeństwa zawierane w latach czterdziestych i pięćdziesiątych XX wieku rzadko mogły liczyć na pomoc ze strony krewnych. Zostały więc skazane na zwrócenie się ku monopolizującemu wszystkie dziedziny życia społecznego państwowemu mecenatowi. A ten wiele obiecywał. Przede wszystkim posadę (zwaną od jego państwowego imienia etatem), bezpłatną opiekę lekarską, opiekę nad dziećmi w żłobkach i przedszkolach, bezpłatną edukację. Chłopom ofiarowywał ziemię, mieszkańcom miast – mieszkania. Nawet samochód miał się z czasem stać powszechnie dostępnym dobrem. I trzeba przyznać, że gdzieś do połowy lat

szesćdziesiątych obietnice te były w coraz pełniejszym stopniu realizowane. Warto więc było wychowywać swe dzieci do spełniania oczekiwań mecenasa. Tych tylko formułowanych i tych faktycznych.

Zostawmy na razie na boku rzeczywiste wymagania mecenasa. Lepiej skupić się na oczekiwaniach formułowanych. Albowiem tutaj rodzinne wychowanie, szkolna skala wartości oraz państwowa propaganda okazały się zaskakująco jednomyślne. Rodzice, którzy przeżyli wojnę, doznali upokorzeń ekonomicznych, patriotycznych i politycznych czasu okupacji oraz lat stalinowskich, uwierzywszy, że możliwe jest zbudowanie społeczeństwa sprawiedliwego, przygotowywali swoje dzieci do życia w takim właśnie ustroju.

Można powiedzieć krótko, że był to pozytywny model wychowania. Swoje gorycze, trudności, zawody pokolenie Kolumbów uznało za przewyciężone. Stwierdziło, że jeśli coś jest jeszcze do zrobienia, to oni, rodzice, dadzą sobie z tym radę, pozostawiając dzieciom jasną, bezkonfliktową przyszłość. Otóż to, bezkonfliktową. Pokolenie „Solidarności”, bo tym chyba mianem trzeba określić wszystkich wychowanych już w Polsce Ludowej, urodzonych między 1945 a 1960 rokiem, na których doświadczenia pokoleniowe składały się Marzec 1968 roku i Grudzień 1970, które Sierpień 1980 roku spiął niejako i podsumował; otóż pokolenie „Solidarności” nie było wychowane do walki. I to w żadnej ze sfer. Ani narodowej – przez lata nikt nie kwestionował niepodległości i przed 13 XII 1981 roku nawet w kościołach zdecydowana większość śpiewała „Ojczyznę wolną pobłogosław Panie”. Ani ekonomicznej – wszak jedynym dysponentem zarobku i pracy było państwo, które zobowiązało się płacić każdemu według jego zasług. Należało postępować zgodnie z zespołem prospołecznych, organicznikowskich wartości uznawanych przez rodziców, a przez państwo zalecanych jako kodeks socjalistyczny możliwy do realizacji jedynie w państwie socjalistycznym reprezentowanym przez swoje socjalistyczne instytucje: szkołę (dobre wyniki w nauce), wojsko (posłuszeństwo i szacunek dla przełożonych), pracę (kompetencja i doświadczenie).

Nie było w tym modelu miejsca na nierówności. Te społeczne miały zaniknąć, a dysproporcje majątkowe w gomułkowskiej Polsce były niewielkie. Merkantylny stosunek do życia tradycyjnie niezbyt wysoko oceniano w normotwórczych środowiskach polskich. Zatem, wobec dość konsekwentnie prowadzonej polityki ujednolicania dochodów i nikłych możliwości zgodnego z prawem ich zwiększania,

nastawienie na wzbogacanie się raczej nie gwarantowało społecznego prestiżu, nie wytrzymywało konkurencji z wartościami prospołecznymi.

Przedstawiciel pokolenia „Solidarności” raz uwierzywszy w postęp miał słuszne prawo uważać, że po okresach w historii, kiedy pozycję w społeczeństwie wyznaczał cenzus urodzenia (w ustroju feudalnym), oraz po czasach kapitalistycznych, gdy decydował cenzus majątkowy, przyszło mu żyć w systemie, w którym decydującym jest cenzus wykształcenia.

Tym też należy tłumaczyć ów bój, jaki w pokoleniu szczytu demograficznego (ur. 1950–1956) toczył się o każde miejsce w liceum, o wstęp na wyższą uczelnię, niezależnie od stopnia atrakcyjności wydziału. Tak, tę jedyną walkę o wykształcenie wpojono pokoleniu „Solidarności” jako drogę do sukcesu. Tu wszystkie metody były dobre. I ciężko opłacane korepetycje, i dwa lata pracy fizycznej dla zdobycia punktów za pochodzenie, i protekcje, i łapówki. Dyplom miał być gwarantem sukcesu. Każdy dyplom, gdyż w społeczeństwie równości nie miało przecież istnieć pojęcie lepszych i gorszych zawodów. Z wykształceniem wiązała się praca, prestiż zawodowy, rosnące, nadążające za mającym się podnosić poziomem życia zarobki. Wpóiwszy młodemu pokoleniu ideę postępu obiecywano zarazem, że będzie mu lepiej, niż było rodzicom, że proporcjonalnie do zasług jego trud zostanie nagrodzony.

Stało się dokładnie na odwrót. To wiemy. Na wszystkich polach państwowy mecenat okazał się fikcją. Na mieszkanie oczekiwało się dziesięciolecia, mimo że płacono za nie duże pieniądze w spółdzielniach, a kwaterunkowe przydziały stały się niemal wyłącznym przywilejem elity władzy. Pozaszpitalne leczenie darmowe swoim poziomem odstraszało nawet najuboższych, a płatne wizyty u lekarzy, w odróżnieniu od krajów zachodnich, nie były objęte żadnym ubezpieczeniem. Państwowe przedszkola również stały się przywilejem, sprawiając, że wielu rodziców zmuszonych było płacić krocie za prywatną opiekę nad dziećmi. Oficjalna cena popularnego samochodu, za którą można było kupić wóz po kilkuletnim oczekiwaniu, odpowiadała dwuletnim dochodom otrzymującego średnią płacę pracownika. Cena czarnorynkowa, czyli faktyczna, odpowiadała sumie dochodów z lat blisko czterech. Dodawszy do tego, że za średnią płacę, której *notabene* nie osiągalni ani nauczyciele, ani naukowcy, ani pracownicy kultury, można było kupić analogiczną ilość chleba, co za najskromniejszy zasilek dla bezrobotnych we Francji (tysiąc bułek za 16 000 złotych, to jest tysiąc bagietek za 2600 FRF),

otrzymamy odpowiedź na pytanie, jak władza wywiązała się ze zobowiązania zlikwidowania bezrobocia. W zachodnioeuropejskim rozumieniu tego słowa w Polsce na zasiłku dla bezrobotnych było całe społeczeństwo – z wyjątkiem tych, którzy w ogóle nie mogą znaleźć pracy, pozbawieni byli wszelkich zasiłków i świadczeń. Bezrobocie stało się w latach 1984–1987 w Polsce realnym zagrożeniem dla wszystkich wykształconych do pracy w sferze nieprodukcyjnej: w szkołach, urzędach, instytucjach naukowych, w prasie. Powiększała się rzesza ludzi sfrustrowanych finansowym niedostatkiem, a także niemożnością realizacji zawodowej.

Jak powiedziałem, pokolenie „Solidarności” nie zostało wychowane do walki. Wpojono mu przeświadczenie, że ostatni wrogowie polegli na wojnie. Można chyba zaryzykować tezę, że jeszcze w Sierpniu 1980 roku ludzie formułujący gdańskie postulaty w przeważającej większości nie zdawali sobie sprawy z rozmiarów i istoty konfliktów drążących społeczeństwo polskie. Widać to w sposobie formułowania 21 postulatów. Jeszcze wyraźniej można dostrzec w postulatach strajkowych ze Szczecina, jak silnie wierzono w szczerą wspólność przez rodziców i władzę głoszonych maksym moralnych, z jakim optymizmem zakładano, że rząd jest jak surowy, nierozpieszczający ojciec – da, co się od niego wymaga, jeśli się tylko tego w sposób twardy, świadczący o dojrzałości i rozsądku zażąda.

Wynikało to w dużej mierze ze strategii, jaką narzucona Polakom komunistyczna ekipa przyjęła od chwili objęcia rządów w 1945 roku. Przeświadczona o swej koniecznej, nie z wyboru, lecz z wyroku historii, naznaczonej roli, władza przyjęła wobec społeczeństwa ton rodzicielsko-mentorski. To przeświadczenie o naturalności swego panowania, wzmocnione przekonaniem o własnej, głębszej znajomości realiów i bogatszym doświadczeniu, zaowocowało w specyficznym sojuszu władzy z pokoleniem rodziców. Sojusz ten objawiał się we wpajaniu ideałów, których wprawdzie nigdy nie dało się w pełni zrealizować, lecz w których rychłe wcielenie wierzyli wszyscy, którzy unieśli głowy ze świadomie przeżytej wojny.

Tak, to właśnie wojna położyła się murem niedopowiedzenia między pokoleniem Kolumbów a pokoleniem „Solidarności”. To był mur odmiennego stosunku do tej samej przeszłości. Starając się zaszczepić w młodszym pokoleniu wstręt do wojny zapomniano, że to, czego się nie przeżyło, choćby było nawet najlepiej znane, plasuje się w **wyobraźni mitycznej** niezależnie od tego, czy owe zdarzenia miały miejsce pięć czy pięć tysięcy lat przed obudzeniem się pamięci. Natomiast **wyobraźnię historyczną** tworzą własne i tylko własne wspomnienia jed-

nostki. Dla człowieka urodzonego w roku 1954 istnienie Stalina nie ma większego znaczenia ani konkretniejszego wyglądu niż istnienie Kreona. Zaś wyobraźnia mityczna dostarcza wzorów nie stanowiąc przestrogi. Gdy w telewizji polskiej rekordy popularności biła „Stawka większa niż życie”, mury Warszawy zaczęły pokrywać znaki Polski Walczącej stawiane przez dzieci, które bawiły się w partyzantów i konspiratorów. I to, że te dzieci w dojrzałym już wieku ryzykowały nieco więcej niż klątwę dozorczy bądź uwagę paniusi oburzonej, że smarkacze szargają świętości, to że pokolenie „Solidarności” nawiązało w swojej obrzędowości do całego szeregu wojennych rytuałów, było zarazem ucieczką w świat fikcji i bezkarności. Było powrotem do zabaw dzieciństwa. Trochę indiańskim pióropuszem i powstańczą opaską, trochę statystowaniem w filmie narodowowyzwoleńczym, a trochę przekornym gestem w stronę ogłupiałych ojców – gestem, w którym odzyskiwało się własną godność. Jeśli o pokoleniu Kolumbów można powiedzieć, że dojrzało zbyt wcześnie w ogniu powstania, w grozie łapanek i terrorze obozu koncentracyjnego, to pokolenie „Solidarności” w swej masie nigdy nie dojrzało. Więc z tej niedojrzałości, młodziankowatości (jakby powiedział jego guru Gombrowicz) czerpało swą siłę.

Pokolenie „Solidarności” słusznie może się nazwać oszukany pokoleniem. Uczono nas, że żyjemy w państwie niepodległym, lecz gdy zechcieliśmy rządzić sami u siebie, najmądrzej jak tylko masowy ruch społeczny jest w stanie to uczynić, wtedy władza zaczęła mówić o geopolityce, a matki i ojcowie wzniesli brwi w zdziwieniu, że nowością są dla nas liczne fakty z historii stosunków polsko-radzieckich w czasie okupacji i później. Uczono nas, że zasługi zostaną nagrodzone, a tu, gdy w swojej masie zdobyliśmy kwalifikacje zawodowe i wykształcenie, państwo rozłożyło ręce nie tłumacząc się, dlaczego w ramach planowej gospodarki nie zachowało proporcji między ilością miejsc w szkołach i na uczelniach przygotowujących do zawodu, a możliwymi do stworzenia stanowiskami pracy zgodnej z kwalifikacjami. Rodzice zaś zdziwili się, że nie wiedzieliśmy (wszak człowiek dojrzały winien zdawać sobie z tego sprawę), że każdy mecenas, każda instytucja czy to państwowa, czy kościelna, podziemna lub emigracyjna, wymagać będzie od nas uległości, przystosowania, adaptacji, słowem ograniczać będzie naszą wolność. A przecież nas wychowano w kulcie wolności. Wychowano nas ku niej, odbierając jednocześnie świadomość jej ograniczenia.

Nikt nie zaszczepił w nas tej trywialnej prawdy, że indywiduum jest wolne o tyle, o ile nie krępuje go materialny niedostatek. Że, inaczej mówiąc,

jedynym sposobem poszerzenia swojej wolności jest uniezależnienie się ekonomiczne. Oczywiście to pojęcie niezależności może być różnie interpretowane. Może oznaczać niezależność od zarabiania, czyli posiadanie zasobów „pod podłogą”, może oznaczać uzależnienie się od dającej wsparcie rodziny przy uniezależnieniu się od tego, dla kogo się pracuje zawodowo. Może też być na odwrót. Zawsze jednak niezależność ekonomiczna oznacza wyzwolenie się od frustracji związanych z niemożnością życia na poziomie wzorotwórczym. Kryzys lat osiemdziesiątych XX wieku charakteryzował przy tym szczególny paradoks. Przy katastrofalnym, cofającym społeczeństwo o jakieś dwadzieścia lat, spadku stopy życiowej całego społeczeństwa jednostki nie biedniały lub ubożały w mniejszym zakresie. Inaczej mówiąc, społeczeństwo żyło lepiej i stwarzało wyższe wzory stylu życia, niżby to umożliwiał kontakt z państwowym mecenatem.

Rzecz w tym, że między pokoleniem Kolumbów, a dziećmi „Solidarności” nie było niwelującej różnicy wojennej pożogi, ruiny, która doprowadzając prawie wszystkich na skraj nędzy, instaurowałaby tak ładnie dającą się zideologizować równość w niedostatku. Skończyła się również kształtowana przez ubogą większość atmosfera, w której nawet ci, co ocalili z wojny jakieś zasoby, obawiali się podwyższyć swój poziom życia powyżej przeciętnej, by nie budzić nieufności u pozostałych. W pokoleniu „Solidarności” zachwiane przez wojnę, migrację i nową władzę podziały środowiskowe odrodziły się, tworząc silną grupę neomieszkańską, obszary ubóstwa oraz finansowe, intelektualne, a także skupione przy władzy elity.

Procesy dziedziczenia majątku, pozycji społecznej i umiejętności upomniały się o swoje prawa. Upomniały się z tym większą gwałtownością, im bardziej nieświadoma ich istnienia była generacja, w której obudziły się te typowe społeczne reakcje.

Postępowanie jednostek stało się więc instynktowne, odruchowe. Nieprzygotowani, w sytuacjach konfliktowych często nie potrafiliśmy ani przewidzieć, ani okiełznać własnych psychologicznych reakcji. Nie znając reguł społecznej walki ludzie nie potrafili atakować ani się bronić.

Idea postępu zadrwiła sama z siebie. Zadrwiła pozostawiając jako pamiątkę ten krótki okres pierwszego dwudziestolecia intensywnej odbudowy kraju, w którym wywołała złudzenia, że może obowiązywać stale. Rzeczywistość przeciętnie rozwiniętego, źle rządzonego państwa z rozbudowaną strukturą społeczną, zaskoczyła wszystkich. I ojców, i dzieci. I władzę, która uwierzyła już

we własne slogany, i obywateli, którzy pragnęli żyć w ustroju sprawiedliwości społecznej. Z całą oczywistością okazało się, że od któregoś momentu w kraju realnego socjalizmu siódma córka szewca z prowincji nie ma żadnych szans na studiach w porównaniu z synem stołecznego intelektualisty. A nie miała ich także dlatego, że nikt nie śmiał sformułować upośledzenia jej sytuacji. W myśl teorii – wszyscy są równi. Nie wytworzono więc mechanizmów obrony słabszego. Równie paradoksalne zdawało się stwierdzenie, że człowiek w socjalistycznym państwie, pragnący się oddać pracy twórczej, musiał dać się kupić bez zastrzeżeń jakiemuś mecenasowi, rodzinnemu bądź państwowemu. Ale właśnie dlatego, że takie stwierdzenia przeczyły zarówno ideologicznej, państwowej teorii, jak i urągały moralnemu kanonowi wpajanemu przez rodziców w pokolenie „Solidarności”, generacja ta pozbyła się wnet wszelkich czy to zinstytucjonalizowanych, czy to kulturowych hamulców łagodzących tego rodzaju konflikty.

*„Każdy za siebie, kosztem każdego
Na prywatną miarę grób mości”*

– wyśpiewa Jacek Kaczmarski w późnych latach 90. swoje „Dwadzieścia lat później wg Dumasa”. Zasadniczy codzienny dramat życia odsłaniający, że nie wszystko od pozytywnych wartości zaangażowanych w realizację określonych celów zależy, ukazał się w ten sposób jak rewelacja.

Realia zmieniły się, jednak teoria obowiązywała długo. Teraźniejszość premiowała minimalizm, kombinatorstwo, bezwzględność i cynizm. Teoria z przemówień przywódców narodu i rodzicielskich wskazań przeniesiona do Kościoła lub na jego obrzeża głosiła, że gdy brak nadziei na powszechne wypłacenie zasług, trzeba się pogodzić z faktem, że kto miał, ten mieć będzie i obfitować będzie.¹ Proponowano więc tworzenie społeczeństwa uwewnętrznionego, pogłębionego, obojętnego na pokusy tego świata.

Była w tym pewna konsekwencja, gdyż postawa taka nie zmuszała do zmiany światopoglądu. Była to wprawdzie propozycja dla jednostek, nie zaś dla społeczeństwa czy generacji, ale tym jednostkom właśnie pozwoli ona zachować w sercu ową utopię moralną stworzoną przez pokolenie Kolumbów jako rodzaj antidotum na etyczne piekło okupacji, w które zostali wrzuceni. Ta skrajnie

¹ *Albowiem ktokolwiek ma, będzie mu dano i obfitować będzie, a kto nie ma, i co ma, będzie wzięte od niego. (Matth.13,12).*

idealistyczna, wyraźnie odreagowująca okupację doktryna wychowawcza złowrogo zaowocowała jednak w pokoleniu, któremu prawa życiowej walki nie zostały w ogóle wszczępione. Toteż gdy w tej dziewiczej generacji zaczynały się objawiać normalne życiowe konflikty interesów, pozycji, majątku, prestiżu, można było odnieść wrażenie, że wkracza się w dżunglę walki o byt na poziomie dziewiętnastowiecznego kapitalizmu wolnokonkurencyjnego, chaszcze walk o pozycję i busz politycznych sporów. Widać to było wyraźnie w czasie „Solidarności”, objawia się to dziś szczególnie mocno w sferze ekonomicznej. Można powiedzieć śmiało, że jeszcze w tym nieznanym wojny pokoleniu odbija się jej ponure piętno. Z wyżyn pięknie brzmiących moralno-politycznych idei wpadło ono w życiowe bagno, w którym wyraźnie nie umiało się poruszać.

Czy zdoła znaleźć w sobie dość siły, by w swojej masie ani nie poddać się życiowej szarzyźnie, ani nie zdemoralizować? Tak przeszło ćwierć wieku temu w paryskim „Kontakcie” – pytałem...²



*Filozof
z Fontainebleau,
1984*

² Andrzej Tadeusz Kijowski (pseud. Tadeusz Żeglikowski), *Odsłanianie dramatu*, „Kontakt” 1985, nr 4/36 (kwiecień 1985), s. 22–25.

III

SOLIDARNOŚCI ALBO PRAWO I SPRAWIEDLIWOŚĆ

– konflikt z pragnieniami

Jeśli ktoś wierzy w reinkarnację, a zna przy tym historię i ma wyobraźnię, niech wyobrazi sobie duszę, która przeżywszy w swoich kolejnych wcieleniach wszystkie czasy we wszystkich możliwych miejscach i na wszystkich istniejących szczeblach drabiny społecznej, wezwana została przed oblicze Najwyższej Istoty po to, by raz jeden wybrała sobie czas i miejsce doczesnego życia, w którym jej będzie najlepiej. Po nocach śnić się może jej niepojęta odpowiedź, gdy po namyśle zdecydowała: więc niech to będzie Polska we wschodniej Europie, druga połowa dwudziestego wieku.

W tych czasach upadku cywilizacji zachodniej, jej największego ilościowego rozkwitu i jej nieefektywności, w tych czasach, gdy model kultury europejskiej stał się wzorotwórczy dla całego świata, co różni ją od kreteńskiej, Chaldejskiej, egipskiej, greckiej, rzymskiej, z których żadna całemu światu nie zdołała narzucić swych wzorów, tylko sferę ich docierania nazywała „całym światem”. W tych czasach zatem, gdy bogactwo na powszechnie pożądanym poziomie jest przywilejem kilku krajów, które same siebie nazywają rozwiniętymi, a reszta kuli ziemskiej pogrążona jest w nędzy, jeśli nie fizycznej, to przynajmniej społecznej, wywoływanej frustracją z powodu niemożności zaspokojenia konsumpcyjnych aspiracji; gdy jedna część tego świata zebrze więc o litościwe wsparcie Zachodu, zalewając go zarazem tysiącem azjatyckich czy murzyńskich gąsienic pragnących zaznać tego piekielnego raju, a druga część tego świata zbroi swe hordy, by już wkrótce, grożąc bronią atomową, wydrzeć mu jego bogactwa... Gdy zatem Zachód zwija się w konwulsjach przesytu i braku ideologii, a Wschód wyznaje ideologię pożądania i zazdrości Zachodowi, i gardzi nim zarazem – na pograniczu tych dwóch światów jest kraj szczęśliwy. Kraj co prawda podbity i eksploatowany przez barbarzyńskie hordy ze Wschodu, ale kraj, w którym nikt nie zna głodu. Kraj, który będąc związanym z cywilizacją Zachodu i korzystając z dobrodziejstw

techniki, organizacji, porządku wartości oraz idei demokratycznych, które swego czasu współtworzył, pozbawiony ich w części – choć wciąż nie do końca – odczuwa ich wartość i dobrze zna złudność.

Więc ta dusza przedłożyła Polskę schyłku XX wieku nad Polskę renesansu (gdym „naród” oznaczał Rzeczpospolitą Szlachecką), nad starożytną Grecję i Rzym (gdzie lepiej było nie urodzić się niewolnikiem), nad kraje i sytuacje dostatnie, gdzie ciału tak dobrze, że duch nie wie, ku czemu warto zmierzać. Wybrała i uplasowała się gdzieś w połowie drabiny społecznej przeświadczona, że oto żyć będzie w systemie, w którym każdy otrzymywać będzie według swoich zasług.

Nie pytajmy duszy, czy wiedziała, jaka burza przebiegnie przez to spokojne, pragnące żyć i bogacić się w równości oraz w pokoju pokolenie. Pewnie wiedziała, jako że dany jej był przez Najwyższą Istotę dar jasnowidzenia, pewnie znała rozterki, jakich dostarczy jej życie i uznała, że tych rozterek doświadczanie będzie właśnie gwarantem jej szczęścia w tym polskim, w sumie najlepszym z możliwych, świecie.

Jedno jest pewne. Ta dusza wie, że w tym konkretnym wcieleniu została powołana do szczęścia. Ta dusza, cała ogromna dusza pokolenia „Solidarności”, wie, że jej się należy i wie, że ma prawo wymagać.

Nazwałem taką postawę niedojrzałością, młodziankowatością. Bo jakże nazwać inaczej traktowanie idealistycznych rojeń jako realnych faktów. Jakże inaczej określić instynktowne dawanie wiary wpojonym moralom o zniesieniu w kraju socjalistycznym podziałów społecznych, mimo że doświadczenie, nasze własne losy i postępowanie otoczenia co krok temu zaprzeczają?

Wstrząśnięty przez wojenną pożogę układ ekonomiczny, społeczny, polityczny, nawet moralny, odradza się wraz ze wzrastaniem pokolenia „Solidarności”. Odradza się, mimo że ci, co widzieli jak sypał się w gruz, byli przeświadczeni, i wpoili to przeświadczenie swoim dzieciom, iż po klęsce okupacji nic już nie może być takie jak przedtem. Ani to, co było dobre, ani to, co złe. Wytłumaczyli sobie, że za tę cenę stworzy się świat bez konfliktów interesów, bez konkurencji, bez walki.

Tymczasem w miarę dorastania powojennego pokolenia Polaków wszystkie prawa życia zbiorowego odradzają się jak powierzchownie usunięte odciski. Czy jednak jest nam przez to gorzej? Gorzej niż Polakom wychowanym przed wojną? Gorzej niż naszym rówieśnikom żyjącym dojrzewającym równolegle w Związku

Radzieckim, w Indiach, w Ameryce Łacińskiej? W Ameryce Północnej i Europie Zachodniej? Jest nam inaczej. Od jednych więcej, od drugich mniej konsumujemy. Jeżeli konsumpcja jest miarą szczęśliwości.

Poważnie. Zagadnienie konsumpcji stanowi klucz do odkrycia wewnętrznego konfliktu pokolenia „Solidarności”. Zaszczepiono nam prospołeczną, doczesną hierarchię wartości. U jej podstaw leżało przeświadczenie o zgodności interesów jednostki i ogółu, o sprawiedliwości stosunków panujących na ziemi. Cała działalność jednostki miała być nastawiona na akceptację otoczenia. Akceptacja ta zaś wyrażona może być formalnie jedynie przez instytucje: szkołę, pracę, organizacje społeczne oraz najwyżej cenione środki komunikacji społecznej. Trzeba podkreślić od razu, że bardzo długo Kościół nie należał do instytucji faktycznie oddziałujących na większość tego pokolenia. Środki, jakimi instytucje dysponowały, miały często charakter symboliczny. Nagroda książkowa, dyplom, order, wzmianka w gazecie, wywiad dla radia czy telewizji nie oddziaływały bezpośrednio na wzmożenie konsumpcyjnych możliwości obywatela. Zasada „każdemu według jego zasług” obowiązywała w sferze moralnej. W sferze materialnej miało obowiązywać prawo do zaspokajania potrzeb.

Zajmijmy się tymi potrzebami, o których tak wiele mówiło się w czasach „Solidarności”. Człowiek ma przede wszystkim potrzebę zaspokajania głodu i komfortu termicznego. W zależności od rodzaju pracy powinien mieć możliwość spożycia od 2200 do 5000 kilokalorii dziennie oraz po około 0,02 mg witamin D i H, 1 mg witaminy E, po mniej więcej 2 mg witamin A, B1, B2, a także 50 mg witaminy C. Aby nie marznąć ani się nie przegrzewać, powinien mieć możliwość przebywania w temperaturze od 18 do 20 stopni Celsjusza. I to właściwie wszystko. Na tym kończą się biologiczne potrzeby człowieka. Potrzeby, które niezaspokojone sprawiają, że ludzie czują się źle i mają podstawy twierdzić, że są nieszczęśliwi.

Więc ludzkość w swojej przeważającej masie powinna czuć się szczęśliwa. A jednak jest inaczej. Nie będzie żadnym odkryciem stwierdzenie, że głód i związane z nim niezadowolenie jest uczuciem względnym. Istnieją bowiem (z czego świetnie zdali sobie sprawę ekonomiści polityczni „Solidarności”) dwie bariery głodowe: egzystencjalna i socjalna. O zejściu poniżej pierwszej, o którą ocierają się dziś może jeszcze mieszkańcy Kołymy czy hinduscy pariasi, nie ma mowy w Europie. Ani w Paryżu, ani w Warszawie, ani nawet w ukraińskim kolchozie. Stąd nieporozumienia z naszymi zachodnimi aliantami, którzy w czas

kryzysu, kiedy po polskich ulicach chodziły pikiety głodowe, ślali nam worki z kaszą, a myśmy tęsknili za czekoladkami, rodzynkami, smacznymi serkami, bakaliami, papierosami czy owocami cytrusowymi.

Bowiem głód socjalny, który w latach 80. pogłębiał się w Polsce, to zejście poniżej stopy życiowej wzorotwórczej dla danej jednostki czy społeczeństwa. Wychowani w czasach Gomułki, dojrzewający za Gierka, Polacy we wrześniu chcieli kupić winogrona, w listopadzie banany, a na święta Bożego Narodzenia chcieliby widzieć na swoim stole pomarańcze. Przyzwyczaili się, że cytryny powinny być stale dostępne, że dobra polska czekolada była do nabycia w Wedlu, a sardynki w Delikatesach. Nasze wzory konsumpcyjne ukształtowane zostały przez kontakty z Europą Zachodnią, przez częste wyjazdy, przez odwiedzin krewnych z zagranicy. Co więcej, był to wzór konsumpcyjny dotyczący całego społeczeństwa, gdyż wpojono nam przeświadczenie o ekonomicznej równości wszystkich obywateli. Zgadza się. Nasze wzorce moralne wysnute zostały z utopijnej wizji socjalistycznego rajy na ziemi.

Tymczasem, poczynając od pierwszych dni stanu wojennego, który bynajmniej nie oznaczał zakazu handlowania dla całej warstwy Wilczków i Solorzy – styl życia Polaków znacznie się różnicuje. Powstały grupy społeczne, które mogą sobie pozwolić na standard nie gorszy od przeciętnego poziomu dobrobytu zachodnioeuropejskiego pracownika i takie, których zasoby zaledwie wystarczają na zaspokojenie elementarnych biologicznych potrzeb. W dodatku najczęściej sukces materialny jest odwrotnie proporcjonalny do przestrzegania wpojonych i powszechnie uznawanych norm współżycia społecznego.

Prowadzi to do dostrzeganego przez socjologów rozziwmu między wartościami uznawanymi i realizowanymi w produkcyjnym dziś w Polsce pokoleniu „Solidarności”. Uznaje się uczciwość, kompetencje zawodowe, bezinteresowność. Realizuje premiiowane kombinatorstwo, obiboctwo, merkantylizm.

Wychowane w uznaniu zasług „dzieci Kolumba” stwierdziły prędko, że obiecana nagroda nie przychodzi lub trafia nie do tych, co zrealizowali wpojony przez wychowawców model zasługi. Okazało się, że jest rzeczą niemożliwą jednoczesne zaspokojenie aspiracji moralnych i materialnych. I pokolenie podzieliło się na dwie grupy, z których żadna nie czuła się zadowolona. Ci co poświęcili się pracy dla społeczeństwa w swoim zawodzie inżyniera, lekarza, naukowca, artysty, nauczyciela mają poczucie pauperyzacji ekonomicznej. Zaś ci, którzy oddali się

robieniu pieniędzy w rzemiośle lub prywatnej inicjatywie mają poczucie niedowartościowania intelektualnego.

Dwustronne sfrustrowanie objawia się w agresji. Na opanowującym coraz liczniejsze strefy wolnym rynku cena przestaje być wyznacznikiem relacji popytu i podaży, lecz staje się środkiem odwetu. Już w czasach późnego Gierka, lecz proces ten trwa po dziś dzień, pewien fachowiec, którego poprosiłem o wbicie dwóch kołków w ścianę. zażądał za tę dziesięciminutową usługę jednej dziesiątej mojego miesięcznego uposażenia. Gdy wyraziłem swoje oburzenie. w odpowiedzi usłyszałem symboliczne zdanie: „Ja się uczyłem na rzemieślnika, a pan na urzędnika, to teraz płać”. A nie chcesz, to ja to panu w „cynie pierwszomajowym zrobię!”. No, tego byśmy już dziś nie usłyszeli...

Tak zwany socjalistyczny system wychowania opierał się na podstawowej przesłance równości. A raczej równej nierówności obywateli względem państwa. Państwo miało przejąć rolę kapitalisty, zawłaszczając będącą przedmiotem wyzysku, handlu, konkurencji, wolnej gry ekonomicznej wartość dodatkową. W ten sposób niczym Wielki Inkwizytor, pozbawiając ludzi konieczności walki i podstaw do rywalizacji, miało uczynić ich lepszymi. Zarazem jednak, zgodnie z socjalistycznym podziałem dochodu narodowego, miało obracać zdobyte środki na dobro ogółu, poszerzając sieć świadczeń socjalnych.

Teoria była logiczna. Jedyne co w niej pominięto, to fakt, że instytucja, mimo iż bezosobowa, opiera się na ludziach. I że ci ludzie, którzy tworzą instytucję, są przede wszystkim zainteresowani ugruntowaniem w niej swojej pozycji, a co się z tym łączy, utrwaleniem istnienia tej instytucji. Rządzić więc zaczyna prawo Parkinsona, które w tym wypadku głosi, że środki jakimi dysponuje instytucja dla realizowania celów, ku którym została powołana, wykorzystuje ona przede wszystkim i w zdecydowanej większości na utwalenie swojej własnej egzystencji. Wychodzi się przy tym, że słusznego bądź co bądź, założenia, że pierwszym warunkiem zrealizowania zadania jest istnienie tego, kto ma je realizować.

To prowadziło w schyłkowych latach komunizmu do podziału społeczeństwa na dwie nowe klasy. Pracowników i aparatu władzy. Można oczywiście przedstawić go w najczarniejszym świetle. Stwierdzić, że ideał socjalistyczny sięgnął bruku, gdy w miejsce wyrugowanych podziałów na posiadaczy i wyzyskiwanych powstaje wąska elita władzy i sproletaryzowane społeczeństwo. To społeczeństwo dzieli się dalej na sfrustrowane rzesze urzędnicze (niby-orwellowska partia

zewnątrzną), które nic nie zyskują na realizowaniu wpojonych wzorców zachowań, oraz masy, które żyją jak mogą i potrafią, choć gnębi je poczucie braku uczestnictwa w zasadniczym nurcie życia publicznego. Staje się oczywiste, że rzesze urzędników zatrudnionych w niezdolnych do wykonywania swoich funkcji instytucjach starały się brać odwet na współobywatelach, którzy mimo wyemancypowania ekonomicznego, pozostawali od instytucji uzależnieni. Odwet ten przybierał najczęściej formę nieprzystępności, którą przełamać mogła jedynie, równie jak cena arbitralna i złowroga – łapówka. Zniewolone społeczeństwo wyniszczało się więc, wyładowując samo na sobie nagromadzoną agresję.

Ale można też popatrzeć na to inaczej. Otóż ideałem socjalistycznej równości miało być uniezależnienie się człowieka od warunków zewnętrznych. Od pochodzenia społecznego, rodzinnego, majątku. Los człowieka powinien znajdować się w jego własnych rękach. A przecież system realnego socjalizmu nie bronił nikomu dostępu do elity. Rządziła tu oczywiście silna konkurencja, ale zwycięzca wyścigu nie musiał spełniać żadnych warunków wstępnych poza posiadaniem odpowiednich cech osobowościowych. Panowała tu zasada doboru, a nie wyboru, co w odróżnieniu od krajów demokratycznego Zachodu nie uniemożliwiała kariery politycznej ludziom ubogim, którym nikt nie powierzy funduszy koniecznych na opłacenie działalności politycznej. Jedyłą ceną, jaką trzeba było zapłacić za uzyskanie – wysoko w pokoleniu „Solidarności” ocenianego – sukcesu społecznego, było sprzeniewierzenie się wpojonomu nam jednocześnie kanonowi zasad współżycia zbiorowego. Umiejętność stwarzania pozorów, eliminacja groźnych przeciwników, brak zahamowań moralnych. Innymi słowy, rozwinięcie w sobie zdolności uprawiania polityki.

Wolność jest więc w systemie socjalistycznym, podobnie jak w wielu innych, zarezerwowana dla ludzi o talencie politycznym. Wszyscy inni pozostają w uzależnieniu od władzy, która dysponuje większością dóbr będących przedmiotem pożądanego obywateli.

Jak powiedziałem, podstawowe, biologiczne potrzeby człowieka są w Europie zaspokajane. Jednak ludzie mają cały szereg innych potrzeb. Pragną się dobrze ubierać, wygodnie poruszać, smacznie jeść. Pragną posiadać. Posiadanie jest bowiem namiastką nieosiągalnej wolności. Im więcej się posiada, tym większy staje się jej margines. A pokolenie „Solidarności”, jakkolwiek by je wysoko oceniał za dumę sierpniowego zrywu i godność pogrudniowej odmowy, było pokoleniem doczesności. Jego ideowy paradoks polegał na tym, że w czasie gdy konsump-

cyjne ideologie nasycenia przeżywały swój kryzys, ono wierzyło, chciało wierzyć w możliwość wartościowego życia, które łączyłoby dostatek, uczciwość i wolność. Prawo i Sprawiedliwość. Tylko tyle!

Nie używając więc skompromitowanego w naszym kraju terminu socjalizm, twórcy programu „Solidarności” zbudowali zestaw postulatywnych tez, których realizacja miałyby uczynić ludzi szczęśliwymi, w pierwszym rzędzie poprzez zaspokojenie ich potrzeb materialnych. Powstało pojęcie minimum socjalnego, które w istocie wprowadziło do koszyka cały ekonomiczny model gierkowskiej propagandy. Określała je mała praca, małe mieszkanie, mały fiat, ewentualnie mały wyjazd na saksy.

Trzeba stwierdzić, że kompromis, jaki starała się wypracować „Solidarność” między dążeniami jednostki do wygodnego życia a tendencjami egalitarystycznymi, był równie nieiszczalny – w praktyce okazałby się pewnie nie mniej niebezpieczny od pragmatycznych posunięć Lenina, dokonanych gdy okazało się, iż rewolucja nie wybuchnie równocześnie na całym świecie. Pierwszym warunkiem sukcesu wydawało się „Solidarności” – podobnie jak bolszewikom – powszechne zaspokojenie aktualnie panujących aspiracji. I jedni, i drudzy wierzyli też w możliwość trwałego zjednoczenia społeczeństwa pod popularnymi sztandarami, zapominając, iż w chwili, gdy brakuje wspólnego wroga, we wspólnocie tworzą się podziały i trudno opanować popęd jednostek do pomnażania swych dóbr osobistych. Poszukując *panaceum* na dolegliwości współczesnego życia zbiorowego „Solidarność” starała się wypracować program jednoczący idee państwowego kapitalizmu w socjalistycznym wydaniu i interwencjonizmu państwowego w wydaniu kapitalistycznym.

Była to oczywiście utopia. Prospołeczna etyka zaszczerpiona pokoleniu „Solidarności” przez wychowawców i rozwinięta w jej programie przegrywa w życiu zbiorowym. Tragedia jej jest tym głębsza, że nie sankcjonuje jej żaden światopogląd religijny. Wiara w postęp, w zwycięstwo rozumu i wartość tworzenia jest laicką utopią, o której złudności przekonać się łatwo w ciągu doczesnego życia. Jest to więc wiara stracona.

A jednak ta wiara panuje. Wyznają ją intelektualiści, którzy alienując się ze społeczeństwa, zadowolając się egzystencjalnym minimum, poszerzają swoją wolność poprzez narzucenie ludziom sugestywnych wizji współżycia zbiorowego, od którego uciekają. Propagują ją ideolodzy, którzy oddawszy się na usługi władzy, bądź dążąc do jej sprawowania i w ten sposób zapewniając sobie maksimum

dostępnej wolności, tworzą zaslonę dymną ze słów, którym przeczą realizujące ich literę rozwiązania. Nosili ją w sercu posiadacze rodzinnych majątków, handlarze i gastarbeiterzy gotowi wykonać najpodlejszą pracę poza Polską po to, by w ojczyźnie uwolnić się od konieczności wysługiwania się instytucjonalnemu pracodawcy i przekupywania bliźnich. A wszystko to, by wznieść się ponad brutalną prozę życia i w prywatnym świecie kultywować iluzje o systemie sprawiedliwości społecznej. By do życia w świecie doczesnej szczęśliwości przygotować swoje dzieci. Potomstwo pokolenia „Solidarności”.

Dramat polega na tym, że prospołeczną „zasadę równości zaakceptować może jedynie ten, kto zdołał uniezależnić się od zbiorowości, a tym samym naruszyć zasadę równości”.¹

To zostało napisane 25 lat temu. Tekst pod pseudonimem Tadeusz Żeglikowski opublikowałem w redagowanym wówczas przez Bronka Wildsteina paryskim „Kontakcie” Mirka Chojeckiego.

A potem, czyli w 2005 roku, temu pokoleniu, które wybiło na niepodległość Polskę i całą wschodnią Europę postanowiłem zbudować świątynię – stworzyć Miejsce Spotkania.

1 {Andrzej Tadeusz Kijowski (pseud. Tadeusz Żeglikowski), *Odświeżanie dramatu*, „Kontakt” 1986, nr 1/45 (styczeń 1986) s. 80–82.

IV
CZAS MIĘDZYSOJUSZNICZY
III Rzeczpospolita

Przystąpmy do periodyzacji. „Wieleż lat czekać trzeba, nim się przedmiot świeży Jak figa ucukruje, jak tytuń uleży? - Nie ma wyraźnych reguł. - Ze sto lat. - To mało! - Tysiąc, parę tysięcy.”

To pytanie postawiono wcześniej, jeszcze w dyspucie klasyków z romantykami na przełomie XVIII i XIX wieku, kiedy formowała się epoka romantyczna. I choć w ciągu dwustu mniej więcej lat, które minęły od sformułowania idei romantycznych, nurty czy systemy konserwatywne oczywiście nie zostały wyparte, to i one swoją zachowawczość kryją pod płaszczkiem wysoko ocenianej kategorii postępu, czyli zmiany. Okres realnego socjalizmu był tego widowym przykładem. System chciał trwać, jednak ideologia zapowiadała rozwój i zmiany. System nazywaliśmy socjalistycznym. Miało w nim każdemu należeć się według jego pracy. Ale po nim miał nastać komunizm, w którym każdy miał otrzymać według swych potrzeb.

Epoki nie trwają pięćdziesiąt lat, lecz pięćset lub połowę tego. Epoka zwana romantyzmem zaczęła się bez wątpienia wraz z rewolucją francuską. Ta wielka (mówiąc językiem Michela Foucaulta) *episteme* intelektualna nie przejawia się jednak w literaturze, malarstwie czy muzyce, jak sądzą niektórzy i jak nauczają w szkole. Sztuka nie jest romantyczna lub jakaś inna. Sztuka, taka jak ją dziś pojmujemy, może być tylko romantyczna, gdyż to kategoria romantyzmu ustanowiła pojęcie sztuki pięknej we współczesnym rozumieniu.

Romantyzm jest nie tylko sztuką, lecz i polityką, filozofią i pedagogiką. Romantyzm wywiedziony z Kanta i Hegla to nie tylko estetyka czy bezinteresowność, lecz i podboje Napoleona i dialektyka historyczna, relatywizm moralny Nietzschego, a także socjologizm Durkheima. Wiosna Ludów i utopia marksistowska. Romantyczny był Papież, gdy 2 czerwca 1979 roku przywoływał Ducha Świętego. Solidarnościowy pokojowy zryw lat 1980-81 był już znakiem przełomu.

A Okrągły Stół roku 1989? Otóż podejrzewam, że może od tej daty przyjdzie znaczyć datowanie epoki nowej. Koniec romantyzmu wyznaczylibyśmy zatem na równe dwieście lat od ustanawiającej epokę Deklaracji Praw Człowieka i Obywatela z 1789 roku.

Czas międzysojusznicy trwał precyzyjnie lat osiem. Pierwszego lipca 1991 roku w Pradze rozwiązano ostatecznie struktury Układu Warszawskiego. Dwunastego marca 1999 roku Polska, Czechy i Węgry znalazły się w NATO. Jednak jeśli przyjąć, że Układ Warszawski zaczął się rozpadać w 1989, zaś pozostali jego członkowie (wiele wskazuje na to, że na razie z wyłączeniem Rosji), a więc Estonia, Łotwa, Litwa, Rumunia, Słowacja i Słowenia znaleźli się w strukturach w roku 2004, to czas formowania się nowego porządku militarnego w Europie trwał równe lat piętnaście.

Podobnie Radę Wzajemnej Pomocy Gospodarczej (RWPG) rozwiązano 28 czerwca 1991 roku. Polska w Unii Europejskiej (którą tak naprawdę godzący się na nią Polacy rozumieli jako Europejską Wspólnotę Gospodarczą) znalazła się 1 maja 2004, po trzynastu latach. Jednakże najbardziej oczekiwany efekt, jakim było otwarcia się dla nas europejskich granic, nastąpił dopiero 21 grudnia 2007. Znowu po piętnastu latach.

Nazwa jak nazwa. Może się przyjąć – nie musi. Wskazuje jednak, że traktat ateński z roku 2003 wyznaczający (cóż za rechet historii) dzień komunistycznego święta na moment akcesji naszego kraju do zewnętrznych struktur, stanowi ważną cezurę.

Mówimy zatem o piętnastoleciu międzysojusznicy lat 1989–2004.

Na co liczyliśmy przed 4 czerwca roku 1989? Na to, że co dobre pozostanie, a będzie lepiej. Co było dobre w realnym socjalizmie? No – sporo. Przede wszystkim bezpieczeństwo. Militarne i ekonomiczne, a także społeczne. Brak konkurencji nie służył gospodarcej *prosperity*, lecz chronił ubogich ciałem i duchem. Powszechna dostępność pracy i tak zwane pokojowe współistnienie.

Czego chcieliśmy? Romantycznej sielanki. Zachowując to co dobre z totalitarnego komunizmu, chcieliśmy mieć to, co dobre z drapieżnego kapitalizmu. A więc bezpieczeństwa biednych, ale praw dla bogatszych. Gwarantowanych cen przy wymienialności złotówki. Zniesienia barier ekonomicznych dla podróży i handlu międzynarodowego. Oczywiście zniesienia cenzury, czyli prawa do krytyki. Domagaliśmy się faktycznego prawa do strajku, niezależności stowarzyszeń, mnogości partii politycznych, spontaniczności zgromadzeń. Przedmiotem

aspiracji była swoboda podróżowania wykorzystywana przez władzę szczególnie wobec inteligencji jako swoisty przywilej. Myśleliśmy o sensownej służbie zdrowia, obserwując niewydolność naszego systemu, konieczność opłacania codziennej opieki lekarskiej, zacofanie klinik niedoinwestowywanych na poziomie podobnym zachodnim klinikom płatnym. Marzył nam się sensowny system ubezpieczeń. W szkolnictwie, szczególnie na poziomie najwyższym, rzucała się w oczy negatywna konsekwencja zasady awansu społecznego, odrywania ludzi od korzeni, dodatkowe punkty za pochodzenie anonimowe i walka z potomkami tradycji. Rzucało się w oczy dążenie władzy do promowania osób mniej zdolnych i pozabawionych zaplecza jako łatwiej sterowalnych. Słowem, w miejsce autokratycznej „dyktatury proletariatu” marzyła nam się demokracja.

Nade wszystko łaknęliśmy przecież wyrównania standardów ekonomicznych. Liczyliśmy też na uzdrowienie zarządzania państwem. Pragnęliśmy uniezależnić się od Związku Radzieckiego i nie płacić daniny na jego imperialne interesy, a to w Egipcie Nasera, w Wietnamie Ho Chi Minha, wreszcie w Afganistanie – nie mówiąc o Węgrach, Czechach i Słowakach, którym podobnie ciążyło to jarzmo. Dostrzegaliśmy sięgający czasu II wojny upadek etyki pracy, dysproporcję między zarobkami w kraju, a osiąganymi na będących formą przywileju saksach. Porównując nasz koszyk z dochodami ludzi w wysokoprzemysłowych krajach Europy zachodniej, wśród których sytuowano Polskę na wysokim miejscu, odczuwaliśmy, że standard życia Polaka jest niższy od europejskiego przebywającego na zasiłku dla bezrobotnych. W istocie bezrobotnymi byliśmy niemal wszyscy, z tym że nasz zasiłek nie był limitowany czasowo. Wreszcie dotyczyła nas, najmocniej może, zapaść indywidualnego budownictwa mieszkaniowego, permanentne braki na rynku towarów drugiej, nieco wyższej potrzeby. Chleba jednak i miodu, i może nieco wodnistego mleka, nikomu nie brakowało.

Z tym wszystkim pragnęliśmy zmiany. Po pierwsze, by odwalili się od nas Rosjanie. I cud się ziścił. Pamiętam ten moment, gdy jako *newsman* całkowicie niezależnej, prywatnej „Nowej Telewizji Warszawa” 4 sierpnia 1993 dostałem cynk, że ostatnia kolumna żołnierzy sowieckich stoi na boczniczy kolejowej w Rembertowie. Przybiegliśmy z kamerą i powiedzieliśmy im z serca i serdecznie nawet – *Pra-szczajcie!*

Prawdziwą cezurą *die Vorgeschichte* (przedakcji) naszego dramatu nie był bowiem ani rok 1980, ani tym bardziej '89, lecz orwellowski rok 1984. Stanowisko premiera Francji objął wtedy po raz pierwszy polityk urodzony już po

II wojnie światowej. Urodzony w 1946 roku Laurant Fabius, zagorzały dziś przeciwnik Konstytucji Europejskiej i Traktatu z Lizbony. Był to pierwszy powojenny mąż stanu, który nie pamiętał wojny. Dla takich uniknięcie jej może być celem deklarowanym, nie będzie jednak dogmatem.

Wszyscy polscy premierzy (z wyjątkiem Tadeusza Mazowieckiego i Jana Olszewskiego), którzy sprawowali władzę w okresie 15-lecia międzysojuszniczego lat 1989–2004 byli urodzeni w tych właśnie latach: między 1946 a 1959. Stanowiska w samorządzie biorą już poczęte w latach siedemdziesiątych dzieci.

Młode wilczki z pokolenia Ziobry spragnione są krwi. Uczciwi, często ideowi, bez zahamowań – przypominają ludowych komisarzy z czasów rewolucji radzieckiej albo żyrondistów. Szukają upustu energii w walkach medialnych, w obmowie, w niszczeniu.

Mówiąc krótko – dramat jest w tym, że skończył się święty spokój.

V ODSŁANIANIE DRAMATU

Dla pokolenia, z którego pochodzę, pokolenia „Solidarności” pokój był wartością najwyższą. Nie mogło być inaczej po hekatombie powstania warszawskiego, Powstania w gettcie, po Treblince i Oświęcimiu. Ojciec mi stale powtarzał i powiedział to też w czasie Kongresu Kultury Polskiej, że „cały powojenny porządek polityczny w Europie został ufundowany na strachu przed nową wojną. Przebieg polskiego kryzysu i sposób, w jaki reagują nań wszystkie zainteresowane strony, świadczy, że doszły do głosu motywy od owego strachu silniejsze”.

Największa zgoda panowała w sprawie polityki zagranicznej. Do roku 1999, kiedy wstąpiliśmy do NATO, w sprawach obronności „opozycja” i „pozycja” przemawiała jednym głosem. Choć nie do końca wiem, co to był za głos. Dane mi było obserwować, jak jeszcze przed objęciem urzędu prezydenta przewodniczący komisji konstytucyjnej w Sejmie, niejaki Aleksander Kwaśniewski, jednego dnia na Węgrzech opowiadał się przeciw wstąpieniu do NATO, drugiego w Polsce był już za i twierdził, że źle przetłumaczono to, co onegdaj mówił do węgierskich komunistów. Dziś z kolei ten sam, już były prezydent po pijanemu wyznaje, iż przyjdzie taki dzień, że Rosja będzie w NATO, a media zwracają większą uwagę na stan gościa, niż na treść jego wypowiedzi. Ideę tę jednak najspokojniej i całkiem już na trzeźwo powtórzy 30 marca 2009 roku urzędujący minister spraw zagranicznych, bohater wojny afgańskiej Radek Sikorski.

Uważajcie Państwo! Minister Rzeczypospolitej Polskiej mówi, że wojskowy sojusz dwóch głównych zaborców Polski z lat 1772–1939 – Rosji i zjednoczonych Niemiec – w wojskowej strukturze NATO nie stanowi zagrożenia dla polskich interesów i żaden, nawet opozycyjny poseł nie widzi w tym faktycznej zdrady stanu. Przecieram oczy ze zdumienia! Zgoda, ruch „Solidarności”, który doprowadził do czerwcowej rewolucji roku 1989, był pokojowy. Nie kapitulanci przecież! Wynikał z pamięci wojny. I powiedzmy to z całą dobitnością – był

utopijny. Utopijny tak samo jak koncepcja Morusa, Marksa, Trockiego czy... Roberta Schumana.

Obecny układ polityczny nie jest już podporządkowany strachowi przed nową wojną, jak przez lata PRL, ani entuzjazmowi z odzyskania niepodległości jak w pierwszej połowie lat 90. dwudziestego wieku. Obecny system polityczny podporządkowany jest jedynej wartości, jaką jest zdobycie wpływów i władzy.

I DRAMAT WOLNOŚCI

Zagrożenie bezpieczeństwa narodowego to pierwsza odsłona dramatu, któremu na imię tromtadacja, amatorszczyzna, może nawet zdrada. I nie mówię tu, żeby to było jasne, o stelmachowskim konsensusie Okrągłego Stołu.

Uważam to wydarzenie za jedną z piękniejszych kart historii Europy. Mówię o tym, co z tym sukcesem zrobili Tadeusz Mazowiecki i Lech Wałęsa, Bronisław Geremek i Jan Olszewski, i całe ich polityczne zaplecze, że o Olinach, Alkach, Zapalniczkach i innych Znakach nie wspomnę. Mówię o prywatcie, krótkowzroczności, politycznej naiwności i cynizmie, o atmosferze ostatnich lat przypominających niestety w coraz większym stopniu czasy saskie.

Faktyczny bojkot wyborów do Parlamentu przez obywateli RP przypieczętowało ukształtowanie się 75% marginesu politycznego. To znaczy, że obywatele, w odróżnieniu od klasy politycznej, nie poświęcą bezpieczeństwa narodowego dla mętnej nadziei przewodniczenia NATO czy Parlamentowi Europejskiemu. To znaczy, że obywatele z taką kapitulancją i sprzedają klasą medialno-polityczną nie chcą mieć nic wspólnego.

II DRAMAT BRATERSTWA

Zagrożenie społecznej substancji to druga odsłona dramatu. Za naprawę Rzeczypospolitej po 1989 roku wziął się jedyny sprawujący władzę przez pełną czteroletnią kadencję rząd Jerzego Buzka i... wszystko koncertowo schrzanił.

- a. Reforma administracyjna miast przynieść siłę regionom, pauperyzuje byłe miasta wojewódzkie.
- b. Reforma zdrowotna wywołała bałagan, jakiego w służbie zdrowia nie znano.
- c. Reforma ubezpieczeń okazała się kompletną fikcją, a dziś poszczególne jej filary gną się jak trzcina.

- d. Stworzenie gimnazjów wpłynęło na dezintegrację pokolenia 13-16-latków i poszerzyło strefę patologii wśród młodzieży.
- e. Otwarcie granic spowodowało emigrację zarobkową. Kryzys ściągnie jednak niebawem do kraju ludzi rozczarowanych i sfrustrowanych, którzy w ojczyźnie trafią na oszołomionych nędzarzy.
- f. Nie przeprowadzono rewitalizacji wielkiego przemysłu.
- g. Podział na rządzonych i rządzących, na nielicznych profitentów przemian i poszkodowaną większość staje się coraz wyraźniejszy. Czy trzeba dodawać, że beneficjentami przemian okazują się w drugim i trzecim pokoleniu potomkowie PRL-owskich elit władzy przemieszczeni z elementem kryminalnym. Gdy pojawiły się wartościowe towary i prawdziwe pieniądze, zaczęły powstawać banki, a wokół nich skupili się wszelkiej maści złodzieje. Okazało się, że lepiej kraść, niż pracować.
- h. Jak wynika z badań Stowarzyszenia Wolnego Słowa, nazwanych „Śpiący Rycerze”, lata 1990–1994 wyrzuciły poza nawias życia społecznego większość osób zaangażowanych w odzyskiwanie podmiotowości przed dwudziestu laty.

III DRAMAT WOLNOŚCI SŁOWA

Koncesjonowanie mediów elektronicznych to dramatu trzecia odsłona.

Zmorą czasów komunizmu była cenzura. Została zniesiona przy odgłosach fanfar w roku 1989. Ile jednak trwała wolność mediów? Mniej więcej sześć, no może dziesięć lat. „Niezależną Nową TV Warszawa”, w której pracowałem, zamknięto w roku 1995. Konstytucję umożliwiającą koncesjonowanie radia i telewizji uchwalono w roku 1997. Artykuł 54 tego aktu jest, co warto podkreślić, dokładnym przeniesieniem Europejskiej Konwencji Praw Człowieka. Mówiąc o prawie do wyrażania poglądów, w istic orwellowskim stylu doprecyzowuje w artykule dziesiątym, iż nie dotyczy ono poglądów głoszonych za pośrednictwem radia i TV („Niniejszy przepis nie wyklucza prawa Państw do poddania procedurze zezwoleń przedsiębiorstw radiowych, telewizyjnych lub kinematograficznych”), ze szczególnym uwzględnieniem potencjalnej niepoprawności politycznej wyliczonej z kolei w obecnym w ustawie od lat piętnastu, a dającym koncesjonodawcy praktycznie nieograniczoną gestię w tym przedmiocie (również po uchwaleniu najnowszej ustawy medialnej), artykule 36 ustawy o Radiofonii

i TV¹.

W nowym „ładzie medialnym” kompetencje te przenosi się w gestię szefa Urzędu Komunikacji Elektronicznej. Czy nie lepiej nazwać go wprost Głównym Urzędem Kontroli Mediów, Widowisk i Publikacji Elektronicznych²?

IV DRAMAT RÓWNOŚCI

Koniec mitu „Solidarności” to dramat czwarty. To już zresztą więcej niż mit równości. To trzeba nazwać klasową walką. Do władzy prze nowa elita. I cóż to za elita? Józef Chałasiński sformułował tezę o szlacheckim rodowodzie inteligencji polskiej. Pisał o inteligenckim getcie.

Myślę, że po hekatombie II wojny światowej teza to już tylko w połowie aktualna. Jak wywodziłem w części drugiej tego studium: „Inteligenckie środowisko zachowało cechy diaspory zamkniętej w getcie. Lecz nie jest to już dzisiaj warstwa będąca „jedyną spadkobierczynią szlacheckiej idei państwowej”. Przeciwnie, na współczesnej polskiej inteligencji ciąży stygmat ucieczki z getta współbraci. I wina odtworzenia getta obcego większości rodaków.

Dużo prawdziwsze będzie dziś zatem stwierdzenie odszczepieńczego stygmatu współczesnych elit intelektualnych.”

Inteligencja to jednak czysto polskie pojęcie. To warstwa oderwana od pieniędzy i władzy. I dlatego znajdująca się w zaniku. Ludzie skupieni wokół pierwszej i czwartej władzy prą dziś na całym świecie po nadania. I dążą do zabezpieczenia dziedzictwa. Czy mam podawać przykłady?

Jeszcze w latach 60. kariera Kennedych: Johna Fitzgeralda, Roberta i Edwar-da budziła opory. Przekazanie przez Bushów władzy z ojca na syna nikogo już nie wprawilo w zdumienie, tak jak i swoista cesja władzy męża Clintona na zdradzającą żonę Hillary. A w Polsce dziennikarskie kariery wnuka Wincentego Kraški, córki pani Kedaj, poselska pozycja Jarosława, syna Lecha Wałęsy, wreszcie, by

1 „2. Koncesji nie udziela się, jeżeli rozpowszechnianie programów przez wnioskodawcę mogłoby spowodować: 1) zagrożenie interesów kultury narodowej, dobrych obyczajów i wychowania, bezpieczeństwa i obronności państwa oraz naruszenie tajemnicy państwowej;

2) osiągnięcie przez wnioskodawcę pozycji dominującej w dziedzinie środków masowego przekazu na danym terenie”.

2 *Konwencja o Ochronie Praw Człowieka i Podstawowych Wolności*: 1. Artykuł 10 – Wolność wyrażania opinii. „Każdy ma prawo do wolności wyrażania opinii. Prawo to obejmuje wolność posiadania poglądów oraz otrzymywania i przekazywania informacji i idei bez ingerencji władz publicznych i bez względu na granice państwowe. a. Niniejszy przepis nie wyklucza prawa Państw do poddania procedurze zezwoleń przedsięwzięciom radiowych, telewizyjnych lub kinematograficznych”.

słowo nepotyzm straciło jakiegokolwiek znaczenie, powołanie przez prezydenta brata bliźniaka na stanowisko premiera postawiło kropkę nad „i”. I żeby było to jasne: te słowa wypowiadam jako człowiek, który Kaczyńskim ufał bardziej niż Kwaśniewskiemu czy Sikorskiemu. Jako człowiek, który zaakceptował tę nominację. Lecz akceptując, zgodził się, że są takie chwile, gdy rodzina jest ważniejsza od referendum. Gdy ważniejsze są geny niż *vox populi*. Gdy kończy się czas na zabawę w demokrację.

V DRAMAT DEMOKRACJI

Zawód, ośmieszenie, upadek demokracji – oto piąta odsłona dramatu.

Demokracja to system, w którym opresyjnego władcę zastępuje lud, który tego władcę kontroluje. Demonkracja to system, w którym według słów profesora Zbigniewa Stawrowskiego chodzi tylko o władzę. Rządzący nie skupiają się w rezultacie na trosce o dobro wspólne, nikt już nie myśli w kategoriach historycznych – wszystkie cele są doraźne, podporządkowane wyborom następującym co cztery, pięć lat.

VI DRAMAT POSTĘPU

Nadużycie i spłylenie pojęcia postępu to szósta odsłona dramatu.

Przemianom politycznym towarzyszą zmiany w ekosferze. Ocieplenie klimatu, wichry i tsunami. Zagrożone są zbiorniki wody. Natura zaczyna stawać dęba...

Nie przeszkadza to jednak politykom nawet światowe przedsięwzięcia ekologiczne sprowadzać do doraźnej rozgrywki politycznej, a zwolennicy ekologicznego ładu ciągle jeszcze stanowią w większości krajów folklor polityczny.

VII DRAMAT WOJNY

Pokój – Mir – Frieden – Pax. Wypisywano na transparentach niesionych podczas tzw. pokojowych manifestacji. W napisach wszak cała nadzieja. Bo przecież istniejemy w słowach, które przenoszą marzenia. Choćby takie jak bogata i wolna Polska w zjednoczonej Europie. To nadzieja i wskazanie. A także przestroga.

To wojna o wartości. O człowieka. O świadków czy publiczność. O przestrzeń, w której zapiszemy swoje imię. O historyczną pamięć. O kształt, w jaki „uleży się”, „ucukruje” nasze niepodległe trwanie.

Czwarty czerwca roku 1989 to czas pokojowej zmiany. Ale dwa lata później nastąpiła już wszakże „nocna zmiana”. Boże, jak ta historia rechoce. Jak drwi

z dat. Siedemnastego września 2009 roku w 70. rocznicę agresji ZSRR na Polskę Amerykanie wycofują się z pomysłu tarczy antyrakietowej. Dziesiątego kwietnia pod Katyniem w jednym miejscu i czasie ginie cała elita polskiej prawicy politycznej z Prezydentem Lechem Kaczyńskim i jego żoną Marią na czele.

A ja przeżyłem dwadzieścia lat w micie 4 czerwca. Tak. To był jednak najważniejszy dzień mojego życia. Rok 1989. Świeżo poślubiona ukochana... Wkrótce stałem się radnym warszawskiej starówki. „Starówka prosi o zgiełk” – pamiętam, taki felieton napisałem i chyba nawet wygłosiłem go w radiu u Iwony Smolki.

Lecz w prasie (wybiórczej) już mi go zamieścić nie dano. 4 czerwca. Pisałem te słowa w 27. rocznicę wprowadzenia stanu wojennego, na kilka miesięcy przed 20. rocznicą wyborów czerwcowych. Nie było ważniejszej daty w całej historii Polski. Nie było tak wielkiego, nieoczekiwanego i bez kropli krwi osiągniętego zwycięstwa. Od porozumień sierpniowych po Okrągły Stół w Polsce spełnił się cud p o r o z u m i e n i a. „Po rozumie”, pamiętam jak tłumaczył jakiś ksiądz, trzeba się po–rozumieć.

To niebywałe, co Polacy zrobili później z tą datą. Jak szybko została zapomniana. Jak łatwo dopuszczono, by przysłoniło ten dzień listopadowe bodaj obalenie muru berlińskiego, które było już tylko zwieńczeniem polskiej, czeskiej, węgierskiej aksamitnej rewolucji, która w roku 1989 jedynie w Rumunii wybuchła paroksyzmem zamachu na Nicolae Ceaușescu z Târgoviște.

Przez lata nie chciano nawet o tym pamiętać. Data 4 czerwca wychodziła z powszechnej świadomości!

Przekonałem się o tym dotkliwie, gdy w latach 2004–2006 próbowałem wraz ze Stowarzyszeniem Wolnego Słowa Mirka Chojeckiego jako wspomnieć ten dzień – rzucili się na mnie wszyscy, z „Gazetą Wyborczą” i ostrym piórem pani Zubik na czele. O 4 czerwca milczano. Mnie obrzucano błotem.

Urządzałem koncerty, „spotkania opozycjonistów po latach”, w 2005 roku wydawałem jednodniówki. W 2006 marzył mi się *happening* słyszalny od Domu Towarowego „Sezam” aż po „Mariott”, marzyło mi się skupienie w tym dniu wszystkich sił miejskich wokół placu Defilad. Marzyła mi się słowem defilada. Ale z marzeniami pozostałem sam. Nikt nie chciał podłączyć się pod czwartoczerwcową akcję. Nawet zatrudniony przez Lecha Kaczyńskiego szef warszawskiego biura promocji Tadzio Deszkiewicz zajęty był kreowaniem Miss World, a tej soboty wymyślił sobie „Piknik Naukowy” dla Warszawy. A skoro nie

udało się połączyć sił, nie zdołaliśmy przebić się przez zgiełk Domów Towarowych Centrum.

To ciekawe, dlaczego przez dziewiętnaście lat milczano na temat tej rocznicy, by ją dopiero – po dwudziestu latach – przypomnieć. Czyżby dlatego, że *vingt ans après* – bohaterowie są zmęczeni, inni w grobie, i można kształtować pożądaną obraz rzeczywistości? A może dlatego, by kiedy coraz wyraźniej je widać, trudniej było ponazywać nasze klęski? Nazwijmy je zatem na koniec (na razie sukcesy pomijając):

1. Nie ma swobody gospodarczej, czego dowodzi korupcyjogenna „Ustawa o zamówieniach publicznych”.

2. Nie ma solidaryzmu społecznego ani samorządności czego dowodzi wygenerowanie obszarów nędzy, szczególnie związane z likwidacją PGR-ów, szerzącym się nepotyzmem oraz oligarchicznością struktur lokalnych.

3. Nie ma faktycznej niepodległości, czego dowodzi uzależnienie wszystkich ekip rządzących Polską od światowej finansjery, sprzedaż banków i zależność od zewnętrznych dostaw energii.

4. Nie istnieje pokojowe współistnienie, czego dowodzą „polskie wojska nad Eufratem” i ucieczka w amerykańskim stylu z wojną poza własne granice.

5. Nie ma równości, czego dowodzi pogłębiająca się stratyfikacja społeczna, utrudnienie w dostępie do podstawowej opieki medycznej i darmowej oświaty oraz zabiegi odszczepieńczej inteligencji, polityków oraz ludzi mediów do ukształtowania (także poprzez autorytarne zapisy Traktatu z Lizbony) arystokratycznej klasy media-politycznej.

6. Nie ma europejskiego braterstwa, czego dowodzi lansowany przez Kwaśniewskiego (po pijaku) i podtrzymany przez Sikorskiego (na trzeźwo) pomysł zaproszenia Rosji do NATO.

7. Nie ma zgody na wolność mediów, czego dowodzi Artykuł 11 Karty Praw podstawowych, który odpowiada artykułowi 10 europejskiej Konwencji o ochronie praw człowieka i podstawowych wolności, oraz zgodny z nim artykuł 54. Konstytucji Rzeczypospolitej.

A Teraz Konkretnie – czas podjąć z mediami rozprawę.

Koniec tomu pierwszego

- Aisner Jan 183, 187
Andropow Jurij 244
Andrzejewski Jerzy 63
Arkuszewski Wojciech 177
Auderska Halina 174
Axeer Andrzej 39, 51, 52, 68, 187
Axeer Erwin 91, 134, 202
Aznavour Charles 181
Babilińska -Głódkowska Barbara 225
Baczyński Krzysztof Kamil 55
Bajko Marcin 195
Bakula Hanna 20
Balcerowicz Leszek 48, 51
Balzac Honore de 30, 112
Banasiuk Aldona 224
Banasiuk Mateusz 224
Banasiuk Stanisław 224
Barac Ryszard 37
Baraniewski Waldemar 46
Baranowska Małgorzata 182
Barańczak Stanisław 93
Bardini Aleksander 68
Bartoszewska Zofia 15
Bartoszewski Władysław 15
Baudelaire Charles 11
Bąkowska Elżbieta z. d. Grünberg 92
Bąkowska Franciszka Anna 92
Bąkowski Krzysztof Paweł 92
Bąkowski Paweł 92
Berling Zygmunt 35
Berlusconi Silvio 48
Bernstein Leonard 55
Bersz -Szutro Maria 19
Bielecki Czesław 164, 180, 194
Bielecki Jan Krzysztof 99, 101
Bierut Bolesław 45
Blanchard Alain 163
Blida Barbara 48
Blondeau Catherine 158
Blumsztajn Seweryn 71
Błaszkiwicz Kijowska Anna 53, 55
Bocheńska Amira 20
Bocheńska Małgorzata 19-23, 25, 74-76, 82, 83, 122
Bocheńska Matina 20
Bocheński Franciszek 20
Bocheński Jacek 57
Bocheński Józef Maria 23
Bocheński Michał 20
Bogusławska Noemi 71
Bogusławski Andrzej 71
Bohomolec Franciszek 30
Bolecka Agnieszka 159, 241
Bolecka Anna 159
Bolecki Włodzimierz 19, 159, 227
Boni Michał 15, 35, 48, 87, 94, 98, 134, 183, 187
Borkowska Izabella 225
Bortkiewicz Stanisław 106
Brandys Kazimierz 35, 53, 92
Brandys Maria 53, 92
Bratkowski Jan 31
Bratkowski Piotr 31
Bratkowski Stefan 12, 13
Brecht Bertold 55
Breżniew Leonid 244
Büchner Georg 17
Budzyń Agnieszka 218
Bujak Zbigniew 54, 89, 164, 241
Bujalski Paweł 180
Bukowska Alina 164
Burek Tomasz 97
Buzek Agata 129, 130, 132
Buzek Jerzy 127 - 132
Calderon de La Barca Pedro 12
Ceaugescu Nicolae 245, 274
Celiński Andrzej 161
Chalasiński Józef 63, 68, 223, 272
Chechlińska Magdalena 187
Chirico Giorgio de 149
Chmiel Beata 20, 227
Chojceki Mirosław 36, 53, 57, 72, 75, 82, 92, 105, 131, 228, 245, 264, 274, 275
Chrabota Bogusław 109
Chrzanowski Wiesław 48
Chwedczuk Mariusz 106, 207
Cichocki Maciej 20
Cimoszewicz Włodzimierz 105, 213
Cirlić Jovanka Dorota 87
Clinton Bill 272
Clinton Hillary 272
Coloszyński Krzysztof 85
Conrad Joseph 15, 16
Csató Danuta 134
Csató Edward 133, 134
Csató Justyna 133-136
Csató Zuzanna 134
Cywińska Izabela 56, 75, 82, 174
Czabański Krzysztof 99, 110, 111
Czapów Czesław 51
Czechowicz Mieczysław 51
Czekierda Agnieszka 200
Czerniaków Adam 59, 60
Czernienko Konstantin 244

- Dalkowska Ewa 232
 Daukszewicz Krzysztof 231
 Dąbrowski Waldemar 105, 153-159, 212, 213
 Dedal - patrz Andrzej Kijowski
 Dekert Jan 30
 Dembińska Elżbieta z. d. Bojanowicz 29
 Deniszczuk Katarzyna 53
 Deszkiewicz Tadeusz 274
 Dłużewski Paweł 232
 Dobrowolski Stanisław Ryszard 101
 Doktor Kazimierz 188, 229
 Domagała Cezary 224
 Domagała Filip 224
 Domagała Marta 224
 Domański Maciej 83, 106, 113, 114
 Dominiak Maciej 226
 Dorn Ludwik 68, 183, 187, 228
 Doroszevska Urszula 187
 Drawicz Andrzej 101, 102
 Drzycimski Andrzej 100
 Duda Małgorzata 224
 Dumas Aleksander 255
 Durko Janusz 115
 Dworak Jan 101, 105
 Dworakowska J. 42
 Dybciak Krzysztof 182
 Dziedzic Irena 86,
 Dziekoński Olgierd 185, 195, 196
 Dzierzowska Irena 164
 Dziuk Andrzej 207
 Edelman Marek 54, 55, 67, 69, 188
 Englert Jan 130
 Faber Andrzej 212
 Fabius Laurant 268
 Falandysz Lech 82
 Faleńczyk Marian 112, 149
 Falk Feliks 88, 212
 Figurski Maciej 168, 170
 Fik Marta 97
 Filipek Włodzimierz 54
 Fogler Piotr 120, 180
 Foucault Michel 111, 185, 189, 265
 Frasyniuk Władysław 48, 54
 Fredro Aleksander 11, 57
 Frenkiel Piotr 48, 50
 Frenkiel Sergiusz 40, 42
 Frenkiel Włodzimierz 40, 45, 47-51
 Fusek Wojciech 120
 Gajcy Tadeusz 55
 Garstka Wojciech 245
 Gawlik Jan Paweł 25, 26, 32
 Gąsiorowski Krzysztof 75
 Gąsiorowski Wacław 21, 75
 Gelberg Andrzej 178
 Geremek Bronisław 48, 270
 Gessler Magda 23
 Gielecki Maciej 83, 106, 113, 164
 Gierek Edward 122
 Gliński Piotr 183, 187, 189
 Godlewski Grzegorz 87, 98, 99, 183
 Goldzamt Edmund 243, 40-42, 45, 46
 Golimont Andrzej 182
 Gombrowicz Witold 11, 63, 64, 117, 235,
 Gomulka Władysław 36, 37, 39, 121, 123, 250,
 260
 Gorbaczow Michail 242-244
 Gostkowski Juliusz 81
 Gottesman Gustaw 18, 211
 Górka Stanisław 175, 200
 Górská Aleksandra 130
 Górski Piotr 109
 Graff Agnieszka 188
 Graff Piotr 188
 Grauso Nicola 21, 56, 127
 Gronkiewicz-Waltz Hanna 186, 193, 207, 224
 Grupańska Anna 54, 55
 Grzeškowiak Alicja 114,
 Gumkowski Marek 182
 Gurjanow Aleksander 40, 41, 43, 50, 51, 87,
 117, 221, 242, 243
 Gurjanowna Anna 42
 Guze Joanna 35, 36
 Guze Justyna 133
 Hagmajer Andrzej 81, 83
 Hanuszkiewicz Adam 12, 88, 106, 180, 191, 203,
 207
 Hanuszkiewicz Katarzyna 59
 Hartwig Julia 35, 178
 Hannelowa Józefa 203
 Herbert Zbigniew 4, 35, 60
 Hertz Aleksander 74
 Hertz Paweł 97
 Hitler Adolf 54, 65, 67, 170, 248
 Holland Agnieszka 18, 68, 212
 Holzer Ryszard 35, 89
 Holówka Teresa 97 – 99, 101
 Hübner Danuta 161, 164
 Hübner Zygmunt 68
 Huelle Paweł 68,
 Hussler Edmund 189
 Isakiewicz Lech 182, 184, 186
 Jabłczyńska Joanna 223, 225

- Jackl Jerzy 29
Jagielski Mieczysław 217
Jakubowska Aleksandra 36, 48, 89
Janeczko Andrzej 231
Jankowski Stanisław 43
Jaruzelski Wojciech 36, 101, 122, 244, 245
Jasienica Paweł (właśc. Beynar Lech) 36
Jasiński Bruno 63, 186, 243
Jasiewicz Krzysztof 103
Jasiński Krzysztof 183, 187
Jastrun Tomasz 223
Jastrzębski Bohdan 185, 195, 196
Jaworski Seweryn 54, 241
Jedlińska Anna 174
Jeżewska Joanna 232, 235
Kaczmarski Jacek 41, 65, 94, 104, 118, 243, 255
Kaczorowski Ryszard 101
Kaczyńska Maria 274
Kaczyński Jarosław 16, 29, 68, 82, 86, 97, 100, 101, 104, 111, 128, 161, 180, 273
Kaczyński Lech 29, 49, 86, 97, 100, 104, 115, 123, 124, 128, 159, 173-175, 177, 178, 180, 184, 186, 191, 215-222, 232, 236, 245, 273, 274
Kalinowski Witold 188, 189
Kalisz Ryszard 130
Kamińska Iwona 49
Kamińska Teresa 129, 131
Kamiński Antoni 122, 123
Kantor Tadeusz 32
Kapuściński Jerzy 35
Karczevska Barbara 127
Karpiński Marek 35, 89, 98, 101, 183
Karwowska Bożena (Krasiejko, Urbańska) 85, 86
Kawalec Stefan 48, 51
Kedaj Aleksandra 272
Kennedy Edward 272
Kennedy John Fitzgerald 272
Kennedy Robert 272
Kessler-Chojeczka Jolanta 119, 201
Kidawa-Błoński Jan 105
Kirkland Bob 55, 56
Kieślowski Krzysztof 56, 88, 211
Kijowska Elżbieta 230
Kijowska Emilia 132, 231
Kijowska Kamila 132
Kijowski Andrzej, Senior, Ojciec, Dedal, 1, 7, 11-16, 22, 25, 31, 36, 37, 39, 52, 53, 57, 73, 92, 102, 104, 111, 134, 143, 173, 174, 179, 181, 182, 188, 202, 203, 227, 229, 269
Kijowski Andrzej Tadeusz (Żeglikowski Tadeusz), KAT 7, 12, 13, 19, 35, 73, 93, 98, 143, 152, 189, 193, 256, 264
Kijowski Janusz 18, 112, 209
Kijowski Jerzy 209, 211-214
Kilian Adam 179,
Kiliński Jacek 29, 105,
Kirchner Halina 93
Kisiel - patrz Stefan Kisielewski
Kisielewski Jerzy 124, 199-204
Kisielewski Stefan, Kisiel 36, 201, 203
Kisielewski Wacław 203
Kiszczak Czesław 245
Klawe Wacław 231, 235
Kleina Kazimierz 195
Klimczak Maciej 83
Klinger Ewa 164
Kloc Eugeniusz 93
Kłossowicz Jan 17-19
Koenig Jerzy 19, 68
Kofta Jonasz 227, 233
Kołaczkowski Marcin 200
Kollątaj Hugo 30
Kolodko Grzegorz 48
Komar Michał 56, 57
Komorowska Maja 51
Komorowski Bronisław 101
Konarski Stanisław 30
Konic Andrzej 32
Konic Paweł 32, 35, 36, 51, 82, 89
Konopka Łucja 120
Konwicki Tadeusz 63, 64, 187
Koss Tadeusz 182
Kowakczyk Janusz R. 227, 228
Kowalczykowa Alina (Lorenz) 53
Kowalska Anna 81
Kozakiewicz Mikołaj 109
Kraśko Wincenty 272
Krawczyk Rafał 122
Krowiranda Krzysztofa 224
Krupa Lucyna 156, 157
Krzaklewski Marian 48, 56
Krzemień-Ojak Sławomir 188
Kubacki Wacław 15
Kubiak Wiktor 81
Kuczmirowski Sławomir 83
Kulesza Michał 191-198, 219
Kurecka Maria 47
Kuroń Jacek 39, 54, 87
Kwaśniewski Aleksander 20, 43, 48, 89, 101, 104, 105, 269, 273, 275
Kwiatkowski Marek 120
Kwiatkowski Robert 100, 109

- La Tour Etienne de 21
 La Tour Georges de 139, 162, 163, 21, 22
 Laclos Laclous Choderlos Pierre de 23
 Lam Andrzej 91
 Latalo Stanisław 87
 Latkowski Jan 216
 Lebenstein Jan 72, 74
 Lelewel Joachim 30
 Lenart Sebastian 220
 Lenya Lotte 55
 Levinas Emmanuel 189
 Libera Antoni 68
 Liberadzki Bogusław 48
 Lis Bogdan 54
 Lis Stanisław 156, 157
 Lityński Jan 104
 Lubczyński Krzysztof 64
 Lubiatowski Andrzej 121, 123, 164, 185, 194, 195
 Luksemburg Róża (właśc. Luxemburg Rozalia) 171, 172
 Łuczywo Helena 94
 Lupina Zenon 138, 145-147, 150, 154
 Łybacka Krystyna 163
 Machnicki Wojciech 175
 Maciąg Włodzimierz 15
 Macierewicz Antoni 15, 134
 Magnuska Alina 156, 157
 Majewska Bożena 83
 Majewski Marek 18, 83, 231
 Makowski Ryszard 231, 235
 Makuszyński Kornel 123
 Manikowski Adam 84, 110
 Mann Tomasz 47
 Marks Karol 36, 75, 249, 265, 270
 Marszałek Krzysztof 83
 Marszycki Mieczysław 32, 33
 Marx Otto/Michael 118
 Mazowiecki Tadeusz 99, 101, 106, 174, 220, 241, 268, 270
 Michnik Adam 52-57, 84, 92, 93, 95, 104, 105, 120, 131, 157, 204, 228
 Miciński Tadeusz 11
 Mencwel Andrzej 91
 Międzyrzecka Daniela 133
 Międzyrzecki Artur 35, 36, 67, 102
 Miętus Tadeusz 49, 50
 Mikliński Ryszard 115
 Miller Leszek 131, 161-166
 Miłosz Czesław 55, 60, 74, 112
 Mizieliński Leszek 106
 Moczulski Leszek 15, 16
 Moczulski Leszek Aleksander 159, 247
 Modzelewski Zenon 39, 112
 Mokrosińska Krystyna 124, 203
 Molotow Władimir 14,
 Montand Yves 42
 Morawski Stefan 202
 More Thomas (Morus Tomasz) 270
 Morgenstern Janusz 32
 Mościcki Ignacy 222
 Mrozowska Zofia 51, 52
 Murawska-Muthesius Katarzyna 183
 Murawski Krzysztof 179-189, 191, 194,
 Murawski Michał 184
 Musiał Jan 202
 Naimska Małgorzata 68, 115, 159, 211,
 Najder Zdzisław 15, 48,
 Nalewajk Żaneta 224
 Nawrat Ryszard 82
 Nawrocki Witold 157
 Nazarowa-Wnuk Joanna 155
 Niemiec Jerzy 229
 Niewęglowski Wiesław 174
 Niezabitowska Małgorzata 48
 Niziurski Marcin 55
 Nowakowski Marek 47
 Obrazcow Sergiej 179
 Odrowąż-Pieniążek Janusz 220
 Ojciec - patrzący Andrzej Kijowski
 Okudźawa Bułat 49
 Olechowski Andrzej 119-124, 128, 173, 202, 213
 Olejarz Witold 88
 Oleksy Józef 99, 145, 150, 162
 Olszewski Jan 20, 48, 75, 99, 101, 193, 268, 270
 Orzeł Józef 184, 189, 228
 Orzeszkowa Eliza 30, 65
 Pacuda Korneliusz 88
 Palikot Janusz 187-189
 Parain-Vial Jeanne 188
 Parys Jan 20, 75
 Paszek Krzysztof 230, 232, 236, 238
 Paszyński Włodzimierz 155, 161, 163, 164, 199, 201-204
 Pawlak Waldemar 105
 Penderecki Krzysztof 178
 Pere Andrzej 164
 Peryt Marek 84
 Piechociński Janusz 106, 114
 Pieczykolan Izabela 174
 Pietkiewicz Janusz 175
 Pietrzak Jan 48, 88, 168, 227-238
 Piskorski Paweł 49, 180, 220

- Plażyński Maciej 83
Płoskoń pani od polskiego 37
Podkański Zdzisław 110
Polański Roman 68
Położynski Gerard 81
Pomian Krzysztof 111, 112, 158
Poniatowski Stanisław August 30, 48
Popieluszko Jerzy 93
Preisner Krzysztof 68
Preobrażenski Sergiej 179
Presley Elvis 49
Prevert Jacques 42
Prochyra Jan 88
Prus Bolesław (właśc. Głowacki Aleksander) 30, 216, 238
Prus Maciej 33
Przybora Jeremi 29
Przybyszewski Stanisław 30
Pszemicki Włodzimierz 42
Purchała Andrzej 51
Putrament Jerzy 18, 211
Pyjas Stanisław 86
Pyka Tadeusz 217
Rabczewska Dorota (Doda Elektroda) 232
Radwańska Elżbieta 87
Rapacki Marek 164
Rasiński Marek 25, 121
Raszewska Magdalena (Łazarkiewicz) 18
Regulski Jerzy 193, 219
Reński Antoni 59
Ribbentrop Joachim 14
Ricoeur Paul 189
Rodzeń Jan 220
Rokita Jan Maria 83
Romaszewska Agnieszka 124
Romaszewski Zbigniew 22
Rosner Katarzyna 188, 189
Ros Janusz 224
Ros Łukasz 224
Roszak Krystyna 85
Rowling Joanne Kathleen 133, 135
Rozmus Wójciech 87
Różewicz Tadeusz 247
Rudzki Wiesław 81
Rutkiewicz Jan 121
Rutkowski Krzysztof 211
Rymkiewiczowa Ewa 12
Rymkiewicz Jarosław Marek 12, 15, 35, 59
Rysiówna Zofia 59
Rywin Lew 109, 120, 128, 131, 161
Rayzacher Maciej 83, 113
Sadzik Józef 74, 112
Saint-Mars Emmanuel 139 – 141, 145
Sajnuik Adam 200
Sarnecki Jerzy 40, 42
Sawicki Waldemar 182
Scherer -Virsky Olga 35, 73, 74, 112
Schiller Leon 68, 91, 134, 175
Schulz Bruno 63
Schuman Robert 270
Senior – patrz Andrzej Kijowski
Seweryn Andrzej 113, 114, 146
Siekierski Stanisław 91, 93
Siemoniak Tomasz 127, 128
Sienkiewicz Henryk 30, 63
Sigalin Józef 41, 42, 45, 46
Sikorski Dariusz 218
Sikorski Radosław 14, 75, 269, 273, 275
Sinatra Frank 229
Singer Isaac 65
Sito Jerzy Stanisław 12
Siwicki Florian 36
Skalska Dobromiła 204
Skoczylas Bolesław 167
Skrzysewska Agnieszka 224
Skwarnicki Marek, 202
Słojewski Jan Zbigniew (Hamilton)
Słonimski Adam 53, 59, 67, 102, 203, 238
Słowacki Juliusz 111
Smolka Iwona 31, 56, 223, 274
Sobczuk Bogusław 88
Solorz-Żak Zygmunt (właśc. Krok Zygmunt) 21, 57, 260,
Stachańczyk Grzegorz 175
Stadler Andreas 157
Stanek Teresa 25
Starczewski Stefan 159
Staręga Elżbieta 216
Staszic Stanisław 30
Stawrowski Zbigniew 273
Stepan Ewa 155
Stomma Ludwik 71, 11
Strękowski Jan 44, 242-243
Strzembosch Adam 48, 105
Strzyżewski Tomasz 93
Suchocka Anna 101, 11
Swinarski Konrad 26
Synowicz Katarzyna 153, 16
Szaruga Leszek (właśc. Wirpsza Aleksander) 47, 22
Szczępańska Dorota 184
Szczępański Józef Jan 16
Szczępański Maciej 109

- Szczepkowski Andrzej 31-32, 182
 Szczypiorski Andrzej 15
 Szpakowska Małgorzata 91, 111, 186, 208
 Szwargolińska Barbara 164
 Szymański Witold 200
 Śmigieński Andrzej 88
 Świącicki Marcin 220
 Świtaj Monika 137, 175
 Tabin Marek 71
 Tanalska Anna 37, 51, 133
 Tanalski Dionizy 37, 133, 203
 Tarn Adam 133
 Terlecki Władysław 109
 Tomaszewski Marek 203
 Tomaszewski Janusz 83
 Treugutt Stefan 19
 Trocki Lew 270
 Trzebiński Andrzej 55
 Trznadel Jacek 97
 Tuge-Erecińska Barbara 167
 Tuszyńska Agata 35, 22
 Tylman Janusz 224
 Tyrmand Leopold 12, 13
 Ubersweld Anne 112
 Umer Magda 29
 Urbański Andrzej 19, 35, 36, 53, 68, 82-83, 85-88, 91, 93-94, 97-102, 104-107, 114-115, 123-124, 128-129, 173-175, 177-178, 183, 185-186, 191, 197, 215-216, 222-223, 226
 Veinstein André 74, 112
 Wacowska Urszula 179
 Wajda Andrzej 178, 212
 Walendziak Wiesław 109
 Walter Mariusz 57, 282
 Wałęsa Jarosław 273
 Wałęsa Lech 20, 48, 56, 82, 89, 100, 101, 104-105, 110, 270, 272-273
 Warszawski Dawid (zob. Gebert Konstatnty) 59
 Wasilewska Anna 133
 Waszkiel Halina z d. Kreid 183
 Waszkiel Marek 184
 Weil Kurt 55
 Wejchert Piotr 19
 Weksler Jacek 33
 Wende Edward 82
 Weremowicz Krystyn 93, 11
 Wierzbicki Piotr 81, 18
 Wilczek Mieczysław 260
 Wildstein Bronisław 36, 71, 73-74, 134, 228, 264
 Wilhelmi Janusz 18, 21
 Wilkowski Jan 179
 Wirpsza Witold 47
 Wiśniewska Katarzyna 12
 Wojtyśzko Maciej 82
 Wolicki Krzysztof 67
 Wolski Marcin 88, 223, 232, 235
 Wollejko Czesław 51
 Woroszyńska Natalia 133
 Wrembiak Andrzej 37
 Wróblewski Mirosław (Wróbel) 200
 Wujec Ludmiła 120
 Wyka Kazimierz 15
 Wysocki Włodzimierz 49
 Wysocki Wojciech 51
 Wyspiański Stanisław 11, 26, 30
 Wyszkowski Krzysztof 101, 110
 Zagajewski Adam 112
 Zając Przemysław 25
 Zakrzewska Julia (Pitera) 35
 Zaleski Krzysztof 17, 21
 Zaleski Maciej 36, 99
 Zalewski Maciej 94, 18
 Zalewski Marek 182, 23
 Zalewski Witold 56
 Załucki Marian 235
 Zaniewska Xymena 106
 Zaniewski Andrzej 157
 Zanussi Krzysztof 88, 18
 Zarębska Renata 232
 Zass Jerzy 33
 Zdanowicz Piotr 29
 Zelnik Halina 36, 11
 Zelnik Jan 36, 11
 Zelnik Jerzy 36
 Zielińska Maja 20
 Zieliński Jarosław 216
 Ziemkiewicz Rafał 104, 23
 Zimand Roman 33, 97
 Zimmermann Krystian 68
 Ziobro Zbigniew 268
 Zubik Małgorzata 274
 Zwinogrodzka Wanda 68, 82
 Zygałdo Tomasz 212
 Żeglikowski Tadeusz – patrz A.T. Kijowski
 Żeromski Stefan 63 - 65
 Żukow Anatolij 45

Te duchy zaczynały mówić swoim językiem. Domagały się pamięci. Potępiały zbrodniarzy. Lecz przypominały też, że ci ocaleni mądrzejsi, inteligentni, wielomówni bracia, którzy wyparli się wiary, tradycji i języka, którym z pochodzenia pozostała jedynie solidarność uciekinierów, którzy starają się zapomnieć o swych pozostawionych gdzieś pobratymcach i zwieść tych, wśród których żyją – są oszustami, a może nawet zaprzańcami. Dla ludzi, którzy wypierają się przeszłości, nie ma miejsca ani wśród zmarłych braci, ani wśród żyjących towarzyszy.

Tak więc odzyskiwaliśmy naszą przeszłość. Zaczynaliśmy się rozpoznawać. Pytać o pochodzenie. O cenę naszego życia. O wierność. Rozróżniać, kto swój, a kto obcy. Bo przez trzydzieści lat znaczna część społeczeństwa polskiego pokolenia Kolombów nie wyszła faktycznie z konspiracji. Dopiero gdy ukształtowało się pokolenie „Solidarności”, niektórzy dziadkowie wyznawali wnukom, kim są, gdzie leży zakopana jeszcze w ‘44 broń, pod którą klepką znajdują chowane na czarną godzinę złoto, gdzie skrywa się szlachecki rodowód, akt własności fabryki czy chanuki srebrzone.

(Z rozdziału: Stygmat Obcości)

Profesor Józef Chłasiński sformułował tezę o szlacheckim rodowodzie inteligencji polskiej. Pisał o inteligenckim getcie. Myślę, że po hekatombie II wojny światowej teza ta już tylko w połowie aktualna. Inteligenckie środowisko zachowało cechy diaspory zamkniętej w getcie. Lecz nie jest to już dzisiaj warstwa będąca „jedyną spadkobierczynią szlacheckiej idei państwowej”. Przeciwnie, na współczesnej polskiej inteligencji ciąży stygmat ucieczki z getta współbraci. I wina odtworzenia getta obcego większości rodaków. Dużo prawdziwsze będzie dziś zatem stwierdzenie odszczepieńczego stygmatu współczesnych polskich elit intelektualnych.

(Z rozdziału: Uchodźcy z pogromu)

Demaskujemy się wzajemnie. Unia Europejska Berlusconiego od libacji i Buzka od rozebranej Agaty, który z Pielgrzymą na moich oczach przedzierzgnął się w małego naciągacza – sama sobie wystawia świadectwo.

Lewicę zaś w pochodzie po wszechwładzę zatrzymał nie kto inny jak rzucający na szalę cały swój autorytet Adam Michnik, chwytający za połą chalata Lwa Rywina. I o tym także pamiętać wypada.

(Z rozdziału: Jerzy Buzek, czyli opakowanie)

Jest to książka, którą czyta się jednym tchem. (...) Jest to książka o naszej współczesności. Stronnicza, więc wywoła z pewnością krytyczne uwagi. Tak być powinno. Nasze ostatnie dziesięciolecia dopiero wymagają opisanego i przemyślenia. Tych opowieści będzie wiele. Pośród nich znaczące miejsce zajmie książka Kijowskiego.

Paweł Śpiewak

(ze wstępu do tomu I – Odsłanianie dramatu)

Andrzej Tadeusz Kijowski przeprowadził wstrząsającą wiwisekcję organizmu medialnego III RP, która dzisiaj, tak naprawdę, jest sekcją zwłok wolności słowa. (...) Czuję się zawstydzony jako naczelny i wydawca „Wprost” w tamtych czasach, gdy uchwalano tę ustawę. Biję się we własne piersi i uważam, że Kijowski ma prawo i obowiązek wymierzyć policzek nie koncesjonowanej prasie, która nie zauważyła zapisu rodem z PRL-u.

Marek Król

(ze wstępu do tomu II – A Teraz Konkretnie)

ATK jest niesprawiedliwy, stronniczy, gwałtowny i zbuntowany. W jego bojach o teatr można natrafić na oceny krzywdzące ale dostrzega się również pasję, zaangażowanie i ogromne doświadczenie. Ta wielka energia, z jaką podejmował kolejne wyzwania, widoczna jest na każdej stronie. (...) Sądzę, że ukazanie się tej książki okaże się wydarzeniem w naszym życiu teatralnym.

Maciej Wojtyzsko

(ze wstępu do tomu III/IV – Teatr to miejsce spotkania)

PATRONAT
MEDIALNY:

 RZECZPOSPOLITA

salon24



ISBN 978-83-923292-6-8



9 788392 329268

WYDAWNICTWO
ANTRAKT